

JANET
DAILEY
OSTATNIE
LOWY

PROLOG

Ściany saloniku myśliwskiego były wyłożone kosztowną boazerią z drewna orzechowego. Przez lekkie zasłony w drzwiach balkonowych, wychodzących na taras położony na ostatnim piętrze, przesączało się słońce, zalewając wnętrze jasnym światłem. W rogu pokoju znajdowała się biblioteczka. Stało tam kilka książek traktujących wyłącznie o polowaniu i broni. Zniszczone okładki świadczyły o tym, że często z nich korzystano. Pozostałe półki były zastawione przede wszystkim pamiątkami i fotografiami. Niemal wszystkie przedstawiały mężczyznę stojącego na tle myśliwskich trofeów. Na górnej półce czaiła się wypchana kuna, a obok niej rozłożył swe lśniące zwoje grzechotnik, czyhający na nieprzezornego, który znajdzie się w pobliżu.

Poroża oraz wypchane łby jeleni i łosi wisały na ścianach na przemian z trofeami bardziej egzotycznymi: łbem nosorożca, antylopy gnu czy gazeli. Na ceglanej płycie przed kominkiem wypchany żbik skradał się ku swej zdobyczy — chińskiemu bażantowi ustawionemu naprzeciw. Dwa bliźniacze ciosy słońca, umieszczone na okapie kominka, tworzyły łuk wokół orła złocistego, unoszącego rozpostarte skrzydła i ściskającego w szponach wiewiórkę o szarym futerku. Przed kominkiem

leżała rozciągnięta skóra niedźwiedzia, który groźnie wpatrywał się w przybysza szklanymi ślepiami, szczerząc potężne kły.

Przy ścianie wznosił się okazały, solidny stojak na broń. Połyskiwały tam oliwione regularnie lufy strzelb. Wygląd ich drewnianych kolb dowodził jednak, że nie były używane. Na masywnym biurku nie leżała ani jedna kartka papieru, wydawało się zatem, że zostało J tam wstawione jedynie po to, by można było na nimi ustawić kolejne pamiątki i fotografie.

Dwie kanapy, pokryte jasną skórą, stały naprzeciw siebie po obu stronach niedźwiedziego futra. Na jednej z nich siedział chłopiec w błękitnym pulowerze i granatowych spodniach. Gorliwie czyścił sztucer. Regularne rysy jego wrażliwej twarzy wydawały się naszkicowane ręką artysty. Mocno zaznaczone łuki brwi podkreślały głębię aksamitnych, brązowych oczu, skoncentrowanych teraz na wykonywanej pracy. Ciemna, prawie czarna czupryna przesłaniała mu czoło.

Naprzeciw niego, na drugiej kanapie, dwunastoletnia dziewczynka czyściła nieco lżejszą broń. Na tym podobieństwo się kończyło. Miała na sobie dzinsy, a pod szarym, zbyt obszernym swetrem uwydatniały się dziewczęce jeszcze kształty. Warkocz spleciony z długich włosów o miedzianym połysku zwieszał się z jej ramienia. Odrzucała go niecierpliwym gestem, gdy tylko zaczynał przeszkadzać jej w pracy. Twarz o wyrazistych rysach tchnęła energią i radością życia. Jedynie usta zdradzały tę samą wrażliwość, która tak intensywnie ujawniała się na pięknej twarzy brata. Zielono cętkowane, orzechowe oczy mogły zabłysnąć nagle podnieceniem czy miotać błyskawice pod wpływem złości, by już po chwili ściemnieć jak wzburzone morze.

Mężczyzna, który siedział w fotelu z wysokim oparciem obitym skórą, z latami pociemniała, przyglądał się im w milczeniu. Z nieobecny wyrazem twarzy, wsparłszy Winchestera o kolano, czule i z pietyzmem wodził

suknem po kolbie. Skończył już czyszczenie, broni; lata wprawy pozwoliły mu uporać się z tą robotą znacznie szybciej, niż mogły to uczynić dzieci.

W powietrzu ciągle jeszcze unosił się zapach tytoniu fajkowego, choć fajka z wrzośca, którą mężczyzna ścisnął w zębach, zdążyła już wygasnąć. Miał na sobie strój myśliwski — ciemnobrązową marynarkę i nieco jaśniejsze spodnie o kasztanowatym odcieniu. Rudawe refleksy sprawiały, że jego ciemne włosy wydawały się jaśniejsze. Był to, rzec można, rasowy mężczyzna, a siwiejące skronie pogłębiały jeszcze to wrażenie. Ani męskie rysy jego twarzy, ani ciemne oczy nie zdradzały żadnych uczuć. Ową umiejętność doskonałego panowania nad sobą nabył wraz z wiekiem.

Panującą wokół ciszę przerwał nagle odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Dziewczynka natychmiast uniosła głowę, jej oczy błyszczały z podniecenia. Zerwała się, energicznie odrzucając sztucer i narzędzia do czyszczenia broni.

— To na pewno mama! Powiem jej o wspaniałej nowinie, pozwól mi!

— Poczekaj, Jordanno!

Ale ona wymknęła się już z pokoju nie czekając, aż ojciec wyjmie fajkę z ust, by móc przywołać ją z powrotem. Przelotny grymas zniecierpliwienia pojawił się w kącikach jego warg, lecz spokojnie, bez pośpiechu wstał z fotela i powoli podszedł do stojaka na broń. Gdy po odstawieniu Winchestera ponownie zamykał drzwiczki na klucz, jego wzrok napotkał zaniepokojone spojrzenie chłopca.

— Skończ spokojnie pracę, Kit. Sprawdzę dokładnie broń, zanim odstawię ją na miejsce — rzekł uśmiechnąwszy się do syna, co trochę złagodziło stanowczy ton tego polecenia.

— Tak, tatusiu — powiedział chłopiec i powrócił do swego zajęcia, nie okazując choćby cienia sprzeciwu czy niechęci.

Przejście z typowo męskiego pokoju myśliwskiego do brokatów i kandelabrow salonu było dość szokujące — niczym zderzenie dwóch odmiennych kultur. Podłogę tego obszernego pomieszczenia pokrywał gruby dywan o barwie ciepłej zieleni. Obrazy włoskich mistrzów, oryginały wielkiej wartości, w ciężkich złoconych ramach rozmaitych kształtów, zdobiły białe ściany. Rozłożysta sofa była obita niebieskim brokatem wykończonym cieniu-tkami, złotymi wypustkami. Po jej obu stronach, na stolikach w stylu włoskim, umieszczono kryształowe lampy o miedzianych podstawach, przed nią zaś znajdował się długi, niski stół z czereśniowego drewna. Przy kominku z białego marmuru stały naprzeciw siebie identyczne fotele w kolorze tej samej stonowanej zieleni co dywan. Także w aksamitnych zasłonach i podtrzymujących je ciężkich sznurach powtarzał się ów motyw bladej zieleni. Gdzienie-gdzie, rozsiane po całym pokoju, stały wazony ze świeżo ściętymi kwiatami w rozmaitych odcieniach różu.

W tym wykwintnym wnętrzu, urządzonym z tak wyszukaną elegancją, królowała kobieta o hebanowoczarnych włosach, istota wyjątkowej urody, chłodnej i wyrafinowanej. Pokojówka w służbowym mundurku, trzymając przerzucony przez ramię płaszcz w kolorze piaskowym, czekała, aż jej pani zdejmie czarne rękawiczki z kozłej skórki.

— Dziękuję, Tesso.

Modulacją głosu i sposobem, w jaki podała pokojówce rękawiczki, uprzejmie dała jej sygnał, że może odejść; nie potrzebowała już jej usług.

W chwili gdy Tessa skierowała się bez słowa w stronę drzwi, miedzianowłosa dziewczynka wpadła jak bomba do pokoju.

— Zgadnij! — zawołała drżąc z podniecenia.

— Na miłość boską, cóż ty na siebie założyłaś! — obrzuciła wzrokiem dziwaczny strój córki, i wyraz niesmaku przemknął przez jej twarz. Ona miała na sobie

beżowy kostium zimowy, skrojony według ostatniej mody; wszystkie dodatki były dobrane z wyjątkowym poczuciem smaku. — O ile się nie mylę, mówiłam Tessie, żeby wyrzuciła to do śmieci. Masz szafę pełną prześlicznych ubrań, które ci kupiłam. Najwyższy czas, żebyś przestała ubierać się jak chłopczyca!

— Ćwiczyliśmy się w celowaniu — słowa krytyki najwyraźniej nie zrobiły na dziewczynce żadnego wrażenia. — Tata mówi, że w ten sam weekend, kiedy zabierze ze sobą Kita, ja też będę mogła pojechać z nim na polowanie — oznajmiła z niczym nie zmaconą radością.

Piękne rysy alabastrowej twarzy zeszywniały najpierw pod wpływem szoku, lecz już po chwili oszpecić ją narastająca z wolna złość.

— Głupstwa pleciesz!

— Nie — zapewniła Jordanna. — Tata powiedział, że mnie zabierze. Naprawdę tak mówił. — Odwróciła się, bo kątem oka spostrzegła, że ktoś wchodzi do pokoju. — Jeśli mi nie wierzysz, to sama go spytaj. Prawda, tatusiu, że obiecałeś zabrać mnie ze sobą? No powiedz, prawda? — błagalnym głosem zwróciła się do mężczyzny, który właśnie wszedł do salonu.

— Owszem, obiecałem — przyznał.

Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy spojrzął w zielone oczy żony piorunującej go wzrokiem.

— Posłuchaj, Fletcher, Jordanna jest bardzo młoda. Dostatecznie karygodne wydaje mi się już to, że udało ci się wciągnąć Christophera w te twoje okrutne rozrywki. Dlatego nie dopuszczę, żebyś na dodatek wciągnął w to moją córkę.

— Ale ja chcę tam pojechać! — zaprotestowała Jordanna.

— Ty bądź cicho i nie mieszaj się do tego! — impulsywnie odwróciła się w stronę córki, z trudem panując nad furją, która przyprawiała ją o drżenie. — To sprawa pomiędzy twoim ojcem a mną.

— Jak zwykle wszystko wyolbrzymiasz, Liwie.

— Wyolbrzymiasz! — Oszalały wzrok utkwiała w twarzy stojącego przed nią mężczyzny, całkowicie zapominając o obecności córki; wypielęgnowane paznokcie wbijała z wściekłością w swe delikatne dłonie. — To twoje ulubione oskarżenie, prawda? „Jesteś stanowczo zbyt przeczulona, OHvio”. — Z sarkazmem naśladowała ton jego głosu.

— Ależ to prawda, jesteś przeczulona — oświadczył Fletcher Smith spokojnym, opanowanym głosem. — Przyjrzyj się sobie, dygoczesz jak w febrze.

— A czego się po mnie spodziewasz? — Jej głos łamał się histerycznie. — Moja córka przychodzi i oświadcza mi jak gdyby nigdy nic, że najbliższy weekend spędzi z tobą na polowaniu! Tylko że to jest także moje .dziecko, Fletcher. Sądzę, że ja również mam coś do powiedzenia w tej sprawie. Należało chyba poprosić mnie o zgodę.

— Z pewnością bym z tobą porozmawiał, ale tak rzadko bywasz w domu! Twój terminarz jest zawsze dokładnie wypełniony, kiedy ja tu jestem.

Stwierdzenie Fletehera zawierało zawołowaną wymówkę.

• — Jeśli ktoś tu rzadko bywa, to raczej ty — zareplikowała OHvia. — A nawet jeśli tu w ogóle jesteś, to i tak dwie trzecie czasu spędzasz w tamtym pokoju, ze swoimi wypchanymi zwierzakami i tymi przekłętymi strzelbami! Może dla ciebie polowanie jest całym życiem, ale z pewnością nie dla mnie!

— O, doprawdy? — uśmiechnął się. Gdy po chwili podjął rozmowę, w jego głosie pobrzmiewały nutki cynizmu. — Obiło mi się o uszy, że wykazywałaś się niemałym talentem w polowaniach na samców dwunogiego gatunku. Zdaje się, że twoja kolekcja trofeów jest nie mniej imponująca niż moja.

— Dlaczego tak kluczysz i nie spytasz wprost, Fletcher? — odezwała się lodowatym tonem, podejmując wyzwanie. — Chcesz wiedzieć, ilu miałam kochanków?

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Fletchera — była jak wykuta w brązie. Nie spuścił wzroku.

— Jeśli masz zamiar rozwijać ten wątek, radziłbym poczekać, aż wyjdzie Jordanna. Sądzę, że nie będziesz miała nic przeciwko temu? Twierdzisz przecież, że tak troszczysz się o to, żeby nic nie wzburzyło jej umysłu!

Ołivia zaśmiała się gorzko.

— Jak ty świetnie potrafisz zrobić ze mnie dziwkę, prawda, Fletcher? — wyszeptała, wznosząc oczy ku górze, by powstrzymać napływające łzy, po czym spojrzała na córkę. — Idź do swojego pokoju, Jordanno.

Ale Jordanna, zamiast posłusznie wykonać polecenie, odwróciła się do ojca i mocno do niego przytuliła.

— Tak mi przykro, tatusiu — łkała spazmatycznie. — Nie chciałam, żeby się na ciebie rozżłościła.

— Nic się nie stało, Jordanno. — Objął córkę, chcąc ją pocieszyć, i czułym gestem ułożył rudy warkocz na jej plecach. Potem ujął obejmujące go w pasie dłonie i stanowczo popchnął córkę ku drzwiom. — A teraz już idź.

— Proszę cię nie pozwól jej zatrzymać mnie w domu na ten weekend! Chcę z tobą jechać! — prosiła.

— Wiem — powiedział uspokajająco i znów popchnął ją łagodnie w stronę drzwi. — Idź już.

Wyszła z salonu kompletnie przybita. Ale jej posłuszeństwo trwało tylko do chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi. Potem zatrzymała się i przywarła do ściany, by nadal słuchać, co mówią rodzice, mimo że rozmowa ta sprawiała jej tyle przykrości; kto wie, czy nie raniła bardziej jej niż rodziców.

— Jordanna nie pojedzie z tobą — oświadczyła matka. — Błędem z twojej strony jest już to, że zabierasz ze sobą Christophera. On jest taki wrażliwy i delikatny... Kiedy ty wreszcie sobie uświadomisz, że nie możesz go zmuszać, by stał się podobny do ciebie, gdy dorośnie?

— Jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób się nad nittl

roztkliwiasz, byłoby prawdziwym cudem, gdyby w ogóle kiedykolwiek dorósł. Większość chłopców w jego wieku była już na polowaniu. Czekałem tak długo, bo bez przerwy powtarzałaś, że jest jeszcze za mały. Teraz on sam chce ze mną jechać. Przestań go niańczyć, Livvie, i pozwól mu dorosnąć.

— Kit wcale nie chce tam jechać. Jeśli nawet mówi, żerna ochotę, robi to tylko dlatego, że doskonale wie, czego od niego oczekujesz.

— To nieprawda. Słyszał, jak koledzy w szkole rozmawiali o polowaniu na daniela, i teraz nie może się doczekać wyjazdu ze mną.

— Z pewnością nie zdaje sobie sprawy, czego od niego oczekujesz, gdy już przyjdzie do zabijania tych danieli. On bardzo mocno takie rzeczy przeżywa, Fletcher. Nigdy nie mógłby z zimną krwią zabić nieszczęsnego, bezbronno zwierzęcia. Tylko ciebie to podnieca.

- Kiedy wreszcie przestaniesz utrzymywać, że polowanie i morderstwo to jedno?

— Wtedy, kiedy ty przestaniesz kształtować charakter mojego syna według własnego ideału prawdziwego mężczyzny — odparła ze złością. — Powinam była ci przeszkodzić, gdy kupowałeś Christopherowi pierwszą strzelbę.

— Sztucer — poprawił odruchowo.

— Sztucer, strzelba... cóż to za różnica! Pogodziłam się z tym, że udało ci się nauczyć Christophera posługiwania się bronią. Ale nigdy nie potrafię pojąć, jak zdołałeś wymóc na mnie pozwolenie, żeby Jordanna uczyła się strzelać. Zawsze udaje ci się osiągnąć to, czego chcesz, Fletcher. Zgodziłam się nawet, żebyś zabrał Christophera na polowanie. Ale Jordanna? Nie, nigdy!

--Oboje chcą ze mną pojechać, a i ja chcę ich ze sobą zabrać. Tak rzadko ich widuję. Albo są w szkole, albo mnie nie ma w domu. Chcę, żeby od czasu do czasu zaznali trochę prawdziwego życia rodzinnego, żebyśmy mogli zrobić coś wspólnie.

— Wobec tego zostań w domu! Przestań się z nimi włączyć po całym świecie! — Olivia, ogarnięta furją, zaczęła krzyczeć. — Dla siebie już tego nie żądam, ale zrób to dla dzieci! Skończ z tymi absurdalnymi polowaniami!

— Jest to jedyna rzecz, którą lubię. Niewiele przyjemności zostało mi już w życiu,

— Domyślam się, że to wycieczka pod moim adresem. Czyżbym sprawiła, że twoje życie stało się takie okropne? Sądzę, Fletcher, że to raczej ja przeżyłam prawdziwe piekło od czasu, jak się pobraliśmy!

— Po co nam te kłótnie, Liv? Dlaczego nie możemy nigdy porozmawiać ze sobą spokojnie? — gestem pełnym znużenia przesunął dłońmi po siwiejących skroniach.

— A dlaczego ty nie możesz powstrzymać się od wyjazdów na polowania? «

— Nie masz najmniejszego pojęcia o polowaniu. Wydaje ci się, że to swego rodzaju zbrodnia. A mnie pociąga podniecająca atmosfera polowania. Tego dreszlu czy emocji nie da się z niczym porównać. Przyjemnością jest samo polowanie, Liwie, a nie to, że się zabija. Wyjedź z nami na ten najbliższy weekend, a sama się przekonasz.

— Przez całe lata zostawiałeś mnie samą w domu, a teraz, jakby nigdy nic, proponujesz mi, żebym z tobą pojechała! Ó wiele za późno — jej głos załamał się pod wpływem emocji. — Kiedy cię potrzebowałam, Fletcher, ciebie nigdy nie było. Zawsze wyjeżdżałeś na jakieś kolejne safari, albo Bóg wie dokąd, ale zawsze tam, gdzie byłeś dla mnie nieosiągalny. Zawsze zatrzaskiwałeś przede mną drzwi. Czy można się dziwić, że poszukałam sobie innego towarzystwa? Ale ty masz mi to za złe. I myślisz, że teraz nagle zacznę brać udział w twoich rozrywkach, pomimo że nigdy nie zdobyłeś się wobec mnie na żadne ustępstwo?

— No, a to mieszkanie? Nienawidzę Nowego Jorku.

Przecież ty chcesz tutaj mieszkać, nie ja. Nie jest to odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci, no, ale ty kpisz sobie z tego. Interesują cię tylko wizyty, zakupy, teatr... — W jego głosie po raz pierwszy pojawiły się nuty nieopanowanej złości. — Nie rozumiem, dlaczego sprawia ci taką przykrość, że zabieram Jordannę i Kita na weekend. Będiesz miała przecież całe dwa dni, które bez przeszkód możesz spędzić ze swoim aktualnym kochankiem - kimkolwiek on jest!

— Jakaż ja jestem głupia, że o tym nie pomyślałam!
'— wykrzyknęła z nieszczerym śmiechem:

Chwycił ją za ramiona, jakby chciał potrząsnąć, żeby się ocknęła.

— Psiakrew, jesteś przecież moją żoną, Liwie!

Nie zrobiła żadnego gestu, by go odtrącić, tylko zeszywniała w jego ramionach.

— Od dawna już cię nie kocham, Fletcher.

Uchwyt jego ramię słabł powoli, a jednocześnie zwykły, nieprzenikniony wyraz powracał na twarz Fletchera. W końcu Olivia sama wywinęła się z jego rąk.

- A jeśli chodzi o Jordannę, to możesz ją ze sobą zabrać na ten weekend. Będę miała dwa dni wyłącznie dla siebie i chyba rzeczywiście tego mi potrzeba. Wygrałeś, Fletcher, jak zwykle!

— Zapewniam cię, Liwie, że ona nie będzie strzelać. Dotrzyma tylko towarzystwa mnie i Kitowi, nic więcej.

Jordanna dostała to, na co czekała. Będzie nareszcie mogła wziąć udział w wyprawie. Ale już się tym wcale nie cieszyła. Policzki miała mokre od łez i gdy wchodziła do swojego pokoju, ogarnęła ją nagle fala mdłości.

Nad lasami w stanie Vermont wstawał świt. Ciszę mącił tylko świergot ptaków wśród wierzchołków drzew. Mężczyzna, chłopiec i dziewczynka trwali nieruchomo na posterunku przy powalonym drzewie. Mężczyzna

przykucnął, w zgięciu ramienia trzymał skierowany w dół sztucer. Klęczący chłopiec oparł lufę broni o powalony pień. Ubrany w nowiutką kurtkę myśliwską z czerwonej szkockiej wełny, obserwował ścieżkę wydeptaną przez daniela, która wiała się między drzewami niedaleko jego kryjówki.

Dziewczynka w swetrze z golfem siedziała ze skrzyżowanymi nogami i wsuniętymi w kieszenie wiatrówki rękoma. Na głowie miała zamotany szal z białej wełny, częściowo osłaniający ciemnorude włosy. Choć było chłodno, jak zwykle podczas jesiennych poranków, Jordanna starała się ze wszystkich sił, by nie dygotać z zimna, i myślała tylko o tym, żeby się nie poruszyć. Ojciec wydał im bardzo ściśle instrukcje: nie wolno ani się wiercić, ani rozmawiać. Przed polowaniem wybrał się na rekonesans i teraz był pewien, że duży daniel o białym ogonie wkrótce pojawi się w tym miejscu.

Kit przysiadł ostrożnie na piętach i, nie odwracając głowy, rzucił ojcu pytające spojrzenie. Na twarzy chłopca malowało się napięcie oczekiwania. Fletcher uśmiechnął się do niego, by mu dodać odwagi, i oczyma dał znak, żeby całą uwagę skoncentrował na ścieżce.

Jordanna, zauważywszy, że oczy Kita błyszczą z podniecenia, spojrzała w tym samym kierunku, co on; nic jednak nie dostrzegła. Wpatrzyła się więc w ścieżkę na wprost siebie, wyteżając wzrok tak gorliwie, aż poczuła, że zaczynają ją piec oczy. Potem nagle przypomniała sobie radę ojca: cały czas błądzić wzrokiem dokoła siebie. Po kilku chwilach zauważyła, że liście lekko się poruszyły. Gdy skoncentrowała wzrok na tym punkcie, zobaczyła nagle łanię daniela, delikatne stworzenie, które ojcu mogło sięgać najwyżej do pasa.

Pomimo grubej warstwy suchych liści, pokrywającej leśne podszycie, łania poruszała się bezszelestnie, podążając ostrożnie w ich stronę. Tuż za nią szły dwie inne łanie i koziołek. Jordanna wstrzymała oddech i otworzyła

usta z zachwytu, udało jej się jednak zachować całkowitą ciszę. Jej błyszczące oczy napotkały wzrok ojca, równie jak ona oczarowanego widokiem wspaniałych dzikich zwierząt. Taka sama fascynacja malowała się na twarzy Kita, gdy uśmiechnął się do ojca. Sam ten widok sprawił, że zapomnieli i o przenikającym ich zimnie, i o bólu zdrętwiałych mięśni.

Łanie tymczasem wspinały się po zboczach, by za moment zniknąć. A trójka myśliwych wciąż trwała czujnie na stanowisku. Łanie danieli nie były celem ich polowania. Wypatrywali poroża wieńczącego łeb samca. Mijały minuty, niepokój myśliwych wciąż narastał.

Fletcher lekko dotknął ręką ramienia syna. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą były tylko drzewa i leśne runo, stał teraz daniel — jeleń sześciolatek. Odwrócił łeb do tyłu, czujnie wciągając w nozdrza nieruchome powietrze. Fletcher dał synowi znak dłonią, żeby poczekał, aż zwierzę się zbliży. Serce Jordanny biło mocno. Była przekonana, że daniel z pewnością usłyszy. Ale jeleń, machnąwszy ogonkiem, podszedł bliżej. Ani jeden liść nie zaszeleścił pod jego racicami, gdy zmierzał ku nim — dumny, majestatyczny, a zarazem ostrożny.

Dopiero kiedy zwierzę znalazło się w zasięgu strzału, ojciec ścisnął ramię Kita. Mając w pamięci godziny treningów, chłopiec złożył się do strzału i nacisnął spust. W tej samej chwili, gdy rozległ się strzał, daniel skoczył ku pobliskim zaroślom. Kit poderwał się na równe nogi.

— Mam go, trafiłem! Prawda, tatusiu?

Był przekonany, że mu się udało, lecz zaraz ogarnęły go wątpliwości, ponieważ daniel zniknął bez śladu:

- Trafiłeś go — zapewnił ojciec. — Powinieneś być jednak postać mu więcej ołowiu. Dostał w brzuch.

— Cały czas się przyglądałam, ale wcale tego nie zauważyłam — oświadczyła zbita z tropu Jordanna.

— Skąd możesz wiedzieć, w co Kit go trafił?

— Z odgłosu wydawanego przez kulę. Jest on różny

w zależności od tego, w jaką część ciała trafi kula. Z czasem nauczysz się rozpoznawać te dźwięki.

— Kurcze, ale mi się udało! — oświadczył Kit, wyraźnie zadowolony z precyzji swego strzału. — Muszę opowiedzieć o tym kumplom! To był ogromny daniel, prawda, tato?

— Spory. Bardzo przyzwoicie jak na pierwszy raz — pochwalił syna Fletcher i szeroko się do niego uśmiechnął. — Chciałbym, żeby twoja matka cię teraz zobaczyła. Taka była pewna, że nigdy nie polubisz polowania!

— To jest fantastyczne! — Chłopca przepełniała duma z odniesionego sukcesu. — Chodźmy poszukać mojego daniela, tato.

Fletcher podążył za synem, który poszedł po tropach zwierzęcia. Jordanna została nieco w tyle. Aluzja do matki obudziła w jej pamięci przykre wspomnienia. Starła się odsunąć od siebie niepokojące uczucie przygnębienia.

Smuga krwi wskazywała im trop rannego daniela. Poszli za nim w stronę zarośli. Nagle przystanęli słysząc, że coś poruszyło się w oddali, wśród leśnego podszycia. Fletcher wskazał palcem kierunek* z którego dochodził dźwięk, i wszyscy troje ruszyli tam pośpiesznie, ale ostrożnie.

Daniel z białym ogonem leżał na małej polance. Z jego rany sączyła się krew, plamiąc wokół ziemię. Gdy się zbliżyli, uniósł głowę i popatrzył na nich. Znieruchomieli, przykuci pełnym wyrazu spojrzeniem jego brązowych oczu.

— Musisz go dobić, Kit — odezwał się Fletcher. — Jeśli go tak zostawisz, będzie umierał bardzo długo.

Delikatnie popchnął syna w stronę daniela. Ale Kit, spojrzawszy w łagodne, brązowe oczy, potrząsnął głową na znak, że tego nie zrobi.

- Musisz skrócić jego cierpienie. Spójrz na jego oczy, mój chłopcze. Nie widzisz, że cię o to prosi?"

Kit nie mógł oderwać wzroku od zwierzęcia, a napotkawszy jego błagalne spojrzenie, zbladł i sztucer wyśliznął mu się z rąk. Odwrócił się i uciekł pędem, potykając się o korzenie i gałęzie. Fletcher ruszył za nim, chcąc go zatrzymać.

— Daj spokój, tatusiu! — Jordanna już się schylała, by podnieść sztucer. Odwróciła się i wycelowała w daniela, nim jeszcze przebrzmiały jej słowa. — Ja to zrobię.

Nie zdążył zareagować, a już nacisnęła spust i wystrzeliła;

— Nie żyje — powiedziała po prostu, spokojnym głosem, i podniosła wzrok na ojca. — Kit nie zrozumiał — rzekła, starając się go pocieszyć.

Ręka drżała mu lekko, gdy objął córkę ramieniem i mocno do siebie przycisnął. Przez chwilę trzymał ją w objęciach, po czym odetchnął głęboko i odezwał się z uśmiechem:

— Zawsze będziesz moją jedyną córeczką, prawda, Jofdanno? — W jego oczach malowała się wielka miłość.

— Zawsze — zapewniła dziewczynka.

W owym niecodziennym, wyjątkowym momencie byli sobie nadzwyczaj bliscy.

— Pomogłabyś mi oprawić tego daniela? — spytał Fletcher, wyjmując nóż z pochwy. — Nie ma sensu zostawiać go tutaj.

— Pewnie, że ci pomogę.

— A nie boisz się, że cię zemdle? Byłoby to w końcu zupełnie zrozumiałe.

— Nie. Powiesz mi, co mam robić.

Kiedy dotarli do miejsca postoju, Kit siedział na tylnym siedzeniu jeepa. Fletcher bez słowa ulokował oprawione zwierzę na dachu samochodu. Krótki rzut oka na poszarzałą twarz syna upewnił go, że chłopiec nadal jest wstrząśnięty tym co się wydarzyło.

W jakiś czas potem, gdy wyjechali już na szosę, Fletcher, spojrzawszy, we wsteczne lusterko, powiedział:

— Nic takiego się nie stało, Kit. Nie musisz ani się usprawiedliwiać, ani wstydzić swojego zachowania. Pierwszy raz znalazłeś się w takiej sytuacji. To zupełnie normalne, że przeżyłeś szok. Na następnym polowaniu będzie znacznie lepiej.

— Nigdy już nie chcę jechać na polowanie! — mruknął Kit.

— Tak to teraz odczuwasz — zgodził się wyrozumiale Fletcher. — Ale zmienisz zdanie.

— Nie, nigdy!

Fletcher nie dyskutował z nim dłużej i całą uwagę skupił na drodze. Jordanna dostrzegła, że wzrok ojca spochmurniał. Zerknęła przez ramię na brata.

— Zabrałam twój sztucer, Kit. Trzymaj!

Odwróciła się, żeby mu podać broń.

— Możesz go sobie wziąć, Jordanno. Nie będzie mi już potrzebny — powiedział i odwróciwszy głowę, wlepił wzrok w przesuwający się za szybą pejzaż.

— Ale to przecież prezent! — zaprotestowała. — Dostałeś go od taty. Nie możesz...

Ojciec położył dłoń na jej ramieniu. Umilkła i nieruchomym wzrokiem zaczęła się wpatrywać w drogę. Fletcher poklepał lekko ramię córki na znak, że jest z niej zadowolony.

1

Izabelowaty koń lekkim, swobodnym kłusem pokonywał górskie przestrzenie porośnięte trawą. Zimowa szata zmieniła jego złotawą sierść. Z nozdry wydobywał się ciepły, wilgotny oddech, tworząc dwa ulatujące spiralnie obłoczki pary. Gryzł podzwaniające w zębach wędzidło. Przytłumiony dźwięk ostróg mieszał się ze skrzypieniem siodła pod jeźdźcem.

Był to mężczyzna słusznego wzrostu, o stalowych mięśniach, choć można było odnieść mylne wrażenie, że jest nieco ociążały. Lekko przygarbiony, swobodnie siedział w siodle i, puściwszy luźno wodze, poddawał się rytmowi konnej jazdy. Czuł wibrowanie mięśni wierzchowca pod siodłem, a dłońmi, jakby od niechcenia trzymającymi cugle, wprawnie kontrolował każdy ruch kłusującego konia. Pod pozorami ospałości dawało się wyczuć napiętą uwagę.

Obcasy jego zakurzonych, brudnych butów były całkiem zdarte, sprane dżinsy — połatane na siedzeniu i kolanach, a i ostrogi dawno straciły połysk. Miał na sobie sięgającą poniżej bioder kurtkę z baraniej skóry i przetarte, wyświecone rękawice na dłoniach, którymi ścisnął wodze. Podniósł kołnierz kurtki, by osłonić się przed wiatrem wiejącym od gcr. JCowbojski kapelusz z szerokim rondem, zsunięty na tył głowy, częściowo

osłaniał gęste, kręcone włosy w kolorze mocno palonej kawy.

Godziny spędzone na słońcu nadały ostrość rysom jego twarzy. Nosił bujne, starannie przycięte włosy. Wokół brązowych oczu o nieco oschłym wyrazie słońce wyłobiło głębokie zmarszczki. Miał gęste, ciemne brwi. W męskie rysy tej twarzy wpisane były siła, niezłomny upór i hart ducha. Należał do gatunku ludzi, którym lepiej nie wchodzić w drogę. Jeśli sytuacja go do tego zmuszała, potrafił być bezlitosny, twardy i cyniczny.

Nagle jego przenikliwy wzrok wyłowił jakiś kształt majaczący niewyraźnie po prawej stronie, w odległości dziesięciu metrów. Nieznacznym ruchem dłoni skierował tam konia, zwalniając jego bieg do stępa. Wiosenne pędy górskich traw otarły się z szelestem o czarne pędny wierzchowca. Na skraju lasu gdzieniegdzie utrzymywały się jeszcze w cieniu płachty śniegu. Były to pozostałości ostatniej śnieżnej zawiei, która na początku tej wiosny nawiedziła Idaho.

Koń zatrzymał się sam, parszkając i potrzęsając łbem na widok leżącego tuż przed nim kształtu; Gdy uskoczył w bok, Brig dostrzegł zakrwawione szczątki cielaka.

— Cholera! — zaklął.

Który to już z kolei? Brig nie mógł nawet się doliczyć. Odwróciwszy wzrok, spojrzął ku płachtom śniegu: ta zamieć nadeszła w najbardziej niefortunnym momencie — w porze cielienia się krów. Mógłby się uważać za szczęściarza, gdyby przeżyło choćby tylko czterdzieści cielaków na sto. W normalnym, nie tak niepomyślnym roku, nawet i to by mu wystarczyło, żeby jako wybrnąć z kłopotów. Ale teraz istniało poważne ryzyko, że straci ranczo. Gdyby był ubezpieczony...

— Szlag by trafił, nie dałem przecież rady wybulić tyle, żeby wystarczyło na ubezpieczenie! — mruknął Brig, kładąc kres niewesołym rozważaniom.

Spiął konia ostrogami i oddalił się od padłego cielaka,

napoczętego już przez drapieżne zwierzęta. Zaniepokojony koń, parskając nerwowo, puścił się przed siebie galopem. Mógł tak przemierzyć niestrudzenie wiele mil. Brig zwolnił jednak jego bieg do lekkiego kłusa, ponieważ jadąc galopem nie mógłby się zorientować, jakie straty poniósł wśród inwentarza.

Znalazł jeszcze dwa inne cielaki. Szkielet drugiego został zawleczony przez jakiegoś padlinożercę aż pod las. Każde kolejne odkrycie powodowało, że w głowie Briga myśli znów zaczynały się kłębić w poszukiwaniu wyjścia z kłopotów. Zatrzymał konia, chcąc napić go w wezbranym od topniejących śniegów strumieniu, a jego wzrok powędrował w stronę gór. Gdyby się okazało, że cena na owce się utrzyma, i gdyby Jocko zdołał zachować swoje stado, Brig może zrekompensowałby przynajmniej część swoich strat. Wiedział jednak, że szanse są dość marne.

Spojrzał znów ku pastwiskom i pobliskiemu skalnemu pagórkowi, wznoszącemu się po prawej stronie: Nagle uwagę Briga przyciągnął jakiś ruch. U podnóża skały dostrzegł przesuające się duże zwierzę; Gdy uniosło łeb, zobaczył parę mocno zakrzywionych rogów.

— Muflon! — mruknął. — Ciekawe co on tu robi!

Koń potrząsnął łbem, jakby chciał odpowiedzieć na to pytanie, rzemienie cugli otarły się z chrzęstem o wędzidło. Muflon pomknął jak strzała ku skałom, ukazując Brigowi charakterystyczny biały zad. Z suchym stukotem racic wspinał się po skałach, szukając schronienia wśród grani, gdzie szybkość i pewność jego nóg dawała mu przewagę nad prześladowcami.

Brig obserwował płochliwe zwierzę, dopóki nie zniknęło mu z oczu, a potem przeprawił się przez górski strumień. Ten muflon o imponujących, wspaniale zakręconych ślimach mógł stanowić wymarzone trofeum myśliwskie. Ale Briga to nie interesowało. W ciągu roku zabijał najwyżej jednego czy dwa łosie, żeby mieć zapas

mięsa. Od czasu do czasu, dla urozmaicenia, starał się upolować jakiegoś jelenia, a dwa lata temu na ścianie jego rancza zawisło czarne futro baribala. Chęć zdobycia trofeum myśliwskiego nie wydawała się Brigowi wystarczającym powodem, żeby strzelać do muflona. Do statecznie często w swoim życiu zabijał i był świadkiem zabijania, żeby teraz jeszcze mogło go to pociągać.

Może to dziwne, ale już od wielu lat nie powracał myślami do tamtych czasów. To było zupełnie inne życie. Dzikie ostępy Idaho miały widocznie dar zacierania wspomnień. A może dlatego, że upłynęło już trzydzieści lat...

Od pewnej chwili koń biegł przed siebie nie kierowany ręką jeźdźca. Nisko zwieszająca się gałąź o mało nie strąciła Brigowi kapelusza. Ućnylił się w ostatniej chwili. Wstrzymał konia, żeby się rozejrzeć. Uśmiechnął się, unosząc jeden z ostro zakończonych wąsów. Już od dziesięciu lat nie robił nic innego, tylko przemierzał te przestrzenie w poszukiwaniu bydła. A przedtem... Minęło prawie trzydzieści lat...

Brig rozglądał się przez dobrą chwilę, zastanawiając się, w którą stronę ruszyć, po czym naciskiem kolana skierował konia w prawo, ku odległym o sto metrów zaroślom. Las był gęsty. Końskie kopyta bezszelestnie stapały po grubym dywanie sosnowych igieł. Brig przywarł do czarnej grzywy konia, by nisko zwieszające się gałęzie nie zrzuciły go z siodła. Gdy przebił się przez mroczny gąszcz i wjechał na niewielką polankę, zeskoczył z konia i poprowadził go ku wznoszącej się nie opodal stercie kamieni. Na jej widok koń zastrzygł uszami i parsknął, rozdyfnając chrapy.

W gęstwinie zarośli leżał przerdzewiały szkielet kadłuba, jedyna pozostałość po awionetce, która się w tym miejscu rozbiła. Tamtego lata Brig był dziewięcioletnim chłopcem. Teraz jego wzrok błędził wokół sterty kamieni, piętrzącej się po drugiej stronie polanki. To on je tam

przyniósł, by ukryć grób rodziców, którzy zginęli w tym wypadku. Sam ich pochował, nie chcąc, by ich ciała zostały rozszarpane przez zwierzęta. Posługując się grubą gałęzią, wyłobił w kamienistym gruncie dwa niezbyt głębokie groby, a następnie przykrył je kamieniami.

Brig uniósł oczy ku niebu. Przez szczeliny w gałęziach drzew, tworzących dach nad polanką, przenikało słońce, znacząc ziemię świątlistymi punktami. Owa zasłona z liści, nie mniej gęsta w tamtych czasach, ukryła po wypadku szczątki kadłuba przed wzrokiem pilotów samolotów ratowniczych. Małego chłopca nie sposób było dojrzeć z wysokości ośmiu tysięcy metrów — stanowił punkt niedostrzegalny.

Dopiero w tydzień po wypadku przeleciał nad tym miejscem pierwszy samolot. W ciągu następnych trzech dni pojawiło się jeszcze kilka i na tym się skończyło. Próbował sobie przypomnieć, jak to było, gdy jako wygłodzony mały chłopiec przez cały dzień podążał po śladach niedźwiedzia, odżywiając się tym samym, co on. Nie zdołał zapamiętać, jak udało mu się przeżyć, co jadł, ani w jaki sposób chronił się przed przenikliwym chłodem nocy spędzonych w górach.

Przeżył tak dwa miesiące, zupełnie sam, ucząc się praw przetrwania od najsroźszego z nauczycieli — dzikiej przyrody. Pewnego dnia trafił do obozowiska pasterza. Spędził z nim dwa tygodnie. Pasterz nie mógł jednak porzucić stada, by odprowadzić dziecko do najbliższych osiedli ludzkich. Podczas tych dwóch tygodni Brig nauczył się, jak doglądać stada¹ owiec i poznał proste reguły rządzące życiem pasterza. Teraz, w tamtym obozowisku, stadem zajmował się Jocko, który przejął je po wuju.

Potem przybył właściciel rancza, który przywiózł pasterzowi prowiant, i zabrał chłopca ze sobą. Przekazał

władzom dokładne wskazówki, które umożliwiły odnalezienie miejsca wypadku.

Brig przeniósł wzrok na przerdzewiałą kabinę samolotu, do połowy zarośniętą zieliskiem. Wyjęto z niej wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość: wszelkie przyrządy, a zwłaszcza sprzęt radiowy. Ciała jego rodziców nie leżały już w tych grobach, które dla nich wydrążył. Po ekshumacji zostały przewiezione na Wschodnie Wybrzeże, gdzie urządzono im pogrzeb. Brig zamieszkał ze swoim dziadkiem Sangerem. Nigdy jednak nie mógł zapomnieć tego miejsca, tej ziemi wolnej i dzikiej.

Gdy wreszcie, po czternastu latach, przybył tam jako dwudziestoczteroletni mężczyzna, wydawało mu się, że wraca do domu. Kupił skrawek ziemi, na którym do tej pory wznosi się jego ranczo, i wydzierżawił od rządu pastwisko. Dwoił się i, troił, żeby to wszystko spłacić. Nie było mu łatwo. Najczęściej ledwie wiązał koniec z końcem. Potem nadeszły dwa kolejne złe lata i w końcu — ta wiosenna zawieja śnieżna, która doprowadziła do zagłady stada. Jeśli nawet w przeszłości los mu nie sprzyjał, to i tak było to zupełnie nieporównywalne z tym, czemu teraz musiał stawić czoło.

Brig wrócił do konia i wskoczył na siodło. Stał jeszcze przez chwilę na polance, a potem wrócił przez las ku pastwiskom. Dno górskiej doliny porastały dzikie kwiaty, kołyszące się na lekkim wietrze. Zanim jednak wszystko straci, może spróbowałby jeszcze, zapomniawszy o dumie, poprosić o pożyczkę Maxa Sangera?

Tuzin krów odwróciło łby ku nadjeżdżającemu Brigowi. Nie zwlekając, zapędził je w stronę gospodarskich zabudowań rancza. Może podczas wiosennego spędu, gdy upora się już ze znakowaniem i trzebieniem bydła, okaże się, że sprawy nie idą tak źle, jak mu się dziś wydaje. Wątpił w to jednak. Przygnębiony ruszył w dalszą drogę.

Brig musiał przebyć daleką trasę, by dostać się z rancza do miasta. Wiodący tam szlak był tak wyboisty, że nie zasługiwał na miano drogi. Ledwie żywy ze zmęczenia i spragniony, zaparkował furgonetkę naprzeciw baru. Przez chwilę zatrzymał wzrok na walizce leżącej obok na siedzeniu i zacisnął wargi.

Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę i wyskoczył z samochodu. Obrzucił wzrokiem turystów wałęsających się bez celu po trotuarach wśród mieszkańców Salmon. Zanim wszedł do baru, strzepnął najpierw kurz z kapelusza i ubrania. Były czyste, gdy tego ranka wybierał się w drogę.

Ostre promienie czerwcowego słońca raziły oczy i gdy Brig wszedł do baru, w pierwszej chwili wewnątrz wydało mu się ciemne. Zatrzymał się na moment, by wzrok przywykł do mroku. Ze stojącej w rogu szafy grającej płynęła muzyka country. Piosenka opowiadała historię człowieka, który każdego ranka całował anioła... Stoły i krzesła, rozstawione w nieładzie po całej sali, nie były zajęte. Dwóch mężczyzn z łokciami wspartymi o dębowy kontuar siedziało na taboretach przy barze. Spojrzeli na niego przeciągle spode łba i przerwali rozmowę.

Brig wspiął się na taboret na drugim końcu baru i oparł but o mosiężną podpórkę. Za kontuarem nikogo nie było, tylko z zaplecza dobiegały jakieś dźwięki. Odsunawszy kapelusz na tył głowy, wyjął papierosa i potarł zapałkę. Choć ani wiatru, ani przeciągu tutaj nie było, z przyzwyczajenia osłonił płomień dłonią.

Pomiędzy stojącymi na półkach butelkami znajdował się zegar elektroniczny, na którym co kwadrans pojawiały się ogłoszenia. Brig zapoznał się więc z reklamą banku i miejscowego przedsiębiorstwa pogrzebowego. W chwili gdy pojawił się anons towarzystwa ubezpieczeniowego, z zaplecza wynurzyła się kobieta, niosąca kilka butelek alkoholu.

Miała tlenione włosy o miedzianym odcieniu. Gruba czarna kreska podkreślała powieki pokryte niebieskim cieniem, a obfita warstwa tuszu zlepiła rzęsy. Przesadny makijaż zaostrzał rysy jej twarzy, nie mógł jednak ukryć ani delikatnego konturu warg, umalowanych jaskrawoczerwoną szminką, ani pocziwego wyrazu niebieskich oczu, ani nawet... otaczających je zmarszczek. Miała krągłe, pulchne kształty; głęboko rozpięła bluzkę, by odsłonić bujny biust. Czarna, wąska spódnica opinała biodra niczym druga skóra, wystawiając solidność szwów na ryzykowną próbę. Wyglądała w tym stroju nadzwyczaj ponętnie i wyzywająco.

Brig poczuł w okolicy krzyża nagłą falę gorąca. Wstrzeźliwość, wymuszona nie kończącymi się wiosennymi pracami na ranczo, i wspomnienie łóżkowych wyczynów dziewczyny wzbudziły w nim gwałtowne pożądanie.

Nie zauważyła go, zajęta krzątaniem, zwłaszcza że siedział w ciemnym kącie baru.

— Witaj, Trudie! — rzucił Brig, by przyciągnąć jej uwagę.

Zaskoczona dziewczyna odwróciła się błyskawicznie i, mrużąc oczy, wbiła wzrok w mroczny kąt. Gdy go rozpoznała, jej oczy rozbłyły radością. Szybko ją jednak ukryła pod maską obojętności.

— No, no! Stary wilk-samotnik ruszył się wreszcie ze swoich gór — rzekła, szybko kończąc ustawianie na półce butelek z alkoholem. — A już myślałam, że porzucisz mnie dla innej.

— Miałbym porzucić moją najdroższą dziewczynę? Nigdy, Trudie!

— Twoją najdroższą dziewczynę? No nie! — Zaru-mieniła się z radości. — Chcesz czegoś, Brig?

— Piwa.

— Z pianą?

Skinał głową. Kiedy nalewała piwo, na powierzchni

bladożłotego płynu utworzyła się czapa musującej pianki. Brig wypił jednym haustem i wierzchem dłoni otarł wąsy.

— Jak tam buda, dobrze prosperuje?

— Nieźle. Ale to dlatego, że turyści zjechali latem do miasta, żeby sobie popływać na tratwach po „Rzece bez powrotu”. Domyślam się, że przyjechałeś po prowiant. To jest twój ostatni przystanek przed powrotem na ranczo?

— To mój pierwszy przystanek. Tydzień temu wysłałem już Tandy'ego Barnesa, żeby zrobił zakupy na cały miesiąc.

— Co cię wobec tego sprowadza do miasta?

— Jadę do Idaho Falls. Mam stamtąd samolot do Nowego Jorku.

Zakręcił kółko szklanką, na jej dnie zawirowała resztką piwa. Obserwował, jak pianka znika powoli. Ton jego głosu był pozornie obojętny, ale wzrok spochmurniał.

— Do Nowego Jorku? Po co? — spytała z niedowierzaniem i zaśmiała się niepewnie. — Większości okolicznych ranczerów nie stać nawet na zapłacenie za szklankę piwa, a ty sobie urządzasz wakacje.

— Mnie też na to nie stać. I nie jadę na wakacje, tylko w interesach. — Cynicznie wykrzywił wargi. — Muszę odwiedzić bogatego krewniaka. Może uda mi się coś z niego wydusić.

— Bogatego krewniaka?

— Uhm.

Wypił resztkę piwa i odstawił szklankę. Sięgnął po dopalającego się w popielniczce papierosa, po czym, z papierosem w wargach, włożył rękę do kieszeni.

— Ile jestem ci winien za piwo?

- Na koszt firmy. — Odsunęła jego dłoń z pieniędzmi. — Zawsze dostaniesz wszystko na koszt firmy, dobrze o tym wiesz, Brig — dodała znacznie poważniej.

— Dzięki. — Lekki uśmiech złagodził twardą linię jego warg.

Brig wiedział, co chciała mu przez to powiedzieć* Najmniejsze miasto miało zawsze swój przydział miejscowych pijaków i jedną czy dwie dziwki. Trudie należała do tej drugiej kategorii, ale Brig już od dziesięciu lat nie myślał o niej w ten sposób. Nigdy nie musiał jej płacić za tego rodzaju usługi, nawet tego dnia, gdy poszła z nim po raz pierwszy. Była chętna i pełna temperamentu, dorabiała sobie zatem najbardziej intratną dorywczą pracą, jaką udało jej się znaleźć. Nie była zawodową prostytutką. On zresztą gardził usługami tego rodzaju dziewcząt.

— Wypij jeszcze jedno piwo.

Podążyła mu, zanim miał czas odmówić. Wzruszywszy lekko ramionami, usiadł znów na taborecie. Trudie odwróciła się, żeby sięgnąć po butelki ukryte za barem.

— Parszywa ta zima, wszystkim było ciężko. — Wyciągnęła spod baru drabinkę i wzięła dwie butelki, jedną z nich wsuwając pod pachę. — Jake Phelps wpadł tu w ubiegłym miesiącu i mówił, że już w marcu brakowało mu siana.

— Siana miałem pod dostatkiem. Ta majowa zawieja zaskoczyła mnie akurat w porze cielienia się krów. — Brig pił drugie piwo powoli, bo wypijając pierwsze jednym haustem, zaspokoił już pragnienie. — Straciłem dwie trzecie pogłowia tegorocznych cieląt.

— No nie, Brig!

— Tak jak sama powiedziałaś: wszystkim było ciężko.

Zgniółł papierosa w popielniczce i przyglądał się, jak Trudie wspina się na drabinkę i opiera kolano o bar, żeby sięgnąć do półki, znajdującej się wysoko na ścianie, Opięta czarna spódnica uniosła się do połowy ud. Nie mógł oderwać wzroku od krągłego tyłeczka dziewczyny i jej kształtnych nóg. Znów ogarnęła go fala pożądania.

Nagle zdał sobie sprawę, że Trudie przygląda mu się od pewnego czasu. Wyzywająco spojrzął jej w oczy.

Wydawało mu się, że dostrzegł w nich przelotny błysk. Zauważył również, że wstrzymała oddech, a jej uniesione piersi uwydatniły się pod ciasną bluzką. Zeszła po stopniach drabinki. Znów spojrzała mu w oczy.

— Musisz lecieć do Nowego Jorku już teraz? — spytała z westchnieniem.

— Nie widzę powodu, żeby to odkładać.

— Nawet do jutra?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zwróciła się do dwóch mężczyzn siedzących na drugim końcu baru:

— Coś wam jeszcze podać, chłopaki?

Unieśli głowy znad papierowej serwetki, na której gryzmoлили jakieś cyfry. Jeden z nich potrząsnął głową, a drugi powiedział:

— Nie.

— Idę na zaplecze po towar. Jakby ktoś przyszedł, to zawołajcie mnie, dobra?

— O.K.

Potem, rzuciwszy Brigowi znaczące spojrzenie, spytała:

— Pomógłbyś mi przynieść baryłkę piwa?

Brig bez słowa rozprostował swą wysoką postać i precyzyjnie się za kontuar. Trudie weszła na zaplecze pierwsza, a następnie zatrzymała się, by go przepuścić i zamknąć za nim drzwi. Ustawiła się w taki sposób, żeby otarł się o nią przechodząc obok. Poczul drżenie jej ciała i zapach taniej wody kolońskiej. Kiedy te nie wymagające żadnych słów sygnały dotarły do niego, usłyszał, że i jego serce zaczyna głucho łomotać. Po długiej zimie, spędzonej w samotności, nietrudno było wzbudzić w nim pożądanie.

— Baryłka jest tam. — Wskazała ciemny kąt po długiej stronie pomieszczenia, po czym ruszyła w tamtą stronę. Powstrzymał ją, chwyciwszy za łokcie.

— Do diabła z baryłką, Trudie!

Choć wiedział doskonale, że nie będzie mu się

opierać, dał jej chwilę czasu, by swobodnie mogła dokonać wyboru. Potem odwrócił ją ku sobie. Zapomniał już, że jest taka maleńka. Nachylił nisko głowę, żeby dotknąć warg, rozchylonych w oczekiwaniu na jego pocałunek.

Krew uderzyła mu do głowy, kiedy jej pełne kształty przywarły do jego ciała. Czuł, jak jędrne, krągłe piersi przylgnęły do niego i wyczuł przez koszulę dwa twarde, sterczące guziczki. Przesunęła językiem po jego wargach, a potem wsunęła mu go namiętnie do ust. W tej agresywnej pieśszczocie ujawniała się cała impulsywność jej dzikiej natury. Brig nie pozwolił, by przejęła inicjatywę. Rozgniewał pocałunkami usta dziewczyny, dopóki ból karku nie zmusił go do podniesienia głowy. Zadyszana Trudie drżała od stóp do głów. Rozpięta mu koszulę i przylgnęła do gołej skóry.

— Nie odjeżdżaj dzisiaj, Brig — wyszeptła z niepokojeni — Wystarczy przecież, jeżeli pojedziesz jutro. Ja za dwie godziny tu kończę.

Obsypywała jego pierś wilgotnymi pocałunkami, które parzyły już i tak rozpaloną skórę. Choć na z plecachu było chłodno, Brig czuł, jak pot spływa mu po plecach. Jego dłonie wędrowały gorączkowo od jej ramion do pasa, aż dotarły do bioder. Przycisnął je do swych ud. Pożądanie stało się dla niego taką torturą, że pragnął już tylko spełnienia. Lada chwila mógł stracić nad sobą kontrolę. Trudie uniosła głowę. Spojrzył na jej miękkie wargi i znów, z przeciągłym westchnieniem, zaczął je całować.

— Proszę cię, Brig, zostań! — mówiła błagalnym tonem, poddając się jego zaborczym pocałunkom. - Ja już tak dawno...

-r Akurat ci uwierzę — mruknął sceptycznie, chcąc, by zamilkła. Mało go w tej chwili obchodzili ci wszyscy, których miała przed nim.

— Nie, Brig, z tobą to zupełnie co innego — za^

protestowała gorąco. — To jest coś nadzwyczajnego.
— To... sam zresztą wiesz...

— Tak, tak, wiem — przytaknął niecierpliwie.

Resztki jej oporu, zresztą tylko symbolicznego, stopniały teraz pod wpływem pocałunków.

.. — Kochaj się ze mną, Brig... Teraz, już — poprosiła i szarpnęła niezręcznie za koszulę, odrywając ostatnie guziki.

Zbyt obcisłe ubranie Trudie stanowiło przeszkodę w spełnieniu pragnień Briga. W chwili gdy wreszcie udało mu się podciągnąć spódnicę dziewczyny powyżej bioder, z sali dobiegł głos;

— Trudie, masz klienta!

Zesztywniała w jego ramionach, lecz Brig zażądał:

— Zostań!

— Nie. — Próbowała się wyswobodzić ze stalowego uścisku. — Zaraz kogoś po mnie przyślą. Proszę cię, Brig, pozwól mi tam iść!

Cedząc przez zęby soczyste przekleństwa, wypuścił ją z objęć. Walczył z pierwotnymi żywiołami, które, wymknąwszy się spod kontroli, niełatwo dają się okiełznać. Trudie gorączkowo poprawiła na sobie ubranie i nerwowym ruchem dłoni przygładziła włosy. Rzuciwszy mu przeproszające spojrzenie, pośpiesznie skierowała się ku drzwiom.

Nadal odczuwał takie podniecenie, że nie mógł wrócić do baru; przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Znów zaklął, ocierając pot ciekący mu po brodzie. Z wewnętrznej części dłoni wytarł chustką do nosa dużą, czerwoną plamę ze szminki.

Odczekał jeszcze kilka minut, odszukał baryłkę piwa i, zarzuciwszy ją na ramię, stanął po chwili w progu. Trudie spojrzała na niego z obawą i zachwytem.

—, Gdzie mam ją postawić?

— Na razie odstaw ją tam. — Wskazała pusty kąt pod kontuarem, tuż obok kurków do nalewania piwa.

Brig postawił baryłkę na podłodze, okrążył bar i zasiadł ponownie nad swoją szklanką, jeszcze do połowy napełnioną.

— To piwo nie nadaje się już do picia. Należę ci świeżego.

— Daj spokój.

Piwo nie mogło ugasić tego pragnienia, którego doznawał Brig. Skierował się w stronę wyjścia. Trudie wypadła zza kontuaru, żeby go zatrzymać.

— Dokąd idziesz?

— Przejdę się.

Zdawał sobie sprawę, że jego głos brzmi oschle i nieprzyjemnie. Ale nic nie mógł na to poradzić. Ciągłe jeszcze w całym ciele czuł niemoc i znużenie. Był rozdrażniony jak niedźwiedź budzący się ze snu zimowego.

— Wrócisz niedługo?

W jego nieprzeniknionej twarzy próbowała doszukać się odpowiedzi na to pytanie.

— Nie wiem.

W ogóle nie powinien był się tu zatrzymywać. Mógłby już przejechać sześćdziesiąt kilometrów w kierunku Idaho Falls i., Nowego Jorku, gdzie miało się rozstrzygnąć, czy czternaście lat jego pracy zostanie uratowane, czy przypadnie. Ni stąd, ni zowąd potrzeby znacznie bardziej pałace przyćmiły główny cel jego podróży.

Trudie ujęła szorstką dłoń Briga i wsunęła do niej jakiś twardy przedmiot.

— Daj mi spokój, Trudie! — rzucił ostro, sądząc, że ona już teraz, w tej chwili, chce, żeby znów z nią był,

— To klucz do mojego pokoju — wyjaśniła. Brig w pierwszej chwili myślał, że to jej paznokcie. — Jedyne, jaki mam. Możesz tam na mnie poczekać? Niedługo skończę.

Ścisnął w garści niewielki przedmiot. Kiwnął głową

i ruszył w stronę wyjścia; tym razem Trudie już go nie zatrzymywała. Przed barem przystanął i odetchnął głęboko. Powietrze było rześkie i klarowne. Zastanawiał się, czy wziął od Trudie klucz dlatego, że naprawdę pragnął z nią być, czy po to, żeby jeszcze trochę odwlec podróż do Nowego Jorku. Po chwili przyznał z westchnieniem, że skłoniły go do tego obie przyczyny.

Brig wyciągnął rękę, by do popielniczki, stojącej na nocnej szafce, strzepnąć popiół z papierosa. Kosmyki jasnych włosów łaskotały go w brodę. Odsunął je delikatnie i ułożył na głowie spoczywającej na jego piersi. Potem znów zaczął czule gładzić nagie ciało Trudie. Jej palce błędziły po jego płaskim brzuchu, poruszając się wzdłuż czarnego, kędzierzawego szlaku, od pępka aż do puszystego obłoku przesłaniającego jego pierś. Przyjrzała się namiętnie, bladej bliźnie, przecinającej jego lewe ramię.

— Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś, Brig? — spytała z zadumą, nie przestając go ani na chwilę pieścić swą pulchną dłońią.

Ach, te baby! — pomyślał z niechęcią. Dlaczego zawsze potem muszą gadać? Sto razy bardziej wolałby spokojnie palić papierosa niż słuchać jej paplaniny. Powściągnął jednak westchnienie irytacji i, otrząsnąwszy się z odrętwienia, odrzekł:

— Widocznie dlatego, że sam sobie w zupełności wystarczam.

Zaciągnął się papierosem i wypuścił nosem dwie smugi dymu.

— Nigdy się nie zakochałeś?

— Chyba nie...

Dawno już zauważył, że kobieta bardziej go pociąga, zanim z nim pójdzie do łóżka niż potem.

— Mówiłeś mi któregoś dnia, że byłeś najemnikiem.

To prawda? — spytał z ciekawością, chcąc zmienić temat.

Jego twarz spochmurniała. Czyżby rzeczywiście jej o tym mówił? Rzadko opowiadał o tamtych czasach. Chciał w pierwszej chwili zaprzeczyć, ale ponieważ nie widział powodu, żeby się wstydzić tego, co robił, wobec tego przyznał:

— Tak, to prawda.

— Dlaczego?

— Dlaczego to prawda?

Unióśł głowę z poduszki i uśmiechnął się do bujnych złotych kędziorów leżących tuż przy jego twarzy.

— Nie, głuptasie! — Trudie roześmiała się i, uniósłszy głowę, spojrzała na niego. Niewiele makijażu zostało już na jej twarzy: pocałunki Briga i pościel starły go niemal całkowicie. Sprawiała teraz wrażenie starszej, innymi słowy — wyglądała na swoje lata, ale ta naturalność dodawała jej uroku. — Dlaczego zostałeś najemnikiem?

— Bo ja wiem? Chyba sobie wtedy wyobrażałem, że walka jest moim przeznaczeniem. Wiesz, miałem się za kogoś w rodzaju „Psa wojny”.

Zbyt dużo czasu upłynęło, by mógł sobie jeszcze przypomnieć, co nim wtedy kierowało. Było, minęło, teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

— Ale na pewno twoja rodzina... — zaczęła Trudie.

— Moi rodzice nie żyją. — Brig nie opowiadał jej o okolicznościach ich śmierci, ani o tym, jak potem udało mu się przeżyć. — Wychowywał mnie dziadek. A w każdym razie próbował! Nigdy się ze sobą nie zgadzaliśmy. Byłem zbuntowanym dzikusiem, a on miał twardą rękę. Zanim skończyłem piętnaście lat, zdążyłem już siedem razy uciec z domu. A zaciągnąłem się, jak miałem siedemnaście. Objechałem prawie całą Azję Południowo-Wschodnią — Wietnam, Kambodżę, Laos... Kiedy wróciłem, nic się nie zmieniło. Dziadek nadal żył w świecie, który czcił dwóch bogów: biznes i pieniądze,

który sądził człowieka wedle wysokości konta bankowego i wpływowych znajomych — ale nigdy nie pytał, jak zbili majątek i jakimi są ludźmi.

Brig rozgniół papierosa w popielniczce. Jeszcze przez chwilę unosiło się w powietrzu pasemko dymu.

— Ale dlaczego zostałeś najemnikiem? — dopytywała nieustępliwie i uniosła się na łokciu, żeby móc go lepiej obserwować.

Nie mogła niczego wyczytać z jego nieprzeniknionej twarzy. Końcem stwardniałego palca przesunął lekko w poprzek jej szyi, wykonując gest podcinania gardła.

— Ponieważ umiałem zabijać, szybko i po cichu. Potrafiłem się obchodzić prawie z każdym typem broni, którą wtedy produkowano, i umiałem nauczyć innych, jak się nią posługiwać.

Brig zamilkł nagle, dostrzegłszy w oczach Trudie wyraz strachu i niechęci. Żałował teraz, że o tym mówił.

— Była to jedyna rzecz, którą potrafiłem robić, kiedy odchodziłem z wojska. To robiłem najlepiej. Kiedy zaproponowano mi górę forsy, zgodziłem się.

— Właśnie dlatego to zrobiłeś? Dla pieniędzy?

— Wtedy myślałem, że właśnie dlatego — przyznał. —. Chociaż chodziło mi chyba o to, żeby dziadka doprowadzić do furii. Aż zsiniał, jak mu powiedziałem, co mam zamiar zrobić. Według niego najemnicy byli wyrzutkami społeczeństwa. Nie obchodziło go, że ludzie, którzy dla niego pracują, nie są więcej warcii. Jeździli po całym kraju; zakładali wszędzie supermarkety należące do jego sieci, a w rezultacie — puszczali z torbami miejscowych sklepikarzy. Sam korzystał z usług niezgorzszych najemników, ale nie mógł znieść myśli, że jego wnuk mógłby się stać jednym z nich. Zbił fortunę, doprowadzając do ruiny wielu dzielnych ludzi.

Jego głos stwardniał na wspomnienie tamtych dawnych wydarzeń, które sprawiły, że był dziś tak zgorzkniały. Podczas gdy jedni podziwiali dziadka, twórcę sieci

supermarketów Sangera, za spryt i talent do interesów, inni zaś zazdrościli mu bogactwa. Brig — Brigham Sanger — zawsze odczuwał wobec tego człowieka, który dał mu nazwisko, wyłącznie niechęć.

— Brig? — Głos Trudie zabrzmiał niepewnie. Trochę zatrwożył ją wyraz chłodu na jego spochmurniałej twarzy.

Gdy jednak Brig znów na nią spojrzął, jego wzrok złagodniał i coś, co można by od biedy wziąć za uśmiech, uniosło kąciki jego ocienionych wąsami ust.

— Chyba właśnie z powodu dziadka zawsze walczyłem po stronie przegranych. Stając w obronie słabszych, próbowałem wyrównać szanse.

— A gdzie... gdzie pracowałeś?

Niemal na przekór sobie czuła się zafascynowana jego przeszłością, która wydawała się jej i odpychająca, i zarazem pociągająca.

— W Ameryce Środkowej, Afryce, Ameryce Południowej... Trochę sobie pojeździłem po świecie. Mówiłem ci zresztą, że nigdy nie zdradzałem specjalnych skłonności, żeby się przyłączać do zwycięzców, no więc i te wojny nie mogły nigdy trwać zbyt długo. Brakowało pieniędzy, co oznaczało, że mi nie zapłacą i że nie będzie już forsy na sfinansowanie akcji wojskowych, na broń, a nawet na jedzenie.

Brig wolał nie wdawać się w takie szczegóły, jak śmierć kolegów czy zepsuta żywność, którą pochłaniali łapczywie, nie mogąc liczyć na nic innego, albo noce spędzone na gołej ziemi, gdzie nic ich nie chroniło przed uciążliwościami zabójczego klimatu. Nie opowiedział jej również o żołnierzach, których on sam zastrzelił.

— Dlaczego z tym skończyłeś? Byłeś chyba wtedy bardzo młody.

Nie ukrywała już swojej ciekawości. Usadowiła się wygodnie, czekając na odpowiedź. Przykryła biodra kołdrą, co uwydatniło jej duże, ciężkie piersi o różowych

brodawkach, kołyszące się przy każdym ruchu. Na ten widok Brig zapomniał, co jej chciał odpowiedzieć, i wyciągnawszy dłoń, zaczął pieścić jej pierś.

— Pewnego dnia — powiedział po chwili — wpadliśmy w zasadzkę. Mój oddział został okrążony. Pamiętam tylko, że poczułem, jak kula przebiła mi ramię, krzyknąłem, żeby wszyscy się ukryli, a potem zapadła ciemność. Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że pochyła się nade mną lekarz o wyglądzie rzeźnika. W rękach miał skalpel i szczypce i właśnie zabierał się do wyjmowania kuli. Leżałem na ziemi, na kawałku płótna. Wszędzie było pełno much. Lekarz wetknął mi pomiędzy zęby knebel ze szmaty i kazał mocno zagryźć: w tym prowizorycznym szpitalu nie było innych środków znieczulających. Kiedy zaczął mnie operować, zrozumiałem, że nigdy mi nie zależało ani na ich parszywej forsie, ani nie obchodziła mnie ich zaszracona wojna. Zanim zapadłem w śpiączkę, przysiągłem sobie, że jeżeli wyjdę z tego cało, to rzucę wszystko w diabły, Moje życie było więcej warte niż nie wiem jakie pieniądze, które kiedykolwiek mogliby mi dać.

— No, i co?

-- Czy przeżyłem? Nie, umarłem — zażartował Brig.

— Chciałam spytać, czy potem wyjechałeś — wyjaśniła cierpliwie Trudie.

— Tak. Jak tylko mogłem podnieść się o własnych siłach, od razu zviałem do Stanów i wylądowałem w końcu tutaj. Koniec opowieści.

Wziął ją znów w ramiona i zaczął z niej ściągać kołdrę. Ale Trudie nie zaspokoiła jeszcze swojej ciekawości, zasłaniając się więc ramieniem, nie pozwoliła mu przysunąć się bliżej..

— Czy po powrocie zobaczyłeś się z dziadkiem?

— Nie, dostał zawału i został pochowany na miesiąc przed moim powrotem.

Chwycił ramię, które wsparła na jego piersi, usiłując

je od siebie odsunąć, i uniósłszy do ust jej dłoń, pocałował najpierw końce palców, a potem zagłębienie jej dłoni. Nie uszło uwagi Briga ciche westchnienie podniecenia, które starała się przed nim ukryć.

— A jego przedsiębiorstwo? — Pozwoliła, by ją do siebie przyciągnął. — Co się stało z jego pieniędzmi?

— Zostawił wszystko innemu wnukowi, mojemu kuzynowi.

Nie było to całkowicie zgodne z prawdą, ale Briga znużyły już pytania. A zresztą, to przecież nie jej sprawa.

— Temu, z którym chcesz się zobaczyć w Nowym Jorku? — spytała nieustępliwie.

— Właśnie jemu.

Brig odwrócił ją na plecy i zaczął całować. Był to najskuteczniejszy sposób, by położyć kres nie kończącym się pytaniom. Gdy udało mu się rozchylić jej wargi, poczuł, że opór dziewczyny topnieje. Ujął dłonią jej pierś, drażniąc ją lekko końcem kciuka, dopóki nie stwardniała. Kolanem utorował sobie drogę pomiędzy jej nogami. Gdy jego usta przesuwają się od jej policzka do szyi, Trudie mruknęła mu do ucha:

— Straszny z ciebie drań, Brigu McCord!

Brig cicho parsknął śmiechem. Wiedział, że pod tą obelgą kryje się nieśmiała prośba, by ją kochał.

2

Wszechobecny zgiełk. Brig nie pamiętał już hałasu wielkiego miasta. Ponad ruchliwymi ulicami unosił się nieustanny huk, rozdierany co chwila klaksonami samochodów i gwizdami przechodniów, usiłujących zatrzymać taksówkę. W uszach Briga rozbrzmiewał gwar głosów o najrozmaitszych akcentach, nierzadko w obcych językach. Kilometry asfaltu i niezliczone drapacze chmur piekły się w ostrych promieniach słońca. Brig, przyzwyczajony do rześkiego górskiego powietrza, dusił się w tym nieznośnym upale. W gęstym od spalin powietrzu unosił się odór benzyny. Nawet zapach pieczonych kiełbasek i hot-dogów sprzedawanych na rogu ulicy nie był zbyt zachęcający.

Brig czekał, nachyliwszy się do opuszczonej szyby taksówki. Szofer ociągał się z wydawaniem reszty, ślamazarnie przetrząsając kieszenie i niechętnie wyciągając wyszukane z trudem drobniaki. Stara sztuczka, obliczona na wymuszenie jak najwyższego napiwku poprzez doprowadzenie klienta do kresu cierpliwości.

— To swój czas tracisz, bracie — zauważył oschle Brig. — Ja mam przed sobą cały dzień.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się ostatni banknot i taksówkarz wręczył Brigowi pieniądze.

Chwilę potem Brig, stojąc na chodniku, uniósł głowę i spojrzał na wznoszący się tuż przed nim potężny wieżowiec. Siedziba spółki Sanger Corporation zajmowała całe dwudzieste trzecie piętro.

— Oj, tak, tak, kowboju, wielgachne domiska stawiają w tym Nowym Jorku! — zauważył jakiś przechodzień w przypływie filozoficznej zadumy.

Młody człowiek, który rzucił ten dowcip, oraz towarzyszący mu chłopiec parsknęli śmiechem. Dopiero wtedy Brig sobie uprzytomnił, że charakterystyczny strój, tak powszedni w jego stronach, tutaj przyciąga tylko zdziwione spojrzenia.

Wszedł do wieżowca i skierował się w stronę windy. Drzwi otworzyły się automatycznie, rozległ się dźwięk dzwonka i zapłonęła strzałka wskazująca, że windą gotowa jest pojechać w górę. Brig wszedł do środka i nacisnął guzik oznaczony numerem 23. Natychmiast dołączyło do niego tyle osób, że musiał zdjąć kapelusz, aby mogli się zmieścić. Ciemnowłosa dziewczyna zerknęła na niego z zainteresowaniem. Oceniał, że nie ina jeszcze dwudziestu lat. To czyste wariactwo, ale teraz wszystkie dziewczyny wydawały mu się młode! A przecież pamiętał jeszcze czasy, kiedy dwudziestoletnia dziewczyna była dla niego za stara. „Przybywa ci lat, bracie” — pomyślał z krzywym uśmieszkiem pod ciemnym, bujnym wąsem.

— Przyjechał pan z Teksasu? — spytała.

W spojrzeniu, które mu rzuciła, dopatrzył się czegoś więcej niż tylko chęci, by dowiedzieć się, z jakiego stanu pochodzi. Nie była wyższa od Trudie i czubek jej głowy sięgał zaledwie jego ramienia.

— Nie, z Idaho.

— Z Idaho? — powtórzyła.

Widząc jej zdziwiony wzrok odgadł, że nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie to jest. Ludzie z Nowego Jorku zapomnieli o tym, że w ich kraju jest jeszcze

czterdzieści dziewięć innych stanów! Gdyby pierwszego napotkanego przechodnia spytać, co to jest Idaho, pewnie przyszyłoby mu do głowy, że to gatunek ziemniaka!

Tymczasem winda stanęła i drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

— Przepraszam, to moje piętro. — Wychodząc z windy, Brig potracił dziewczynę, zaskoczoną jego grubiaństwem.

Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, ponownie założył kapelusz. Na szklanych drzwiach, wypisany złotymi i czarnymi literami, widniał napis: Sieć supermarketów Sangera, a niżej: siedziba spółki. Na ten widok Brig poczuł, że robi mu się niedobrze. Doznał tego uczucia po raz pierwszy od czasu swych wypraw wojennych. Nagły skurcz mięśni zacisnął mu szczęki, ale już po chwili spłynął na niego niezwykle spokoj.

Popchnął drzwi i lekkim, pewnym krokiem wszedł do przestronnej poczekalni. Za biurkiem siedziała bardzo ładna i elegancka czarnoskóra kobieta. Miała inteligentne brązowe oczy i sprawiała wrażenie bystrej, ale uprzejmy uśmiech, którym go powitała, wynikał wyłącznie z urzędowej kurtuazji.

— W czym mogę panu pomóc? — Głos miała nieco ochrypły, ale miły, o przyjemnym brzmieniu.

Stanąwszy naprzeciw biurka, Brig rozprostował swą wysoką sylwetkę i znów zdjął kapelusz.

— Do Maxa Sangera — warknął, nie siląc się na uprzejmość.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i z wyrazem wahania na twarzy uniosła brew.

— Do prezesa spółki?

— Zgadza się, do samego prezesa.

Spojrzał na nią lodowatym, gniewnym wzrokiem. Było oczywiste, że nie jest jednym z tych, którzy muszą prosić o spotkanie z prezesem.

— Czy jest pan umówiony?

--Nie.

— Przykro mi, ale pan Sanger jest bardzo zajęty i przyjmuje tylko osoby wcześniej z nim umówione. Jeśli pan sobie życzy, mogę pana skontaktować z jego sekretarką, która pana poinformuje, kiedy prezes będzie dysponował wolnym czasem, żeby mógł pana przyjąć.

Brig, gładko przełknąwszy tę odprawę, postukał rondem kapelusza w blat biurka i zimno się uśmiechnął.

— Proszę zadzwonić do Maxa i powiedzieć mu, że jest tu Brig McCord. On mnie przyjmie.

Nie czekając na odpowiedź, Brig odwrócił się plecami do biurka i przeszedł przez rozległą, ultranowoczesną salę recepcyjną, wypełnioną ozdobnymi roślinami i meblami ze szkła i stali. Zatrzymał się przy oknie wychodzącym na Manhattan i, spojrzawszy na północ, dostrzegł w oddali plamę zieleni: Central Park.,

Z ręką w kieszeni spodni stał na szeroko rozstawionych nogach i nerwowo bębnił kapeluszem o udo. Usłyszał, że recepcjonistka podnosi słuchawkę, a w parę sekund później rozmawia z kimś głosem na tyle przytłumionym, żeby Brig nie mógł usłyszeć, co mówi.

— Panie McCord?

Słyszając swoje nazwisko, Brig obejrzał się i spojrzał na nią. Osłaniała dłonią mikrofon telefonu.

— Sekretarka poinformowała mnie, że pan Sanger jest na konferencji. Poprosił ją, żeby się dowiedziała, o co chodzi. Czy chce pan z nią rozmawiać?

Brig pokręcił głową.

— Niech go uprzedzi, że przyjechałem — dorzucił spokojnie.

Uczyniła to z niechęcią i bez przekonania. On zaś ponownie skoncentrował uwagę na tumanach pyłu, wzbijających się aż po wierzchołki drapaczy chmur. Gdy zadzwonił telefon, Brig rzucił okiem przez ramię i zauważył, że urocza recepcjonistka zmieniła się nie do

poznania, a gdy odezwała się do niego, w jej głosie pojawił się zupełnie nowy, pełen szacunku ton.

— Pan Sanger już idzie, proszę pana.

— Dziękuję — odrzekł z ironicznym uśmiechem.

Nic się nie zmieniło od czasów jego dziadka — nadal oceniano człowieka według tego, jaką władzą dysponuje. Brig odwrócił się dopiero wtedy, gdy usłyszał kroki w korytarzu.

Mężczyzna, który z uśmiechem przylepionym do twarzy szedł w jego stronę, mógłby się wydawać niezwykle serdeczny, gdyby nie jego zimne, obojętne oczy. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat starannie dobrany kolorem do koszuli. Brig nie musiał odwijać kołnierza jego marynarki, by się dowiedzieć, że ubranie pochodzi od jednego z najlepszych krawców w mieście. Max nadal miał szczupłą, młodzieńczą sylwetkę, a o tym, że minęło już czternaście lat, świadczyły jedynie nieliczne siwe pasma w ciemnych, kręconych włosach. Był o dziesięć czy jedenaście lat starszy od Briga. Zbliżał się do pięćdziesiątki. Zadawał sobie wiele trudu, by jego powierzchowność wywierała jak najlepsze wrażenie. Intensywny zapach wody toaletowej dotarł aż do Briga, który nie zdołał się powstrzymać od porównania go z gryzącym odorem skunksa.

— Brig!

Mogłoby się wydawać, że Max Sanger jest szczerze zachwycony jego widokiem, ale Brig wiedział, czego się trzymać.

— Dobry Boże, kopę lat, staruszku! Ile to już minęło?

— Czternaście lat.

Max serdecznie poklepał Briga po ramieniu i długo ścisnął jego dłoń. Gdy delikatne ręce kuzyna zetknęły się z jego dłońmi, odniósł nagle wrażenie, że ma skórę stwardniałą bardziej niż kiedykolwiek.

— To się nazywa przyjacielski uścisk dłoni, Max! — zauważył chłodno. ~ Właśnie to próbował nam wpoić nasz stary!

Max starał się pokryć uśmiechem swoje zmieszanie, ale w jego niebieskich oczach pojawił się wyraz niepokoju.

— Nie zmieniłeś się, Brig, cyniczny jak zawsze! — Ujął go pod ramię, jakby chciał odnowić więzy między nimi, nigdy w rzeczywistości nie istniejące. — Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że przyjedziesz? Nie mogłem uwierzyć, kiedy sekretarka mi powiedziała, że tu jesteś.

— To stary chwyt najemników: uderzać zawsze z zaskoczenia.

Ramię Maxa opadło; nie zamierzał dłużej udawać, że łączy ich serdeczna przyjaźń.

— Nie jestem twoim wrogiem, Brig!

— A czy ja kiedykolwiek mówiłem, że nim jesteś?
— Brig udał zaskoczenie.

Max skrzywił się zgryźliwie, rozejrzał dokoła i zaproponował:

— Może wejdziemy do mojego gabinetu? Będziemy tam mogli spokojnie porozmawiać.

— Całkiem słusznie — zgodził się Brig i podążył za Maxem.

Na samym końcu korytarza znajdowały się podwójne, dźwiękoszczelne drzwi. Max otworzył pierwsze z nich i zatrzymał się, żeby przepuścić Briga, na którego sekretarka, kobieta nie pierwszej młodości, spojrzała ze zdziwieniem.

— Nie ma mnie dla nikogo, Agnes — zarządził Max, po czym otworzył kolejne drzwi, prowadzące do jego gabinetu.

Było to obszerne pomieszczenie, zajmujące narożną część budynku. Dwie ściany, całkowicie przeszklone, tworzyły róg, w którym znajdowało się ustawione na ukos masywne drewniane biurko, okazałych rozmiarów; a za nim — obity skórą fotel. W gabinecie stały także dwa wygodne fotele wypoczynkowe, długa kanapa, niski stół i barek. Brig podszedł do szklanej tafli, żeby obejrzeć rozpościerający się na dole widok.

— Imponujące! — mruknał z lekkim sarkazmem.
— Ale w końcu o to chodzi, prawda?

Max Sanger, który tymczasem rozsiadł się w obrotowym fotelu za biurkiem, pozostawił to bez komentarza. Odwrócił się tylko w stronę Briga i obserwował go spod półprzymkniętych powiek. Brig sięgnął ręką do kieszeni koszuli i wyjął paczkę papierosów.

— Będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę?

— Nawet gdyby miało mi przeszkadzać, i tak zrobisz zawsze to, co chcesz. — Max popchnął w stronę Briga ciężką, mosiężną popielniczkę, stojącą na biurku. — Mów Otwarcie, o co ci chodzi, Brig! Nie przybyłeś do mnie z przyjacielską wizytą i nie zależy na odnowieniu więzów rodzinnych. No więc, po co przyjechałeś?

Brig posłużwszy się tylko jedną ręką, zapalił zapałkę i przysunął płomień do papierosa.

— Może, jako główny akcjonariusz, chciałem sprawdzić, jak stoją sprawy spółki? — Wydmuchnął smużkę dymu.

— No, no, coś podobnego! Przecież sprawy spółki obchodzą cię tyle, co zeszłoroczny śnieg! — zauważył drwiąco Max.

— Zgadza się — przyznał Brig z krzywym uśmiechem. — Przyjechałem po to, co mi się należy.

— Nie jestem ci nic winien! — Max przybladł nieco i pochylił się do przodu. — Znasz ostatnią wolę starego: nie należy ci się nic, chyba że pracowałbyś w spółce.

— A ty wiesz, że mogłem się temu sprzeciwić.

— Ale się nie sprzeciwiłeś i zrobiłeś to, co chciałeś. Wzgardziłeś całą fortuną, bo twierdziłeś, że została zgromadzona nieuczciwie/Miałeś własne pieniądze, które uczciwie zarobiłeś, przelewając krew...

— Gdybym się wtedy nie usunął, nigdy byś nie zasiadał w tym fotelu— przypomniał zimno Brig. -Nie byłoby cię także tutaj, gdybym nie dał ci wolnej ręki w rozporządzaniu moimi akcjami. Nie przyjechałem po

to, żeby ci odebrać ten gabinet. Spółka należy do ciebie. Ale winien mi jesteś sporo, Max...

Wydawało się przez moment, że Max podejmie wyzwanie, ale rzucił tylko od niechcenia:

— Powiedz zatem, czego chcesz.

— Pożyczki — odrzekł Brig. — Potrzebuję dwudziestu tysięcy dolarów — dorzucił z wyraźną niechęcią.

Na twarzy Maxa pojawił się wyraz szczerego rozbawienia. Zawahał się, a po chwili sięgnął do szuflady pośrodku biurka, wyjął z niej teczkę z dokumentami i wręczył ją Birigowi. Na okładce widniała adnotacja: „Poufne”.

Brig, po chwili wahania, otworzył teczkę. Zawierała sprawozdanie dotyczące stanu finansów firmy, sporządzone przez doradców finansowych ze spółki powierniczej. Doznał wstrząsu, gdy bliżej zapoznał się z tym dokumentem. Twardym wzrokiem zmierzył siedzącego za biurkiem mężczyznę. Teraz Max nie wyglądał już na rozbawionego. Na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

— Są to wyniki ostatniej kontroli ksiąg rachunkowych. Właśnie wczoraj mi je dostarczono — oznajmił. — Jeszcze przez dwa miesiące, może nieco dłużej, będę mógł utrzymać w tajemnicy moje bankructwo. Ale, jak sam widzisz, Brig, spółka nie dysponuje sumą dwudziestu tysięcy dolarów.

— Już od dawna zastanawiałem się, jak to się dzieje, że spółka dotychczas nie splajtowała, mimo że ty jesteś prezesem. — Brig rzucił sprawozdanie na biurko, walcząc z ogarniającą go wściekłością z powodu doznanego rozczarowania. — Jak do tego doszło?

— Dochody ze sklepów zaczęły spadać. Doskonale wiesz, jaka jest ostatnio sytuacja gospodarcza w kraju. Starałem się zainwestować w nowe artykuły, które miały urozmaicić naszą ofertę, no i raz, może dwa razy, poniosłem straty na tych inwestycjach.

— Raz, może dwa razy? Musiałeś popełnić na pewno znacznie więcej niż jeden czy dwa błędy, żeby doprowadzić do takiego stanu. — Wściekłość Briga zaczęła się przeradzać w pogardę. — Należałoby cię postawić przed sądem za takie zarządzanie spółką!

— Posłuchaj, Brig... — Usiłował się bronić, wstał z fotela.

— Daj spokój. To nie ja będę wytaczać ci proces. Przypuszczam, że nikt jeszcze nie widział tego sprawozdania?

— Nikt.

— Dobra, ja też go nie widziałem. Chcę tylko dostać moje dwadzieścia tysięcy, to wszystko. I jest mi całkiem obojętne, czy to będą pieniądze spółki, czy twoje własne. Tylko nie próbuj mi wmawiać, że nie odłożyłeś sobie na boku jakiejś okragłej sumki, za dobrze cię znam!

— Ja sam też nie mam tych pieniędzy — zapewnił zmieszany Max, po dłuższej chwili milczenia. — Wszystko, co mam i co mógłbym pożyczyć, wyzebrać albo ukraść, zostało zamrożone w projektach inwestycyjnych na terytorium Kalifornii. Nie tylko ja tam inwestowałem i teraz mam związane ręce — nie mogę odzyskać na razie ani centa.

Briga ogarnęła zimna furia. Miał ochotę chwycić Maxa za kłapy marynarki i tak długo tłuc go po twarzy, aż jego nieskazitelne, wręcz niemęskie rysy, raz na zawsze stracą swą bezduszną regularność. Wstał i ruszył w stronę okna, żeby zapanować nad tym gwałtownym napadem dzikich instynktów, póki nie będzie za późno. Cóż to był za idiotyczny pomysł, żeby tu przyjeżdżać! Jak skończony dureń wyobrażał sobie, że Max, jego kuzyn, przyjdzie mu z pomocą! A gdyby tak sprzedać cały inwentarz, owce i krowy... No tak, ale z czego by potem żył? Znalazł się w potrzasku.

— Na co potrzebujesz dwudziestu tysięcy dolarów, Brig? — zagadnął ostrożnie Max bardzo spokojnym,

łagodnym głosem, jakby obawiał się, że jedno niebacznie wypowiedziane słowo może wytrącić Briga z równowagi.

— Potrzebuję i koniec! Moja sytuacja finansowa nie jest aż tak katastrofalna jak twoja, ale to nie zmienia faktu, że mam pewne kłopoty z utrzymaniem stada bydła i skrawka ziemi -- przyznał. — Dość długo dawałem sobie radę, ale tym razem nie mogę się wygrzebać.

Odwrócił się od okna i skierował w stronę drzwi. Nie było już żadnego powodu, żeby tu dłużej tkwić.

— Dokąd idziesz?

— Wracam do hotelu. Zapłacę rachunek i złapię pierwszy samolot do Idaho — odrzekł nie patrząc na Maxa, gdyż obawiał się, że nie potrafi jeszcze nad sobą zapanować.

Ścisnął gałkę przy drzwiach, jakby zamierzał ją zmiażdżyć.

— Poczekaj! — zawołał Max. — Może jest sposób, żebyśmy we dwóch jakoś zdobyli te pieniądze.

— Posłuchaj z łaski swojej, Max. Przede wszystkim, te twoje interesy zawsze podejrzanie cuchną, a poza tym, nigdy nie pracuję z ludźmi, przy których bez przerwy muszę się mieć na baczności, żeby nie zarobić nożem między łopatki.

Szarpnął brutalnie drzwi i wyszedł. Max rzucił się za nim.

— Już prawie południe. Zjedzmy razem lunch. Nic ci się nie stanie, jeżeli mnie wysłuchasz — zaproponował.

— Tracisz czas.

— Ta sprawą dotyczy także mnie, robię tylko to, co leży w moim własnym interesie.

— To tak, jak ja. Jeżeli tak ci na tym zależy, to możesz mi opowiedzieć, jaką znów machlojkę wykombinowałeś, jak będziemy jechać taksówką do hotelu.

Maxowi bardzo nie odpowiadał sposób wyrażania się Briga, ale miał dość wycucia, by tego nie okazać. Nigdy się nie lubili. I to już od chwili, gdy Brig

zamieszkał u dziadka. Max mu zazdrościł, niemal go nienawidził. Dziadek zawsze faworyzował Briga i pomimo że Max był starszy, Sanger pragnął, by jego młodszy wnuk objął po nim tron. Gdyby Brig przyjął warunki testamentu dziadka, wszystko należałoby do niego. Tylko przypadek sprawił, że Max zajął jego miejsce. Teraz, gdy znalazł się na samym dnie, pozostał mu już tylko jeden sposób uratowania głowy, nie miał jednak żadnych szans powodzenia bez pomocy Briga. Max musiał to przyznać, ale na samą myśl o tym czuł się chory.

Gdy wyszli na ulicę, Brig ustawił się na rogu, by zatrzymać taksówkę.

— Nie znajdziesz żadnej o tej porze — powiedział Max z pewnością siebie, godną starego nowojorczyka.

Nie zwracając na niego uwagi, Brig hałaśliwie zagwizdał na palcach. Na to wezwanie, przez kolumny samochodów, wśród zgiełku klaksonów i pisku hamulców, przedarła się natychmiast taksówka i zatrzymała tuż przy krawężniku.

Brig otworzył drzwiczki i zaprosił Maxa do środka.

— Biedny Max! Na tym zawsze polegał twój kłopot: kiedy ty zagwizdziesz, nikt nie zwraca na to uwagi!

Max spojrzął na niego z nieukrywaną nienawiścią, zanim wsiadł do taksówki. Zgiąwszy się we dwoje, Brig zajął miejsce obok niego.

— Do Hiltona, proszę — powiedział, nachylając się do taksówkarza, po czym rozsiadł się wygodnie. — Śmiało; Max, mów, nie masz zbyt wiele czasu.

— To ty, sukinsynu, przyszedłeś do mnie, żeby prosić o dwadzieścia tysięcy dolarów! — wycodził przez zęby Max, nie mogąc dłużej powstrzymać wybuchu złości. — Jeżeli sobie wyobrażałeś, że ci będę lizał tyłek i całował po rękach, żebyś zgodził się poświęcić mi parę minut swojego cennego czasu, to grubo się przeliczyłeś!

— Co ty powiesz? A przecież tak świetnie umiałeś płaszczyć się przed starym! O co ci właściwie chodziło, chciałeś rozmawiać ze mną czy mnie obrażać?

Uśmiechnął się widząc, z jakim wysiłkiem Max stara się zapanować nad sobą.

— Sprawa jest prosta — zaczął Max z wyraźnym trudem. — Mam na oku kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem spółki. Próbowałem mu sprzedać swoje akcje, ale to by nie wystarczyło, żeby zapewnić mu pełną kontrolę nad spółką, chyba że dostanie od ciebie pełnomocnictwo. Zgodnie z testamentem, możesz sprzedać swoje akcje wyłącznie członkowi rodziny, z wyjątkiem sytuacji, gdyby doszło do fuzji albo całkowitego wykupu. Sądzę, że uda mi się go przekonać, aby wykupił wszystko.

— A ten żaloszny frajer z pewnością nie widział ostatniego raportu o stanie finansów firmy?

— Mówiłem ci przecież, że dopiero go dostałem — odparł ostro Max. — To zresztą całkiem bez znaczenia, bo temu facetowi chodzi wyłącznie o zmniejszenie podatków. To istny Krezus!

— Skoro ma tyle pieniędzy, to najlepszy dowód, że nie jest idiotą. Wystarczy, że poczeka dwa miesiące, a po ogłoszeniu upadłości spółki dostanie ją praktycznie za darmo!

— O.K., ale to by nie urządziło ani ciebie, ani mnie, prawda? — rzucił Max prowokująco. — Doroczna kontrola finansowa może się odbyć dopiero w październiku. Jeżeli kazałem sporządzić ten raport wcześniej, to tylko dlatego, że... hm, nie przypuszczałem, że sytuacja wygląda aż tak fatalnie. No, a co ty o tym myślisz?

— Myślę, że to z daleka zajeżdża ordynarnym kantem — oświadczył Brig z odrazą. — Nie oszukałem nigdy nikogo, kimkolwiek by był, i nie zacznę tego robić tylko po to, żeby pożyczyć nędzne dwadzieścia tysięcy!

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Brig podał taksówkarzowi banknot.

— Reszta dla pana.

— Tyle miałeś zawsze skrupułów, McCord! — mruk-

nał pod nosem Max, podążając szybko za Brigiem w stronę obrotowych drzwi i starając się dotrzymać mu kroku. — Ale z ciebie hipokryta! Nigdy nie zapomniałem, że brałeś pieniądze za zabijanie ludzi.

— Rządy płaciły mi za to, żebym dał się zabić — sprostował ostrym tonem.

-- Ja... proszę cię... — Max zawahał się, nie wiedząc, jakich słów użyć. — Proszę, żebyś się przynajmniej zastanowił nad tym, co ci powiedziałem. Ten gość ma pieniądze i jest zainteresowany. On... — przerwał raptownie, wpatrzywszy się w jakiś punkt w przestronnym, hallu, ciągnącym się przez całą długość budynku. — O wilku mowa!

Max wskazał palcem wysokiego, siwowłosego mężczyznę, stojącego w drzwiach restauracji hotelowej. Brig spojrział na niego z roztargnieniem, lecz jego uwagę przyciągnęła kobieta towarzysząca starszemu panu. Była wysoka, długonoga, niewiele niższa od stojącego obok niej mężczyzny. Wydawało się, że jej ciemne włosy o miedzianym połysku płoną w promieniach światła. Pomimo swej młodości sprawiała wrażenie dojrzałej kobiety — fascynująca istota, o niemal zwierzęcej zmysłowości. Brig był tak poruszony jej widokiem, że krew uderzyła mu do głowy. Ogarnęło go szalone pragnienie, by móc porwać ją w ramiona, tak jak sięga się po dojrzały owoc.

v,

Potem przyjrzał się, bacznie towarzyszącemu jej mężczyźnie. Był starszy od niej o co najmniej trzydzieści lat. Zarówno szlachetne rysy jego twarzy, jak i niewymuszona elegancja sposobu bycia wzbudzały respekt. Szczególnie uderzające wrażenie wywierała jedank otaczająca go aura, rzecz by można, swego rodzaju charyzmy. Najwyraźniej cieszył się przy tym znakomitym zdrowiem. I sporym apetytem — pomyślał Brig, gdy zobaczył, jak mężczyzna wyjmuje z kieszeni pieniądze i wsuwa je dziewczynie do ręki.

Twarz Briga spochmurniała, gdy dziewczyna musnęła wargami policzek mężczyzny. Pomachała mu ręką na pożegnanie i elastycznym, pełnym wdzięku krokiem pośpieszyła w stronę wyjścia. Potem dostrzegł, że zatrzymuje się na chwilę przy drzwiach, żeby włożyć pieniądze do portmonetki. Pomyślał z cynizmem, że pewnie także po to, by je przeliczyć.

— No, chodź! — Max chwycił go za łokieć i pociągnął za sobą. — Przedstawię cię.

Brig chciał się wycofać, ale mężczyzna już ich zobaczył i uniósł dłoń w geście powitania.

— Witaj, Fletcher. Co za niespodzianka spotkać cię tutaj! — zawołał Max, gdy znaleźli się w połowie drogi.

-- Mógłbym powiedzieć to samo, Max.

Mężczyzna nie podał żadnego powodu swojej obecności w hotelu, co wcale Briga nie zdziwiło. Dżentelmen nie zamierzał się przechwalać, że przyprowadził dziewczynę do pokoju hotelowego.

— Brig zatrzymał się w tym hotelu — wyjaśnił Max. — Przyjechał z Zachodu, żeby omówić sprawy dotyczące spółki. Pozwól, że was przedstawię. Fletcher, to mój kuzyn Brig McCord. Brig, to jest Fletcher Smith. Większości ludzi znany jest dzięki talentom myśliwskim, ale ja osobiście jestem pełen uznania i podziwu dla jego nadzwyczajnego zmysłu do interesów.

Brig pomyślał, że Max za daleko się posuwa w prawnieniu komplementów, ale Fletcher odniósł się do tego z całkowitą obojętnością. Uścisnął serdecznie dłoń Briga i powiedział:

— Jestem szczęśliwy, że mogłem pana poznać, panie McCord. — Jego ogorzała, opanowana twarz zdradzała, że posiadał on dwie najistotniejsze zalety dobrego myśliwego: niezłomny upór i cierpliwość. — Był pan w Kalifornii? Max wiele mi mówił o swoich tamtejszych planach.

- Nie, przyjechałem z Idaho. — sprostował Brig,

chcąc podkreślić, że nie łączą go żadne związki z interesami kuzyna.

— Brig ma tam rancho — dorzucił pośpiesznie Max. — A ja mam pełnomocnictwo na reprezentowanie jego praw w zarządzie spółki. Ale nasze dyskusje ograniczają się do uzgodnienia wspólnego porządku dnia.

— W której konkretnie części Idaho znajduje się pańskie rancho?

Brig zauważył, że Fletcher Smith rozmyślnie ignoruje usiłowania Maxa, by sprowadzić rozmowę na sprawy spółki i akcji, które w niej posiada. Ten człowiek to nie lada spryciarz. Maxowi długo jeszcze nie uda się wystrychnąć go na dudka.

— W górach, w rejonie Middle Fork Salmon — odrzekł.

— To bardzo dziki zakątek — zauważył Fletcher i pokiwał głową, jakby już odnalazł to miejsce na mapie, którą znał na pamięć. — Z pewnością można tam urządzać wspaniałe polowania.

Brig wzruszył ramionami i pozostawił to bez komentarza.

— Zwykle w ciągu roku zabijam dwa łosie, żeby mieć co jeść — stwierdził tylko.

— I ja przepadam za pieczenią z łosia — zapewnił Fletcher z uśmiechem.

— To niebywałe! Brig ma rancho, hoduje bydło, a jada łosie! — wtrącił Max, parsknąwszy wymuszonym śmiechem. — Musi dopiero przyjechać w interesach do Nowego Jorku, żeby jeść wołowinę! No tak, to mi przypomina, że mieliśmy właśnie siadać do stołu. Czy zechciałbyś się do nas przyłączyć, Fletcher?

Mężczyzna zawahał się i zanim podjął decyzję, rzucił najpierw okiem na Briga.

— Wypiję z wami filiżankę kawy — zgodził się.

— Ja nie będę jadł, Max — oznajmił Brig.

- Różnica czasu — zauważył Max i wściekłym

wzrokiem spojrzął na Briga. — Ty i Fletcher możecie wypić kawę, a ja tymczasem zjem obiad.

- Chętnie pozwolimy, żeby za nas przybierał na wadze — powiedział ze śmiechem Fletcher. — Kątem oka zerknął na Briga i kierując się w stronę restauracji, dorzucił: — Słyszałem, że mieliście w tym roku ciężką zimę.

Wyraź niekłamane uznanie przemknął przez twarz Briga. Ten człowiek z pewnością jest nie byle jakim myśliwym, który nie tylko potrafi upolować, ale i zręcznie zwabić ofiarę, a zwierzyna sama wchodzi mu pod łufę. Po to, by móc Fletcherowi odpowiedzieć, Brig musiał za nim pójść i dotrzymać kroku. Fletcher odwrócił się, spojrzął mu w oczy i przekonał się, że Brig przejrzał jego grę. Uśmiechnął się szeroko i przystanął. Max popatrzył najpierw na jednego z nich, potem na drugiego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Brig podszedł do Fletchera.

— No tak, zima była ciężka — przyznał. — Inne części kraju też mocno ucierpiały.

Rozmawiali teraz ze sobą jak równorzędni partnerzy.

— A jak zniosła mrozy gruba zwierzyna łowna? — spytał Fletcher.

— Zawsze lepiej to znosi niż bydło. Jeleń, łoś czy muflon mogą znaleźć pożywienie głęboko pod śniegiem. Ale krowa pozostawiona w takich warunkach ginie z głodu, nawet gdyby tylko parocentymetrowa warstwa śniegu przykrywała trawę.

Brig nie bardzo wiedział, dlaczego właściwie przyjął zaproszenie na lunch. Powinien był zapłacić za hotel i jechać już na lotnisko, ale zaintrygował go ten wytrawny myśliwy. Wystarczyło zaledwie parę minut, żeby wzbudził w Brigu ciekawość. Bacznie go zatem obserwował, gdy wchodzili do restauracji i gdy prowadzono ich do stołu.

Fletcher Smith był równie wysoki jak on — obaj mieli nieco powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu. Brig

był mocniejszej budowy i szerszy w ramionach, ale nie wątpił, że Fletcher jest silny i muskularny. Miał siwe włosy o srebrzystym odcieniu, na skroniach zupełnie białe. Chociaż był całkiem swobodny i odprężony, w jego zachowaniu dostrzegało się błyskawiczne reakcje, charakterystyczne dla dobrego myśliwego, a nawet jeśli nieco spowolnione z racji wieku, to i tak znacznie szybsze niż u przeciętnego człowieka. Na marynarce Smitha, w okolicach wewnętrznej kieszeni, Brig zauważył zarys futerału na okulary. Fletcher przekroczył już połowę życia i powoli zbliżał się do jego kresu. Z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. To mogłoby tłumaczyć obecność owej miedzianowłosej dziewczyny.

W chwili gdy nalewano im kawę, Brig spostrzegł, że Fletcher wpatruje się w Maxa tak, jakby brał go na muszkę.

— Dawno cię już u nas nie widziałem, Max.

— Dużo ostatnio podróżowałem, a poza tym miałem inne zobowiązania. Istotnie, byłem zmuszony odrzucić kilka waszych zaproszeń. Przypuszczam, że twoja żona skreśliła mnie z listy gości.

— Jutro wieczorem wydajemy skromne przyjęcie. Może byś przyszedł? — zaproponował Fletcher.

— Z przyjemnością — zgodził się Max.

Brig zauważył jednak, że zawahał się przez chwilę i przyjął zaproszenie bez entuzjazmu.

— Nie będzie to żadne wielkie przyjęcie, raczej spotkanie w gronie przyjaciół.

Następnie zwrócił się do Briga:

— Oczywiście pan również jest zaproszony, panie McCord.

— Bardzo dziękuję, ale muszę wracać do Idaho.

— Mówi pan, że pańskie ranczo znajduje się w rejonie Middle Fork Salmon... — powiedział Fletcher, który sącył kawę, obserwując Briga sponad filiżanki. — To bardzo odludny zakątek.

— Rzeczywiście, ale właśnie dlatego mi się podoba.

— Przed przybyciem białego człowieka tereny te zamieszkiwali Indianie — „Zjadacze baranów”. Nazywano ich tak z tej prostej przyczyny, że odżywiali się niemal wyłącznie dzikimi owcami. Na ogół jednak określa się ich mianem Szoszonów.

Brig z trudem powstrzymał uśmiech: Fletcher chciał sprawdzić jego wiadomości. Dlaczego mu na tym zależało?

— Czy w tym rejonie występują muflony?

— Jest ich trochę. Żyją głównie wysoko w górach.

— A czy widział pan sztuki, które mogłyby stanowić cenne trofeum myśliwskie?

Brig przypomniał sobie muflona, którego widział wiosną, ale nie wspominał o nim ani słowem.

— To zależy, co pan rozumie pod pojęciem cennego trofeum.

— Ślimy o pełnym skrócie, albo i więcej. Poza tym wszystko zależy od ich obwodu i rozstawu zakończeń.

— Fletcher rozsiadł się wygodnie i, patrząc na Briga, uśmiechnął się lekko. — Pan, oczywiście, wie, o co chodzi. Myśliwy nigdy nie przestaje myśleć o swoim następnym polowaniu. Niedawno nawiązałem kontakt z przewodnikiem z Bitterroots Range, żeby urządzić polowanie w tym rejonie.

— Wspaniale! — wykrzyknął Max, próbując włączyć się do rozmowy.

— Muflon z Gór Skalistych jest jedynym zwierzęciem, którego trofeum nie udało mi się jeszcze zdobyć przez wszystkie lata moich polowań. Sukcesem zakończyły się łowy na owcę gruborogą w Kanadzie i na dalla na Alasce, ale jeszcze nigdy nie upolowałem muflona. — Głos Fletchera brzmiał mocno i zdecydowanie.

— I czego pan się spodziewa? Skompletować kolekcję?

W zimnych oczach Briga pojawił się wyraz lodowatej

pogardy. Słyszał o tych bogatych myśliwych, gotowych uciec się do każdego sposobu, legalnego czy nielegalnego, byleby tylko zdobyć trofea dzikich owiec żyjących w czterech różnych rejonach Ameryki Północnej — dzikiej owcy dalla z Alaski, kanadyjskiej owcy gruborogiej, muflona z Gór Skalistych i muflona żyjącego w pustynnych rejonach Meksyku.

Fletcher Smith wyglądał na rozbawionego.

— Taki cel przyświeca dyletantom. Wśród szanujących się myśliwych nie znajdzie pan ani jednego, któremu zależałoby wyłącznie na tworzeniu kolekcji. Naprawdę ekscytujące jest samo polowanie. Myśliwy, tak jak i wędkarz, próbuje ciągle od nowa, nawet jeśli zdobycz nieustannie mu się wymyka. I w tym właśnie tkwi cała przyjemność. Może to moja ostatnia szansa na upolowanie muflona. Następnym razem mogę już być za stary. Ale teraz jeszcze gotów jestem oddać wszystko, co mam, żeby tylko zdobyć jeden okaz tego zwierzęcia. Jeśli nawet mi się nie uda, to przynajmniej będę wiedział, że próbowałem.

Zamilkł, ponieważ podszedł kelner i Max zamawiał dla siebie obiad. Kawa Briga stygła w filiżance, połknął ją jednym haustem i wsparłszy łokieć o stół, z zamyślonym wyrazem twarzy gładził wąsy.

Teraz ujrzał to w nieco innym świetle: Fletcher uświadomił sobie, że lata płyną nieubłaganie, i starał się korzystać z wszelkich uroków życia, zanim na dobre wymkną mu się z rąk. Chociażby ta młoda, niezwykle piękna dziewczyna, albo namiętności związane z polowaniem. Nie potępiał go za to, ponieważ nie był pewien, czy sam za piętnaście lat nie będzie postępował tak samo.

— Czy na swoim ranczo hoduje pan tylko bydło, czy także owce? — spytał po chwili Fletcher.

— Jedno i drugie.

— Owce domowe są najgroźniejszymi wrogami muflonów. Nie tylko wyskubują trawę z górskich łąk, ale

przede wszystkim są nosicielami chorób, przeciwko którym same się uodporniły, ale które przenoszą na dzikie owce.

— To przedmiot nie kończących się dyskusji pomiędzy myśliwymi a hodowcami! — zauważył Brig, śmiejąc się w duchu.

— Właściciel rancza może zdziesiątkować stada mufionów wyłącznie w ten sposób, że jego owce przeniosą na nie chorobę. Myśliwy szuka tylko zwierzęcia o pięknych rogach albo poluje na nie ze względu na smaczne mięso. Rogi na tyle duże, żeby mogły stanowić cenne trofeum myśliwskie, mają tylko stare samce, które i tak by zginęły albo ze starości, albo z powodu ciężkich wysokogórskich warunków — podkreślił Fletcher.

— Słyszałem już ten argument. Ale w miarę upływu lat wszystkie żyjące na świecie gatunki muszą ulegać przemianom — przystosowywać się i uodparniać. Takie są prawa przetrwania. Choroby przenoszone przez owce są tylko dziełem natury. Gdyby nie było owiec, to muflony by się zaraziły od innych zwierząt. A z kolei gdyby owce się nie uodporniły, ich rasa też by wygasła. To prawo stworzone przez naturę, a nie przez człowieka.

— Czy wobec tego nie wierzy pan w sens ochrony zwierząt? — spytał Fletcher, chcąc go sprowokować.

— Ja tylko dziękuję Bogu, że w czasach człowieka jaskiniowego nie istnieli zagorzali obrońcy przyrody, skorzy do rzucania hasła w rodzaju: „Ratujmy dinozaury!” Wyobraża pan sobie parę setek dinozaurów w jakimś rezerwacie, gdzie człowiek musiałby odtworzyć ich naturalne środowisko i dostarczyć im odpowiedniego pożywienia? Wszystkie żywe istoty, wszystkie gatunki mają ograniczony czas życia na Ziemi. Nawet ludzie pewnego dnia wyginą — czy to z własnej ręki, czy z woli natury.

— Człowiek wyobraża sobie, że potrafi uratować świat! — odrzekł Fletcher z gorzkim uśmiechem, bez

złudzeń. — A pan uważa, że ludzie i tak będą mieli dużo szczęścia, jeżeli im się uda uratować swój własny gatunek! W tym, co pan mówi, jest wiele głębi — westchnął ciężko. — I jest w tym chyba więcej prawdy, niż ktokolwiek z nas byłby skłonny przyznać.

— Prawa natury często wydają nam się okrutne choćby dlatego, że zawsze wygrywa najsilniejszy.

Brig zapalił papierosa.

— Tak, ale człowiek sobie wyobraża, że stoi ponad prawami natury! — mruknął Fletcher. A ponieważ kelner stawiał właśnie przed Maxem talerz z jedzeniem, powiedział: — Mam nadzieję, że nasza dyskusja, nieco drastyczna, nie odebrała ci apetytu, Max.

— Nie, nie, ani trochę! Przeciwnie, to bardzo interesujące. Wyobraź sobie, że Brig sam jest swego rodzaju ekspertem sztuki przetrwania. Gdy miał dziewięć lat, spędził prawie trzy miesiące w dzikiej okolicy, gdzie został sam po śmierci rodziców w katastrofie, której uległ ich samolot. A i potem zaznał wielu najrozmaitszych przygód w Azji Południowo-Wschodniej. — Max zawahał się przez chwilę, jakby zamierzał wyjawić więcej faktów, jednak się rozmyślił. — Ty również, Fletcher, po tylu latach uprawiania myślistwa, jesteś bez wątpienia znawcą przyrody. Wiesz wszystko o drapieżcach, ich ofiarach i o przyczynach, które doprowadziły do wyniszczenia zwierzyny łownej. Jeden z was jest myśliwym, drugi hodowcą, znajdujecie się po przeciwnych stronach barykady. Ty jesteś niepoprawnym romantykiem, a Brig chłodnym realistą.

— Jesteś świetnym obserwatorem, Max. Chyba cię czasem nie doceniam — stwierdził Fletcher patrząc na niego przenikliwie. — Ty też trochę polowałeś, prawda?

— Owszem, ale bardzo dawno temu. Nigdy jednak z takimi rezultatami jak ty — odrzekł skromnie Max.

— Któregoś dnia musimy zapolować razem — zaproponował Fletcher, tak jakby ten pomysł przyszedł mu na myśl dopiero przed chwilą.

— Dlaczego nie? — Max roześmiał się. — Pod warunkiem, że w miarę wczesnie mnie uprzedzisz, żebym mógł intensywnie potrenować, zanim zacznę biegać po lesie!

Brig odłożył niedopałek na brzeg popielniczki; pomyślał, że pod wieloma względami jego kuzyn jest inteligentnym człowiekiem, znającym granice swych możliwości i umiejącym zręcznie wykorzystać własne zalety. Która zatem ze słabych stron jego charakteru uniemożliwiała mu osiągnięcie sukcesu? Czyżby to, że nie cofał się przed żadnym sposobem, byleby tylko osiągnąć cel, albo może nieopanowana żądza, by sięgać po to, co należy do innych?

— Na dobrą sprawę, McCord, nie udzielił mi pan wyraźnej odpowiedzi, czy w tej okolicy, gdzie pan mieszka, można urządzać polowanie — przypomniał Fletcher.

— Chodzi panu o polowanie na muflony?

— Tak.

— Kiedyś zdarzyło mi się je widzieć — przyznał Brig.

— Z pięknymi ślimami, godnymi zawieszenia na ścianie?

— Sądzę, że tak.

Brig zaciągnął się papierosem i zmrużył oczy przed, dymem.

— Często urządza się tam polowania?

— Nie, w każdym razie nie tam, gdzie mieszkam. Są to bardzo dzikie okolice, a muflony żyją wysoko, w górach. Nie jest łatwo na nie trafić, nawet jeżeli urządzi się wyprawę w góry. Trudno jest tam dotrzeć i trudno stamtąd wrócić.

-- Czy był pan już kiedyś przewodnikiem? A może zastanawiał się pan nad taką możliwością?

— Nie.

— Co by pan powiedział, gdybym poprosił* żeby został opan moim przewodnikiem i zorganizował dla mnie polowanie? — spytał Fletcher z uśmiechem.

— Dlaczego ja? — odparł ostrożnie Brig. — Nie mam żadnego doświadczenia. A poza tym już pan przecież rozpoczął przygotowania, zwracając się do rutynowanego przewodnika w Bitterroots.

— O ile mi wiadomo, zarówno w tamtym rejonie, jak i w Montanie, są tylko młode muflony. Co oznacza, że moje szanse znalezienia samca o pięknych ślimach są bardzo nikłe. Po tym, co od pana usłyszałem na temat okolic, w których pan mieszka, myślę, że tam miałbym większe szanse. Jest pan ponadto człowiekiem dobrze obeznanym z tamtym terenem, ma pan tam ranczo, a dzięki temu może pan znaleźć dobre konie dla uczestników polowania. Jeśli zaś chodzi o brak doświadczenia, to wydaje mi się, że jest pan człowiekiem, na którego można liczyć i który — jeżeli zostanie stosownie wynagrodzony — dołoży wszelkich starań, żeby zrobić to jak najlepiej.

— Obiło mi się o uszy, że niektórzy myśliwi używają samolotów do napędzania zwierzyny — powiedział Brig.

— To jest nielegalne.

— Wiem o tym równie dobrze jak pany ale bywają tacy myśliwi, którzy gotowi są zrobić wszystko, żeby zdobyć piękny okaz — odparł Brig prowokująco.

— Jeżeli kiedykolwiek upoluję muflona, stanie się to przy zastosowaniu dozwolonych metod. — Fletcher zaczął się bawić łyżeczką leżącą na obrusie. — Opłaci się to panu, McCord. Pieniądze nie stanowią dla mnie żadnego problemu. Zapłacę panu trzysta... czterysta dolarów za dzień.

Brig wstrzymał oddech i próbował ukryć wstrząs, którego doznał usłyszawszy, o jaką sumę chodzi.

— Czas potrzebny na dojazd na miejsce, droga z powrotem plus samo polowanie... Trzeba liczyć dwadzieścia dni.

Brig szybko obliczył w pamięci: to stanowiło sporą część sumy, której potrzebował.

— Tak, wydaje mi się; że dwadzieścia dni będzie

w sam raz, zresztą, zależy od pogody — stwierdził Fletcher, wyraźnie rozbawiony na widok reakcji, której Brig nie zdołał ukryć. — Suma, jaką wymieniłem, dotyczy, oczywiście, jednej osoby, a w polowaniu wezmą udział dwie.

Brig zaklął w duchu. To już stanowiło ponad połowę potrzebnej sumy. Zabić zwierzę po to, żeby mieć co jeść, to rzecz zrozumiała, ale był przeciwny zabijaniu dla pary rogów, które potem zdobią czyjś salon myśliwski.

— Jeżeli trofeum będzie miało, rozpiętość przekraczającą jeden metr, dostanie pan premię w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów — dorzucił Fletcher, żeby wreszcie go skusić.

Boże święty! — Brig, targany sprzecznymi uczuciami, nadal nie mógł pozbyć się wątpliwości.

— Znam tamte strony. Nie mogę panu obiecać, że baran tej wielkości znajdzie się w zasięgu strzału. Marsz będzie wyczerpujący, nie mówiąc już o tym, że jest to jedna z najdzikszych okolic, jakie kiedykolwiek zdarzyło się panu widzieć. Na tej wysokości, gdzie żyją muflony, powietrze jest rozrzedzone i nawet serce człowieka przyzwyczajonego do wspinaczki łomocze tak, że mało z piersi nie wyskoczy. Nie jestem pewien, czy wytrzyma pan kondycyjnie taką przygodę.

— Tylko ja mogę wiedzieć, czy jestem dość wytrzymały, żeby pozwolić sobie na uprawianie tego rodzaju sportu — odrzekł oschle Fletcher. -- Ani przez chwilę nie myślałem, że to będzie urocza, odprężająca przechadzka. Oczekuję od pana tylko tego, żeby pan rzetelnie zorganizował mi polowanie i zaprowadził tam, gdzie są muflony. Zabiorę swój sztucer i sam będę strzelał. A to, czy trafię, czy spudłuję, to wyłącznie moja sprawa. Pana zadanie polega na pokazaniu mi celu. Czy wyraża pan zgodę? Tak czy nie?

— Muszę się nad tym zastanowić — odrzekł Brig zduszonym głosem.

Dobry Boże! Nad czym tu się jeszcze zastanawiać? Przecież potrzebuje tych pieniędzy!

— Zgoda, niech się pan nad tym zastanowi! Może mi pan dać odpowiedź jutro wieczorem, podczas przyjęcia.

— Daje mi pan niewiele czasu!

— Bo sam nie mam go zbyt wiele. Sezon myśliwski rozpoczyna się pierwszego września i kończy w trzecim tygodniu października. Już teraz muszę się zacząć przygotowywać. Nie chcę czekać do ostatniej chwili.

— Zostań do niedzieli rano, Brig — podsunął Max.

— Nie musisz wyjeżdżać do Idaho już dzisiaj, prawda?

— Nie — przyznał niechętnie.

Liczył się z tym, że zaciągnięcie pożyczki będzie wymagało podpisania jakichś dokumentów, i zarezerwował miejsce w samolocie dopiero na niedzielę. Wcześniej nikt nie będzie na niego czekał.

— A zatem, do jutrzejszego wieczoru, między ósmą a dziewiątą. Mogę na ciebie liczyć, Max?

— Przyjdziemy na pewno — zapewnił Max.

Ogorzała twarz Fletchera miała dziwny, zagadkowy wyraz.

— Bardzo na to liczę. — Uniósł dłoń, żeby przywołać kelnera. Max otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale Fletcher nie pozwolił mu dojść do słowa. — Jesteście moimi gośćmi. Proszę zatrzymać resztę — powiedział do kelnera.

Max grzecznie podziękował, Brig natomiast pozwolił, by Fletcher wyszedł z restauracji, nie usłyszawszy od niego ani jednego słowa podziękowania czy pożegnania. Miał wrażenie, że został kupiony, czuł gorycz w ustach.

— No, no, Brig, w końcu nieźle ci się trafiło! — stwierdził Max jadowicie.

— Zamknij się! — warknął Brig, rozgniatając papierosa w popielnicze.

— A cóż ja takiego powiedziałem? — Zdawać by się mogło, że Max jest zaskoczony napastliwością Briga.

— Dostaniesz przecież od Fletchera pptrzebną ci sumę, a nawet trochę więcej!

— Jeszcze nie powiedziałem, że się zgadzam.

Brig stuknął nerwowo łyżeczką o dno filiżanki, najwyraźniej niespokojny i rozstrojony.

— Byłbyś skończonym durniem, gdybyś odmówił. Zawsze byłeś uparty, Brig, ale nigdy dotychczas nie miałem cię za głupca — szydził Max.

— No więc, może i jestem głupcem.

Wypił łyk wody, chcąc spłukać gorzki smak, który czuł w ustach, i odstawił szklanke. Musiał się uspokoić.

— Dokąd idziesz?

— Przejdę się.

Gdy tylko znalazł się na ulicy, zaraz zwolnił kroku i zaczął się włóczyć bez celu. Szedł przed siebie, najpierw 54 Ulicą, potem Madison Square, by po chwili znów się znaleźć w Piątej Alei. Wreszcie, zmęczony lipcowym skwarem, wstąpił do nędznego baru przy jednej z bocznych ulic. Usiadł w ciemnym kącie klimatyzowanego pomieszczenia i pokrępił się, wypijając szybko dwa piwa.

— Nie potrzebujesz towarzystwa, kowboju?

Podniósł głowę. Dziewczyna miała wulgarną, zniszczoną twarz, a w jej niebieskich, pozbawionych wyrazu oczach nie dostrzegł tej czułości, z jaką spoglądała na niego Trudie. Podniósł się i rzucił pieniądze na stolik.

— Jeżeli będę kiedyś potrzebował, ty dowiesz się o tym ostatnia, dziwko — wycedził przez zęby.

Gdy wychodził z baru, obrzuciła go stekiem wyzwisk. Na zewnątrz nie mógł w pierwszej chwili złapać tchu, było gorąco jak w piecu. Przypomniały mu się wilgotne, duszne dżungle Ameryki Środkowej. Ale ta betonowa dżungla przytłaczała go bardziej niż wybujała roślinność. Zdjął marynarkę, zarzucił ją na ramię i skierował się w stronę hotelu.

Tuż przed piątą odebrał klucze w recepcji i podszedł

do windy. Upał sprawił, że koszula przykleiła mu się do pleców. Gdy drzwi się rozsunęły, Brig* ku swemu nieopisanemu zdziwieniu, ujrzał wychodzącego z windy Maxa. Zdażył zauważyć, że kuzyn chowa ukradkiem do kieszeni klucze od pokoju.

— Cześć Max! Nigdy bym się nie spodziewał, że cię tu jeszcze zastanę — skomentował chłodno.

— Byłem tu z kimś umówiony.

Max wyraźnie zajął pozycję obronną. Zarówno jego reakcja, jak i silny zapach perfum, mówiły same za siebie.

Brig, z jadowitym uśmieszkiem, kpił sobie z niego:

— Nadal jesteś kobieciarzem, co Max? Powiedz no, kto to był? Ta śliczna czarna recepcjonistka, która u ciebie pracuje? Rozumiem, wolicie nie ryzykować i nie wychodzić razem z hotelu.

Max zeszywniał i jego twarz przybladła nieco pod opalenizną.

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

— Racja, ale przed powrotem do biura będziesz musiał coś zrobić z tą wonią, którą rozsiewasz dokoła siebie. To gorsze niż zapachy przy stoisku perfumeryjnym w supermarkecie.

W chwili gdy drzwi windy już miały się zamknąć, Brig wyminął Maxa. Jeśli wtedy by na niego spojrzął, zauważyłby, jak twarz kuzyna pokrywa się purpurą. W windzie zdjął kapelusz i wachlował się nim, jadąc do góry. Myślał tylko o tym, żeby wziąć prysznic.

3

Jordanna szła korytarzem podśpiewując beztrzesko. Niosła ogromny pakunek owinięty lśniącym, zielonym papierem i przewiązany szmaragdową wstążką, którą łaskotała ją w brodę. Ciężar zaczynał jej się już dawać we znaki, przełożyła więc paczkę pod drugie ramię.

Pakunek ów zawierał rzeźbę nowoczesną, niepodobną do niczego konkretnego. Jordanna nie zdradzała najmniejszego upodobania do tego rodzaju przedmiotów artystycznych, ale wiedziała, że brat za nimi przepada. Zważywszy na ich horrendalne ceny, nigdy nie byłoby jej stać na ofiarowanie mu jednej z tych rzeźb, gdyby nie przekonała ojca, by partycypował w kosztach. Koniecznie chciała ją Kitowi podarować z okazji wprowadzenia się do nowego mieszkania. Był to z jej strony gest pojednania po straszliwej kłótni, jaka wybuchła między nimi przed tygodniem.

Na to wspomnienie Jordanna nie zdołała powstrzymać ciężkiego westchnienia. Teraz nie potrafiłaby sobie nawet przypomnieć, kto właściwie zaczął. To raczej powszechne, że brat i siostra sprzeczą się ze sobą, ale miała wrażenie, że podczas tej kłótni posunęli się trochę za daleko. Jordanna łatwo się unosiła, zwłaszcza że mieli ze sobą niewiele wspólnego. Zbyt się między sobą różnili, ich gusty i zainteresowania zanadto były rozbieżne.

Każdą rzecz postrzegali i odczuwali z przeciwstawnych punktów widzenia.

Wypatrywała numeru mieszkania brata. Wreszcie na jednych z drzwi znalazła i; pomimo nieporęcznej paczki, którą była objuczona, udało się jej nacisnąć dzwonek.

— Niespodzianka!

Ale uśmiech zamarł jej na twarzy, gdy ujrzała, że w drzwiach, zamiast brata, stoi nieznamy mężczyzna — przystojny, dwudziestoletni chłopak ubrany z wyszukaną elegancją. On ją najwyraźniej rozpoznawał.

— Dzień dobry! Pani Jordanna, z pewnością się nie mylę,

— No... tak... — bąknęła, zdumiona na widok obcego młodego blondyna o rudawych włosach. — Przyszłam do brata.

— Christophera nie ma w domu, bardzo mi przykro. Nie powiedział, niestety, o której wróci. Czy spodziewała się pani wizyty?

— Nie, wpadłam tylko, żeby dać mu ten prezent z okazji wprowadzenia się do nowego mieszkania — odrzekła patrząc mu prosto w oczy, i wskazała paczkę, którą trzymała w ramionach. — Kim pan jest?

— Nazywam się Mikę Paterson. — Wyglądał na zaskoczonego. — Christopher nigdy pani o mnie nie wspominał?

Jordanna przywykła już do tego, że poza nią i ojcem nikt inny nie nazywał Christophera Kitem.

— Nie — przyznała otwarcie. — Proszę wybaczyć to pytanie, ale czy mogę wiedzieć, kim pan jest? Kit rzadko ze mną rozmawia o swoich znajomych.

- Właśnie widzę. — Był dla niej teraz bardzo miły. — Christopher i ja wynajmujemy wspólnie mieszkanie, dzięki temu każdy z nas płaci tylko połowę czynszu.

— Nie wiedziałam. — Zaśmiała się, ale tylko przez grzeczność. — Już ponad tydzień nie rozmawiałam z Kitem.

Z coraz większym trudem Jordanna dźwigała ciężką

paczkę i choć była silna, ledwie mogła utrzymać ją w rękach.

— Pozwoli pan, że wejdę na moment?

— Ależ proszę bardzo — zareagował błyskawicznie, jakby znienacka odzyskał dobre maniery, i szeroko otworzył przed nią drzwi. — Proszę mi to dać! — zaproponował.

— Nie, nie, dziękuję, poradzę sobie sama.

Odsunął się, żeby ją przepuścić, i Jordanna weszła do mieszkania.

— Może postawi to pani na tym niskim stole — zasugerował.

Przyklękła i ostrożnie ustawiła rzeźbę na wskazanym miejscu. Potem wstała i ze zdumieniem rozejrzała się po pokoju.

— Ładnie tu. Nie widziałam jeszcze tego mieszkania po umeblowaniu — wyjaśniła. — Ja sama wolę raczej wnętrza urządzone bardziej tradycyjnie, bez tych wszystkich nowoczesnych mebli ze szkła. Kit natomiast za tym przepada. A pan?

— Ja również.

Uśmiechnął się i przypatrywał Jordannie takim samym pobłażliwym wzrokiem, jakim czasami spoglądał na nią Kit. Niezmiernie ją to rozdrażniło. Gdy ktoś przyglądał się jej w ten sposób, czuła się tak, jakby była małą dziewczynką, a nie dwudziestoczteroletnią kobietą. Chcąc ukryć ten odruch irytacji, rozejrzała się po pokoju i jej zielone oczy spoczęły na dużej roślinie, stojącej koło okna.

— Co za piękny fikus! Założę się, że pan go tutaj przyniósł.

— Jak pani odgadła?

— To proste — parsknęła śmiechem. — Kit nie ma zielonego pojęcia ani o roślinach, ani o przyrodzie w ogóle.

— Czy mogę pani zaproponować coś do picia? Kawę? Kakao? A może woli pani drinka?

— Nie, dziękuję. — Zerknęła na swój złoty zegarek.
— Muszę już iść.

— Bardzo proszę, niech pani zaczeka na Christophera.
Był zaniepokojony na myśl o tym, że Jordanna mogłaby podejrzewać, iż nie jest tu mile widzianym gościem.

— Mówił pan, że nie wie, o której godzinie Kit wróci
— przypomniała Jordanna. — A na mnie czekają rodzice.

Lekkim, pełnym wdzięku krokiem podeszła do drzwi.

— Będzie mu bardzo przykro, że go pani nie zastała.
Wzruszyła ramionami. Może byłaby skłonna w to uwierzyć, gdyby przychodząc tutaj wiedziała, że Kit jej wybaczył,

— Proszę mu powiedzieć, że tu byłam i... — Otworzyła drzwi, chcąc zyskać na czasie. — ...i że mam nadzieję, że prezent mu się spodoba. Cieszę się, że mogłam pana poznać, Mike.

— Ja również.

Jordanna poprawiła na ramieniu pasek torby, który zsunął się w chwili, gdy zamykała za sobą drzwi, i długim korytarzem podążyła w stronę wyjścia.

Pół godziny później Jordanna wróciła do domu. Pokójówka układała właśnie kwiaty w wazonie stojącym na barokowym stole z drewna różanego, który znajdował się pośrodku pokoju.

— Dzień dobry, Tesso! Bukiet, jak zwykle, jest zachwycający. Czy rodzice są w domu?

— Matka pani wróciła godzinę temu. Odpoczywa teraz w swoim pokoju przed kolacją — odrzekła Tessa z uśmiechem, zadowolona z komplementu Jordanny.

Jordanna skierowała się w stronę saloniku myśliwskiego, ale zaraz odwróciła się i spytała:

— Kolacja jest o ósmej?

— Tak.

— Wobec tego mam jeszcze czas. Mama jest taka męcząca z tą swoją manią przebierania się do kolacji!

Spochmurniała na myśl o tym zwyczaju, według niej zbędnym i staroświeckim.

Przeszła przez urządzonej w stylu Ludwika XV salon o ścianach obitych bladozielonym jedwabiem, udekorowany kryształowymi kandelabrami z cennego szkła bakaratowego, po czym zapukała do drzwi saloniku myśliwskiego i weszła do środka. Zobaczyła, że ojciec, z gazetą rozłożoną na kolanach, siedzi w swoim starym, ulubionym fotelu, obitym brązową, zniszczoną skórą. Fajka, którą trzymał w zębach, wygasła. Uśmiech, jakim powitał córkę, rozpogodził jego zmęczoną twarz.

— Dobry wieczór, tatusiu!

Kocim krokiem podeszła do fotela i pocałowała ojca. Zauważyła, że wygląda na znużonego, ale bardzo uważała, żeby nie dać tego po sobie poznać.

— Napiję się whisky. Tobie też nalać? — zaproponowała.

— Proszę.

Fletcher Smith wyjął fajkę z ust i wytrząsnął z niej popiół do popielniczki.

Na biurku stała kryształowa karafka pełna whisky i cztery szklanki. Jordanna napełniła dwie z nich. Nie wrzucała lodu, ponieważ oboje woleli whisky o temperaturze pokojowej. Rozejrzała się wokół. O ile wystrój pozostałej części mieszkania nieustannie się zmieniał zgodnie z kapryсами matki, salonik myśliwski pozostawał zawsze taki sam. Nic się tu nie zmieniał. Przybywały tylko nowe trofea. Ostatnim z nich były rogi antylopy upolowanej przez Jordannę.

— Byłaś u Kita? — zapytał ojciec odbierając szklankę, którą mu wręczyła.

Jordanna wypija łyk whisky i usiadła blisko ojca na kanapie, wyciągając przed siebie długie nogi.

— Tak.

— No i jakie wrażenie zrobił na nim prezent?

— Nie było go w domu, nie czekałam na jego powrót. Ale prezent zostawiłam. — Wypiła następny łyk i sponad szklanki rzuciła okiem na ojca. — Nie mieszka sam. Wiedziałeś o tym?

— Nie.

Fletcher odstawił szklankę na stół i zaczął nabijać fajkę.

— No więc poznałam chłopca, który z nim mieszka. Nazywa się Mike Paterson. Wygląda sympatycznie. — Wsparłszy się wygodnie o poduszki, bawiła się szklanką i wpatrywała w płyn wirujący na dnie. — Kit utrzymuje się wyłącznie z tego, co zarobi? To znaczy, chcę spytać, czy dzieli z kimś mieszkanie, ponieważ jest zmuszony do ograniczania wydatków?

— Może i tak. — Przytknął zapalniczkę do fajki i powoli zaciągnął się dymem. — Pamiętaj na przyszłość, żeby się dobrze upewnić, czy Kit jest w domu, zanim się do niego wybierzesz.

— Dlaczego? — Jordanna zmarszczyła brwi. — Dlatego, że mieszka z jakimś chłopcem? Mike wygląda na porządnego faceta, z pewnością nie jest to ktoś, kto mógłby się na mnie rzucić.

— Nie, nie to miałem na myśli. Uważam po prostu, że musimy uszanować jego pragnienie niezależności i nie powinniśmy przychodzić do niego bez uprzedzenia.

— Sądzę, że masz rację — przyznała, przyglądając mu się spod rzęs. Zobaczyła, że zamknął oczy i przeciągnął ręką po czole. Wyraz zmęczenia odmalował się na jego twarzy.

— Co ci jest tatusiu? Znow migrena?

Zaskoczony jej pytaniem, otworzył powoli oczy i wydawało się, że ma zamiar zaprzeczyć, kiwnął jednak głową i odrzekł:

— Tak, myślę, że to właśnie to.

Zerknęła na gazetę, którą trzymał na kolanach,

podniosła się i podeszła do fotela. Odstawiła szklanekę na stół i zaczęła mu masować skronie.

— Lepiej ci? — spytała.

— O wiele lepiej — mruknął, odprężając się pod wpływem dotyku palców córki.

— Gdyby nie twoja kokieteria, czytałbyś założywszy najpierw to... — Musnęła ręką etui na okulary, tkwiące w kieszeni jego marynarki. — Przeszłyby ci bóle głowy.

Wprawna ręką zaczęła masować napięte mięśnie jego szyi.

— Chętnie znalazłbym jeszcze parę innych wymówek, byleby tylko zasłużyć na twoje podejrzone praktyki manualne.

— Jesteś stanowczo zbyt rozpieszczany.

— O tak, rozpieszczany! — zakpił.

Jordanna wiedziała, że w jego słowach kryła się zawołowana aluzja do braku zainteresowania jej matki zarówno zdrowiem ojca, jak i nim samym.

— Co robiłeś dziś po południu? — spytała, chcąc zmienić temat.

— Zaraz po twoim wyjściu poszedłem na kawę z Maxem Sangerem i... — przerwał, ponieważ ktoś zapukał do drzwi. — Tak?

Weszła Tessa.

— Jest pan proszony do telefonu, panie Smith. Telefonuje adwokat, pan Blackburns.

— Dziękuję, Tesso. Odbiorę tutaj.

— To mi najwyraźniej wygląda na sprawy służbowe! — zauważyła Jordanna, kierując się w stronę drzwi.

— Zostawiam cię, żebyś mógł się spokojnie oddać śmiertelnie nudnej prawniczej dyspacie, a sama pójdę się przebrać do kolacji.

— Wyjątkowo oddany z ciebie przyjaciel, nie ma co! — zażartował Fletcher. — Porzuca ojca w obliczu kłopotów!

Wymówki ojca wywołały wybuch wibrującego, gardłowego śmiechu wychodzącej z pokoju Jordanny, Do*

piero później, gdy brała kąpiel, uświadomiła sobie znaczenie jego słów. Miał rację, byli przyjaciółmi, najlepszymi na świecie! Łączące ich więzy były czymś znacznie bogatszym i głębszym niż związek istniejący zwykle między ojcem i córką.

Gdy tego wieczoru Jordanna weszła do jadalni, zauważyła, że przygotowano tylko dwa nakrycia. Zatrzymała się przy stole tak raptownie, aż jej długa spódnica zawirowała wokół nóg. Ogarnęła wzrokiem cały pokój: kryształowy żyrandol wiszący nad stołem w stylu empire, wiktoriańskie nakrycia stołowe pięknej roboty, wazy z sewrskiej porcelany w kolorze turkusowym, stojące na kolumnkach z różowego onyksu.

Nagle się odwróciła, ponieważ w drzwiach pokoju pojawiła się matka. Miała na sobie długą, zielononiebieską suknię ze stójką. Upięte w kok kruczoczarne włosy o intensywnej, wpadającej w granat barwie, podkreślały piękno jej kocich oczu. Obrzuciła pogardliwym spojrzeniem czarną spódnicę i białą, jedwabną bluzkę córki.

— Ojciec nie je dzisiaj kolacji — oznajmiła, żeby uzasadnić, dlaczego na stole znalazły się tylko dwa nakrycia. — Musiał wyjść z powodu jakichś spraw natury prawnej, żeby podpisać jakieś papiery, czy coś w tym guście. Będziemy zatem tylko my dwie.

— To się zapowiada całkiem uroczo! — mruknęła pod nosem Jordanna, siadając na krześle Chippendale.

Matka miała manię na punkcie mieszania stylów i epok w zestawianiu mebli. Zieleń była jedynym niezmiennym motywem wystroju mieszkania. Także i zasłony w jadalni miały zatem barwę pastelowej zieleni, podkreślona złotem podtrzymujących je sznurów i frędzli.

Weszła Tessa i podała bulion.

— Masz zamiar gdzieś wyjść dziś wieczorem, Jordanno? — spytała matka.

— Nie. — Nabierając bulion łyżeczką, zerknęła kątem oka na siedzącą obok, ciągle jeszcze olśniewająco piękną kobietę. — A ty? — zagadnęła z lekkim sarkazmem.

— Nie. Chciałabym się wcześniej położyć. Mam jutro mnóstwo zajęć w związku z przygotowaniami do przyjęcia. Może znalazłabyś czas, żeby mi pomóc?

— Oczywiście.

Już do końca kolacji wiodły taką wymuszoną, km>tuazyjną konwersację, niczym dwie kotki obserwujące się bacznie nawzajem, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie z wysuniętymi pazurami. Olivia skierowała rozmowę na ambitne, kulturalne tematy, a Jordanna, nie mając innego wyjścia, okazywała uprzejme zainteresowanie.

— Wypijemy kawę w salonie, Tesso — zarządziła Olivia, gdy pokojówka zbierała talerzyki deserowe.

Wstała od stołu, a Jordanna poszła w jej ślady. Gdy matka stanęła obok niej, wydawała się taka drobna i filigranowa, że Jordanna czuła się jak przerosnięta uczennica. Wiedziała jednak w głębi duszy, że na swój sposób jest równie ponętna i pełna wdzięku.

— Czuję ulgę widząc, że potrafisz również porozmawiać inteligentnie o polityce, teatrze i literaturze, Jordanno.

— Zapominasz, Liwie, że podczas gdy ty czytasz wyłącznie skrócone wersje powieści, ja czytam książki w całości. — Od dawna nie mówiła już do niej „mamo”.

Olivia pominęła milczeniem ironiczną uwagę córki i kontynuowała swoją myśl:

— Nasza rozmowa sprawiła mi prawdziwą przyjemność. To dla mnie miła odmiana. Zwykle nudzę się śmiertelnie, gdy słucham, jak ty i ojciec rozmawiacie o polowaniach.

— Gdybyś nieco częściej włączała się do naszych rozmów, pewnie nabrałibyśmy ochoty, żeby podejmować także inne tematy — podesunęła Jordanna, choć wiedziała

doskonale, że matka podczas ich rozmów z rozmysłem trzyma się na uboczu, - Tata i ja bylibyśmy zachwyceni, mogąc porozmawiać także o innych sprawach.

— Tata i ja! Zawsze tylko „tata i ja”! Można by pomyśleć, że jesteście w sobie zakochani i wkrótce weźmiecie ślub! — powiedziała zgrzyliwie.

Jordanna zaczęła tracić panowanie nad sobą. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie kontrolowała już tego, co robi, i odzyskała świadomość dopiero w chwili, gdy poczuła, jak jej dłoń łąduje na policzku matki. Patrzyła na nią, drżąc z wściekłości.

— To potworne! Jak możesz mówić podobne rzeczy! — niemal krzyczała. — Tata i ja mamy te same upodobania. Kochamy się. Kocham mojego ojca, a ty dajesz do zrozumienia, że łączą nas kazirodcze związki. Dlaczego to robisz? Może mi po prostu zazdrościsz, że potrafiłam związać się z kimś prawdziwym, silnym uczuciem. To o to chodzi; prawda? Tobie jeden mężczyzna nie wystarcza — oskarżyła matkę.

Jordanna, zaślepiona wściekłością, nie zauważyła dłoni, przygotowanej, by wymierzyć jej policzek. Głowa dziewczyny odskoczyła w bok pod wpływem uderzenia, a oczy napełniły się łzami. Pomimo to zmusiła się, żeby ani na moment nie opuścić powiek. Spojrzała na matkę lodowatym, wyzywającym wzrokiem.

— Nigdy nie mów do mnie tym tonem! — drżącym głosem powiedziała z naciskiem Ołivia.

— Miałam dwanaście lat, kiedy sobie wreszcie uświadomiłam, że mężczyźni, których brałam za twoich znajomych, są w rzeczywistości twoimi kochankami. Tak, wiem, że u nas w domu się o tym nie mówi. Jest to wstydliva, rodzinna tajemnica! Ale wszyscy o tym wiemy: Kit, tata, ja, Tessa, cała służba i prawdopodobnie wszyscy twoi znajomi. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego traktujesz tatę w ten sposób i dlaczego on pozwala tak się nad sobą znęcać!

— Wszystko zależy od punktu widzenia, Jordanno!

Olivia odzyskała już zimną krew, a jej porcelanowa twarz — biel kości słoniowej, z wyjątkiem czerwonej plamy na policzku. Oczy o barwie jadeitu zwróciły się ku służącej.

— Przynieś kawę, Tesso. I nie rób takiej zakłopotanej miny, miałas już przecież okazję asystować przy naszych kłótniach rodzinnych. — W oschłym tonie jej głosu dało się zauważyć oznaki zmęczenia.

— Tak, proszę pani.

Służąca w mundurku z niezmierną ostrożnością wniosła tacę z zastawą do kawy, postawiła ją na bogato zdobionym stoliku ze złotym ornamentem i stanęła w wyczekującej pozie.

Olivia odprawiła ją nieznacznym gestem upierścienionej dłoni i sama nalała kawę.

— To by była nie lada sensacja, gdybyś raz, dla odmiany, rozważyła sytuację z mojego punktu widzenia, Jordanno.

— Od tak dawna odgrywasz rolę ofiary, że w końcu sama w to uwierzysz.

— Nie wiesz, co to jest samotność — powiedziała, podając Jordannie filiżankę z kruchej porcelany w różowy deseń. — Dobrze, że przynajmniej Christopher mnie rozumie.

— Zawsze był twoim ulubieńcem — stwierdziła Jordanna bez zazdrości. — Zawsze mogłaś na niego liczyć. Wykorzystywałaś go w swoich rozgrywkach z ojcem. A wiedząc doskonale, jak pragnął zawsze mieć syna, podburzałaś Kita przeciwko niemu. Każdy ojciec marzy o tym, żeby nauczyć syna polować, łowić ryby czy wprowadzać go w rodzinne interesy. Krótko mówiąc, marzy o tym, żeby przekazać mu wiedzę o życiu.

— To o to ci zawsze chodziło, Jordanno? Próbowalaś zastąpić ojcu syna? — spytała Olivia z obłudną słodyczą w głosie.

Jordanna gwałtownym ruchem odstawiła spodeczek na stół. Nie była pewna, czy potrafi zapanować nad rękami — pragnienie, by uciszyć złośliwe uwagi matki, stawało się zbyt silne. Ponieważ jednak już raz nie zdołała nad sobą zapanować, postanowiła nie zaczynać wszystkiego od nowa.

— Nie próbuję być jego synem. Jestem kobietą. Wyglądam jak kobieta, zachowuję się i myślę jak kobieta. Nie jestem mniej kobieca tylko z tego powodu, że lubię sport i polowanie. A z ojcem łączy mnie przyjaźń.

Podniosła się, żeby wyjść z salonu.

— Dokąd idziesz? — spytała matka.

— Do swojego pokoju — odrzekła nie zatrzymując się. - Zaczynam się dusić w tej atmosferze.

— Czyżbyś nadal jeszcze nie rozumiała, o czym ci przed chwilą mówiłam, Jordanno? — Pytanie trafiło w próżnię.--Zawsze zostawiają mnie samą.

W ciszy swojego pokoju Jordanna poczuła się lepiej. Jak zwykle po tego rodzaju scenach miała nerwy w strzępach i ściśnięty żołądek. Niczym tygrysica w klatce, krążyła po dywanie w beżowo-zielono-niebieski wzór orientalny.

Zdjęła spódnicę, założyła czerwone, aksamitowe spodnie, a wokół talii związała długi szal z czerwonego jedwabiu. Sięgnęła po torebkę na poślaczonym łańcuszku i wyszła.

Powietrze na zewnątrz było wilgotne. Upał, panujący w ciągu dnia, mieszał się z nocną wilgocią. Portier wezwał taksówkę. Jordanna z impetem wskoczyła do środka i podała kierowcy adres klubu, do którego często chadzała, gdy akurat była w Nowym Jorku. Skuliła się na tylnym siedzeniu i ogryzała paznokcie.

Kiedy wchodziła samotnie do nocnego klubu, poczuła w pewnej chwili, że ma ochotę się stamtąd wycofać. Ogłuszająca muzyka, migające rytmicznie światła i zbity tłum wywołały w niej odruch paniki. Nagle zaczęła żałować, że tu przyszła. Pomimo to, skierowała się w stronę baru.

Zanim jednak zdążyła tam dojść, zaproszono ją, by się przyłączyła do wesołej kompanii, okupującej dwa stoliki. Z pewnym trudem rozpoznała swoich znajomych, z którymi zwykła spędzać czas w tym klubie. Istotnie, znała ich chyba wszystkich. Przywitała się, ogłuszona ggiełkiem muzyki, hałaśliwych rozmów i śmiechów.

Ktoś podał jej szklanę z alkoholem, co na chwilę uspokoiło nerwy, napięte do ostatecznych granic. Potem wypita jeszcze wiele kolejnych drinków, próbując rozładować nieznośne napięcie. A choć śmiała się, tańczyła i flirtowała z kim popadło, nie udawało się jej pozbyć dręczącego uczucia niepokoju. I to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, już w godzinę później skłoniło ją do wyjścia z klubu.

Gdy oznajmiła, że wychodzi, posypały się propozycje odprowadzenia jej do domu. Odrzuciła je, gdyż dobrze wiedziała, na co byłaby narażona, przyjmując którąś z nich. Skończyła dwadzieścia cztery lata i zdążyła się już przekonać, że zmysłowość budzi się w niej równie łatwo, jak uczucie rozdrażnienia. Nie odczuwała nawet potrzeby, żeby kochać mężczyzn, którzy brali ją w ramiona. Wystarczała jej przyjemność wynikająca z poczucia bliskości. Trzeba było tylko zamknąć oczy. Wcześniej czy później musiała je wszakże otworzyć, a wtedy rzadko jej się podobało to, co przed sobą widziała.

Nie stanowiło to sposobu na rozproszenie poczucia samotności ani na rozwiązanie dręczących ją problemów. Uściski męskich ramion dawały jej jedynie przelotne chwile zapomnienia. A tymczasem ona żarliwie pragnęła czegoś innego. Pusty pokój był dla niej znacznie lepszym schronieniem niż przelotna namiętność. Przywołała taksówkę i wróciła do domu.

4

Jordanna rozsmarowała na krakersie czubatą łyżkę kawioru i połknęła łąpczywie. Kelner, wynajęty do obsługi przyjęcia, przyglądał się, jak dziewczyna oblizuje palce, na których pozostało kilka ziarenek cennej ikry jesiotra.

— Niezłe!

— Chciałaby pani jeszcze? — spytał z drwiącym wyrazem twarzy.

— Hmm... Nie, dziękuję.

Zignorowała nieco wyzywający ton jego głosu i ruszyła na przechadzkę po domu. Wszędzie uwijali się kelnerzy. Usłyszała głosy w salonie i wydawało się jej, że rozpoznaje głos brata.

— ...całkiem niezłe z tym przyjęciem.

Jordanna usłyszała tylko ostatnie słowa wypowiedzianego przez Kita zdania.

— Tak, na to wygląda — odparła matka. — Bardzo mi ciebie brakowało. We dwoje zawsze łatwiej organizuje się tego rodzaju bankiety.

T- Jestem pewien, że świetnie sobie beze mnie poradzisz.

— Spodziewam się najgorszego — westchnęła. — Ojr ciec zaprosił swoich przyjaciół, a.j.

OHvia snułaby dalej swoje zgryźliwe refleksje, gdyby nie dostrzegła Jordanny stojącej w progu.

— Nie musisz sobie przerywać z mojego powodu, Liwie — rzekła Jordanna ironicznie, kwitując w ten sposób milczenie spowodowane jej nadejściem,

W oczach obu kobiet pojawił się niebezpieczny błysk, gdy zmierzyły się wzrokiem.

— Dzień dobry, Jordanno — odezwał się Kit, chcąc położyć kres wiszącej w powietrzu potyczce.

— Witaj, Kit. — Jej wzrok złagodniał, gdy zwróciła oczy na brata. — Byłam wczoraj u ciebie.

Kit, wysoki i zgrabny, miał gęste, czarne włosy matki i brązowe oczy ojca, podkreślone długimi, wywiniętymi rzęsami. W jego wzroku i w wygięciu warg można było teraz dostrzec wyraz pewnego cynizmu. W miarę upływu lat, regularne rysy Kita zatraciły świadcząca o nadwrażliwości subtelność. Był bardzo przystojny, a według Jordanny — niemal doskonały.

— Wróciłem pół godziny po twoim wyjściu — odrzekł.

Uwagę Jordanny przyciągnął szelest papieru. Do pokoju weszła Tessa, wnosząc pokrowiec, z którego wystawał dół szmaragdowej sukni.

— A cóż to znowu takiego? Jeszcze jedna suknia, Liwie? — zdziwiła się Jordanna z jawną zgryźliwością. Matka miała szafę pełną sukienek, a każdą z nich mogła założyć najwyżej dwa razy.

— Tak, Christopher specjalnie ją dla mnie zaprojektował na dzisiejszy wieczór — odpaliła raptownie. — Myślałam, Jordanno, że jesteś w swoim pokoju i przygotujesz się do przyjęcia.

— Mam jeszcze mnóstwo czasu — wzruszyła ramionami. — Nie potrzebuję go w tym celu aż tak wiele jak ty!

Trafiła w sedno. Uważnie przyjrzała się matce: miała twarz tak wypielegnowaną, że wydawało się, iż czas się jej nie ima.

A ponieważ Olivia znów się najeżyła, Kit położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Dlaczego sobie chwilę nie odpoczniesz? Wiem

przecież, jak ci zależy, żeby dziś wieczorem być u szczytu formy. Ja już dopilnuję, żeby wszystko było gotowe, i zajmę się kelnerami, bądź spokojna — obiecał. — Masz za sobą męczące popołudnie z powodu wszystkich tych przygotowań, potrzebujesz odrobiny spokoju, zanim rozpocznie się przyjęcie.

— To wspaniała propozycja. — Spojrzała na syna z czułością. — Dziękuję, Christopherze.

Z zaciśniętymi wargami Jordanna odprowadziła wzrokiem matkę, wychodzącą z pokoju dumnym, majestatycznym krokiem.

Zwróciwszy się do brata, z irytacją potrząsnęła głową.

— Bez przerwy jej pochlebiasz, chcesz jej zaoszczędzić najdrobniejszych trosk. Dlaczego? Przecież jest dorosła... i ma pazury!

— Jesteś bezlitosna, Jordanno.

— Jestem bezlitosna! — Niewiele brakowało, a znów straciłaby panowanie nad sobą. Wzięła się jednak w garść. — Kit, dlaczego nie możemy zamienić ze sobą nawet dwóch słów, żeby nie zacząć się od razu kłócić?

— Zanadto się różnimy. — Kit był spokojny, zawsze zachowywał się spokojnie. — Nie potrafimy się ze sobą porozumieć nawet jeżeli, w gruncie rzeczy, bardzo nam na sobie nawzajem zależy. Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że ten sam dylemat dzieli naszych rodziców?

Odwróciła się do niego plecami.

— Nie mam czasu, żeby z tobą na ten temat dyskutować. Muszę wziąć kąpiel i przebrać się przed przyjęciem.

Po długiej, odprężającej kąpieli w aromatycznej pianie Jordanna wyszła z wanny i wytarła się ręcznikiem. Sięgnęła po krótki szlafrok, założyła go i przewiązała paskiem. Usiadła przy toalecie i, wyjąwszy spinki podtrzymujące jej długie włosy, potrząsnęła głową. W chwili

gdy zamierzała posmarować twarz kremem, ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — spytała.

— To ja. — Usłyszała głos brata. — Mogę wejść?

Zawahała się przez chwilę, a potem zawołała:

— Wejdz.

Usłyszała, jak otwiera i zamyka drzwi do jej pokoju, a potem zbliża się do łazienki wyłożonej włoskim marmurem. Zatrzymał się w progu i oparł o futrynę. Z niepokojem spojrzała na jego odbicie w lustrze. Czyżby miał zamiar podjąć dyskusję rozpoczętą w salonie?

— Chciałem ci podziękować za prezent.

Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się.

— To drobnostka. Mam nadzieję, że ci się spodobał?

— Bardzo. Znalazłem dla niego honorowe miejsce na stoliku do herbaty.

— Bardzo mi się spodobał sposób, w jaki urządziłeś mieszkanie. — Jordanna szczerowała ciemne brwi, zarysowujące się naturalnym łukiem. — Co robi Mike?

— Jest inżynierem. Pracuje w przedsiębiorstwie robót publicznych.

Badawczo wpatrywał się w nią ciemnymi oczami. Wydawało się, że oczekiwał innego pytania. Jordanna zastanawiała się, co by tu jeszcze dorzucić.

— Wygląda sympatycznie — zauważyła.

— Tak, jest bardzo sympatyczny.

Znów na chwilę zapadła cisza, lecz Christopher przerwał ją pośpiesznie:

— Kiedy znów wybierasz się z tatą na polowanie?

— Nie wiem dokładnie. Dostaliśmy zezwolenie na odstrzał muflona w Idaho. Sezon łowiecki rozpoczyna się we wrześniu. Tata przebąkiwał coś o wyjeździe na ryby w sierpniu, ale teraz trenuje w klubie, żeby nabrać dobrej formy przed polowaniem.

— Czy nigdy nie pomyślałaś, żeby w pewnej chwili z tym zerwać? — Patrzył na nią poważnym, natarczywym

wzrokiem. — Nie mogłabyś przestać włóczyć się po świecie i zabijać nieszczęsne zwierzęta? Pomyśl raczej o tym, żeby po swojemu urządzić sobie życie.

— Nie muszę iść w twoje ślady tylko dlatego, że nie potrafiłeś oprzeć się pokusie uwicia własnego gniazdka. — Rzuciła rozbawione spojrzenie odbiciu brata w lustrze i sięgnęła po puder w kremie. — Bardzo lubię to, co robię, a zresztą nie chodzi przecież o to, żeby zabijać, tylko żeby polować.

— To tylko gra słów. A rezultat jest zawsze ten sam: śmierć zwierzęcia.

Wygiął pogardliwie usta, a jego wzrok spochmurniał.

Jordanna podjęła cierpliwie próbę obrony swojego punktu widzenia:

— Gdyby w tym kraju nie było myśliwych, zwierzyna zanadto by się rozmnożyła i spustoszyłyby pola uprawne. Zniszczyłyby pastwiska i w końcu wyginęła z głodu. Trzeba zatem kontrolować jej liczebność, a polowanie jest sposobem mniej okrutnym niż głód czy choroby.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale nie potrafię zrozumieć, jak możesz to lubić.

— Lubię znaleźć się pod gołym niebem, z dala od ludzi i kłopotów. Widok dzikich zwierząt w ich naturalnym środowisku fascynuje mnie bardziej niż oglądanie zwierząt w ZOO. Czy widziałeś kiedyś orła wzbijającego się ponad górską rzeką? Albo jelonka brykającego we mgle o brasku? Na tym właśnie polega urok polowania! Konfrontacja własnych możliwości z możliwościami zwierzęcia, które ma zmysły dwa albo i trzy razy lepiej rozwinięte niż twoje, a jest przy tym sto razy bardziej czujne!

— Ho, ho! To ci dopiero przemówienie!

Christopher kpił z niej, bijąc brawo. Jordanna rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Przestań!

— W porządku, zmienmy temat — zgodził się. — Kogo ze swoich znajomych zaprosiłaś na dzisiejszy wieczór?

— Nikogo.

Malowała sobie powieki cieniami przechodzącymi stopniowo od brązu do beżu, potem sięgnęła po brązowy ołówek.

— Dlaczego? — Christopher był zdziwiony. — Masz przecież wokół siebie cały tłum adoratorów.

— Postanowiłam wyrzec się mężczyzn. Jedna nimfomanka w rodzinie wystarczy w zupełności. Nie mam zamiaru rywalizować z Liwie w jej dwuznacznych podbojach — rzekła ostrym tonem.

Christopher zeszczywniał, blady ze złości.

— Dość tego, Jordanno! Kiedy wreszcie przestaniesz prześladować matkę swoimi zarzutami?

— A kiedy ty przestaniesz biec jej za każdym razem na ratunek? — odcięła się Jordanna. — Oboje dobrze wiemy, że kochanków ma bez liku. Zawsze ich miała, ma i będzie miała. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek się zmieniła. Mówię tylko, że nie mam zamiaru iść w jej ślady.

— A kto ci każe ją naśladować? — Nie pozwolił jej dojść do słowa. — Wiem, że miałaś kilka przygód, które przyniosły ci tylko rozczarowanie. Ale partnerzy, których sobie wybierałaś, pozostawiali zawsze wiele do życzenia. Mając takie ciało, nie możesz sobie wmawiać, że nie masz ani potrzeb, ani pragnień.

— Potrafię nad nimi zapanować — zapewniła stanowczo.

— Tylko że to wcale nie rozwiąże twoich problemów.

— Skoro tak dużo o mnie wiesz, to mi powiedz, co według ciebie rozwiąże moje problemy.

— Wydaje mi się, że uważasz seks za coś wstydliwego. Może dlatego, że fatalnie wybierałaś sobie mężczyzn, z którymi coś cię łączyło. Doznania seksualne są bardzo piękne, jeśli dzielisz je z kimś, kogo kochasz. Nie czujesz potem najmniejszego wstydu, pozostaje tylko cudowne wspomnienie.

— No, dobrze już, dobrze! — Rozśmieszyła ją jego zarliwość. — Może powinnam pójść z tobą na którąś z twoich randek i pilnie robić notatki.

Christopher zbladł.

— Z pewnością lepiej zrozumiesz, o co mi chodzi, jeżeli porównam to z polowaniem. Nie tracisz czasu, żeby upolować zwierzę niegodne twojej uwagi. Starasz się znaleźć możliwie najlepszy okaz należący do tego gatunku, który jest celem polowania — najpiękniejsze, najlepiej zbudowane i najszlachetniejsze zwierzę. — Przerwał na chwilę, po czym znacznie już spokojniejszym głosem podjął wątek: — Każdego dnia można trafić na kogoś, z kim warto spędzić życie, Jordanno. Nigdy nie spotkasz swojego mężczyzny, jeżeli nie będziesz go szukać. A przeciwstawianie się własnej zmysłowości może cię tylko unieszczęśliwić.

Jordanna, chcąc uniknąć natrafienia w lustrze na wzrok brata, wpatrywała się uporczywie w okrągłą szcoteczkę od tuszu do rzęs. W porównaniu Kita było wiele trafności, ale wynikające z tego wnioski budziły jej sprzeciw. Przedłużająca się cisza zmusiła ją w końcu do uniesienia głowy, lecz ujrzała w lustrze odbicie tylko swojej twarzy: Kita już nie było. Odwróciła się, zdumiona. Z pokoju dobiegł szelest papieru.

- Kit?

Zaciekawiona podeszła do drzwi. Odwrócony do niej tyłem, pochylał się nad czymś, co leżało rozłożone na łóżku. Nie mogła dojrzeć, co to takiego. Zerknął na nią przez ramię i uśmiechnął się z zaaferowanym wyrazem twarzy.

— Chodź zobaczyć, mam tu coś dla ciebie.

Jordanna podeszła bliżej.

- C o t o j e s t ?

Kit zdjął papier, odsłaniając długą, czarną suknię.

— Zaprojektowałem ją dla ciebie.

Jeden rzut oka wystarczył, by Jordanna zachwyliła się prostotą kroju tej kreacji.

— Jaka piękna!

Górną część sukni stanowiły dwa pasy materiału, połączone z wysoką, szeroką talią i podtrzymywane dwoma cienkimi ramiączkami, które na plecach przechodziły w dwie kokardy z jeszcze cieńszych paseczkow materiału.

— Jest naprawdę urocza! — stwierdziła Jordanna ze śmiechem.

— Jest idealna dla ciebie! — zaznaczył z głębokim przekonaniem. — Pokreśli cudowną symetrię twojej twarzy i piękno skóry. Spódnice specjalnie zrobiłem taką szeroką na dole, żeby zwrócić uwagę na twój nadzwyczajny sposób poruszania się. I wolałbym już określenie „prowokująca” niż „urocza”!

— Ale ja nigdy nie ubierałam się na czarno — próbowała jeszcze słabo protestować. Zawsze jej się wydawało, że czerń zarezerwowana jest dla matki.

— Czerń uwydatni rudy odcień twoich włosów. Uwierz mi, będziesz w tym wspaniale wyglądać. Chociaż raz będziesz mogła ujawnić w całej krasie ten dziki, nieucywilizowany wdzięk, który wyróżnia cię spośród innych kobiet.

Przypatrywała mu się uważnie, a jednocześnie ze szczerym rozbawieniem.

— Czy muszę przez to przejść, żeby się pogodzić z własną kobiecością, Kit?

— To będzie pierwszy krok — potwierdził z niezmałym spokojem. — Założysz ją dziś wieczorem?

— Tak.

Ale nagle przypomniała sobie:

— Zaprojektowałaś na ten wieczór również suknię dla Liv. Wykorzystujesz nas, prawda? Służymy ci za modelki dla strojów, które projektujesz? Liwie będzie miała na sobie próbkę twoich kreacji przeznaczonych dla dojrzałych piękności, a ja będę przykładem twojej wizji kobiety fatalnej. Masz nadzieję zyskać kilka klientek

wśród zaproszonych pań? — W jej oskarżeniu nie było wszakże złośliwości.

Wzruszył ramionami i stwierdził Oschle:

— To zaczyna być nużące, — Podszedł do drzwi. — Lepiej pójde zobaczyć, jak sobie radzą kelnerzy.

Jordanna stała nieruchomo, patrząc za wychodzącym z pokoju Kitem. Dręczyła ją świadomość, że nic o nim nie wie.

Westchnęła, skończyła makijaż i ubrała się. W czarnej, zupełnie prostej sukni wyglądała olśniewająco. Dżersejowy stanik doskonale uwydatniał jej pierś, a głębokie wycięcie odsłaniało dekolt. Szeroki pas podkreślał cienką jak u osy talię. Poniżej zaś, suknia szerokimi fałdami spływała w dół.

Czarny kolor zachwycająco kontrastował ze śnieżną bielą ramion i akcentował płomienne błyski we włosach. Jordanna rozpuściła je luźno na ramiona i tylko po obu bokach uniosła nieco, wpinając dwa grzebienie. Jedyłą biżuterię stanowiła para złotych kolczyków — dwa lśniące koła.

Gdy przechodziła przez przedpokój, do chwili nadejścia pierwszych gości pozostał jeszcze co najmniej kwadrans. Zamiast więc skierować się w stronę salonu, poszła korytarzem prowadzącym do sąsiadujących ze sobą sypialni rodziców, żeby zobaczyć, czy ojciec zdążył się już przygotować.

Drzwi sypialni należącej do matki były uchylone. Jordanna już miała je ominąć, gdy nagle usłyszała głos ojca. Nie zamierzała wcale podsłuchiwać ich rozmowy, chciała tylko poczekać, aż ojciec stamtąd wyjdzie.

— Masz na sobie przepiękną suknię — zauważył z uznaniem. — Wspaniale podkreśla intensywną zieleń twoich oczu.

Był to z pewnością komplement, lecz wypowiedziany z nutą lekkiego sarkazmu. Od pewnego czasu ojciec tylko takim tonem rozmawiał z żoną.

— I ja jestem tego zdania. To dzieło Christophera — oznajmiła matka.

— No tak, mój syn został krawcem! — stwierdził Fletcher z mieszaniną niechęci i goryczy w głosie.

Jordannę uderzyła intonacja, z jaką ta uwaga została wypowiedziana. Zdawała sobie sprawę z przepaści dzielącej ojca i brata, ale nie uświadamiała sobie dotychczas, że w stosunku ojca do Kita tyle jest szyderstwa i dezaprobaty.

— Proszę cię, Fletcher! Christopher jest bardzo utalentowany. Pewnego dnia będzie sławny!

— Oby Bóg miał nas tego dnia w swojej opiece!

— Chociaż raz bądź sprawiedliwy, Fletcher. Myślisz wyłącznie o sobie i o tym, co ludzie powiedzą — odparła Olivia. — Martwisz się, że to mogłoby zaszkodzić twojej reputacji i, kto wie, może nawet podano by w wątpliwość twoją męskość.

— Przez ciebie Kit stał się tym, kim jest! — zaatakował porywczo Fletcher.

— O tak, zrzuć na mnie całą odpowiedzialność! Tylko ja jestem wszystkiemu winna. Przypuszczam, że to ja również zrobiłam z Jordanny awanturnicę, skora do pociągania za cyngiel. Jestem pewna, że nie masz sobie nic do zarzucenia!

— Nie mieszaj do tego Jordanny! — przerwał jej Fletcher. — Ona jest kobietą i nawet jeżeli nosi broń, nikt nie kwestionuje jej kobiecości!

Jordanna usłyszała głuchy odgłos, jakby ktoś rzucił jakiś przedmiot na stół.

— Po co przyszedłeś do mojego pokoju, Fletcher?! Żeby upajać się przyjemnością kłótni ze mną tuż przed przyjęciem? — spytała Olivia. — Nie uda ci się zepsuć mi tego wieczoru. Nie pozwolę ci na to.

— A cóż takiego szczególnego jest dla ciebie w tym wieczorze? Czyżbyś zaprosiła swojego ostatniego kochanka? Znam go? Mam nadzieję, że mi go przedstawisz?

— A jeśli tak, to co zrobisz? — spytała wyzywająco.
— Może go wyzwiesz na pojedynek? Chyba jednak prędzej odwrócisz się do niego plecami i będziesz udawał, że nie masz pojęcia, że jest moim kochankiem!

Jordanna poczuła się wstrząśnięta tak bezwstydnym okrucieństwem matki.

— Kto to jest, Liwie? — Głos ojca brzmiał głucho i złowrogo.

— Mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna! Kiedy trzymam mnie w swoich ramionach, zapominam o twoim istnieniu, Fletcher. A jest to nadzwyczaj przyjemne wrażenie.

Gorycz, która narastała w nich w miarę upływu lat, osiągnęła taką zjadliwą intensywność, a rozkład ich wzajemnych stosunków sięgnął już takiego dna, że Jordanna nie mogła tego dłużej słuchać. Wróciła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy była dzieckiem, ich kłótnie przyprawiały ją wręcz o fizyczne cierpienia. Ale i teraz, w wieku dwudziestu czterech lat, nie znosiła tego o wiele lepiej.

Nie potrafiłaby powiedzieć, ile czasu spędziła, siedząc na brzegu łóżka, z ramionami ciasno oplecionymi wokół bioder. Nie usłyszała, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł brat.

— Jordanno? Goście zaczynają się schodzić. Nie przyjdiesz tam?

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Kit zmarszczył brwi i podszedł do niej.

— Coś nie w porządku? — spytał.

— Dlaczego oni nie skończą ze sobą raz na zawsze? Dlaczego nie przestaną się nawzajem torturować dzień po dniu?

W odpowiedzi na pełne udręki pytania siostry, Christopher tylko westchnął głęboko.

— Kit, ona już afiszuje się ze swoimi kochankami tuż pod jego nosem, chełpi się nimi tak, jakby to były trofea myśliwskie. Dlaczego od niego nie odejdzie?

— Myślisz, że nie próbowała? — mruknął.

Otworzyła szeroko oczy.

— Ale... — Zmieszała się i zamilkła.

— Tata nie chciał nawet słyszeć o rozwodzie. Bóg jeden wie, czy dzięki temu nasze dzieciństwo było szczęśliwsze, ale... Nie powinnaś brać na swoje barki ich problemów, Jordanno. Chodź! — Wziął ją za rękę. — Jeżeli zostaniesz w tym pokoju, nikt nigdy nie zobaczy twojej sukienki — dorzucił z ciepłym uśmiechem.

Po chwili wahania Jordanna mocno ujęła jego dłoń. Gdy była dzieckiem, mogła chować się w jego pokoju, ale teraz była dorosła i sama musiała stawić czoło życiu.

Scandalous

5

Gdy Brig wyszedł z windy, Max czekał już w hallu. Brig ledwie rzucił okiem na kuzyna, zaczął natomiast błędnie spojrzaniem wokół niego, jakby spodziewał się tam kogoś ujrzeć.

— A gdzie twoja żona? Nie zabrałaś jej na przyjęcie?

Najwyraźniej był tego dnia wyjątkowo rozdrażniony i kaśliwy. Już sama myśl o czekających go światowych rozrywkach wyprowadzała go z równowagi. Zły humor wyładowywał na Maxie.

Miał na sobie ciemny garnitur i założył krawat; kowbojski kapelusz zostawił w pokoju hotelowym. Czuł się wprawdzie bez niego zupełnie nagi, ale za to nie przyciągał teraz zaciekawionych spojrzeń.

— Rozwiodłem się z Charlotte już pięć lat temu, gdy dzieci dorosły. Myślałem, że o tym wiesz. — Max skierował się w stronę wyjścia. — Pojedziemy taksówką.

— Domyślam się, że zbrzydło jej w końcu nieustanne wystawianie jej do wiatru.

Brig doskonale zdawał sobie sprawę, że traktuje Maxa wyjątkowo podle, próbując w ten sposób rozładować dręczący go w głębi duszy lęk przed podjęciem decyzji, pomimo to nie przestawał snuć jadowitych refleksji:

— Często się zastanawiałem, czy przypadkiem nie

czerpiesz zadowolenia z amatorów tylko pod warunkiem, że kochając się z jakąś kobietą, musisz jednocześnie zdradzać inną.

— Ktoś inny dawno już by ci przyłożył pięścią w twarz, Brig.

Max starał się opanować, ale kark mu spurpurowiał.

— Racja, każdy inny przynajmniej by spróbował — przyznał Brig z drwiącym uśmiechem. — Dziwi mnie, że nie ożeniłeś się ponownie, Max.

— Szczerze mówiąc, myślałem o tym. Jest w moim życiu ktoś, na kim mi zależy, ale ani myślę ci o tym opowiadać, bo bym się tylko naraził na zniewagi!

Przeszli przez drzwi obrotowe i Max kazał portierowi wezwać taksówkę. Po chwili obaj mężczyźni usadowili się na tylnym siedzeniu i Max spytał:

— No więc, postanowiłeś już, co odpowiesz Fletcherowi?

— Tak — odrzekł niechętnie Brig.

— I nie możesz tego nikomu zdradzić?

Max, widząc, że udało mu się trafić w czuły punkt, zerknął z ukosa na Briga.

— Będę jego przewodnikiem i zorganizuję mu to polowanie.

Na twarzy Maxa pojawił się pogardliwy wyraz.

— Czuję się pokrzepiony widząc, że każdego można kupić, zwłaszcza gdy ciebie to dotyczy, Brig — rzekł tonem wyższości.

— Tylko że ja nie musiałem się pozbywać mojego pakietu akcji, Max — odparł Brig podniesionym głosem. — Nie musiałem też brudzić sobie rąk machlojkami, które obmyśliłeś, żeby pozbyć się nic już niewartej spółki i zwalić ją na kark bogatemu jeleniowi!

— Tak czy owak, zawsze mogę jeszcze sprzedać moją część. A nawet jeżeli się okaże, że zrobił kiepski interes, to i tak przez to nie zbiednieje.

Brig przyjrzał mu się badawczo.

— Nienawidzisz Smitha, co?

Max unikał jego wzroku.

— On ma coś, czego pragnę ponad wszystko.

— Jesteś taki, jak nasz stary: zrobisz wszystko, żeby to zdobyć, nawet gdybyś musiał zełgać, zdradzić albo ukraść — powiedział Brig z głęboką pogardą.

— Trafiła mi się dobra okazja i nie zamierzam pozwolić jej się wymknąć.

Brig pomyślał, że faceci pokroju Maxa rzadko wypuszczają szansę z rąk. Tylko człowiek uczciwy zaharowuje się, by potem stracić jednego dnia to wszystko, o co walczył przez całe życie. To nie jest w porządku. Ale życie rzadko bywa sprawiedliwe. On powinien myśleć wyłącznie o sobie. Po to, by uratować ranczo, musi pójść na kompromis ze swoimi zasadami. Jego pogarda dla Maxa wynikała zapewne z faktu, że dostrzegł w nim jedną z własnych wad, tyle że znacznie intensywniej rozwiniętą. Czyż bowiem u innych nie dostrzegamy najlepiej swoich własnych przywar?

— Które piętro? — spytał Maxa, gdy dojechali na miejsce.

— Jasne, że ostatnie, z tarasem! Też pytanie!

Brig zastanawiał się, po co tu przyjechał. Równie dobrze mógł zatelefonować. Naprawdę nie miał ochoty iść na to idiotyczne przyjęcie. Było już jednak za późno, żeby się wycofać. Ten cały Fletcher robi ze mną, co chce — pomyślał ze złością.

Kiedy dotarli na ostatnie piętro, przyjęcie rozpoczęło się już na dobre. Przez zamknięte drzwi dobiegał gwar głosów i śmiechów. Na dźwięk dzwonka wyszedł im na spotkanie ubrany na czarno *maitre d'hôtel*. Zaznaczywszy dyskretnie na liście gości podane przez Maxa nazwiska, wprowadził ich do salonu.

Był tam już tłum gości. Niektórzy stali, inni siedzieli,

śmiali się, rozmawiali, jedli i pili. Podszedł kelner z tacą i podał Brigowi kieliszek szampana. Po raz ostatni Brig pił szampana w czasach, gdy żył jeszcze dziadek. Max poprosił o martini.

— Lubi pan szampana, panie McCord?

Fletcher Smith przyglądał mu się z uśmiechem.

— Jest doskonały.

Brig badał zawartość kieliszka oceniając kolor i naturalne musowanie.

— Widzę, że jest pan koneserem.

Fletcher, z głową lekko przechyloną na bok, nie spuszczał z niego oka.

— Mój dziadek szczylił się umiejętnością odróżniania dobrego wina od miernego i wpoił mi zasady degustacji. Był zdania, że jest to wiedza niezbędna dobrze wychowanemu człowiekowi. — Jeden kącik ust Briga uniósł się w uśmiechu. — Ale dla mnie picie wina jest tylko sposobem, żeby się upić.

— Jeśli nawet tak jest, nie ulega wątpliwości, że się pan na tym zna — stwierdził z naciskiem Fletcher.

— Gra w domino też ma swoich ekspertów.

Brig zachował dla siebie uwagę, że według niego umiejętność odróżniania dobrego wina od złego jest wyłącznie snobizmem.

— Cieszę się, że pan przyszedł, McCord.

Fletcher uściśnął dłoń Briga; zwlekał z tym gestem aż do tej chwili. Potem zwrócił się do Maxa:

— Nie miałem wątpliwości, Max, że przyjdiesz, nie byłem tylko pewien, czy przyjdzie twój kuzyn.

— Hm, nie byłeś pewien?

Brig nie ukrywał swego zdenerwowania:

— Przecież doskonale pan wiedział, że nie mogę odrzucić pańskiej oferty.

- Doprawdy? — Fletcher udał zdziwienie. — Mam jednak nadzieję, że to, co pan powiedział, nie oznacza, że ma pan zamiar odmówić.

— Nie. Przyjmuję pańską ofertę — potwierdził niechętnie Brig.

- Świetnie! — Fletcher wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął stamtąd kopertę i wręczył ją Brigowi. — Oto zaliczka i podsumowanie w paru słowach tego, co już uzgodniliśmy. Proszę do mnie zatelefonować mniej więcej za tydzień, gdy pan już ustali konkretną datę, a ja tymczasem postaram się przekonać Maxa, żeby się z nami wybrał.

Brig, nie zajrzawszy nawet do koperty, schował ją do kieszeni. Był coraz bardziej rozdrażniony. Po kiego diabła tu przychodził?

— Ja się już wystarczająco zapaliłem do tego polowania — oznajmił Max. — Nigdy jeszcze nie byłem na Zachodzie. To znaczy — poprawił się natychmiast — bywałem, oczywiście, w Kalifornii i kilka razy jeździłem na nartach w Aspen, ale wyprawa, którą zaplanowałeś, to dla mnie pasjonująca przygoda. Zupełnie możliwe, że tym razem będę mógł ci towarzyszyć.

— Ale nie masz uprawnień myśliwskich, Max, a jest już za późno, żeby załatwić potrzebne dokumenty. — Fletcher przyglądał mu się badawczo.

— To nie polowanie tak mnie pociąga, tylko raczej sama wyprawa — odrzekł Max.

Brig od razu zrozumiał, dlaczego Maxowi tak zależy na tym wyjeździe. Miałby dwa, może nawet trzy tygodnie na przekonywanie Fletchera, by kupić spółkę. Fletcher byłby skazany na jego towarzystwo.

— Możesz się wykończyć w tych górach, Max — uprzedził Brig. Wiedział, że Max nie podoła wyczerpującej wspinaczce w wysokich partiach gór, gdzie występują muflony.

— Mam dwa miesiące, żeby się odpowiednio przygotować. To mi w zupełności wystarczy — powiedział Max, po czym zwrócił się do Fletchera: — No właśnie, moglibyśmy razem potrenować w klubie.

— Dlaczego nie? Nie pomyślałem o tym -r- odparł z uśmiechem Fletcher. — Nie widzę powodu, żebyś miał z nami nie jechać. A co pan na to, panie McCord?

— Muszę przyznać, że ładna z was będzie para! — odparł Brig ponurym tonem.

Max parsknął śmiechem, jakby w tym, co powiedział Brig, było coś wyjątkowo zabawnego.

— Nie obawiaj się, mój drogi, zapłacę za siebie.

— Pozwolicie, panowie, że was na chwilę przeproszę — odezwał się Fletcher. — Gdzieś tu w pobliżu jest moja żona. Ghciałbym jej panów przedstawić. Sprawdzę, czy może nam poświęcić parę chwil.

Gdy tylko Fletcher się oddalił, Brig spojrzał z wściekłością na Maxa.

— Nie pojedziesz na to polowanie, Max!

— Przed chwilą sam mnie zaprosił. Słyszałeś zresztą — powiedział Max z zadowoloną miną, kołyszając się na obcasach.

— Nie mam zamiaru maczać palców w twoich planach! Jeżeli będziesz się upierał przy tym wyjeździe, oddam mu pieniądze i niech sobie szuka kogoś innego.

— Nie zrobisz tego. Potrzebujesz tych pieniędzy.

Brig zaklął w duchu. Musiał, niestety, przyznać, że to prawda. Próbował jednak blefować:

— Ale nie potrzebuję ciebie. Moja umowa z Fletcherem dotyczy tylko dwóch osób i zaraz mu o tym przypomnę,

— Jeżeli będziesz mi rzucał kłody pod nogi, Brig, doprowadzę do zerwania twojego kontraktu z Fletcherem. Ja, w odróżnieniu od ciebie, nie mam nic do stracenia. Proszę, żebyś o tym nie zapominał.

Czy Max rzeczywiście mógłby wpłynąć na Fletchera? Brig nie wiedział, ale nie-chciał się o tym przekonywać, stawiając wszystko na jedną kartę.

— Jeżeli pojedziesz, będziesz musiał bulić. I to gotówką, od pierwszego dnia, zaraz jak tylko przyjedziesz. Nie zamierzam udzielać ei kredytu.

— I nie obawiasz się, że moje pieniądze mogą cuchnąć?

— Nie mam co do tego wątpliwości. Ale nic zamierzam płacić ani centa za twoje jedzenie, spanie czy transport. Dobra, rób co chcesz ze Smithem, nie wymieniaj tylko nigdy mojego nazwiska i nawet nie próbuj wplątywać mnie w któreś ze swoich krętaństw.

Max sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Odechnął z ulgą.

— No, to doszliśmy do porozumienia.

— I twoja w tym głowa, żebyś podczas wyprawy był w dobrej formie, bo jeżeli się okaże, że nie nadażasz, po prostu cię zostawię. A to jest ogromny obszar! Mogłoby się okazać, że nigdy nie będę cię już mógł odnaleźć — zagroził Brig.

Jego szampan już się nie pinił, oddał zatem kieliszek przechodzącemu w pobliżu kelnerowi i zamówił whisky z lodem. Potrzebował czegoś, co by go pokrzepiło na duchu.

— Nie pozbędziesz się mnie, chyba żebyś się pozbył Fletchera. — Max pociągnął łyk martini. Zakończenie zdania wymamrotał z nosem w szklance, było ledwie słyszalne. — O wilku mowa! Właśnie tu idzie ze swoją żoną.

Brig spojrział we wskazanym przez Maxa kierunku i wśród tłumu gości dostrzegł wysoką postać pana domu. Prowadził drobną, uderzająco piękną brunetkę, ubraną w szmaragdową suknię, pięknie podkreślającą zieleń jej oczu. Brig zorientował się po chwili, że kolor jej włosów, niegdyś też z pewnością intensywnie czarnych, nie był obecnie dziełem natury. Na gładkiej twarzy nie dostrzegł wszakże ani jednej zmarszczki. W wyrazie doskonale zarysowanych warg odbijała się pewna gorycz. Kobieta zbliżała się do pięćdziesiątki, ale rozpaczliwie pragnęła zachować młodość. Brig zastanawiał się, ile ją kosztuje podtrzymywanie tak młodego wyglądu;

Zauważył, że ani razu nie spojrzała na męża i nie

zwracała najmniejszej uwagi na to, że ujmuje ręką jej łokieć. Nic nie wskazywało, żeby istniała między nimi ta więź, która łączyła pary wśród jego znajomych farmerów, a w ich zachowaniu wyczuwało się coś, co nasuwało przypuszczenie, że nie są zgodnym małżeństwem.

Zielone oczy wpatrywały się w Maxa i Brigowi zdawało się, że krąży w nich jakaś tajemnica, nietrudna do rozszyfrowania. Pomyślał, że kobieta przypomina przyczajonego kota. Kątem oka dostrzegł, że Max napuszył się jak paw, lecz nie widział w tym niczego nadzwyczajnego: w towarzystwie ładnych kobiet nigdy nie zachowywał się inaczej.

— Sądzę, Liwie, że Maxa już znasz — stwierdził Fletcher.

— Tak, spotkaliśmy się już kiedyś. — Przyznała, podając Maxowi dłoń. — Jestem zachwycona, że mógł pan nas odwiedzić. Jak się pan miewa?

— Znacznie lepiej, odkąd panią znów ujrzałem, Liwie. — Był czarujący, szarmancki, słowem, prawdziwy światowiec. — Jest pani jeszcze piękniejsza niż podczas naszego poprzedniego spotkania!

— „A pan jest niepoprawnym pochlebcą, Max.

Wybuchnęła śmiechem, lecz Brig zauważył, że jej twarz rozpromieniła się i zaróżowiła z radości. Dziwiła go naiwność kobiet w jej wieku. Widocznie ta tutaj była naprawdę zdesperowana.

— Ale za to właśnie pana lubię — dorzuciła.

— Gdybym tylko mógł uwierzyć w choć jedno pani słowo! — westchnął Max. — Chciałbym pani przedstawić mojego kuzyna, Briga McCorda. Brig, przedstawiam ci Olivię Smith.

— Jestem szczęśliwy, że mogłem panią poznać, pani Smith.

Brig poczuł, że dotyk stwardniałej skóry jego rąk nieco ją zaskoczył. Z pewnością nie spotykała zbyt często ludzi o takich dłoniach.

— Przyjaciele mówią do mnie Liwie — powiedziała, nie okazując najmniejszego odruchu niechęci wobec niego.

Mógłby jej powiedzieć coś równie miłego jak komplementy Maxa, lecz upłynęło już zbyt wiele czasu, odkąd stracił wszelki kontakt ze światowym życiem. Skłonił się tylko na znak milczącej aprobaty. Nie miał najmniejszej ochoty, by zrobić na niej dobre wrażenie.

— McCord zgodził się zostać moim przewodnikiem podczas polowania na muflony, zaplanowanego przeze mnie na wrzesień — rzekł Fletcher do żony.

— O!

Najwyraźniej było jej to kompletnie obojętne.

— Tak, Brig ma rancho w Idaho — dorzucił Fletcher.

— To szalenie interesujące! — uśmiechnęła się uprzejmie do Briga.

Nie był zaskoczony jej brakiem entuzjazmu. Przypominała kotkę, przyzwyczajoną do wylegiwania się na poduszkach i spijającą słodką śmietankę ze srebrnego talerzyka. Znow spozrzegł ze zdumieniem, jak wiele dzieli tych dwoje ludzi — amatora polowań na grubego zwierza i wyrefinowaną światową damę.

— Rancho McCorda znajduje się w fantastycznej, dzikiej okolicy. Tego dnia, kiedy omawialiśmy warunki naszej umowy dotyczącej polowania, Max tak się tym zainteresował, że postanowił nam towarzyszyć.

Spojrzała na Maxa z nieukrywanym zdumieniem.

— Nie wiedziałam, że lubi pan polować.

— Nie pociąga mnie samo polowanie, tylko smak ryzyka, przygoda, którą mi obiecują Fletcher i Brig — wyjaśnił Max. — Postanowiłem więc urządzić sobie tam wakacje. Bez telefonów nikomu nie uda się mnie tam dopaść. Fletcher i ja będziemy, oczywiście, musieli spędzić razem dużo czasu, żeby popracować nad kondycją fizyczną.

— Jest pan pewien, że to rozsądna decyzja? — spytała.

— Jeżeli pani sugeruje, że grozi mi zawał podczas treningu, to z pewnością nie mogę tego uznać za pochlebstwo! — Max parsknął śmiechem.

Zdumiony Brig zmarszczył brwi: był absolutnie pewien, że nie o to chodziło Olivii Smith.

— Czuję się stary, kiedy mi pani mówi takie rzeczy — poskarżył się Max.

— Pan nigdy nie będzie stary, Max. — Olivia z uroczym uśmiechem odrzuciła taką możliwość.

Kelner przyniósł szklaneczkę whisky zamówioną przez Briga i szepnął pani domu kilka słów na ucho. Przeprosiła ich i odeszła.

Do Maxa dołączyła jakaś jego znajoma i Brig znów musiał, chcąc nie chcąc, poddać się prezentacjom i wysłuchiwać konwencjonalnej paplaniny. Pod pretekstem, że chciałby podejść do bufetu, czym prędzej rozstał się z Maxem. Wziął sobie kilka małych kanapek, po czym zaszył się w odległym kącie i, sącząc powoli whisky, z roztargnieniem przysłuchiwał się dobiegającemu zewsząd gwarowi. Dobre wina, wykwintne jedzenie, wytwornie ubrani goście, banalne rozmowy — wszystko to obudziło w nim dawne wspomnienia, choć należało do przeszłości, która minęła bezpowrotnie i do której nigdy nie chciał powracać.

Powietrze gęste było od dymu tytoniowego. Zażywny jegomość kopał cygaro, wypuszczając kłęby gryzącego dymu, które snuły się po całym pokoju. Do uszu Briga docierały strzępy zdań bez ładu i składu.

Max nadal był pochłonięty rozmową. Brig wiedział, że gdyby tylko zechciał, mógłby się teraz znajdować na jego miejscu, kierować spółką o zasięgu wpływów rozciągających się na cały kraj, nosić szyte na miarę garnitury, zasiadać za kierownicą luksusowego samochodu, wyjeżdżać na wakacje do Europy i mieć wytworne mieszkanie. Gdybym to ja stał na czele Sanger Corporation, nie doprowadziłbym spółki do takiego stanu,

w jakim znalazła się przez Maxa — pomyślał Brig. Ale czy nie był zbyt pewny siebie? Wystarczy przecież popatrzeć, w jakim stanie znalazło się jego ranczo.

Niech to diabli! Brig pociągnął spory łyk whisky, skrzywił się i zakręcił szklanką, wsłuchując się w dzwonienie kostek lodu. Omiótł spojrzeniem cały salon. Co za kontrast w porównaniu z ranczem, które sobie wybudował mając Tandy'ego Burnesa za pomocnika! A przecież mógł mieć to wszystko! Poczul ulgę, gdy sobie uświadomił, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

Nagle, w chwili gdy podnosił szklankę do ust, ujrzał młodą rudowłosą kobietę, którą widział w Hiltonie. Nie mógł w pierwszej chwili uwierzyć własnym oczom, ale to rzeczywiście była ona. Przyszła na przyjęcie wydane przez żonę swojego kochanka! Po chwili zastanowienia Brig doszedł jednak do wniosku, że tego rodzaju zuchwałstwo jest w jej stylu!

Czarna suknia dziewczyny, bardzo sexy, nie miała w sobie nic wulgarnego. Wyglądała w niej znacznie korzystniej niż w koszuli i w spodniach, w których ją widział poprzedniego dnia. Głęboki dekolt sukni obudził w Brigu nagłą chęć, by przykryć dłonią piersi dziewczyny — bez trudu by je objął. Przeniósł wzrok na kasztanowe włosy, w których tańczyły ognistorude błyski. Przypomniała mu się jego bułana klacz.

Potem uwagę Briga przyciągnął młody brunet, który towarzyszył dziewczynie. Był wysoki, piękny jak młody bóg i przypominał Brigowi kogoś znajomego. Ale kogo? Brig nie łamał sobie tym głowy. A zatem nie przyszła sama. Kto więc postarał się dla niej o towarzystwo tego mężczyzny? Ona sama czy Fletcher?

Po chwili przyłączyła się do nich jasnowłosa dziewczyna o bujnych kształtach, która najwyraźniej nadużyła nieco alkoholu. Przywitała się zdawkowo z kobietą i natychmiast zapomniała o jej obecności, całą swoją uwagę koncentrując na mężczyźnie, którego objęła

ramieniem i przytuliła bezceremonialnie. Brig zauważył, że mężczyzna przyjmuje wylewność blondynki z całkowitą obojętnością. Uśmiechnął się w duchu. Teraz wszystko stało się jasne: przystojny opiekun zupełnie nie interesował się płcią odmienną.

Brig dopił whisky i podniósł się z zamiarem napełnienia szklanki na nowo. Zanim jednak doszedł do baru, zatrzymała go pani domu.

- Max zostawił pana samego? — spytała słodkim, nienaturalnym głosem.

— Jest bardzo zajęty rozmową z jednym ze sw"Źich znajomych w pokoju obok.

Zielone oczy dostrzegły natychmiast, że jego szklanka jest pusta.

— Może się pan jeszcze czegoś napije, panie McCord?

— Właśnie miałem zamiar czegoś sobie nalać.

Zatrzymała kelnera, lawirującego wśród rozproszonych po całym pokoju grupek gości, i wręczyła mu szklankę Briga.

— Jeszcze jedna szklaneczka dla tego pana — zarządziła, zwracając ku Brigowi pytające spojrzenie.

— Whisky z lodem.

Kelner skinął głową i skierował się w stronę baru.

— Jak długo zamierza pan pozostać w Nowym Jorku, panie McCord?

Olivia stała tak blisko, że ciężki aromat jej perfum odurzył Briga.

— Wyjeżdżam jutro rano.

Zapalił papierosa, chcąc wciągnąć w płuca zapach tytoniu.

— O, tak szybko? A od dawna pan tu jest?

Było oczywiste, że prowadząc z nim tę uprzejmą rozmowę, wywiązuje się jedynie ze swoich obowiązków pani domu wobec zaproszonego gościa.

— Od wczoraj: — Brig nie wysiłał się, by podtrzymać tę konwersację.

Oboje zresztą nie mieli ochoty na pogawędkę. Na szczęście powrót kelnera wybawił ich od tego kłopotliwego obo.wiązku.

— Nie chcę pani zatrzymywać, pani Smith, ma pani wielu innych gości.

— Pozwoli pan, że przedstawię pana moim przyjaciołom, państwu Fennimore.

Ujęła dłonią jego łokieć i Brig, by nie okazać się skończonym gburem, musiał z nią pójść.

Wzrok Jordanny przyciągnęła ubrana na zielono postać. To mogła być tylko matka, gdyż tego wieczoru nikt inny nie miał na sobie stroju w tym kolorze. Brat i Alisha Van Dykę byli tak pochłonięci rozmową, że Jordanna, w braku lepszego zajęcia, mogła swobodnie obserwować, co się wokół niej dzieje.

Matka rozmawiała z ciemnowłosym mężczyzną w brązowym garniturze. Jordanna nie znała tego człowieka. Obejrzała więc go sobie od stóp do głów: orli profil, szerokie ramiona, wąskie biodra i wysmukła sylwetka, nasuwająca skojarzenie z wilkiem stepowym. Jego włosy miały kolor ciemnej czekolady, były dość niestarannie ostrzyżone. Skórę miał ogorzałą, a wąskie wargi wieńczyły bujne wąsy. Pomimo swobodnego sposobu bycia, miał w sobie coś niepokojącego — był jak przyczajony do skoku drapieżnik.

Jordanna pomyślała, że jest on jednym z tych, z którymi lepiej nie zadzierać, bo mogą się okazać groźnymi przeciwnikami — nieustępliwymi i odważnymi aż do zuchwalstwa. Nie widziała wokół siebie nikogo, kto mógłby dotrzymać mu pola — z wyjątkiem, być może, jej ojca.

Brat dyskretnie dał jej kuksańca i, patrząc na nią błagalnym wzrokiem, wzywał ją na pomoc. Oczekiwał, że siostra uwolni go od uczeptionej jego ramienia blondynki.

— Kit, kochany, przynieś mi coś do picia! — poprosiła Jordanna z figlarnym błyskiem w oczach.

— Już pędzę — zgodził się skwapliwie, z uprzejmym uśmiechem uwalniając ramię z objęć blondynki. — Wybacz, Alisho.

Kiedy wrócił, dzierżąc w dłoni szklanke, Alishy już nie było. Jordanna i Kit wmieszali się w tłum gości. Wkrótce jednak znów ich rozdzielono.

Porzuciwszy dwie parki pochłonięte nudną dysputą o estetyce sztuki współczesnej, Jordanna błąkała się przez chwilę po salonie. Żadna z rozmów, których strzępy do niej docierały, nie wzbudziła jej zainteresowania. W odległości kilku kroków dostrzegła ojca, wycofującego się dyskretnie z gromadki gości. Jordannę uderzył wyraz straszliwego znudzenia malujący się na jego twarzy, choć dzielnie starał się to ukryć. Stanąwszy za plecami ojca, dotknęła jego łokcia i afektowanym głosem zagadnęła:

— Czy widziałeś już, tatusiu, ostatnią wystawę malarstwa współczesnego?

Odrzucił się raptownie, ze zdumieniem unosząc brew, lecz zaraz uśmiechnął się, pojawiając, że córka stroi sobie tylko żarty z toczących się wokół rozmów.

- Szczerze mówiąc, nie. Chętnie posłucham, co masz mi na ten temat do powiedzenia.

Jordanna parsknęła śmiechem, a potem westchnęła:

— Jaka szkoda, że nie jesteśmy gośćmi! Moglibyśmy się stąd wymknąć!

— O, tak! — Fletcher rozejrzał się wokół. — Wygląda na to, że stanowimy wyjątek: zdaje się, że nikt nie ma ochoty stąd wyjść. Jest jeszcze więcej osób niż na poprzednim przyjęciu, które się tu odbyło. Twoja matka z pewnością jest zachwycona, to prawdziwy sukces.

Wzmianka o matce sprawiła, że Jordanna odruchowo spojrzała w jej stronę. Olivia wiodła ożywioną rozmowę z podstarzałym, szpakowatym mężczyzną, szczupłym i eleganckim. Wiedziała, że skądś go zna, nie potrafiła

sobie jednak przypomnieć jego nazwiska. Musiał mieć niemało uroku, sądząc po wyrazie zachwyty, z jakim matka go słuchała. Kątem oka zerknęła na ojca. Z goryczą i smutkiem patrzył na kobietę, która była jego żoną.

Jordanna, chcąc oderwać go od niewesołych myśli, rzuciła:

— Marzę o dziesięciu minutach ciszy i spokoju. Czy ktoś by zauważył, gdybyśmy ulotnili się na chwilkę?

— Nikt. — Spojrzał na nią z pełną czułości wdzięcznością. — Dokąd pójdziemy?

— Do saloniku myśliwskiego.

Był to ich ulubiony pokój, jakże różniący się od reszty mieszkania, przytłaczającej nadmiarem zbytku.

— Zgoda — powiedział z nieznacznym uśmiechem.

Zmierzali już w tamtym kierunku, gdy nagle ojciec przystanął i rzekł:

— Jedną chwilkę, zauważyłem Sama Brookfielda, chciałbym z nim zamienić parę słów. — Wsunął jej klucz do ręki. — Zamknąłem, żeby nikomu nie strzeliło do głowy bawić się bronią. No, idź. Za chwilę do ciebie przyjdę.

— Nie daj na siebie czekać.

Odszedł, wychodząc na spotkanie wysokiemu mężczyźnie w okularach, który zmierzał w ich stronę.

Naprawdę ma pan ranczo, z końmi i tak dalej?

Młoda brunetka z niedowierzaniem przyglądała się Brigowi. Była bardzo pociągająca. Tuż po rozwodzie, jak mu wyjaśniła. Brig był głęboko przeświadczony, że gdyby zmyła z siebie cały ten makijaż, niewiele by zostało z jej piękności.

- Tak, mam ranczo z końmi, i tak dalej, i tak dalej.

Na próżno błądził wzrokiem po salonie, szukając rudowłosej dziewczyny, która jeszcze przed chwilą rozmawiała z Fletcherem. Czyżby już wyszła?

— To dziwne, ale nie wygląda pan na kowboja. Może wąsy... — orzekła młoda brunetka.

— Następnym razem założę ostrogi i wielki kapelusz — odburknął ostro Brig, chcąc ją zniechęcić do rozmowy.

Wybuchnęła śmiechem.

— Spod jakiego pan jest znaku? Ja jestem Bykiem.

— Ja? Strzelcem.

Miał nadzieję, że obu tych znaków nie da się ze sobą pogodzić.

— Jaka szkoda! — Przez jej twarz przemknął wyraz dezaprobaty, zaraz się jednak rozpozgodziła. — A zna pan swój ascendent?

— Nie. Bardzo żałuję.

Uśmiechnął się, ale jego oczy nadal były jak dwie bryłki lodu.

— Nie wiem zresztą, jak dalece można wierzyć gwiazdom — powiedziała, wzruszywszy ramionami.

— Mój były mąż i ja powinniśmy się byli doskonale ze sobą zgadzać, ale bez przerwy skakaliśmy sobie do oczu.

— Tak to bywa.

Brig nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać szczegółowej opowieści o ich rozwodzie. Odwrócił się nagle, usłyszawszy za sobą wybuch głośnego śmiechu. Olivia Smith stała tuż przy Maxie. Najwyraźniej była nim zafascynowana. Gdy przybyli na przyjęcie, Brig odniósł wrażenie, że tych dwoje nie widziało się już od bardzo dawna. Teraz jednak zachowywali się tak, jakby rozstali się zaledwie wczoraj. Przemknęło mu przez myśl, że mają ze sobą romans, ale natychmiast odrzucił tę ewentualność. Pomimo wszystko Max nie zdobyłby się chyba na zuchwalstwo uwodzenia żony człowieka, którego próbował wystrychnąć na dudka! Spojrzał w stronę, gdzie ostatnio widział Fletchera, lecz już go tam nie było. Zastanawiał się, czy Fletcher nie ulotnił się w ślad za rudą dziewczyną. Ale kobieta, dotrzymująca mu towarzystwa, przerwała te rozmyślenia.

— Czy zna pan Fitzpatricków? — Pytała już po raz drugi.

— Nie.

— Jutro wieczorem wydają przyjęcie, zapowiada się nadzwyczaj interesująco. Może chciałby pan tam ze mną pójść?

— Bardzo żałuję, ale jutro rano wyjeżdżam.

— Och! — Starła się ukryć rozczarowanie. — A kiedy pan wróci do Nowego Jorku?

— Minęło czternaście lat, odkąd byłem tu poprzednim razem. Przy odrobinie szczęścia... za następne czternaście lat — odrzekł, przyglądając się topniejącym w szklance kostkom lodu. — Wybacz pani, ale pójdę teraz po coś do picia.

Dziewczyna nie zaprotestowała, choć zdawała sobie sprawę, że on już nie wróci.

Przy bufecie Brig oddał szklankę kelnerowi i zamówił następną. Była to już trzecia szkocka, nie licząc szampana, a mimo to nadal nie odczuwał żadnych skutków działania alkoholu. Obszedł bufet dokoła, ale nie znalazł niczego, na co miałby ochotę.

W rogu salonu trzech mężczyźni rozmawiali o zbliżającym się polowaniu. Brig przystanął, żeby posłuchać, o czym mówią. Jeden z nich przechwalał się, jak to pierwszym strzałem trafił łosia z odległości kilometra. Inny zrewanżował się opowieścią, w której miejsce łosia zajęła z kolei antylopa. Brig odszedł, zastanawiając się, dlaczego ci ludzie nigdy nie opowiadają o zwierzętach, do których spudłowali.

6

Ktoś zapukał do drzwi. Jordanna podniosła się z kanapy i starannie poprawiła leżącą przed kominkiem skórę niedźwiedzia. Zanim otworzyła, spytała:

— Kto tam?

— To ja — usłyszała stłumiony głos ojca.

Wpuściła go i rzekła z uśmiechem:

— Brawo, jednak udało ci się przyjść!

— Jak tu spokojnie! — westchnął Fletcher, gdy zamknęły się za nim drzwi.

— Chcesz się czegoś napić?

— Nie.

Usiadł w swoim ulubionym fotelu i położył głowę na oparciu. Przez grube ściany dotarł do nich stłumiony wybuch śmiechu. Wyraz troski i znużenia przemknął przez twarz ojca.

— Wyglądasz na zmęczonego, tatusiu — stwierdziła z niepokojem i usiadła na kanapie.

— Nie, to tylko starość.

Fletcher uśmiechnął się nieznacznie. Jordanna, nie odwzajemniając uśmiechu, odrzekła:

— Nie mówiłbyś tak, nawet byś o tym nie pomyślał, gdybyś przed chwilą nie pokłócił się z Liwie.

— Skąd o tym wiesz?

— Tak przypuszczam.

Wolała nie przyznawać się, że przypadkiem wszystko słyszała. Olivia przysparzała ojcu już dość zmartwień, by teraz miał się jeszcze dowiedzieć, że Jordanna była świadkiem ich kłótni.

— Jest wysoce prawdopodobne, że po tylu latach małżeństwa tego rodzaju przypuszczenia są w pełni uzasadnione.

Nigdy jeszcze tak otwarcie nie przyznał się do swoich małżeńskich kłopotów. O nieporozumieniach z żoną nigdy nie mówił ani Jordannie, ani jej bratu. Był to temat tabu.

— Dlaczego nie nastawisz jakiejś muzyki? Może chociaż trochę uda nam się zagłuszyć hałas, który stamtąd dociera — zasugerował.

Jordanna podeszła do biblioteczki. Na jednej z półek stała wieża stereo. Wybrała kasetę, wsunęła ją w szczelinę magnetofonu i wyregulowała dźwięk, żeby muzyka nie była zbyt głośna. Wróciła na kanapę i wygodnie oparła się o poduszki. Ojciec przymknął oczy, by móc się lepiej wsłuchać w kojącą nerwy melodię.

Jordanna podejrzewała, że zasnął, ale gdy muzyka zaczęła się powtarzać, otworzył oczy i zerwał się z fotela. Poprawił ubranie. Nagle, gdy obciągał poły marynarki, wyczuł kształt przedmiotu znajdującego się w wewnętrznej kieszeni. Zmarszczywszy brwi, wyjął stamtąd płaską szkatułkę i z zakłopotaniem spojrzął na Jordannę.

— Chciałem ci to dać przed przyjęciem, ale zapomniałem—powiedział.

— Co to jest?

W chwili gdy wstawała z kanapy, odpiął się jeden z zatrzasków jej sukni.

— O, do licha — zakłęła cicho. — Tatusiu, czy mógłbyś, z łaski swojej, zapiąć mi sukienkę?

Brig doznawał nieprzyjemnego uczucia, że ściany pokoju go osaczają. Powietrze stawało się coraz bardziej

duszne. Widział wokół siebie ludzi, którzy rozmawiali ze sobą jakby nigdy nic, całkowicie obojętni na czyniony przez siebie harmider. Nagle poczuł na plecach powiew rześkiego powietrza. Rozejrzawszy się w poszukiwaniu jego źródła, dostrzegł, że wiszące w jadalni zasłony lekko się kołyszają. Odkrył uchylone drzwi balkonowe prowadzące na taras. Przepisnąwszy się przez tę szczelinę, wymknął się na zewnątrz.

Przytłumione odgłosy przyjęcia roztapiały się tutaj w ulicznym gwarze. Łuna światła nad miastem nie pozwalała wprawdzie dostrzec gwiazd, ale przynajmniej było tu więcej przestrzeni. Można było swobodnie poruszać się i oddychać.

Na tarasie porozstawiano liczne rośliny doniczkowe i eleganckie metalowe meble, zachęcające do odpoczynku; Brig zignorował to zaproszenie i podszedł do balustrady. Jakaś para wyszła za nim, ale on, nie pragnąc towarzystwa, odwrócił się plecami do chichoczącej dziewczyny i poszukał schronienia w cieniu wysuniętego dachu. Przystanął za węglem, żeby odizolować się jeszcze skuteczniej.

Światło, przenikające przez szyby kolejnych drzwi balkonowych, tworzyło na płycie tarasu jasny prostokąt. Z pewnym zaciekawieniem Brig zerknął do środka. Był to salonik myśliwski. Pan domu wystawił tam na pokaz swe myśliwskie trofea i wszędzie na ścianach znajdowały się porozwieszane wypchane głowy upolowanych zwierząt. Nagle Brig zobaczył Fletchera, który wychodził zza biurka. Z jego zachowania wynikało, że ktoś jeszcze jest w pokoju, ale zanim Brig zdążył sobie to uprzytomnić, ujrzał młodą, rudowłosą kobietę w czarnej sukni. Odwróciła się plecami do Fletchera, który podszedł, by zapiąć jej sukienkę.

Na twarzy Briga pojawił się drwiący uśmiech. Jeśli przedtem zastanawiał się, dlaczego oboje kolejno wymknęli się z przyjęcia, to teraz już znał odpowiedź. Z uznaniem przyglądał się jasnej skórze i pięknej linii

pleców dziewczyny. Fletcher wyjął z pudełka naszyjnik i otoczył nim jej szyję. Widać było, że jest zachwycona, z wdzięcznością cmoknęła go w policzek.

Piękny! — W zagłębieniu dłoni trzymała krzyżyk z jadeitu, delektując się chłodnym dotykiem kamienia. — Ale z jakiej okazji mi to dajesz? Przecież moje urodziny będą dopiero za pół roku.

— Czy po to, żeby dać prezent własnej córce, muszę czekać aż do dnia urodzin? Zobaczyłem to, pomyślałem o tobie i kupiłem.

— Szalenie mi się podoba. Dziękuję!

Nigdy przedtem nie robił niczego podobnego. Jordanna była zdumiona, nieco zbита z tropu i bardzo szczęśliwa. Fletcher skierował się w stronę drzwi.

— Wrócę tam. Idziesz ze mną?

— Nie, jeszcze tu chwilę zostanę.

— Zamknę drzwi na klucz, żeby ci nikt nie przeszkadzał. Ty też nie zapomnij ich dobrze zamknąć, jak będziesz wychodzić — dorzucił,

— Nie zapomnę — obiecała.

Gdy ojciec wyszedł, Jordanna, bawiąc się bladzielonym wisiorkiem, odwróciła twarz ku przeszkłonym drzwiom wiodącym na taras. Uśmiechnęła się, Wzruszona podarunkiem ofiarowanym jej w odruchu ojcowskiej czułości. Nagły błysk zapałki za szybą drzwi balkonowych poraził jej oczy. Zdołała tylko dostrzec zarys wysokiej sylwetki, Ktoś stał na zewnątrz. Zdrętwiała i przez chwilę zabrakło jej tchu, gdy ujrzała, że postać zbliżyła się i czyjaś dłoń nacisnęła klamkę. Człowiekiem, który wtargnął do saloniku myśliwskiego, był ów nieznamy, rozmawiający z jej matką.

— Od jak dawna pan tu jest?

Była oburzona myślą, że mógłby ją śledzić! On zaś* słysząc jej agresywny ton, uśmiechnął się tylko ironicznie,

— Od niedawna — odrzekł spokojnie, lekko przeciągając słowa, — Jeżeli zależało pani na dyskrecji, trzeba było zasłonić okna. — Odwrócił się i zaciągnął firanki,

— Gdyby mi przyszło do głowy, że ktoś może być na zewnątrz, z pewnością bym to zrobiła — odcięła się energicznie, lecz bez złościwości.

— To nikt pani nie mówił? Ktoś tu obok wydaje przyjęcie, wszędzie pełno gości, zaglądają do wszystkich kątów. — Zatoczył ramieniem szeroki łuk. — Muszę jednak przyznać, że udało się pani tutaj znaleźć przytulną kryjówkę, z dala od tłumu i hałasu.

W szklance, którą trzymał w dłoni, był już tylko lód. Pomiedzy jego palcami żarzył się papieros.

— Tak, tu jest spokojnie — przyznała Jordanna, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego nie każe mu wyjść.

Prawdę mówiąc, była nim zafascynowana. Widziała go już przedtem, ale wtedy stał po drugiej stronie salonu, wśród tłumu ludzi, nie była więc przygotowana na to tete-a-tete. Jego spojrzenie przywodziło na myśl gwałtowne porywy suchego pustynnego wiatru. Miał niezwykle piękną twarz, o rysach ostrych i wyrazistych. Twardą linię warg wieńczyły ciemne wąsy. Jego męski urok, mający w sobie coś niebezpiecznego, ekscytował Jordan* nę, tym bardziej że Brig zachowywał się wobec niej dość obcesowo. Jednak tym, co zniewalało ją najbardziej, było przenikające ją aż do szpiku kości wrażenie jego niezachwianej pewności siebie i nieposkromionej siły.

Nie potrafiła go określić jednym trafnym słowem. Przyszedł jej na myśl epitet „zwierzę”. Istotnie, wydawało się jej, że podobnie jak zwierzę reaguje na otoczenie i ma równie silny instynkt samozachowawczy. „Wyga kuty na cztery nogi” też jakoś do niego nie pasowało, choć z pewnością wyszedł cało z niejednej w życiu opresji. Widać było, że czuje się całkiem swobodnie w garniturze i krawacie, mimo iż nie jest to z pewnością jego zwykły

strój, co dowodziło, że potrafi się przystosować do każdej sytuacji. Krótko mówiąc — chytry wilk w owczej skórze.

Tymczasem Brig rozglądał się po pokoju.

— Ho, ho, ile tu trofeów!

Zatrzymał się przed umieszczonymi nad kominkiem potężnymi ciosami słońca. Jordanna mogłaby wprawdzie pochwalić się, że to jej zdobycz, ale czuła, że nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia.

— Owszem, sporo tu tego.

Uświadomiła sobie, że jej głos nie zabrzmiał zbyt pewnie, ale pocieszała się, że tego nie zauważył. Zaskoczyło ją odkrycie, że do tego stopnia czuje się zmieszana samą jego obecnością.

Brig odwrócił się od ściany i zaczął rozluźniać węzeł krawata. Nagle spojrzał na Jordannę.

— Pani to nie przeszkadza?

Uznawszy, że jej opinia jest mu na pewno całkiem obojętna, machnęła tylko ręką i powiedziała:

— Nie, niech się pan nie krępuje.

Patrzyła, jak zdejmuje krawat i wtyka go do kieszeni. Rozpiął także kołnierz koszuli. Pod Jordanią zaczęły drżeć kolana, nogi miała jak z waty. Postanowiła wziąć się w garść. Podeszła do stojącej na biurku karafki i do kryształowej szklaneczki nalała sobie whisky.

Brig wyciągnął rękę ze swoją szklanką.

— Nie ma lodu — uprzedziła.

— Nie szkodzi, mam jeszcze trochę.

Biorąc od niego szklankę, odruchowo starała się, by nie dotknąć jego placów.

— Ile panu nalać?

— Do pełna.

Dolała sporą porcję whisky do topniejącego lodu i odstawiła karafkę. Gdy odwróciła się z napełnionymi szklankami, stał tuż obok niej. Dzieliło ich kilka centymetrów. Wzrok, który w niej utkwiał, przepełniony był

pożądaniem. Czuła, że cała drży. Spojrzenie mężczyzny zatrzymało się na wysokości jej ust, W niezmierne zakłopotanie wprawiła ją ta poufałość. Zdjął marynarkę i został tylko w białej koszuli.

— Pańska szklanka. — rzekła pośpiesznie, podając mu whisky.

Podniósł rękę, ale zamiast wziąć od niej szklankę, ujął palcami krzyżyk z jadeitu, spoczywający w zagłębieniu jej piersi. Nie unióśł go jednak, by przyjrzeć się z bliska, tylko oparł dłoń na nie osłoniętych suknią wypukłościach jej ciała. A choć posuwał się za daleko i jego zachowanie było jawnym grubiaństwem, Jordanna nie potrafiła okazać swego oburzenia, bo ogarniało ją zgoła inne, niepoahamowane uczucie!

— Szlifowany jadeit! Bardzo piękna rzecz i... bardzo droga.

Natarczywie wpatrywał się w Jordannę. Nie odważyła się drgnąć, ale udało się jej powiedzieć spokojnym, obojętnym tonem:

— Czy nie zechciałby pan zabrać stąd ręki i wziąć wreszcie swoją szklankę?

Jego oczy błędziły po twarzy Jordanny, jakby ważył wszystkie za i przeciw.

— Nie, raczej bym nie zechciał.

— Jeżeli nie cofnie pan ręki, będę zmuszona wylać panu zawartość szklanki na głowę — ostrzegła spokojnie i stanowczo.

— Lepiej niech pani tego nie robi! — Zabrzmiało to znacznie groźniej i o wiele bardziej onieśmielająco niż pogróżka dziewczyny.

Jego palce powędrowały wzdłuż złotego łańcuszka. Powoli i zdecydowanie zaciskał go wokół jej szyi, tuż pod brodą. Robił to odruchowo i nagle sobie uświadomił, że następny obrót uczyni z cienkiego, lecz mocnego łańcuszka skuteczną garotę. Mógł jednak w ten sposób unieruchomić dziewczynę. Strzegł się przy tym bacznie,

by nie naciskać na łańcuszek zbyt mocno — nie chciał zostawić śladów na jej szyi.

Jaką ona miała skórę! Czy całe jej ciało było równie delikatne i jasne? Rozumiał, dlaczego Fletcher zrobił z niej swoją kochankę. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie mógł z tak bliska podziwiać jej piękność.

Spojrzał dziewczynie głęboko w oczy. Obserwowała go w napięciu, ale się go nie bała. Miała wiele odwagi i swego rodzaju... siły! Brig przypomniał sobie kobiety, z którymi sypiał w ciągu ostatnich dwudziestu lat, i musiał przyznać, że ta dziewczyna miała w sobie znacznie więcej kobiecości niż wszystkie pozostałe. Irytowała go tylko myśl o tym, kim ona jest.

Gdy znów zatrzymał wzrok na jej ustach, ogarnęła go chęć, by poznać ich smak. Odszukał je wargami. Usta dziewczyny nie zachowały ciepła pocałunków innych mężczyzn. Były takie świeże i słodkie! Puścił złoty łańcuszek i ujął dłońmi jej szyję, żeby nie mogła odwrócić twarzy.

Łańcuszek opadł i krzyżek z jadeitu powrócił na swoje miejsce w zagłębieniu piersi Jordanny. Znów poczuła chłód kamienia na rozpalonej skórze. Nawet nie próbowała opierać się zaborczości mężczyzny, który otaczał dłońmi jej szyję. Najpierw biernie poddawała się pocałunkom, ale przewyciężył stopniowo jej opór. Wąsy Briga łaskotały jej skórę, a wargi, gorące i twarde, badały każde zagłębienie, każdą wypukłość jej twarzy. Czuł pod palcami, jak pulsuje jej krew, zdradzając przyśpieszone bicie serca. Wreszcie usta Jordanny poddały mu się bez reszty.

Powoli uniósł głowę. Coś go wyraźnie zaintrygowało, lecz Jordanna nie miała odwagi spytać, co stanowi przyczynę tej nagłej zmiany. Odzyskał niewzruszony spokój, bez słowa wyjął obie szklanki z rąk dziewczyny i odstawił na stół.

Gdy znów do niej podszedł, nie uczynił żadnego gestu — ani by ją wziąć w ramiona, ani by położyć kres

ich nieoczekiwanemu zbliżeniu. Wybór należał do niej. Pozostawił jej możliwość wycofania się, zanim zdecyduje się mu ulec. Ale Jordanna była coraz bardziej zafascynowana tajemniczym nieznanym, tak niepodobnym do żadnego ze znanych jej dotychczas mężczyzn. Nie poruszyła się.

Wówczas uniósł dłoń i pogładził jej kasztanowe włosy, tam gdzie wpięty w nie grzebień podtrzymywał uczesanie.

— Ma pani piękne włosy.

Nie starał się jej pochlebiać, stwierdzał tylko oczywisty fakt.

Jordanna nic na to nie odrzekła, serce łomotało w jej piersi jak oszalałe. Ujął znów dłońmi jej szyję i przyciągnął ją do siebie. Potem, zsunawszy ramiączka sukni, zaczął pieścić i całować ramiona dziewczyny. Zamknęła oczy. Jego dotyk przypominał szorstką pieszczotę kociego języka.

Gończy oddech owionął jej usta na moment przed długim pocałunkiem, który złączył ich wargi. Poczują zawrót głowy. Uniósłszy ramiona, przesunęła dłońmi po plecach mężczyzny. Ujął rękoma jej piersi. Jego język miał smak whisky, a wargi — zapach papierosów.

Gdy opuszką palca pieścił jej piersi, Jordanna znów poczuła, że ma nogi jak z waty. Przysunęła się bliżej i ciepło ich rozpalonych ciał przeniknęło się nawzajem.

Odrzuciła głowę w tył, by nic już nie stało na przeszkodzie jego pocałunkom. Gorące wargi błądziły od jej podbródka do uszu i wzdłuż szyi, aż do piersi: Drżała z pożądania. Nigdy dotąd niczego podobnego nie przeżywała. To, co działo się z nią teraz, nasunęło jej myśl o kalejdoskopie: każda pieszczota Briga wzbudzała w niej pragnienie, by zatrzymać czas i zachować na zawsze to jedyne, niepowtarzalne wrażenie rozkoszy, Ale zapach męskiego ciała i namiętne pocałunki nieustannie wzmagaly pożądanie, toteż w upojeniu, jak nar-

komanka, pragnęła następnej pieśczozy. Gdy na swych plecach poczuła dłonie rozpinające z wolna jej suknię, ogarniające ją pożądanie stało się tak dojmująco bolesne, że szukając ukojenia tej udręki, mocno i namiętnie przyłgnęła biodrami do bioder mężczyzny.

Choć nie wątpiła, że jest wyjątkowo silny, to jednak zaskoczyła ją łatwość, z jaką uniósł ją w górę, by zdjąć z niej suknię — jakby podnosił dziecko. A gdy już była naga, z tą samą łatwością wziął ją na ręce. Usłyszała jeszcze odgłos spadających na podłogę pantofli, choć wydawało się, że nie uczynił najmniejszego gestu, by je zdjąć z jej stóp. Otoczyła ramionami szyję nieznanomego i napotkała jego ciężkie od pożądania spojrzenie. Nie unikała go ani nie prowokowała. Wszystko odbywało się najnaturalniej na świecie. Nie grała żadnej roli — ani niewinnej panienki, ani zmysłowej uwodzicielki.

Poniósł ją w stronę kominka i położył na niedźwiedziej skórze. Leżała na boku, wsparta na łokciu, delektując się zmysłową przyjemnością, której przysparzał jej delikatnej skórze szorstki dotyk futra.

Patrzyła, jak mężczyzna zdejmuje bez pośpiechu ubranie. Gdy się do niej zbliżył, znów poczuła gwałtowne pulsowanie krwi w żyłach. Objęła rękoma muskularne plecy i szerokie ramiona. Namiętnie porwał ją w objęcia i błędząc nieustannie zręcznymi dłońmi po całym jej ciele, sprawił, że każdy centymetr jej ciała wibrował z rozkoszy.

Poczuła tak intensywne pożądanie, że zaczęła cicho jęczeć. Zdawał się jednak nie dostrzegać zawierającego się w tym błaganania, by ją uwolnił od narastającego napięcia. Dotychczas nikt jeszcze tak się z nią nie kochał — bez pośpiechu, jakby mieli przed sobą całe życie.

Zrozumiała wówczas, że tym, czego od niej oczekuje, nie jest bierne poddawanie się jego pieśczoitom. Spodziewał się, że je odwzajemni i odda mu się bez reszty. Nigdy przedtem żaden mężczyzna od niej się tego nie domagał. Trochę ją to spłoszyło.

Po pierwszych niezręcznych próbach spełnienia jego oczekiwań, nabrała wiary we własne siły. Wiedział, jak jej dodać odwagi. Poczowała nagły spazm niepohamowanego pożądania. Przemknęło jej przez myśl, że spocząwszy na niej, zmiażdży ją ciężarem swego ciała, lecz wtedy właśnie doznała wrażenia, że unosi się ponad ziemią, coraz wyżej i wyżej, aż do chwili, gdy cały świat rozprysnął się i zajaśniał milionem gwiazd.

Potem, kiedy burza ucichła, a ciało Jordanny pokryło się kropelkami potu, przestraszyła się nagle, że za chwilę czar może prysnąć. Nic jednak nie zmąciło tej wspaniałej chwili. Uśmiech szczęścia rozjaśnił jej twarz.

Szorstką dłonią Brig gładził jej policzki i odgarniał kosmyki włosów, które przyłgnęły do wilgotnej skóry. W milczeniu patrzył jej w oczy. Uniosła powieki i spojrzała na niego łagodnym, zachwyconym wzrokiem. Zdawało się, że jest nieco zaskoczony. Przez chwilę błędził wargami po jej ustach, a potem spytał:

— Kiedy poprzednim razem kochałaś się tak jak teraz, wyłącznie dla przyjemności... dawno to było?

W jego spokojnym, powolnym głosie można było bez trudu wyczuć nutkę źle skrywanej ciekawości.

— Hm... — zawahała się. Jak tu powiedzieć, że nigdy? — No», ja... nie wiem.

Jego twarz raptownie spochmurniała. Jordanna zastanawiała się, dlaczego jej odpowiedź zrobiła na nim tak niemiłe wrażenie. Gdyby mu powiedziała, że jeszcze nigdy nie przeżyła podobnych wrażeń, z pewnością napuszyłby się z miejsca jak paw. Tacy już widać są mężczyźni.

Spoza zamkniętych drzwi dotarł do nich nagle gwar śmiechów i podniesionych głosów. Z nieznacznym, przepaszającym uśmiechem i oschłym wyrazem twarzy, Brig odsunął się od Jordanny. Doznała wówczas wrażenia, że z dala od niej jego ciało przenika lodowaty chłód.

— Najwyższy czas dołączyć do towarzystwa — stwierdził, sięgając po ubranie. Jego głos brzmiał sztucznie.

— Tak — zgodziła się Jordanna.

Starła się nie ujawniać rozterki, w którą ją wprawiło jego zachowanie. Założyła czarną suknię i naciągnęła ramiączka. Uczucie niepokoju nie mijało.

— Czy mógłby pan zapiąć mi sukienkę?

A ponieważ się nie odezwał, rzuciła okiem przez ramię. Przerwał zapinanie koszuli i stał bez ruchu. Gdy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła cyniczny i twardy wyraz jego oczu.

— To zapięcie sprawia pani dużo kłopotu dziś wieczorem, prawda?

Zabrzmiało to jak wymówka. Wówczas przypomniała sobie, że nieco wcześniej poprosiła ojca o tę samą przysługę. Mężczyzna widocznie był wtedy na zewnątrz i podpatrzył tę scenę.

Ktoś próbował otworzyć drzwi saloniku myśliwskiego, a ponieważ były zamknięte na klucz, zapukał.

— Jesteś tam, Jordanno?

Rozpoznała głos brata.

— Tak, Kit.

Brig uporał się już z zapięciem sukni.

— Dziękuję — szepnęła.

Odwrócił się od niej. Podbiegła do drzwi, pośpiesznie poprawiając ręką włosy.

Christopher spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Wszędzie cię szukam... — zaczął, lecz zaraz zamilkł, ujrawszy tuż za nią wysokiego, ciemnowłosego nieznajomego.

Mężczyzna nonszalancko kołysał zaczepioną na palcu marynarką, bez śladu zakłopotania spojrział na Kita.

— Dziękuję, że zechciała mi pani dotrzymać towarzystwa w tym zacisznym miejscu i... wypić ze mną whisky.

Uniósł szklanekę, zgiął się przed nimi w ironicznym ukłonie i wyminawszy ich, wyszedł.

- Kto to jest? - spytał Kit.

Jordanna uświadomiła sobie wtedy, że nie wie nawet, jak on się nazywa. Ta myśl wydała się jej taka zabawna, że parsknęła niepohamowanym śmiechem. Co by powiedział brat, gdyby mu oświadczyła, że kochała się przed chwilą z zupełnie nieznanym mężczyzną? Przecież zaledwie przed pięcioma godzinami zapewniała Kita, że mężczyźni są jej niepotrzebni! Czyżby straciła głowę? Jeśli tak, to miała nadzieję, że nie po raz ostatni. Czuła się dokładnie tak, jak to opisał Kit. Pragnęła ciągle na nowo przeżywać te rozkoszne, podniecające wrażenia. Bardzo by chciała powiedzieć bratu, że miał całkowitą rację, ale ich wzajemne kontakty nie były aż tak zażyłe, by mogła sobie pozwolić na tego rodzaju zwierzenia.

— Jeden z zaproszonych — odrzekła w końcu. — Nie przedstawiliśmy się sobie.

Ich obcowanie przebiegało na takiej płaszczyźnie, że wymienianie nazwisk było całkowicie zbędne... przynajmniej na razie.

— Tata powiedział mi, że tutaj właśnie mogę cię znaleźć.

— Tak... Odpęrzyłam się trochę — rzuciła od niechcienia, żeby wyjaśnić przyczynę nieładu swej fryzury.

Przyjrzał się jej bacznie.

— Chyba rzeczywiście wypoczęłaś i jesteś znacznie... mniej spięta niż przedtem — przyznał.

— Lepiej wróć do gości, zanim zaczną podawać w wątpliwość moje dobre maniery — oświadczyła z ironicznym grymasem.

Brat zagroził jej drogę. Wyglądał na szczerze rozbawionego.

— Może byś tak najpierw założyła buty...

Kiedy spojrzała w dół, na zagłębione w dywanie palce swoich stóp, wybuchnęła śmiechem i odwróciła się napięcie.

— Och, jak to by było dobrze, gdybym nie musiała znów ich zakładać!

Brig odstawił szklanę na pierwszy z brzegu stół. Wzbierała w nim złość. To, co na początku miało być zwykłym pocałunkiem, przekształciło się w gorączkową namiętność, nad którą nie potrafił zapanować. Nie tylko w pełni zaspokoił pożądanie, jakie w nim obudziła, ale równie dużą satysfakcję dawała mu świadomość, że i dla niej ta przygoda była niezwykłym przeżyciem. Ciągłe jeszcze czuł dotyk jej delikatnej skóry. Jaką wspaniałą okazała się kobietą, gdy tylko pozbyła się zahamowań! W pierwszej chwili zaskoczyła go, wznosząc niewidzialny mur między nimi. Postanowił wówczas, że albo sama odda mu się bez reszty, albo wcale.

Ktoś go potracił, kładąc kres tym rozmyślaniom. Brig rozejrzał się dokoła i na drugim końcu salonu dostrzegł Fletchiera Smitha. Odwrócił się instynktownie i skierował w przeciwną stronę. Natychmiast jednak pożałował tej odruchowej reakcji, ponieważ znalazł się o kilka kroków od Maxa, otoczonego gromadką osób słuchających z ożywieniem jego słów.

Z coraz większym niesmakiem Brig myślał o swoim postępowaniu. Wszak jeszcze nie tak dawno umizgi Maxa do Olivii wzbudziły w nim głęboką niechęć i szczerą oburzenie, że mężczyzna może brać pieniądze od kogoś, komu uwodzi żonę. A czy on sam nie postąpił przed chwilą dokładnie tak samo?

Nie ociągając się dłużej, podszedł do Maxa.

— Wychodzę — oznajmił zwięźle.

— Już? — Max zmarszczył brwi.

— Powiedz Smithowi, że się do niego odezwę.

Skierował się w stronę przedpokoju.

— Sam mu to powiedz, jest tuż obok — odparł Max.

Brig nie zareagował. Był już przy drzwiach. Nie widział żadnych powodów do zadowolenia z siebie, nie zachwycało go ani to, co zrobił, ani rozkosz, której tu zaznał.

Jordanna w towarzystwie brata znalazła się znów wśród gości. Postanowiła odnaleźć nieznanego, lecz przeszukawszy wszystkie pokoje, przyjęła w końcu do wiadomości, że już wyszedł. Nadal więc pozostawał dla niej zagadką. Chciała za wszelką cenę poznać tę tajemnicę. Pragnęła znów go zobaczyć i przekonać się, że to wszystko nie było złudzeniem.

Nazajutrz, podczas trwających w mieszkaniu porządków, Jordanna, błąkając się po domu, trafiła do salonu. Matka czyściła właśnie srebra i nakrycia stołowe.

— Liwie... — Jordanna zawahała się, nie chcąc zdradzić, z jaką niecierpliwością oczekuje odpowiedzi. — Kim był ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś wczoraj wieczorem?

Matka zeszywniała i z kwaśną miną odrzekła:

— Wyrażaj się jaśniej, Jordanno. Rozmawiałam ze wszystkimi naszymi gośćmi.

Ostry ton jej odpowiedzi mógł nasunąć podejrzenie, że stara się coś ukryć. Czyżby czuła się winna? Jordannie nasunęło to nagle pewne podejrzenie. A jeśli ten człowiek jest jednym z kochanków matki? Na samą myśl o tym poczuła głęboki niesmak.

— To nic ważnego.

Nie pragnęła już się dowiedzieć, kim on jest. Lepiej nic o nim nie wiedzieć. Wyszła pośpiesznie, by schronić się w swoim pokoju, zostawiając osłupiałą matkę, która bez słowa odprowadziła ją wzrokiem.

Gdy tylko Jordanna znalazła się sama, próbowała się przekonywać, że tamten mężczyzna nie jest w typie matki. Czyż mogła jednak wiedzieć, jacy mężczyźni podobają się matce? „Ale to przecież niemożliwe!” — powtarzała sobie, rozpaczliwie odrzucając podejrzenia, w których coraz bardziej się utwierdzała.

7

Jordanna pchnęła drzwi prowadzące na korytarz na ostatnim piętrze i niemal zderzyła się z bratem wychodzącym z windy. Twarz dziewczyny lśniła od potu, długie włosy miała związane w koński ogon, a do czoła przylgnęły mokre kosmyki. Była ubrana w ciemnozielony dres w jasnożółte pasy. Z trudem łapała oddech.

Christopher przystanął i rzucił żartobliwym tonem:

— Zapomniałaś, że w tym domu jest winda? Czy może, jak zwykle, energia cię roznosi?

— Przejechałam windą połowę drogi, a potem wbiegłam po schodach — wyjaśniła zdyszany głosem, podskakując lekko w miejscu, z rękami wspartymi na biodrach. — Wyszłam, żeby trochę pobiegać.

— Nigdy bym się tego nie domyślił!

— Muszę być w dobrej formie, jeżeli chcę pojechać w góry — wykrztusiła między jednym oddechem a drugim.

— Pewnie znów na polowanie?

Wyjął klucz z jej dłoni i otworzył drzwi.

— Wyjeżdżamy w drugim tygodniu września, za trzy tygodnie — odrzekła wchodząc do mieszkania.

— Dokąd tym razem jedziecie?

Zamknął za sobą drzwi i oddał jej klucz. Schowała go do kieszeni, a następnie wytarła rękawem mokrą od potu szyję.

— Do Idaho. Niejaki McCord, właściciel rancza, zaproponował, że nas zaprowadzi w okolice, gdzie można trafić na muflony. Tata się wszystkim zajął.

Nadal chodziła po salonie, żeby zrobić jeszcze sto przepisowych kroków, zapobiegających drętwieniu mięśni.

Podczas przygotowań do polowania Fletcher dbał o najdrobniejsze szczegóły. Zwykle bywało tak, że Jordanna z zapałem omawiała z nim każdy detal zaplanowanej wyprawy. Ale tym razem nie potrafiła na niczym skupić uwagi. Nie przestawała myśleć o tamtym lipcowym wieczorze i o mężczyźnie, z którym się kochała. Nigdy o nim nie wspominała po owej jedynej, bezowocnej próbie podjętej nazajutrz po przyjęciu. Starła się o nim nie myśleć, ale nie potrafiła zapomnieć o tym, co dzięki niemu przeżyte po raz pierwszy w życiu.

Z początku próbowała odnaleźć tamte wrażenia w ramionach innych mężczyzn. Ale ich pocałunki nie budziły w niej podobnych doznań. Oczekiwali od niej wyłącznie uległości. Toteż choć nieraz doskwierała jej samotność, zaczęła ich w końcu unikać. Nie chciała zadowalać się byle czym. Tak cenne i piękne było dla niej tamto doświadczenie.

— Na jak długo zamierzasz tym razem zostawić mamę samą? Trzy tygodnie? Miesiąc? — dopytywał z wyrzutem.

Jordanna zawsze była popędliwa i otwarcie dawała wyraz złym nastrojom, ale ostatnio wystarczyła doprawdy byle drobnostka, żeby wyprowadzić ją z równowagi.

— Prawdopodobnie trzy tygodnie. Ale ona nie będzie przecież sama. Będzie miała ciebie, no i tego faceta, z którym ostatnio sypia.

Na samą myśl o tym mężczyźnie poczuła bolesny skurcz serca.

— Nigdy nie darujesz sobie okazji, żeby ją sponiewierać, co? — wypomniał jej ostro, a choć zdołał nad

sobą zapanować, błysk w oczach zdradzał jego wzburzenie. — W twoim mniemaniu jej błędy w pełni usprawiedliwiają to, że wyjeżdżasz z ojcem na koniec świata, a ona zostaje sama.

— Tym razem nie wyjeżdżamy sami.

Oddychała już normalnie i tylko spocona twarz świadczyła o niedawnym wyczerpującym biegu.

Christopher natychmiast zapomniał o irytacji.

— Nie wyjeżdżacie sami? Od kiedy to? Tata nigdy przecież nie zabierał nikogo, prócz ciebie i przewodnika.

— Tym razem zabierze znajomego, który wprowadzie nie zamierza polować, ale chce nam towarzyszyć.

— Kto to taki? — spytał nieufnie.

— Znajomy taty. Nazywa się Max Sanger.

Jordanna słabo go znała. O ile ojciec wtajemniczał ją we wszystkie sprawy dotyczące polowań, o tyle w pozostałych sferach jego działalności nie najlepiej się orientowała, nie znała również mężczyzn, z którymi się przyjaźnił:

— Max Sanger? Jesteś tego pewna?

— Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj tatę.

— Właśnie mam zamiar to zrobić.

W doskonałych rysach jego twarzy odmalowała się taka konsternacja, że Jordanna zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć.

— Gdzie on jest? W pokoju myśliwskim?

— Tak... Chyba tak.

Wzruszyła ramionami z miną pozornie obojętną, gdy jednak zobaczyła, że brat istotnie idzie do saloniku myśliwskiego, wiedzona ciekawością ruszyła za nim.

Gdy znalazła się w pobliżu uchylonych drzwi, Kit zdążył już wejść do środka i usłyszała, jak wita się z ojcem.

— Co ty tu robisz, Kit? Nie przypominam sobie, żebym się z tobą umawiał.

Ostry ton głosu ojca sprawił, że tuż pod drzwiami

Jordanna stanęła jak wryta. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby ojciec zwracał się do Kita w taki sposób.

— Nie wiedziałem, że potrzebuję specjalnego zaproszenia — odparł chłodno Kit.

— Czego chcesz? Jeżeli szukasz matki, to nie wiem, gdzie jest. Spytaj Tesse.

Jordanna usłyszała szelest gniecionego papieru.

— W tej chwili chciałbym porozmawiać z tobą — oświadczył Christopher.

— Nie mamy sobie już nic do powiedzenia, a zresztą, jestem zajęty.

Jordanna wiedziała, jak bardzo ojciec miał za złe Kitowi, że odrzucił jego pomoc finansową i wyprowadził się z domu, chcąc rozpocząć całkiem niezależne życie, ale nie zdawała sobie dotychczas sprawy, że postępowanie Kita wywołuje w nim aż taką gorycz.

— Jordanna powiedziała mi przed chwilą, że lada dzień wybieracie się na polowanie — ciągnął nieustępliwie Kit.

— Od kiedy to interesują cię moje polowania?

To niemożliwe, żeby tata wyrażał się w taki sposób! — przemknęło przez myśl oszołomionej Jordannie. Przynęła się do drzwi, chcąc się przekonać, czy dobrze rozumiała. Nie przesłyszała się jednak. Ojciec siedział za biurkiem z wyrazem takiej pogardy na twarzy, że Jordanna aż zadrżała z wrażenia.

— Jordanna powiedziała mi również, że tym razem nie wyjeżdżacie sami.

Kit spoglądał na ojca wyzywająco, z głową lekko przechyloną na bok.

— Zgadza się.

— Twierdzi, że jedzie z wami Max Sanger. Czy to prawda?

Fletcher zdjął okulary i rozsiadł się wygodnie w fotelu. I wówczas zauważył stojącą w drzwiach Jordanna. W jego wyglądzie nastąpiła natychmiastowa zmiana.

- Max umyślnie tak zaplanował sobie wakacje, żeby mógł pojechać z nami na to polowanie — przyznał obojętnym tonem, lekko zmrużywszy oczy.

— Po co on z wami jedzie?

— McCord, właściciel rancza, który ma być naszym przewodnikiem, jest, jeśli się nie mylę, jego kuzynem czy coś w tym rodzaju. Sądzę, że właśnie dlatego zdecydował się z nami pojechać. Poza tym wyraziłem zainteresowanie portfelem jego akcji, które chce sprzedać. Interesuje mnie również pewien projekt zagospodarowania terenów w Kalifornii i przypuszczam, że Max chciałby, korzystając z okazji, omówić ze mną szczegóły tych planów.

— Ale ty przecież nigdy nie łączysz interesów z polowaniem!

— Tak też mu powiedziałem, ale on najwyraźniej nie przyjął tego do wiadomości — powiedział Fletcher, uśmiechając się nieznacznie.

— Dlaczego zgodziłeś się na wyjazd Maxa, skoro dawniej odrzucałeś zawsze takie propozycje?

Christopher ciągle jeszcze podejrzewał ojca o jakieś ukryte intencje i chciał rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości.

— Ponieważ wynikała z tego możliwość skorzystania z usług tego samego przewodnika, chociaż Max, oczywiście, chce wziąć udział w tej wyprawie wyłącznie dla przyjemności.

— W takim razie... — Christopher zawiesił głos. — Gzy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym ja też pojechał?

Fletcher lekko uniósł siwą głowę.

— Tylko widzisz, Kit, polowanie nie jest odpowiednią rozrywką dla mazgajów — odparł ojciec, wpatrując się badawczo w smukłego młodzieńca, wyzywająco spoglądającego mu w oczy. — Nigdy przedtem nie pałałeś chęcią dotrzymywania mi towarzystwa podczas wyjazdów. Skąd się zatem bierze ta nagła zmiana?

— Jestem przeciwko twojemu ulubionemu sportowi,

a nie przeciw tobie. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, jestem mężczyzną i nie będę mdlał na widok krwi. Chcę z tobą jechać, tatusiu.

Fletcher pochylił się do przodu. Jordannie zdawało się, że zadrżał lekko. Sprawił na niej nagle wrażenie starego, zmęczonego człowieka, ku jej zaskoczeniu — bezbronnego. Z ogromną czułością spoglądał na Kita.

— Gdybyś ty wiedział, mój synu, ile razy marzyłem, że powiesz mi to pewnego dnia! — Jego głos załamał się pod wpływem wzruszenia. — Dlaczego nigdy tego nie zrobiłeś? Dlaczego czekałeś z tym tak długo?

— Ponieważ... ponieważ... Czy chciałbyś, żebym tym razem z tobą pojechał?

Twarz ojca rozjaśnił promienny uśmiech. Znow był młody i niepokonany. Zwrócił się do córki.

— Czy zdołasz, Jordanno, znieść towarzystwo swojego brata co najmniej przez trzy tygodnie?

— Obawiam się, że nie — powiedziała rozbawiona Jordanna — mam jednak nadzieję, że nie umrę od tego!

Zapadała noc. Na dalekich szczytach gór pojawiły się pierwsze błyski zachodzącego słońca. Brig zbliżał się do prostego domu, wzniesionego z drewnianych bali. Po drodze zdjął rękawice. Podzwanianie ostróg podkreślało rytm jego ciężkich, niespiesznych kroków. Tuż za nim biegł truchtem zakurzony, kosmaty owczarek.

Brig nie oszczędzał się ostatnimi czasy. Harował ciężko i sam uporał się z taką robotą, jakiej nigdy od nikogo by się nie domagał. Skończył właśnie sianokosy i miał nadzieję, że zapasy wystarczą do końca zimy. Teraz schodził z gór. Wracał z wysoko położonego obozowiska, gdzie Jocko, któremu zaniósł prowiant, pilnował swojego stada.

Spojrawszy w niebo, przypomniał sobie słowa pasterza: sądząc z zachowania górskich zwierząt, zima

miała być wczesna i ostra. Jak długo jeszcze powinien zatem zostawić swoje bydło na wypasie w górach, zanim spędzi je z żyznych górskich dolin na przylegające do rancza pastwiska? Spodziewał się, że będzie mógł to zrobić dopiero pod koniec września, lecz biorąc pod uwagę zbliżający się termin polowania i przestrogi Jocko, nie mógł podejmować takiego ryzyka.

Rozdrażniony tą myślą, ze złością uderzył rękawicami o udo. Powinien więc spędzić stado już w przyszłym tygodniu. Niewesołe myśli pierzchły, gdy wzrok Briga zatrzymał się na psie: biedne zwierzę o zmierzwionej sierści zważyło się ciężko pod drzewem. Brig odezwał się do niego z uśmiechem:

— Wiesz, Sam, ja też miałbym ochotę tak zrobić.

Usłyszawszy swoje imię, pies zamłócił ogonem o ziemię.

Do piętrowego domu z okraglaków Brig podszedł od strony tylnego wejścia, wspiął się po schodach i wszedł do środka. Przy drzwiach zdjął kapelusz i powiesił go na drewnianym wieszaku, tuż przy wejściu. Niski, przysadzisty mężczyzna, ubrany w dżinsy i kraciastą koszulę, stał przy kuchni i mieszał coś w garnku.

Rzuciwszy okiem na Briga, spytał:

— Jak się miewa Jocko?

— Dobrze.

Brig podszedł do zlewu, żeby umyć ręce.

Tandy Barnes mieszkał z nim tutaj od samego początku, od chwili, gdy Brig zaczął gospodarować na ranczo; Zdażył więc przywyknąć do lakonicznych odpowiedzi swojego pryncypała. Często mawiał ze śmiechem, że Brig tak się liczy ze słowami, jakby chciał je odłożyć na później.

Brig ochlapał wodą twarz i szyję, żeby się nieco orzeźwić, po czym dokładnie namydlił ręce.

— Szykuję się już do spędu stada — dorzucił.
— W przyszłym tygodniu wybierzemy się po bydło.

Opłukał ręce i sięgnawszy po ręcznik, odwrócił się do Tandy'ego.

— Gdzie Franck?

— Naprawia siodło. Podaj mi ścierkę.

Brig zrobił z niej kulę i cisnął nią w Tandy'ego; posłużyła mu do wyjęcia z pieca blachy z bułeczkami.

— Co jest na obiad?

— Gulasz z bułeczkami.

— Znów! — nadał się Brig.

— Tylko bez uwag na temat jadłospisu! Jak ci się nie podoba, to sam sobie możesz gotować. Nie godziłem się do roboty przy garach.

— Gdybyś mi się wtedy tak odszczekiwał, to bym cię wylał już dziesięć lat temu! - oświadczył naburmuszony Brig.

— Uderz w dzwon, żeby Franck przyszedł, zanim wszystko wystygnie.

Kowboj nałożył sterty gulaszu na talerze i ustawił je na brzegu kuchennej płyty.

Brig wyszedł i pociągnął za sznur dzwonu, którego dźwięk z pewnością dotarł do każdego zakątka podwórza. Brig, nie czekając, aż Franek pojawi się w drzwiach stodoły, wrócił do kuchni.

Tandy wręczył mu talerz z gulaszem i na samym brzegu ustawił ostrożnie trzy bułeczki. Brig podszedł z talerzem do stołu, wysunął nogą krzesło i usiadł. W chwili gdy podnosił łyżkę do ust, zobaczył piętrzący się na stole stos listów. Nie przerywając jedzenia, przejrzał pobieżnie koperty. Na jednej z nich zauważył stempel z Nowego Jorku. Gdy otwierał kopertę do stołu podszedł Tandy z dwoma pozostałymi talerzami.

- Od kogo to?

Tandy wyciągnął szyję, starając się odczytać co tam jest napisane. Jego czarne włosy zaczynały się już przerzedzać i siwieć. Zaczesawał długi kosmyk do tyłu, żeby zamaskować zarysowującą się na czubku głowy łysinę.

Brig, nie odpowiedziawszy na pytanie, czytał dalej. Im bardziej wgłębiał się w treść listu, tym bardziej twardniała linia jego zaciśniętych warg. W końcu zmiażdżył list w dłoni i cisnął nim z rozmachem, sapnąwszy z wyraźną irytacją.

— Co się stało? — Tandy zmarszczył brwi. ,

— To Smith — wyjaśnił Brig, z trudem powściągając wybuch wściekłości. — Zabiera ze sobą jeszcze jednego chłopaka, który nie chce polować, a tylko wziąć udział w wyprawie. Swojego syna. To co ja, do diabła, mam im urządzić, polowanie czy piknik!

Prze* dwa ostatnie miesiące, jeśli tylko nie musiał harować na roli, nie miał żadnych niecierpiących zwłoki zajęć na ranczo, i jeśli znalazł choć jedną wolną chwilę, wyruszał wysoko w góry, badał teren, wypatrywał stad muflonów, oceniał wielkość poszczególnych sztuk. Dokładnie tak, jak to przewidział Fletcher: z chwilą, gdy Brig przyjął pieniądze w zamian za zorganizowanie polowania, dawał z siebie wszystko, żeby jak najlepiej wywiązać się z zadania. Tymczasem sprawy zaczęły przybierać zupełnie inny obrót: najpierw Max postanowił wziąć udział w polowaniu, a teraz ma dołączyć syn Smitha!

— Jeszcze trochę, a powiem mu, żeby sobie szukał kogoś innego. — warknął Brig.

Tyle rzeczy zostało mu jeszcze do zrobienia! Trzeba było pojechać po prowiant do miasta, znaleźć konie, doprowadzić do porządku uprząż do jazdy wierzchem, siodła, juki, uździenice. A ponieważ przez trzy tygodnie Brig miał być nieobecny na ranczo, należało uporać się z tytaniczną pracą, żeby po ich wyjeździe jeden człowiek mógł sobie poradzić z całym gospodarstwem. Zabierał ze sobą Tandy'ego, któremu powierzył pracę przy koniach, i Jocko, który miał przygotowywać jedzenie. Franek Savidge sam zostawał w dolinie.

— Toż potrzebujesz tych pieniędzy! — rzekł Tandy.

— No to jak masz mu niby powiedzieć, żeby sobie szukał kogoś innego?

— Wiem, co mówię — odparł Brig i znów zabrał się do jedzenia, ale ponieważ gulasz wydawał mu się mdły i bez smaku, odłożył łyżkę na talerz. — Jeżeli jeszcze trochę tego zostało, to lepiej wyrzucić.

— Nie będziesz tego jadł?

— A co, jest coś innego? — zakpił Brig i niechętnie ujął łyżkę.

Pojawił się Franek Savidge, potężny drab o zapadniętych policzkach i kasztanowatych włosach. Jego nadmierne upodobanie do piwa sprawiło, że stracił wszystkie posady w promieniu stu kilometrów. Już od pięciu lat pracował u Briga, jedyne, który potrafił go utemperować.

— Stało się co? — spytał.

Tandy rzucił obrażone spojrzenie w stronę Briga, po czym rzekł z wyrzutem:

— Ba! Ciska się jak wilk w potrzasku. Jak mu się humor poprawi, to i ja będę bardzo rad.

— Poprawa mojego humoru zależy od poprawy jedzenia — odciął się Brig.

— Co?! Znowu gulasz? — wrzasnął Franek, spojrzawszy na swój talerz.

— No nie, mam tego dość! Ostatni raz gotowałem wam obiad! — obwieścił Tandy.

Ponieważ nikt nie podjął tematu, na tym rozmowa się skończyła i trzej mężczyźni pochyliли się w milczeniu nad talerzami. Zmięta w kulę kartka papieru przypominała Brigowi o tym wszystkim, o czym chciałby zapomnieć. Jego irytacja nie wynikała w gruncie rzeczy z powiększającej się ustawicznie liczby uczestników polowania, ani z konieczności wprowadzenia wynikających stąd zmian. Chęć wycofania się z umowy ogarniała go raczej na myśl o perspektywie spojrzenia w twarz Fletcherowi i zainkasowaniu jego pieniędzy po tym, jak

uwiódł jego kochankę. Jordanę. Chciał to imię wymazać z pamięci. Musi o niej zapomnieć, do cholery!

Brig zatrzasnął gwałtownym ruchem drzwi półciężarówki i przelotnie rzucił okiem na piętrzące się z tyłu sterty zapasów żywności. Teraz powinien być już jechać z powrotem, machnął jednak ręką i wjechał w aleję wiodącą ku starej, obskurnej ruderze, której właściciel zapowiedział Trudie, że w razie remontu byłby zmuszony podnieść czynsz.

— Brig! — Trudie była zdziwiona i nie potrafiła ukryć wzruszenia.

Nerwowo przesunęła dłonią po włosach i nie umalowanych wargach.

— Mogę wejść? — w jego głosie nie było śladu serdeczności.

Odsunęła się, żeby go. wpuścić, i mocniej ściągnęła pasek szlafroka.

— Poczekaj chwilkę, weź sobie piwo z lodówki, a ja tymczasem się uczeszę i przebiorę.

Chwycił ją za przegub dłoni.

— Daj spokój.

Wziął ją w ramiona i przycisnął wargi do jej ust. Nie odnalazł w nich słodczy tamtych warg, o których nie przestawał marzyć. Wziął ją na rękę, zaniósł pod drzwi sypialni i otworzył je sobie kopniakiem. Łóżko było nie zasłane, po całym pokoju poniewierały się rozrzucone części garderoby. Położył Trudie na łóżku. Ona jednak zerwała się natychmiast, żeby pozbierać porzucane ubrania.

— Wybacz ten bałagan, ale nikogo się nie spodziewałam — tłumaczyła się.

--Zostaw to. — Brig zdążył już rozpiąć koszulę.

— Zdejmij szlafrok.

Leżał przez chwilę z głową opartą o poduszkę. Czuł się jeszcze gorzej niż przedtem. Dokonany przed chwilą akt seksualny nie zaspokoił dręczącego pożądania. Brig przerzucił długie nogi z łóżka na podłogę i sięgnął po spodnie.

— Kto to jest?

Trudie naciągnęła prześcieradło na nagie ciało. Ledwie zauważalne drżenie głosu zdradzało, jak bardzo jest przygnębiona.

— Kto to jest? — Brig udawał, że nie rozumie.

— Przez cały czas wyobrażałeś sobie, że jesteś z kimś innym — wyjaśniła, lecz pomimo tego oskarżenia w jej głosie nie było złości.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Brig, to nie zdarza się po raz pierwszy! — Miała do niego pretensję, że traktuje ją jak małe dziecko, które można zbyć byle czym. — Kiedy się dawniej kochaliśmy, zostawałeś potem w łóżku i rozmawiałeś ze mną. Od jakiegoś czasu... no więc... wyskakujesz z łóżka, zanim się cokolwiek zacznie! Albo prawie,...

— Muszę wracać na ranczo.

— Co ty powiesz!

— Słuchaj, jeżeli ci się nie podoba...

Zirytowany Brig odwrócił się do Trudie, lecz na widok jej łagodnego spojrzenia złość minęła mu bez śladu. Zamilkł raptownie i nie dokończył zdania.

— ' Nigdy tego nie mówiłam — powiedziała cicho. — Ale znamy się już tak długo, że nie sędzę, abyśmy musieli się okłamywać. Wiem, że jest ktoś inny. A ty dobrze wiesz, że jest mi to obojętne.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię. — Uśmiechnął się, ale nie złagodziło to wyrazu chłodnej rezerwy w jego wzroku. Trudie była ostatnią osobą, której by się zwierzał z tego rodzaju spraw. — Muszę jechać. Trzymaj się, Trudie — rzucił sięgając po kapelusz.

Pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją. Idąc w stronę

drzwi, przyłapał się na tym, że odruchowo ociera wargi, by zetrzeć z nich smak ust Trudie. Wizyta u niej nie przyniosła mu nic, prócz rozczarowania. Szarpnął za klamkę drzwi, po czym głośno je za sobą zatrzasnął. Tuż za drzwiami zwolnił kroku, gdyż zobaczył nadchodzącego Jake'a Phelpsa. Był to właściciel rancza położonego tuż nad granicą z Montana. Choć zbliżał się już do pięćdziesiątki, nigdy jeszcze nie był żonaty. Miał krótkie nogi, a zarówno jego twarz, jak i wydatne brzuszysko, zdradzały w nim wielkiego amatora piwa. Ogolił się z pełną samozaparcia starannością, co można było poznać po licznych zadrapaniach na policzkach. Zapach wody po goleniu, którą się oblał, był tak intensywny, że bez trudu można go było wyczuć z odległości dziesięciu kroków. Zaczerwienił się pod inkwizytorskim spojrzeniem Briga.

— Co cię tu przyniosło, McCord? — huknął gromkim głosem, chcąc ukryć zakłopotanie.

Jego wygląd nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że wybrał się na randkę. Brakowało mu tylko bukietu kwiatów i pudełka czekoladek pod pachą. Brig, wskazawszy ręką dom, uśmiechnął się sarkastycznie.

— To samo, co i ciebie, Jake — odrzekł.

Mężczyzna, wyraźnie zbity z tropu, wyglądał teraz jak wielki balon, z którego uszło powietrze.

— Daruj sobie te wycieczki osobiste...

— Nie wysilaj się, Jake! — przerwał mu Brig. — Nie mam zamiaru tu wracać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Trudie jest fajną dziewczyną. Zasługuje na kogoś, kto ją będzie przyzwoicie traktował.

I kto nie będzie jej wykorzystywał tylko po to, żeby sobie ulżyć — dodał w duchu, zostawiając przysadzystego farmera spoglądającego za nim z otwartymi ustami.

Brig wszedł do samochodu i odjechał nie oglądając się za siebie. Ciągle miał przed oczami rudowłosą

dziewczynę o orzechowych oczach nakrapianych zielonymi cętkami. To już zaczynało przypominać obsesję. O niej śnił po nocach i z jej powodu cierpiał. Nawet gdy przemierzał konno górskie hale, aromat dzikich kwiatów przywodził mu na myśl zapach jej ciała. Patrząc na zachód słońca, przypominał sobie światło lśniące w jej włosach.

— Jordanna!

Miał ochotę uciąć sobie język za to, że znów wypowiedział głośno jej imię, i przeklinał swą pamięć, bo za jej przyczyną nie mógł zaznać spokoju. Odchodził od Trudie bez najmniejszego żalu. Dlaczego z podobną obojętnością nie potrafił oderwać się od myśli o tamtym wieczorze sprzed dwóch miesięcy? Żył w nim wspomnienie jej głosu, skóry, ust i kształtów ciała leżącego na niedźwiedzim futrze.

Nadepnął na gaz i samochód wyprysnął do przodu. Lecz i to nie rozwiązało dręczących go majaków.

8

Dojechaliśmy — oznajmił Tandy Barnes, zaciągnąwszy ręczny hamulec i przekręciwszy kluczyk w stacyjce.

Po długiej jeździe wyboistą drogą, Jordanna czuła się doszczętnie potłuczona i obolała. Wyrzała przez okno półciężarówki, lecz nie dostrzegła żadnych zabudowań. Poprzedniego dnia, gdy po nie kończącej się gonitwie i przesiadkach z jednego samolotu do drugiego dotarli wreszcie do Idaho, wysłany po nich przysadzisty kierowca zaprowadził ich do hotelu, gdzie mieli spędzić noc, ponieważ, jak im wyjaśnił, drogę do rancza można było przebyć tylko za dnia. Teraz już Jordanna rozumiała dlaczego. Jazda nocą byłaby równoznaczna z samobójstwem.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? Nigdzie tutaj nie widzę rancza!

Jordanna natychmiast pożałowała swoich słów: spojrzenie, które rzucił jej kierowca, mówiło wyraźnie, iż od samego początku ani przez chwilę nie wątpił, że baba będzie biadolić.

— Jest po tamtej stronie rzeki. Teraz już musimy pójść na piechotę. Można tam się dostać tylko wyboistą górską ścieżką i przez wąski most — wyjaśnił z cierpliwością człowieka nie mającego żadnych wątpliwości, że kobieta z pewnością nie potrafi się pogodzić z tak

prymitywnymi warunkami życia. — Jak już pani mówiłem, jesteśmy tu całkiem odcięci od świata. To jest zwykłe ranczo, nie może pani oczekiwać żadnych luksusów.

— Doskonale rozumiem, o czym pan mówił, panie Barnes — rzekła z naciskiem Jordanna, uśmiechając się zgrzyźliwie.

Szalenie ją irytowało jego protekcyjnalne zachowanie. Ledwie zdażyła wysiąść z samolotu, a ten krótkonogi kowboj zaczął ją z miejsca ostrzegać przed surowymi warunkami życia wysoko w górach. I choć tego nie powiedział, było zupełnie jasne, że jego zdaniem udział kobiety w polowaniu jest wysoce niestosowny.

Najwyraźniej nie zrobiła na nim najlepszego wrażenia. Gdy wysiadła z samolotu, miała na sobie kostium w kolorze ochry, jakby przeniesiony wprost z kart wytwornego magazynu „Vogue”, co zresztą wcale nie odbiegało od prawdy, ale nie miała niczego innego, w czym podczas podróży mogłaby czuć się wygodniej. Obrzucił taksującym spojrzeniem wysokie obcasy jej butów, broszkę wpiętą w apaszkę, kolczyki zwisające z uszu, elegancki kostium, po czym z miejsca zaliczył ją do kategorii bezmyślnych bab, którym tylko fatałaszkę w głowie. Jordannie nie udało się wpłynąć na zmianę jego opinii. Nie wątpiła, że byłby do niej lepiej usposobiony, gdyby przyjechała ubrana w dżinsy, rozciągnięty T-shirt i z nie umalowaną twarzą.

Otworzył drzwiczki i lekko zeskoczyła na ziemię. Dziś już miała na sobie spodnie, podkoszulek, gruby sweter i buty na płaskich obcasach. Pomimo to Tandy Barnes nadal rzucał na nią z ukosa spojrzenia pełne dezaprobaty. Jordanna przywykła już do tego, że z powątpiewaniem odnoszono się do jej możliwości i inteligencji. Zazwyczaj jednak udawało się jej sprawić, że ludzie zmieniali zdanie. Ojciec Często mawiał żartem, że nie miałyby takich kłopotów, gdyby była chuderławą brzydula.

Ale mężczyźni, a zwłaszcza nieokrzesane wiejskie dzikusy, nie potrafili pojąć, że piękna dziewczyna mogłaby sobie szczerze chwalić ich styl życia. Z góry zakładali, że kobiety takie jak ona interesują się wyłącznie modą, świecidełkami i romantycznymi kolacjami przy świecach, nie zaś przy ognisku, wśród insektów czy też w kiepsko ogrzanych pomieszczeniach. Jeśli im mówiła, że lubi niewygody, traktowali to jak dobry żart i byli przekonani, że robi dobrą minę do złej gry i nawet całkiem nieźle jej to wychodzi. Nieraz jednak nie potrafiła przełamać lodów i nauczyła się, że wtedy nie ma sensu walczyć z ich uprzedzeniami — najlepiej je zignorować, żeby nie psuć sobie przyjemności polowania.

Po chwili jej uwagę przyciągnął huk wartko płynącej, wzburzonej wody. W cieniu jodeł ujrzała rzekę przedzierającą się wśród skał. Pokryta pyłem, żwirowa droga wiła się wśród drzew aż do migoczącej w oddali tafli wody, którą można było dostrzec pomiędzy gałęziami. Było to miejsce, gdzie rzeka Salmon rozwidła się w swym środkowym biegu. Jej bystre wody, to białe i spienione, to znów ciemniejące w głębokich nieckach skalnych, ginęły z oczu, przeciskając się przez wyżłobiony w skałach przesmyk.

Po drugiej stronie przełomu rzeki wznosiły się góry o zboczach porośniętych jodłowym lasem. Jordanna nadal nie mogła wypatrzeć żadnego rancza. Jednakże Tandy Barnes powiedział, że znajduje się po drugiej stronie rzeki. Wierzchołki gór, jałowe i ośnieżone, ostro rysowały się na horyzoncie.

- Piękna kraina, prawda?

Christopher stał przy Jordannie, wsparłszy ręce na biodrach, i spoglądał ku potężnym, majestatycznym górom wznoszącym się na wschodzie.

— Wspaniała — zgodziła się Jordanna.

Nagie, granitowe szczyty gór przecinały niebo ostrą linią postrzępionych grzbietów i strzelistych iglic skalnych. Tuż nad krętym nurtem rzeki szybował orzeł.

— O, to tutaj są Bighorn Crags.

Po uważnym przestudiowaniu mapy Jordanna odnalazła niewielki łańcuch górski.

Kit z obawą wpatrywał się w urwiste górskie zbocza.

— Czy to tam właśnie idziemy?

— Nie. Polowanie ma się odbyć na zachód od rzeki, jeśli dobrze zrozumiałam, w najbardziej odludnej części Idaho, tam gdzie obowiązuje zakaz wjazdu dla wszelkich pojazdów mechanicznych, prócz tych, które należą do właścicieli miejscowych rancz.

— Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby tu zamieszkać. Żyjąc tutaj, człowiek musi się czuć kompletnie osamotniony!

Osamotniony? Jordanna ponownie rozejrzała się wokół. Nigdy nie użyłaby tego słowa, by opisać tę okolicę. Odludna, owszem — z pewnością nie miewa się tu zbyt wielu gości. Ale samotność? Jakże intensywnie doświadczała jej niekiedy wśród ludzi! Słowo „osamotniony” określało raczej stan duszy niż miejsce.

Kit oderwał wzrok od pejzażu i uśmiechnął się krzywo.

— Trzeba mieć niesamowitą odporność i nerwy ze stali, żeby tu doszczętnie nie zbzikowac

— Pewnie masz rację.

— Coś ci powiem. W porównaniu z tymi górami — Christopher wskazał wznoszące się za nimi Bighorn Crags — tamte wydają się niemal gościnne.

— Nie daj się zwieść pozorom, Kit. Te góry są naprawdę dzikie. Wystarczy jeden dzień marszu w tym terenie, a przekonasz się, że masz mięśnie, o których nigdy dotąd nie miałeś pojęcia.

— Byłaś już tutaj? — spytał Kit, zdumiony jej znajomością rzeczy.

— Nie, ale polowałam na owcę gruborogą w kanadyjskich Górach Skalistych i na dziką owcę dalla na Alasce. Marsz w takim terenie wypompowuje z ciebie

wszystkie siły i zmusza do szukania w organizmie ciągle nowych rezerw energii. To zdumiewające, nieraz wydaje się, że nie zrobisz już ani jednego kroku* a jednak znajdujesz siłę, żeby przejść jeszcze kilometr czy dwa. Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby powierzchnię gór stanu Idaho rozciągnąć na płaszczyźnie, to otrzymano by obszar większy niż cały Teksas.

— Ależ wierzę ci! — zapewnił Kit ze śmiechem.

— Dość podziwiania krajobrazów! — zawołał ojciec.
— Chodźcie nam pomóc!

Całą pracę przy wyładowywaniu ekwipunku wykonywali Fletcher i Tandy Barnes. Max Sanger gapił się na nich, stojąc na poboczu drogi. Rzuciwszy na niego okiem, Jordanna stwierdziła, że nie przestał perorować na temat swojej spółki. Nic innego nie robił, odkąd wyjechali z Nowego Jorku.

— Jak myślisz, czy on sobie wyobraża, że będziemy taszczyli jego rzeczy? — szepnęła do brata. — Tak bym chciała, żeby tata kupił już te jego akcje, czy co on tam chce sprzedać! Pewnie z miejsca by się rozmyślił i zrezygnował z polowania.

— Od samego początku szczerze mu tego życzę — powiedział cicho Christopher tonem tak dziwnym, że Jordanna spojrzała na niego zaskoczona.

— Trzymaj! — Ojciec podał Jordannie należący do niej sztucer w futerał, nieco już zniszczonym, choć wykonanym z bardzo dobrej skóry; jego wygląd dowodził, że nie było to pierwsze polowanie, na które został zabrany.

Jordanna przerzuciła pas futerału na ukos przez pierś. Na ramieniu dźwigała już torby z rzeczami osobistymi, lornetką i lunetą. Na ziemi stały wyładowane z samochodu duże torby podróżne. Jordanna schyliła się, żeby podnieść swoją, lecz ubiegł ją Tandy i, chwyciwszy torbę, zaproponował szarmancko:

— Ja to pani poniosę.

W jednej ręce trzymała już małą walizkę, zawierającą

te rzeczy, których nie zamierzała zabierać ze sobą wysoko w góry. Tandy z pewnością uważał, że Jordanna więcej nie udźwignie.

— Dziękuję, panie Barnes, sama będę niosła swój bagaż. — W stanowczy i zdecydowany sposób odebrała mu torbę.

Max, który przedtem żadnym gestem nie zdradził chęci niesienia swoich bagaży, usłyszawszy teraz, że Jordanna odrzuca pomoc kowboja, podszedł, żeby je zabrać. Nie mogła powstrzymać zgryźliwego uśmiechu, gdy to spostrzegła.

Tandy Barnes, zbity z tropu, nadal z obawą wlepił w nią oczy, jakby spodziewał się, że lada moment dziewczyna osunie się na ziemię pod zbyt wielkim dla niej ciężarem. Fletcher, wychynawszy zza posegregowanych bagaży, zauważył malującą się na twarzy kowboja rozterkę, spojrzął na objuczoną Jordannę, po czym rzekł:

— Niech pan się tak nie przejmuje, Tandy! Ona jest znacznie silniejsza, niż by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

— Może i tak. — Podrapał się w czubek głowy i spod zsuniętego do przodu kapelusza wyrzały zaczątki łyminy.

Tandy Barnes powiedział Christopherowi, że ma czterdzieści sześć lat, lecz Jordanna podejrzewała, że jest co najmniej o sześć lat starszy, choć trzeba przyznać, że dzięki szerokim ramionom i mocnej budowie ciała miał sylwetkę człowieka dwa razy młodszego. Starannie poprawił kapelusz, obniżył rondo nad czołem i, rzuciwszy okiem za siebie, stwierdził:

— Zdaje się, że nie ma nic więcej do zabrania. — A widząc, że dla niego zostały tylko dwa pakunki, dodał: — Nie macie ze sobą za dużo rzeczy.

Był to z jego strony komplement. Przyznawał w ten sposób, że docenia ich doświadczenie w wyprawach wysokogórskich, na które należy zabierać wyłącznie rzeczy absolutnie niezbędne. Fletcher i Jordanna wymie-

nili porozumiewawcze uśmiechy. Ilość zabieranego ekwipunku była źródłem nieustannych nieporozumień pomiędzy przewodnikami a myśliwymi.

Tandy Barnes ruszył drogą wiodącą ku rzece. Szli za nim gęsiego. Pochód zamykał Fletcher idący za Maxem. Wiszący most, przerzucony ponad nurtem rzeki, był wprawdzie solidny, ale tak wąski, że sprawiał wrażenie konstrukcji niepokojąco wątlej. Pod ich stopami wzbudzona woda rozpryskiwała się o poszarpane skały, a jej huczenie odbijało się echem od urwistych granitowych ścian przesmyku. W dolnym biegu koryto rzeki się rozszerzało, a rwący prąd uspokajał się w głębokim basenie. Łacha białego piasku wrzynała się w wodę i tworzyła przy brzegu wąskie, długie pasmo plaży.

— Nie chciałbym spaść z tego mostu! — zawołał Max tuż za plecami Jordanny.

Przelotnie rzuciła okiem przez ramię. Zatrzymał się i patrzył zafascynowany w skłębione wiry rzeki, które zdawały się go przyciągać.

— Jesteś pewien, że ten most wytrzyma takie obciążenie? — spytał z obawą.

- Jestem pewien. — Fletcher szturchnął go w łokieć torbą, żeby szedł dalej.

Christopher zatrzymał się, chciał posłuchać, o czym rozmawiają.

— Wszystko w porządku? — krzyknął.

— Tak, tak, już idziemy — odpowiedział Fletcher, a Max ostrożnie pomaszerował dalej.

Tandy czekał na nich u wylotu mostu. Jordanna przystanęła obok niego i patrzyła w dół.

— Middle Fork Salmon jest objęty przepisami o ochronie przyrody, tak? — Tandy potwierdził skinieniem głowy. — Rzeka Salmon jest na północ stąd?

— Koryto rzeki przebiega i na północ, i na wschód stąd.

— Dlaczego mówi się o niej „Rzeka bez powrotu”?

Kit, który przystanął obok nich, zmarszczył nieznacznie czoło i wyjaśnił:

— Ponieważ, prąd jest tak silny i wzburzony, że można by płynąć tylko w dół rzeki. Teraz silniki statków mają taką moc, że możliwa jest również żegluga pod prąd.

Dołączył do nich Fletcher Smith.

— Na początku ubiegłego stulecia Lewis i Clark próbowali kiedyś pożeglować w górę rzeki i zawrócili. Nadali rzece nazwę „Lewis”. Z kolei Indianie mówili o niej Woda Wielkiej Ryby, ponieważ łososiie przepływają tu, żeby złożyć ikrę.

— Tak, łowimy je tutaj w porze tarła — wtrącił Tandy. - Zdarzają się też pstrągi srebrzyste i tęczowe. A w ubiegłym tygodniu Franek nałapał pełno łososi chinook. Może Jocko przyrządzi je nam na kolację.

— Middle Fork Salmon jest jednym z najważniejszych tarlisk łososia — oznajmił Fletcher.

— Jeżeli chce się pan wybrać na ryby dziś wieczorem, to dobre miejsce jest o, tam. — Tandy wskazał palcem łachę piasku.

— Niezła myśl.

— Ale na razie zanieśmy bagaże do domu, żeby państwo mogli się rozgościć.

Tandy dźwignął swoje pakunki i rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na Jordannę, ruszył przed siebie.

Po tej stronie mostu droga była nieco szersza. Obeszli potężną granitową skałę i za zakrętem ujrzeli wreszcie ranczo. Przed nimi rozpościerała się rozległa łąka porośnięta brunatną tfawą. Od jej ciemnego tła wyraźnie odcinały się osiki o złocistożółtych jesiennych liściach. Ich srebrzyste pnie kontrastowały z ciemnozielonym świerkowym lasem porastającym odległe zbocza.

Stado krów rasy Hereford pasło się rozproszone po pastwisku. Nieco dalej Jordanna dostrzegła także owce, których beczenie docierało z oddali. Powietrze było

rześkie i przejrzyste, przyjemnie pachniało żywicą i sianem.

Nadchodzili od tej strony łąki, gdzie znajdowało się rancho, ze stodołą i corralem, w którym można było się doliczyć dwunastu koni.

W tym budynku z okraglaków wędzi się pewnie mięso i ryby — pomyślała Jordanna.

Rancho mieściło się pod osłoną pobliskich granitowych skał przesmyku. Masywne, jednopiętrowe domostwo zbudowane było z drewnianych bali. Poszczególne części dalekiego od symetrii ganku — balustrady, słupy i belki — zostały wykonane z nieregularnie ciosanych okraglaków.

Tandy wspiął się po stopniach i otworzył drzwi. Weszli do niewielkiego pokoju, gdzie słychać było pomruk ognia w okopconym piecyku. Z tego pomieszczenia wiodły schody na piętro.

Umeblowanie składało się z kanapy, dwóch starych foteli pokrytych przetartym materiałem, stojącego przy ścianie biurka zawalonego papierami, prostego krzesła ustawionego obok, półek na ścianach i stolika do gry w karty, otoczonego kilkoma krzesłami. Jedyną ozdobę stanowiła skóra baribala rozwieszona na ścianie. Rozłożona na stoliku zniszczona talia kart świadczyła o tym, że ktoś układał pasjansa.

— Rzeczy mogą państwo zostawić tutaj, byle gdzie — powiedział Tandy.

— Równie dobrze możemy zanieść je od razu do swoich pokoi — zauważył Fletcher.

— Jakby to powiedzieć... — Tandy zawahał się, spoglądając na Jordannę. — Nie bardzo wiem, jak Brig zamierza państwa rozlokować. Będzie lepiej, jak państwo na tego poczekają.

— A gdzie on jest? — spytał Fletcher rozglądając się wokół.

— Byłem przekonany, że tu będzie — dorzucił Max.

— Na pewno zaraz przyjdzie.— zapewnił Tandy.

— Na kuchni zawsze stoi dzbanek z ciepłą kawą. Może ktoś chciałby się napić?

Tylko Christopher nie wyraził ochoty. Tandy wyszedł przez drzwi ukryte częściowo za schodami. Zanim zdążyli ustawić bagaże w stertę pod drzwiami wejściowymi, wrócił z trzema kubkami dymiącej kawy. Wraz z nim wszedł drugi mężczyzna, dorównujący mu wzrostem, lecz znacznie szczuplejszy, co sprawiało, że wydawał się niższy. Był bez kapelusza, miał gęste czarne włosy, które zaczynały już siwieć, i ogorzałą twarz — nie wyglądał na tutejszego. Niezwykła poczciwość wyzierała z jego łagodnych, brązowych oczu. W jednej dłoni trzymał kubek, a w drugiej — talerz z racuchami.

— To Jocko Morales, najlepszy kucharz w okolicy. Może uda się go namówić, żeby na jakiś czas zostawił swoje owce.

Ach, więc jest pasterzem — pomyślała Jordanna, nie dziwiąc się już, dlaczego tak dobrze patrzy mu z oczu.

— *Buenos dias* — powitał wszystkich obecnych.

Tandy zaczął rozdawać kubki z kawą, a Jocko podszedł do Jordanny, wręczył jej kubek i podsunął talerz z racuchami.

— Dziękuję, panie Morales.

— Na imię mam Jocko — sprostował z miłym uśmiechem.

— Dziękuję, Jocko. Jesteś Meksykaninem?

— Moja rodzina pochodzi z Hiszpanii. Jestem Baskiem.

Widać było wyraźnie, że jest z tego bardzo dumny. Odwrócił się od Jordanny, by poczęstować racuchami Fletchera.

— Czy ktoś chce cukru albo mleka do kawy? — spytał Tandy.

— Cukru — poprosił Max.

Jordanna łąpczywie zatopiła zęby w świeżym, puszystym racuchu i porozumiewawczo zerknęła na ojca. Pycha! Jeśli ten racuch jest próbką kulinarnych umiejęt-

ności Jocko, to mogli być już spokojni, że podczas polowania będą mieli znakomitego kucharza, co na takich wyprawach było nieocenione.

W tej właśnie chwili dobiegł z zewnątrz tętent kopyt. Jordanna podeszła do okna i dostrzegła dwóch galopujących jeźdźców. Pierwszy był roslym, krzepkim mężczyzną o szerokich ramionach. Trzymał się w siodle tak hardo, jakby się spodziewał, że wszyscy będą schodzić mu z drogi. Patrząc na niego, Jordanna zadała sobie pytanie, czy to jest właśnie ów McCord, właściciel rancza.

Oblizała oblepione cukrem palce i przeniosła wzrok na drugiego jeźdźca, dosiadającego olbrzymiego, izabelowatego konia. Jechał lekko i swobodnie, ledwie dotykając siodła. Zdawało się, że doskonała więź łączy człowieka z wierzchowcem. Na wypłowiej koszuli w kratę mężczyzna miał obszerną czarną marynarkę, która dodatkowo podkreślała szerokość jego ramion. Odwrócił głowę, żeby coś powiedzieć do drugiego jeźdźca, i wtedy Jordanna zobaczyła jego twarz, osłoniętą przedtem rondem kapelusza.

Drgnęła gwałtownie. Nie! To niemożliwe! To z pewnością przywidzenie! To przez te wąsy, które go upodabniają do tamtego mężczyzny z przyjęcia, który tak zawładnął jej myślami, że wszędzie go widziała. A zresztą, co mogłoby go tutaj sprowadzać?

Jeźdźcy zatrzymali się przed gankiem. Mężczyzna, który przyjechał na kasztanie, pozostał w siodle, drugi zaś zeskoczył na ziemię tak lekko i zwinnie, że Jordanna pozbyła się wszelkich wątpliwości. Stała jak wryta, czując, że ogarnia ją bezradność i niemoc. Mężczyzna oddał wodze swojego konia drugiemu jeźdźcowi.

Zajmij się moim koniem, Franck!

— Powiedz w kuchni, niech tam Jocko uratuje trochę racuchów przed tymi turystami — podsunął przezornie

Franck. — Ślinka mi cieknie od samego rana, jak je tylko zobaczyłem.

Franck spał konia i pokłusował w stronę stodoły, prowadząc drugiego wierzchowca za wodze.

Turyści! Brig miał nadzieję, że nie będą zaskoczeni niewygodami nadchodzącej nocy. Kiedy Brig był na ranczo, Franck, Tandy i Jocko zajmowali dwa pokoje na górze, on zaś mieszkał na parterze. Dzisiejszej nocy wszyscy mieli spać na podłodze w pokoju na dole, żeby Fletcher Smith i jego kompania mogli zająć pokoje sypialne. Franck strasznie się pieklił, gdy o tym usłyszał.

Brig skrzywił się. Nie mógł już dłużej odwlekać spotkania z Fletcherem Smithem. Na myśl o tym ogarniało go niepoohamowane rozdrażnienie.

Podzwaniając ostrogami wspiał się po schodach na ganek. Wszedł do domu i po chwili za głowami Jocko i Tandy'ego dostrzegł znajomą srebrną czuprynę. Zmusił się do szerokiego uśmiechu i zdjął rękawice, żeby ucisnąć dłoń Smitha.

— Witam. Żałuję, że nie było mnie w domu, kiedy dotarliście tutaj. Mam nadzieję, że Tandy ugościł was jak, należy.

— O tak, wspaniale. Wyjaśnił nam, że zatrzymała cię pilna praca.

— Czołem, Brig — karcącym tonem odezwał się Max, stojący przy drzwiach.

Brig kiwnął mu głową i zauważył piętrzącą się za nim stertę bagaży.

— Tandy, pomóż im zanieść rzeczy na górę.

Błysk niepokoju pojawił się w oczach Tandy'ego, gdy wyraźnie skonsternowany odezwał się do Briga:

— Nie wiedziałem, co postanowisz w sprawie noclegu, więc wolałem poczekać, aż wrócisz i sam im powiesz, gdzie będą spać.

Brig powściągnął cierpkie słowa, nie chcąc besztać Tandy'ego w obecności Fletchera. Ale przecież sto razy

mówił, że mają spać na górze, po dwóch w jednej sypialni. Z Tandym rozprawi się potem.

Odwróciwszy wzrok, ujrzał ze zdumieniem ciemno-okiego młodego bruneta, którego widział na przyjęciu. Przemknęło mu przez myśl, że to może właśnie z jego przyczyny Tandy stracił głowę i nie wiedział, jak ich rozlokować.

Kątem oka zauważył ognisty błysk, który promienie słońca zapaliły w ciemnych włosach dziewczyny stojącej na tle okna. Jej widok wywarł na nim takie wrażenie, jakby ktoś zdzielił go zniecka pięścią w brzuch. Stał jak skamieniały, nie mogąc ani zaczerpnąć tchu, ani zebrać myśli.

Znów poczuł, jak ogarnia go paląca namiętność. To nie było złudzenie — przed nim stała Jordanna z krwi i kości, piękna, słodka i blada jak chusta. Wyraz jej zielonoorzechowych oczu dowodził, że i ona o nim nie zapomiała. Zaprzagnął gwałtownie, by krzyżeć z radości, że ona tu przy nim jest, że nareszcie będzie mógł się uwolnić od tej straszliwej tortury! Najchętniej natychmiast by ją rozebrał, zaniósł do swojego pokoju i na cały tydzień, cały miesiąc, zamknął drzwi na klucz.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić czy powiedzieć, jakieś poruszenie w pokoju przypomniało mu, że nie są sami, uświadomił sobie, dlaczego się tu znalazła, a przede wszystkim... kto ją ze sobą zabrał. W jednej chwili jego miłosne uniesienie przekształciło się we wściekłość.

Z furią natarł na Flechtera:

— Co ona tu robi?

Fletcher stanowczo zbyt wiele od niego wymagał. Brig nie mógłby znieść myśli, że Jordanna, przebywając z nim pod jednym dachem, śpi w ramionach innego.

— Kto? Jordanna? — Fletcher osłupiał, zaskoczony agresywnym tonem głosu Briga.

— Tak, Jordanna! — warknął przez zęby Brig.

Jeszcze nigdy dotąd nie pragnął zabić człowieka, ale

dzisiaj mógłby udusić Fletchera gołymi rękami. Odwrócił się, żeby się na niego nie rzucić.

— Koniec polowania!

— Jakże to? Co pan wygaduje, McCord? Przecież wszystko zostało uzgodnione!

Jordanna stała nieporuszona i bez słowa wpatrywała się w Briga McCorda, wstrząśnięta odkryciem, że tamtym nieznanym jest ów właściciel rancza, który ma być ich przewodnikiem. Rozpoznał ją. Wyraźnie dostrzegła to w jego oczach, gdy ją zauważył. Ale teraz był zimny i nieczuły jak bryła lodu.

— W naszych uzgodnieniach nie było mowy o kobiecie. — Rzucił mordercze spojrzenie w stronę Tandy'ego. — Dlaczego ją zabrałeś?

— A co miałem robić? — bronił się Tandy. — Nic mi przecież nie mówiłeś o kobiecie. No to skąd mogłem wiedzieć, że ty nie wiesz, że ona przyjedzie?

— Bardzo żałuję, McCord, że nie uprzedziłem pana o przyjeździe Jordanny — usprawiedliwił się Fletcher, wzruszywszy ramionami. — Nie miałem zamiaru; wprowadzać pana w błąd. Jordanna zawsze jeździ ze mną na polowania.

— To już wyłącznie pana sprawa — odparł Brig i rzucił wściekłe spojrzenie na Jordannę. — Nie jestem przygotowany, żeby przyjąć u siebie kobietę. Nie mamy tu żadnych wygod. Polowanie jest odwołane.

— Przejechaliśmy kawał drogi, żeby tu dotrzeć! — zaprotestował Fletcher. — Teraz już nie znajdę nikogo na pana miejsce.

— Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. Zwróć panu pieniądze. Tandy, Jocko, pomóżcie państwu...

— Ależ to absurd! — przerwał zniecierpliwiony Fletcher. — Jordanny nie trzeba traktować w specjalny sposób tylko dlatego, że jest kobietą. Jest doskonale przygotowana, żeby znosić wszelkie niedogodności na równi z innymi. Zawsze świetnie sobie radziła.

— Nie obchodzi mnie, na co ją do tej pory było stać i gdzie z panem polowała! — Brig odwrócił się na pięcie, z palcem groźnie wycelowanym w stronę Fletchera. — Nie zabiorę kobiety na taką wyprawę, którą, jak mi się zdawało, miałem urządzić! Jeżeli odeśle ją pan zaraz do Nowego Jorku, to resztę da się jakoś załatwić.

— Nie! — Jordanna nagle odzyskała głos. — Nikt nie będzie mnie odsyłać do Nowego Jorku.

Brigowi nawet nie drgnęła powieka, gdy napotkał jej wyzywające spojrzenie.

— Wyjedź pani. Nieważne, czy sama, czy razem z innymi, ale nie pozwolę pani tutaj zostać!

Wyrzucił ją! Brutalny sposób, w jaki jej to zakomunikował, zrobił na niej piorunujące wrażenie. To nie mógł być ten sam mężczyzna, który swymi pieszczotami umiał sprawić, że przeżyła tak niewysłowioną, upajającą rozkosz. Może to wszystko było tylko złudzeniem jej rozgorączkowanej wyobraźni, może nigdy nie przeżyła tego naprawdę.

— Panie McGord, pan się zobowiązał zorganizować dla mnie wysokogórską wyprawę myśliwską — przypomniał oschle Fletcher.

— Wyprawę myśliwską? Pan mówi o polowaniu? — Brig rozejrzał się pogardliwie wokół siebie. — Ja tu widzę tylko jednego myśliwego. Chociaż teraz już sam nie wiem, czy przynajmniej pan umie strzelać!

— Ja nie przyczyniłem się do przyjazdu Maxa — zaproponował Fletcher. — Sam się wprosił. Jeśli zaś chodzi o Kita, mojego syna, to od początku było jasne, że nie będzie polował.

— Pańskiego syna?

Jordanna zauważyła, że ojciec blednie z wściekłości na widok pogardliwego, kpiącego spojrzenia, jakim Brig obrzucił Kita. Odezwało się w niej poczucie rodzinnej solidarności. Wpadła w gniew, a jej rozjątrzenie potęgowała absolutna pewność, że Brig nie ma żadnego powodu, by patrzeć na Kita w taki sposób.

— Tak się składa, że właśnie Jordanna będzie polować — ciągnął Fletcher, nie reagując na obraźliwe zachowanie Briga wobec Kita. — Mówiłem panu w Nowym Jorku, że to dla mnie prawdopodobnie ostatnia szansa upolowania muflona. Zdobęde to trofeum. A pan nie może się teraz wycofać z umowy.

— Postawmy sprawę jasno, Fletcher. Może według pana nic nie stoi na przeszkodzie, żeby z tak dobraną grupą ludzi urządzić polowanie, ale ja nie podzielam pana poglądów. Uważam, że pomysłem niepoważnym i niesmacznym jest zabieranie ze sobą kobiety dla dogadzania własnym zachciankom.

Zszokowana Jordanna stała przez chwilę z otwartymi ustami, jakby w nią piorun strzelił. Chyba nie wierzył w to, co próbował zasugerować! Spojrzała na ojca.

— Bierze mnie za twoją kochankę — wykrztusiła z furją.

— Co takiego? — Fletcher zmierzył Briga wzrokiem.

— Na Boga, toż Jordanna jest moją córką!

— Nie może być! — zakpił Brig z zimną ironią.

— A dlaczego nie siostrzenicą? To by było przynajmniej bardziej wiarygodne!

— To prawda, Brig — wtrącił się Max. — Jordanna jest córką Fletchera, nie wiedziałeś o tym?

Usłyszawszy, że kuzyn potwierdza rzecz tak na pozór nieprawdopodobną, Briga ogarnęły wątpliwości. Wpatrywał się w Jordannę badawczym, przenikliwym wzrokiem. Ona zaś widząc, że jej tożsamość nadal budzi jego wątpliwości, poczuła się głęboko zraniona i znieważona.

Teraz stało się dla niej zupełnie jasne, że uważał ją za kochankę Fletchera już wtedy, gdy spotkał ją na przyjęciu. Ale dlaczego? Naraz przypomniała sobie wyraźnie tamtą scenę, którą jej zrobił, gdy po miłosnych uniesieniach poprosiła go, żeby jej zapiął sukienkę. Zapewne widział, jak nieco wcześniej pomagał jej w tym ojciec, i to nasunęło mu myśl, że Fletcher jest jej kochankiem. Ale nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy, że

widział ją wtedy z ojcem, to myśl o tym ani trochę nie złagodziła ogarniającego ją uczucia wściekłości. Wręcz przeciwnie, to by znaczyło, że McCord brał ją za dziwkę. Nie była dla niego niczym więcej, jak tylko przelotną rozrywką, co tłumaczyło, dlaczego nawet nie zadał sobie trudu, by spytać, kim jest.

Rozwścieczona tym odkryciem przemierzyła pokój i stanęła przed Brigiem. Jej zielone oczy płonęły oburzeniem.

— Jak śmiesz mnie w ten sposób znieważać? — rzekła niskim, drżącym z gniewu głosem. — Ty łajdaku! — Wy-mierzyła mu policzek z taką siłą, aż dłoń ścierpła jej z bólu. Była jednak zbyt wściekła, by to poczuć.

Błyskawicznie chwycił jej nadgarstek, unieruchamiając rękę stalowym uściskiem. Biały ślad na policzku zaczynał z wolna czerwienieć. Jordanna żałowała gorąco, że nie zdołała go uderzyć jeszcze mocniej. Gniewne błyskawice w jej pociemniałych oczach wcale nie zbijały go z tropu.

Nagle czyjeś ramię pojawiło się między nimi.

— Zostaw ją, McCord! — nakazał Kit spokojnym głosem. Wtedy również Tandy Barnes postanowił interweniować. Podeszedł i położył dłoń na ramieniu Briga.

— Starczy już, Brig — powiedział, starannie ważąc każde słowo. — Pani nie chciała na pewno tego powiedzieć.

Drwiący, ironiczny grymas przemknął po twarzy Briga.

— A ja myślę, że chciała.

Rozluźnił uścisk i odsunął się od Jordanny.

— Mam nadzieję, McCord, że udało nam się już wyjaśnić nieporozumienie — oświadczył Fletcher. — Przykro mi, że Jordanna do tego stopnia straciła zimną krew... No, ale sądzę, że okoliczności w pełni ją usprawiedliwiają.

— Chyba ma pan rację — odrzekł na wpuł przekonany Brig, pocierając policzek.

— Jeśli zaś o mnie chodzi, to mogę pańską pomyłkę

potraktować tylko jako pochlebstwo. — Fletcher uśmiechnął się nieznacznie. — To dla mnie wielki komplement, gdy ktoś sobie wyobraża, że taka śliczna dziewczyna jak Jordanna mogłaby się mną jeszcze zainteresować.

— Jeżeli się ma dość pieniędzy, to zawsze znajdzie się ludzi, gotowych okazać zainteresowanie dokładnie wszystkim — odpalił Brig.

— A jeśli już mowa o pieniądzach, to mam nadzieję, że teraz, kiedy przekonał się pan, że Jordanna jest moją córką, zmienił pan zdanie w sprawie polowania? Oboje chcemy za wszelką cenę upolować tego muflona.

— Ona jest pana córka! — Brig odetchnął głęboko, jakby nie był jeszcze do końca przekonany.

— Mam panu pokazać paszport? — obruszyła się Jordanna. — Czy to pana przekona? A może zażąda pan jeszcze metryki urodzenia na dodatek?

Brig zignorował jej zgrzyźliwe pytanie.

— Więc naprawdę ma pani pojęcie o polowaniu?

— To Jordanna nie pokazała panu swoich trofeów rozwieszonych w saloniku myśliwskim? — Pytanie Kita dowodziło, że nie zapomniał o wizycie McCorda w tamtym pokoju podczas przyjęcia. — Większość z nich to dzieło ojca, ale Jordanna też ma ich sporo.

— Nie, nie pochwaliła się.

Brig lodowatym wzrokiem wpatrywał się w Jordanna. To nie były te błyszczące, namiętne brązowe oczy, które nieustannie widział w wyobraźni. Przypominały teraz jałową skałę na pustynia tak były obce i niewzruszone. A choć z trudem wytrzymawała to spojrzenie, nie spuściła oczu.

— Pana wątpliwości co do naszych myśliwskich doświadczeń są zupełnie nieuzasadnione — odezwał się Fletcher. — Moja córka jest równie fanatyczną zwolenniczką polowań, jak ja.

Brig nadal nie spuszczał z niej wzroku.

— Będą z nią tylko kłopoty.

— Gdybym miał wątpliwości, czy starczy jej odporności i siły, koniecznych podczas takiego polowania, to by jej tutaj nie było. Nikt mi nie przeszkodzi w zdobyciu tego trofeum, nawet Jordanna. Ona już od dawna wie, że nie może oczekiwać specjalnych względów tylko dlatego, że jest kobietą. Płeć nie daje jej żadnych przywilejów.

— Polowanie nie jest zajęciem zarezerwowanym dla mężczyzn. — Niski głos Jordanny brzmiał prowokacyjnie. — Prawdę powiedziawszy, wśród drapieżników to właśnie samice zajmują się polowaniem. Lew afrykański, uważany za króla zwierząt, nie przemęcza się tym specjalnie. To lwica poluje, dostarczając pożywienia całemu stadu.

Atmosfera była ciężka. Jordanna każdym nerwem odbierała wiszące w powietrzu napięcie. Brig jeszcze przez kilka chwil patrzył bez słowa w oczy Jordannie, a potem zwrócił się do Tandy'ego i Jocko:

— Zanieście bagaże do sypialni na górze, a bagaże panny Smith zanieście do mojej sypialni. Ja prześpię się tutaj, razem z wami.

Jego polecenie było nieodwołalne i nie podlegało żadnej dyskusji.

Jordanna, choć jej gniew nie minął, zadrżała na myśl o tym, gdzie postanowił ją ulokować. Pochwyciła jego przelotne, sarkastyczne spojrzenie. Może nie bezpośrednio, ale pomimo to całkiem wyraźnie, dawał jej do zrozumienia: „i będę spał tutaj, tuż obok ciebie”.

— A zatem, podtrzymuje pan swoje zobowiązania? — upewnił się Fletcher.

Brig szedł już w stronę drzwi kuchni i tylko niecierpliwie rzucił przez ramię:

— Tak, będzie pan miał to swoje przekłete polowanie!

Gwałtownym ruchem szarpnął drzwi i głośno je za sobą zatrzasnął — najlepszy dowód na to, jak bardzo był wzburzony.

9

Jordanna, wstrząśnięta nieoczekiwanym spotkaniem z mężczyzną, którego by nigdy nie spodziewała się zobaczyć w dalekim Idaho, odwróciła się do ojca. Po to, by polowanie mogło się odbyć, była gotowa znieść niejedną przykrość, ale perspektywa spędzenia dwóch czy trzech tygodni z Brigiem McCordem, zważywszy, jak fatalnego był o niej mniemania, wydawała się jej teraz ponad siły. Zamierzała właśnie wytłumaczyć to ojcu, lecz on jednym surowym spojrzeniem zmusił ją do milczenia. Porozmawiają o tym sam na sam, bez świadków. Zamknęła więc usta, próbując uciszyć kłębiące się w niej emocje.

Przełamując odrętwienie, podeszła do dwóch mężczyzn krzątających się przy bagażach i wskazała im należące do niej torby. Sama wzięła niewielką walizkę, a resztę jej rzeczy zgarnął baskijski pasterz.

— Pokażę pani pokój, panno Smith — powiedział z ujmującym uśmiechem.

Kit, Fletcher i Max podążyli po schodach za Tandym, a Jordanna wyszła z pokoju za Jocko. Otworzył przed nią masywne drzwi do sypialni. Ascetyczne umeblowanie składało się z szafy, prostego krzesła, nocnego stoliczka i łóżka przykrytego grubą kapą. Surowość tego wnętrza doskonale harmonizowała z charakterem

człowieka, który tu sypiał. Zbyt często Jordanna oczyma wyobraźni widziała siebie leżącą przy nim w łóżku, by teraz nie poczuć wzburzenia na myśl o tym, że będzie tu spać. W szczególną konsternację wprawiło ją odkrycie, że choć była na niego tak wściekła, jego pieszczoty nadal mogły ją doprowadzić do ekstazy.

Pasterz zauważył bolesny skurcz, który przebiegł po jej twarzy i, odgadując przyczynę zgryzoty Jordanny, powiedział łagodnym, śpiewnym głosem:

— Niech pani nie ma za złe Brigowi jego szorstkiego obejścia, panno Smith. My tu się rzadko stykamy z kobietami z takiego eleganckiego towarzystwa. Pewnie zapomniał, jak należy traktować taką damę jak pani.

— Wątpię, czy on by panu podziękował za usprawiedliwianie jego zachowania.

Jocko puścił jej słowa mimo uszu i tylko spytał troskliwie:

— Czy odpowiada pani ten pokój?

— Tak.

Nie mogła odpowiedzieć inaczej. Pasterz nie mógłby zrozumieć przyczyny jej zastrzeżeń co do przeznaczenia dla niej tego właśnie pokoju.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała, to będę w kuchni.

Skinął lekko głową i podszedł do drzwi.

— Dziękuję.

Po jego wyjściu z pokoju Jordanna stała jeszcze przez chwilę nieruchomo. W tej typowo męskiej sypialni wszędzie można było wyczuć obecność Briga. Wrażenie było tak silne, że wywołało przyśpieszony oddech i oszalałe bicie serca Jordanny. Odwróciła wzrok od wąskiego łóżka, w którym można by było od biedy spać we dwoje, i nagle zdała sobie sprawę, że machinalnie pociera nadgarstek. Nadal czuła uścisk jego ręki. Zaciśnęła pięści, wbijając paznokcie w dłonie, żeby uśmierzyć nieznośną udrękę, która ją ogarnęła.

Usłyszawszy kroki na schodach, wyszła szybko z pokoju i poczekała, aż ojciec w towarzystwie innych mężczyzn zejdzie na dół. Niepokój i obawa malowały się w jej orzechowych oczach.

— Chciałabym z tobą pomówić, tatusiu — powiedziała pośpiesznie, schrypniętym głosem.

W pierwszej chwili ojciec wydawał się nieco rozdrażniony tą prośbą, zaraz się jednak opanował i spytał Tandy'ego:

— Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy sprawdzić stan naszej broni?

— Jest dobre miejsce za domem.

— Przydałyby się nam jakieś tarcze strzelnicze. Papierowe talerze byłyby bardzo dobre. Mogą być też puszki po konserwach.

— Coś znajdę — obiecał Tandy. — Będę czekał na zewnątrz, za domem.

— Max, czy byłbyś łaskaw przynieść z góry mój sztucer? — spytał Fletcher stojącego tuż za nim mężczyznę o kędzierzawych włosach.

— Bardzo chętnie — zapewnił skwapliwie Max, po czym wszedł z powrotem po schodach.

— O co chodzi, Jordanno? — zainteresował się Kit.

— Ta sytuacja jest nie do wytrzymania! — zwróciła się do ojca. — Doskonale wiesz, tatusiu, jak wygląda życie na takich wyprawach, jak w miarę upływu czasu nieznośna staje się obecność innych ludzi i jak może działać na nerwy towarzystwo kogoś, z kim nie możesz dojść do porozumienia! Zachowanie tego... hodowcy bydła zatruje atmosferę nam wszystkim. — Mówiła cichym głosem, żeby jej słowa nie dotarły do innych pomieszczeń.

- Przesadzasz! — odparł Fletcher z pobłażliwym uśmiechem, wyraźnie bagatelizując jej słowa. — Zgoda, pomylił się co do charakteru łączących nas stosunków, ale dlaczego od razu traktujesz to jak osobistą zniewagę! Gdzie się podziało twoje poczucie humoru, Jordanno?

— Ach, więc uważasz, że powinnam się śmiać, tak? rozłościła się. W jej wspomnieniach nie było niczego zabawnego.

— Gdybyś potraktowała to jak żart, z pewnością rozładowałyby to napiętą atmosferę — próbował przemówić jej do rozsądku.

— Nie mam aż tak bujnej wyobraźni, żeby zdobyć się na coś podobnego!

Jej twarz zdradzała, jak czuje się dotknięta. Nie potrafiła powstrzymać drżenia warg.

— C o zaszło tamtego wieczoru, podczas przyjęcia? — spytał Christopher, zmarszczywszy brwi. — Czy robił ci jakieś propozycje?

— Owszem, można to tak określić — przyznała Jordanna i gorzko się roześmiała.

Odwróciwszy się do ojca, rzekła oskarżycielskim tonem:

— Gdybyś mi wtedy powiedział, że McCord będzie na tym przyjęciu... Gdybym domyśliła się, kim on jest, zanim tu przyjechałam... — przerwała nagle.

Wiedziała, że niczego by to nie zmieniło. Wręcz przeciwnie, z jeszcze większą niecierpliwością czekałaby na spotkanie z mężczyzną, który wywarł na niej tak głębokie wrażenie. Dziś, wobec fatalnego pojęcia, jakie sobie o niej wyrobił, miała jedynie ochotę przed nim uciec.

— Jeśli McCord rzeczywiście robił ci jakieś propozycje podczas waszego spotkania na przyjęciu, to tylko dowodzi, że uważa cię za atrakcyjną dziewczynę — stwierdził Fletcher, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo pogarsza sytuację. — Jest rzeczą bardziej niż prawdopodobną, że nie zmienił swojego zdania. Zamiast się złościć, pogłębiając jeszcze to nieporozumienie, lepiej być zrobiła, starając się umiejętnie zjednać jego sympatię. Zgodził się zabrać cię na polowanie, postaraj się więc, żeby był z tego zadowolony. Tak, to by mogło ułatwić wiele spraw — mruknął do siebie.

— Ułatwić?!

Spojrzał na nią trochę nieprzytomnie i zdał sobie nagle sprawę, że wypowiedział głośno własne myśli. Starając się więc z tego wybrnąć, powiedział pośpiesznie:

— Tak, z pewnością by ułatwiło. Jak sama słusznie zauważyłaś, atmosfera podczas polowania stałaby się nie do zniesienia, gdybyś nadal wzbudzała w nim takie uczucia.

- Odwołajmy to polowanie! — poprosiła Jordanna, nie panując już nad nerwami. — Za taką cenę nawet w ostatniej chwili znajdziemy przecież doświadczonego organizatora polowań i przewodnika. Albo odłóżmy to polowanie na później.

— Nie! — kategorycznie odrzucił jej propozycję, ścisnąwszy gwałtownie jej ramię. Jordanna nigdy jeszcze nie widziała ojca nie panującego nad gniewem. Teraz jednak widać było po jego rozdętych nozdrzach i mocno zaciśniętych wargach, że wpadł w furję. — Polowanie odbędzie się teraz! Z McCordem! Taka wspaniała okazja może mi się już nigdy nie trafić! Może już nigdy nie będę mógł tak doskonale tego zorganizować!

— Co masz na myśli, mówiąc o wspaniałej okazji! — spytał Christopher. — O czym ty mówisz?

Usłyszawszy głos Kita, Fletcher drgnął, jakby przedtem zapomniał o jego obecności. Gwałtownym ruchem odwrócił głowę i spojrzał w ciemne, przenikliwe oczy syna. Natychmiast puścił ramię Jordanny, jego twarz uspokoiła się w mgnieniu oka, bez śladu zniknął z niej wyraz wściekłości. Nagła zmiana, która zaszła w nastroju ojca, przywiodła Jordannie na myśl zmianę barw kameleona, chroniącego się w ten sposób przed wrogami.

— Chcę przez to powiedzieć, że może już nigdy nie będę miał równie dobrej okazji, żeby zdobyć trofeum muflona. McCord zorganizował wszystko dokładnie tak, jak chciałem, i zabierze mnie w dobrze sobie znane miejsce, które dotychczas rzadko było odwiedzane przez

myśliwych. A fakt, że nie jest zawodowym przewodnikiem, jest mi bardzo na rękę. Profesjonalista w tym fachu zawsze ma w zanadrzu muflona o dobrze rozwiniętych ślimach dla każdego z wybranych klientów.

Uwagę Jordanny przykuł zamyślony i nieobecny wyraz twarzy Kita. Miała wrażenie, że poza nią rozgrywa się coś ważnego, nie potrafiłaby jednak określić, gdzie leży przyczyna tego odczucia.

— Ale nie byłeś zbyt zaniepokojony, kiedy Brig chciał odwołać polowanie — zauważyła, zupełnie mimo woli mówiąc o „hodowcy bydła” po imieniu.

— Powiedział to pod wpływem zdenerwowania. Nie miałem wątpliwości, że zmieni zdanie, gdy tylko ochłonie. I to niezależnie od tego, kim ty jesteś — moją córką czy kochanką.

Oznajmił to z taką pewnością siebie, że Jordanna oniemiała. Była głęboko przekonana, że Brig dobrze wszystko przemyślał i nie rzucał słów* na wiatr, gdy mówił, że rezygnuje z polowania,

— Skąd mogłś to wiedzieć?

— Ponieważ go kupiłem. Dostał już zaliczkę i zdążył poczuć zapach moich pieniędzy.

Jordannę uderzył cyniczny ton i wyrachowanie ojca.

— Kupiłeś go?

Szczerze wątpiła, czy ktokolwiek mógłby kupić Briga McGorda, nawet za wyjątkowo hojną zapłatę. Był na to zbyt dumny i niezależny.

— Trudno ci w to uwierzyć? — Fletcher roześmiał się lekceważąco. — Brig jest kompletnie splukany po ostatniej, wyjątkowo surowej zimie. Kiedy Spotkałem go w lipcu, wisiała nad nim groźba utraty rancza.

— Ale wtedy nie mogłeś jeszcze o tym wiedzieć! — zaprotestowała.

— Owszem, nie wiedziałem. Ale kazałem przeprowadzić wywiad. To zrozumiałe, że chciałem być pewien, czy będę mógł na niego liczyć. Płacę mu ciężkie pieniądze

za to polowanie, a do tego — atrakcyjną sumkę w charakterze premii, o ile zdobędę moje trofeum. Kupiłem go i McCord nie powinien był sobie pozwalać na mówienie mi, że nie jest na sprzedaż.

— A dlaczego byłeś taki zły na mnie?

- Ponieważ McCord siedzi u mnie w kieszeni. Ma nam urządzić polowanie. Twoja sugestia, żeby odwołać polowanie, sprawiła mi wielką przykrość. Jesteś wprowadzie moją córką, ale nie odwołałbym tego polowania pod żadnym pozorem, nawet ze względu na ciebie^ Jordanno.

— Jeżeli zdobycie tego trofeum jest dla ciebie tak ważne, to dlaczego zabierasz ze sobą zbędny balast, to znaczy dwie osoby nie znające się kompletnie na polowaniu... Maxa i mnie? — wtrącił Christopher.

— Jakże mógłbym nie pozwolić ci, Kit, pojechać ze mną na polowanie, skoro tak długo czekałem, że mnie o to poprosisz? — obruszył się Fletcher, — A jeżeli chodzi ó Maxa, to ja go nie zapraszałem. Spytaj McCorda. Dopóki nie okaże się, że jest dla nas ciężarem, to nie mam powodu, żeby się na niego uskarżać. Gdyby jednak do tego doszło, to możesz być pewien, że odeślę go do diabła.

— Fletcher? — Max stał u szczytu schodów. — Tu go nie ma.

— Nie ma? — Fletcher uniósł brew ze zdziwieniem po czym zerknął w stronę drzwi wejściowych. Przez jego twarz przemknął wyraz zażenowania. — Masz rację. Jest tutaj, przy drzwiach. Przykro mi, Max, że wprowadziłem cię w błąd.

— Nic nie szkodzi.

— Może idź teraz po swój sztucer, Jordanno. Tandy na nas czeka na dworze — przypomniał ojciec.

Jordanna wróciła do sypialni, wzięła broń w zniszczonym pokrowcu oraz pudełko naboji, a następnie w towarzystwie Kita wyszła z domu za Fletcherem

i Maxem Sangerem. Ociągając się ruszyła za ojcem. Z konsternacją i niepokojem spoglądała w jego stronę.

— Nigdy nie słyszałam, Kit, żeby ojciec mówił w taki sposób — wyznała.

— Widocznie nigdy przedtem nie chciał przed tobą ujawnić tej strony swojej natury. Jesteś przecież jego ukochaną córeczką.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że zawsze starał się oszczędzić ci tego wszystkiego, co uważał za przykre strony życia. Zabierał cię w podróże po całym świecie, żeby przed oczyma przewijały ci się coraz to nowe, olśniewające widoki i żebyś w tym oszołomieniu nie mogła dostrzec tego, co się dzieje tuż pod twoim nosem. — Jego cyniczny ton nie mógł ukryć głębokiego smutku.

— Czy naprawdę... tata sam tak mówił?

— Człowiek nie zdobędzie władzy i bogactwa, jeżeli nie nauczy się wykorzystywać innych i manipulować nimi dla własnej korzyści. Ojciec zawsze pragnął tego, co najlepsze. Nigdy nie zadowolony się byle czym i nie potrafił pogodzić się z porażką. Będzie walczył z jeszcze dzikszą żarliwością niż którekolwiek ze zwierząt, na jakie polował. Nigdy nie da za wygraną... chyba że zginie pierwszy.

— Nie! — zaprotestowała Jordanna, odrzucając stanowczo przedstawiony przez Kita wizerunek ojca. — Ty nie znasz taty tak dobrze, jak ja!

Kit nie próbował jej przekonywać, tylko jego przygnębiona twarz świadczyła o tym, że żał mu siostry.

Tandy czekał na nich za drewnianą na zapleczu domu. Wskazał białe kręgi przytwierdzone do sterty siana znajdującej się w odległości mniej więcej stu kroków, w stronę przeciwną niż pastwisko.

— Jako tarcze strzelnicze rozstawiłem papierowe talerze — oznajmił.

Fletcher kiwnął głową na znak aprobaty, a następnie zwrócił się do Jordanny:

— Chcesz strzelać pierwsza?

Ktoś za ich plecami zatrzasnął za sobą drzwi. Jordanna nie musiała się odwracać, by wyczuć instynktownie, że mógł to być tylko Brig McCord. Natychmiast wytrąciło ją to z równowagi, pokręciła więc przecząco głową.

— Ty zacznij, tatusiu.

Zadrżała nerwowo, gdy Brig McCord znalazł się w zasięgu jej wzroku, lecz nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem. Jakby nigdy nic, otworzyła skórzany pokrowiec i wyjęła z niego sztucer 30-06 o kolbie z twardego drewna orzechowego, wykonany na zamówienie specjalnie dla niej. Pokrowiec oddała bratu.

— Czołem, McCord — rzucił Fletcher, ustawiając się w odległości dwudziestu kroków od granitowej skały wznoszącej się obok. — Postanowiliśmy sprawdzić stan naszej broni po podróży i wyregulować celowniki. — Spojrzał na Jordannę, która ładowała swój sztucer. — Biorę ten talerz z prawej strony.

— O.K. — odrzekła, uparcie ignorując obecność stojącego obok niej Briga.

Fletcher pierwszym strzałem trafił w sam środek tarczy. Konie w corralu zarżały nerwowo, zaskoczone nagłym hałasem. Następne strzały powiększyły nieco otwór w środku talerza. O precyzji strzałów świadczyło niewielkie czarne kółeczko dokładnie w centrum koła.

— Twoja kolej — powiedział do córki i przesunął się w tył, żeby ponownie załadować broń.

Jordanna ustawiła się w odległości kilku kroków od ojca i złożyła się do strzału. Wycelowała, starając się pewnie trzymać broń, pomimo niezyczliwego spojrzenia ciemnych oczu. Za pierwszym razem spudłowała, ale tylko ten pierwszy, fatalnie chybiony strzał, zdradził jej zdenerwowanie, bo już następne utworzyły foremne kółko dokładnie w środku celu. Skierowała wówczas wylot lufy ku ziemi i rzuciła przez ramię wyzywające spojrzenie na Briga McCorda.

— Czy teraz już się pan przekonał, że potrafię strzelać?

Nie odwzajemnił jej spojrzenia, tylko wsparłszy się rękoma pod boki z obojętną miną wpatrywał się w papierową tarczę. Po chwili podszedł powoli do Jordanny.

— Przekonałem się, że z odległości stu kroków potrafi pani trafić w papierowy talerz.

Trzęsąc się z bezsilnej złości, Jordanna pomyślała, że sama jest sobie winna. Lepiej by zrobiła, trzymając język za zębami. Do pasji doprowadzała ją myśl, że zrobiła z siebie idiotkę.

— Piękna broń — zauważył Max. — Mogę obejrzeć?

— Oczywiście. — Odwróciła się do stojącego za nią Maxa i podała mu sztucer. Upewnił się, że broń nie jest nabita, po czym wolno przesunął dłonią po gładkiej drewnianej kolbie.

— Bardzo piękna — powtórzył z nieobecny wyrazem twarzy.

Zupełnie nieświadomie uniósł broń w górę, kierując przypadkiem wylot lufy w stronę Briga. Jordanna zobaczyła, jak McCord jednym susem, odskakuje w bok, poza zasięg broni. Nie ulegało wątpliwości, że wpadł w szewską pasję. Chwyił za lufę i gwałtownym szarpnięciem skierował ją ku górze.

- Hej! O co ci... — zaczął Max, zaskoczony reakcją Briga, i omal nie wypuścił sztucera z rąk.

— Żebyś nigdy więcej nie kierował broni w moją stronę! — ostrzegł Brig złowieszczym, śmiertelnie poważnym tonem.

— Nie jest załadowana, sprawdzałem — zaprotestował Max.

— Mało mnie obchodzi, czy jest nie załadowana, zabezpieczona, czy rozłożona na kawałki — odparował Brig. — Nigdy nie kieruj broni w moją stronę, albo gorzko tego pożałujesz! — Zabrał mu sztucer i oddał broń Jordannie. — A pani nie powinna tak nierozważnie powierzać swojej broni nieodpowiedzialnemu amatorowi.

— Nie jestem amatorem — zachnął się Max.

— Daj spokój, Max — wtrącił Fletcher. — Dlaczego nie usiądziesz sobie na jakiejś skałce, w bezpiecznej odległości od linii strzału? — Uniósł broń i starannie wymierzył do celu.

Max przez chwilę stał niezdecydowany, a potem widząc, że Brig nie zwraca na niego uwagi, ruszył ku skałom. Dokładnie w chwili, gdy zamierzał usiąść, Jordanna usłyszała alarmujący szmer i kilka centymetrów od ramienia Maxa spostrzegła zwiniętego grzechotnika.

— Nie ruszaj się, Max! — krzyknął Brig.

Zanim Fletcher zdążył zareagować, Brig wyrwał mu broń z ręki, przyłożył do ramienia i wystrzelił. Głowa węża rozprysnęła się na kawałki, lecz jego korpus nadal wił się na ziemi.

Zszokowany Max, blady jak płótno, nie mógł odebrać wzroku od martwego gada. Nie usłuchawszy polecenia Briga, zerwał się gwałtownym ruchem, gdy usłyszał ostrzegawczy dźwięk, wydawany przez grzechotnika. Wyłącznie refleks kuzyna ustrzegł go przed ukąszeniem węża.

— Okolice roi się od węży — oznajmił Brig. — Większość z nich zapadnie wkrótce w stan odrętwienia, zwłaszcza te żyjące wysoko w górach. Ale można jeszcze natknąć się na takie, które, podobnie jak ten grzechotnik, wygrzewają się na skałach, żeby nacieszyć się słońcem „babiego lata”. Musicie mieć oczy szeroko otwarte. — Brig rzucił ostre spojrzenie Fletcherowi. — Skoro uważa się pan za myśliwego, powinien być pan o tym wiedzieć!

— Powiniennem był — przyznał.

— Lepiej wróć do domu, Max, i powiedz Jocko, żeby dał ci szklanekę whisky dla uspokojenia nerwów — powiedział Brig.

— Ano, tak chyba zrobię.

Max, ciągle jeszcze roztrzęsiony jak galareta, rJowod-

rował w stronę domu. Brig popatrzył za oddalającym się kuzynem i w chwilę potem podążył za nim. Christopher wpatrywał się uważnie przez moment to w Jordannę, to w ojca, jakby chciał coś powiedzieć. Zmienił jednak zdanie i odszedł w ślad za Brigiem.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Jordanna ciągle jeszcze nie mogła dojść do siebie. Zerknęła na ojca.

— Gdzie on się tak nauczył obchodzić z bronią? — spytała.

Fletcher rozładowywał właśnie swój sztucer, ponieważ nie miał ochoty dłużej strzelać. Odczekał, aż Tandy ojedzie, po czym odpowiedział:

— McCord, zanim kupił to ranczo, był zawodowym żołnierzem.

— Zawodowym żołnierzem? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Czy to znaczy, że robił karierę wojskową?

— Nie, był najemnikiem. Oferował swoje usługi rządowi różnych krajów.

Jordanna przypomniała sobie niejasne poczucie zagrożenia, jakiego doznała, gdy spotkała Briga po raz pierwszy. Zastanowiły ją wtedy jego cynizm i chłód. Mężczyzna, parający się takim zawodem, musiał być bezwzględny i twardy. Był swego rodzaju drapieżcą.

— Uratował Maxowi życie. Gdyby nie zareagował tak błyskawicznie, wąż na pewno by Maxa ukąsił — zauważyła.

— Tak. — Ojciec zamyślił się. — Nawet mnie to trochę zdziwiło.

— Dlaczego?

— Ci dwaj panowie są, jak się zdaje, kuzynami, ale z pewnością nie pałają do siebie nazbyt gorącym uczuciem. — A ponieważ Jordanna rzuciła mu pytające spojrzenie, wyjaśnił: - Według informacji, których zebranie zleciłem mojej agencji, stary Sanger, założyciel spółki, przekazał cały swój majątek McGordowi, pod pewnymi wszakże warunkami. Brig nie zgodził się

wypełnić zawartych w testamencie zastrzeżeń, co spowodowało, że na czele spółki znalazł się Max. Niemniej jednak, w razie śmierci Maxa, Brig bez przeszkód może przejąć kontrolę nad spółką, tym razem bez konieczności podporządkowania się jakimkolwiek warunkom.

— A zatem...

— Supermarkety Sangera tworzą potężną sieć, kapitał spółki wynosi wiele milionów dolarów. Po śmierci Maxa Brig przejąłby nad wszystkim kontrolę, wraz z całym majątkiem.

— Stałby się bajecznie bogaty... — szepnęła.

— W tej chwili spółka goni resztkami. Powiedziano mi, że bardzo kiepsko to wygląda.

Jordanna odebrała to niemal z ulgą.

— Czy to właśnie te akcje Max próbuje ci wcisnąć?

— Tak.

— Dlaczego chcesz je kupić, skoro spółka bankrutuje? Dlaczego w ogóle bierzesz pod uwagę taką możliwość?

— Ponieważ przedsiębiorstwo opiera się na solidnych podstawach, a pewne wsparcie finansowe i właściwe metody zarządzania mogą mu przywrócić dawną świetność.

— I masz zamiar tego finansowego wsparcia udzielić?

Fletcher nie odpowiedział od razu, spojrzął jej prosto w oczy, a potem odwrócił wzrok.

— Jeszcze nie podjąłem decyzji. — Schował sztucer do pokrowca. — I nie sądzę, żebym ją podjął przed zapoznaniem się z dokładnymi raportami dotyczącymi sytuacji spółki.

— Jednak bierzesz to pod uwagę, tak? — dopytywała uparcie.

— Owszem, ale moja ostateczna decyzja zależy od mnóstwa okoliczności. — Uśmiechnął się do niej zniębnie i wyraz roztargnienia zniknął z jego twarzy. — Nie mówmy o interesach! Przyjechaliśmy tu na polowanie. Już o tym zapomniałaś?

Od ich przyjazdu tutaj tak wiele się wydarzyło, że właściwy cel ich podróży zszedł nagle na dalszy plan.

— Chyba rzeczywiście zapomniałam! — parsknęła śmiechem.

W jego rozbawionych, brązowych oczach i szerokim uśmiechu znów odnajdowała ojca. Nie był już owym oschłym, obcym człowiekiem, którego przez chwilę w nim widziała.

— Obejrzyjmy nasze tarcze — zaproponował. — Pas-
kudnie spodłowałam przy pierwszym razie.

— Byłam zdenerwowana — przyznała, idąc obok niego w stronę papierowych talerzy.

— Dlatego, że Brig McCord cię obserwował?

- T a k ,

Nie widziała żadnego powodu, żeby kłamać. Ten człowiek wyprowadzał ją z równowagi i to na różne sposoby.

— Użyj własnego uroku — powtórzył swą radę.
— Bądź dla niego miła.

— Dobrze, tatusiu.

10

Brig przystanął na chwilę na pierwszym stopniu schodów, by popatrzeć na ojca i córkę zatopionych, jak mu się zdawało, w dość ożywionej rozmowie. Jego córka! Nadal nie mógł w to uwierzyć.

Nie było między nimi wyraźnego podobieństwa zewnętrznego, choć nie dawało się wykluczyć, że siwe włosy Fletchera mogły być niegdyś kasztanowate. Zielony odcień oczu odziedziczyła zapewne po matce. Brig przypomniał sobie, jak uderzające wrażenie zrobiła na nim niezwykle zieleń oczu Olivii Smith. Jordanna nie była tak drobna jak matka, ale wysoki wzrost mogła mieć po ojcu.

Stała zwrócona do niego profilem i pod wełnianym swetrem wyraźnie zarysowywała się wypukłość jej piersi. Złorzeczył sobie w duchu za to, że dał się przekonać Fletcherowi, zamiast zrezygnować z udziału w wyprawie. Przez chwilę nawet wierzył, że ta kapitulacja wynikała z pobudek finansowych, teraz jednak poważnie się zastanawiał, do jakiego stopnia zaważyło na jego decyzji odkrycie, że Jordanna nie jest kochanką, tylko córką Fletchera. Z pewnością bardziej, niż byłby skłonny się do tego przyznać.

Słowo się rzekło i najbliższe trzy tygodnie miał spędzić z nią — i jej ojcem. Czy w Ogóle było możliwe

powstrzymanie się od bliskich kontaktów z nią, ocierania się o nią na każdym kroku? Czy zresztą musiał tego unikać? Poprzednim razem okazała mu nadzwyczaj wiele przychylności. Teraz jednak nie byli już sami. Przyjechała tu z ojcem, bratem i Maxem. Na takiej wyprawie wszyscy będą musieli trzymać się blisko siebie, a jeśli doliczyć także Jocko i Tandy'ego, w sumie oznaczało to obecność pięciu przyzwoitek. Czy uda mu się choćby przez pięć minut być z nią sam na sam? Zaciśnął zęby. Spoliczkowane miejsce na twarzy jeszcze trochę go piekło. A jeśli ona nie zechce zostać z nim sam na sam nawet na pięć minut? Dostanę ją, do jasnej cholery, niech się dzieje, co chce! —pomyślał z nagłą złością. Od tyłu już miesiący panowała niepodzielnie nad jego umysłem, nie może mu się teraz wymknąć.

— Panie McCord?

Zadumany Brig ocknął się i przeniósł roztargniony wzrok na szczupłego, młodego człowieka, który stał przed nim.

— Tak? — rzucił, ciągle jeszcze nie mogąc się oderwać od własnych myśli.

— Wiem, że grzechotniki są jadowite, czyżby jednak ich ukąszenie było istotnie śmiertelne? — spytał Christopher z zamyślonym wyrazem twarzy.

— Różnie to bywa.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To zależy od umiejscowienia rany, od ilości jadu, który przedostanie się do krwi, od tego, jak szybko udzieli się pomocy, i od stanu zdrowia ofiary ukąszenia. Wiele osób umiera z powodu doznanego szoku, a nie wskutek działania jadu.

— Powiedział pan, że od umiejscowienia rany... Jeżeli ktoś zostanie ukąszony w okolice głowy, to może się to skończyć śmiercią, prawda? — upewnił się Kit.

— To całkiem możliwe. — Brig rzucił przeciągłe spojrzenie na młodego bruneta, nieco rozbawiony jego

obawami. — Ale proszę się tak nie przejmować! Mamy tutaj surowicę przeciw jadowi węży.

— Gdyby więc Max został ukąszony w okolicę ramienia...

— Nie umarłby od tego. Trzeba by było tylko usunąć z rany możliwie jak najwięcej jadu i wstrzyknąć surowicę. Przez kilka dni pewnie by ciężko chorował, o ile jednak nie cierpi na serce, ani nic innego w tym rodzaju, jest bardzo mało prawdopodobne, że mógłby umrzeć. — Brig zorientował się, że syn, w odróżnieniu od ojca, nie jest zapalonym myśliwym i wielbicielem przyrody. — My tutaj nigdy nie możemy wiedzieć, ile czasu potrwa transport do szpitala albo jak szybko dotrze do nas lekarz. Zawsze więc mamy zarówno odtrutkę przeciwko jadowi węża, jak i surowicę.

— Aha! — Christopher przyjął to z wyraźną ulgą. — Przypuszczam, że większość przewodników postępuje w ten sposób.

— Zgadza się.

— Chciałbym panu postawić jeszcze jedno pytanie. — Wzrok Christophera stał się bardziej natarcywy. — Max nie jest stworzony do życia na łonie natury. Wakacje w takim stylu to wyczyn nie na jego siły.

— To samo można powiedzieć o panu — zwrócił uwagę Brig.

— Nie myli się pan. — Jedynym dowodem na to, że Kit bardzo dobrze usłyszał cierpką uwagę Briga, był nagły skurcz, który przemknął przez jego twarz. — Chciałbym się od pana dowiedzieć, dlaczego zaprosił go pan na to polowanie?

— Dlaczego ja go zaprosiłem? — Brig był szczerze rozbawiony. — Trafił pan jak kulą w płot. Do głowy by mi nigdy nie przyszło, żeby go tutaj zapraszać. To Fletcher zaczął o tym mówić. Jego więc niech pan spyta, jakie miał ku temu powody.

— Rozumiem. — Przystojna twarz Christophera była

bardzo spokojna i opanowana. — Musiałem się pomylić — dorzucił, wzruszywszy ramionami.

— Czy jeszcze o coś chciałby pan zapytać?

— Nie, nie sędzę.

Brig wspiął się po schodkach i wszedł tylnym wejściem do kuchni. Przy kuchennym stole siedział Max, przed nim stała szklanka. Jego twarz odzyskiwała powoli normalną barwę. Brig zignorował butelkę whisky, podszedł do kuchni i nalał sobie gorącej kawy do kubka. Szklaneczka czegoś mocniejszego dobrze by mu zrobiła, ale wiedział, że jeśli zacznie pić, to nie przestanie, póki nie zwali się na podłogę.

Podszedł do stołu i usiadł naprzeciw Maxa, żeby mu się przyjrzeć.

— Jak się czujesz?

— Jakoś to będzie.

— Mówiłem ci, że te góry w niczym nie przypominają miasta.

Brig pochylił się nad stołem i objął kubek dłońmi.

--Powiedziałeś mi, że te góry mogą mnie zabić. Nie miałem wtedy pojęcia, że to prorocze słowa — oświadczył Max żartobliwym tonem, ale wyraźnie było widać, że nie jest mu do śmiechu.

— Nigdy nie powinieneś był przyjmować zaproszenia Fletchera, albo mogłeś przynajmniej poczekać, aż wybierze się na polowanie w jakąś bardziej gościnną okolicę.

— Nie mam czasu do stracenia. Nie mogłem wypuścić go z rąk na całe trzy tygodnie i pozwolić mu ochłonać. To by zaprzepaściło wszystkie moje dotychczasowe zabiegi, żeby wzbudzić w nim entuzjazm do moich projektów.

Przez dobrą chwilę Brig wpatrywał się w niego zimno spod półprzymkniętych powiek. Bardzo nie spodobała mu się myśl, która wkradła się nagle do jego głowy, wzbudzając w nim odruch małostkowej złośliwości.

— I twierdzisz, że jest to jedyny powód twojego przyjazdu tutaj?

— No, tak. Nie rozumiem, o co ci chodzi... — odparł Max, wyraźnie zbity z tropu.

— Córnka Fletchera. Musiałeś wiedzieć, że ona z nim przyjedzie.

Brig zdawał sobie sprawę, że Max uważa się za wielkiego uwodziciela. Gdyby spróbował tknąć Jordannę swoimi wydelikacjami, obleśnymi rękami, Brig zabiłby go bez wahania. Aże najpierw musiał się dowiedzieć. Lepsza już najgorsza prawda niż ciągłe wątpliwości.

— Jordanna? No, tutaj to się naprawdę zagalopowałeś! — Max parsknął śmiechem i wyglądał na szczerze rozbawionego pomyłką Briga. — A skąd właściwie wzięło się twoje przekonanie, że jest kochanką Fletchera? Na dobrą sprawę mogłem nic nie mówić i pozwolić ci brnąć dalej, żebyś się do reszty ośmieszył. Widowisko, do prawdy, robiło się wspaniałe!

— Pozory mogą nieraz wprowadzić w błąd. — Brig pociągnął spory łyk gorącej kawy, parząc się wrzątkiem w język, ale nie rozładowało to rozdrażnienia, które wzbudziły w nim słowa Maxa, przypominające mu, jakiego bigosu narobił dziś po południu. — Ale tobie, Max, nie uda się wprowadzić mnie w błąd. Czy dodatkowym powodem, żeby wypuścić się w tę podróż, nie była przypadkiem Jordanna? To wyjątkowo piękna dziewczyna. A ty nigdy nie należałeś do tych, którzy zadowolają się patrzeniem, bez pokusy, żeby dotknąć.

Max zastanawiał się przez dobrą chwilę, jak odeprzeć napastliwe zarzuty Briga.

— Nie twierdzą, że nigdy o tym nie myślałem — wyznał w końcu. — Ona i Fletcher są nierozłączni jak dwa palce, u ręki. Jeżeli byłaby po mojej stronie, miałbym większe szanse, że on zaakceptuje moje propozycje. Tylko że ona jest równie nieprzystępna, jak jej ojciec. Mówi się o niej, że jest zimna jak ryba.

Zaintrygowany Brig uniósł pytająco brew.

— Według tego, co o niej słyszałem — wyjaśnił Max - ma poważne zahamowania, mimo pozorów ognistego temperamentu. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie zareagowała tak żywiołowo jak dziś, kiedy cię spoliczkowała.

Brig mógłby znacznie więcej na ten temat powiedzieć, wolał jednak trzymać język za zębami. Max z natury był gadułą, a przygoda z wężem i spora szklanka whisky rozwiązały mu język. Brig nie przeszkadzał mu w zwierzeniach.

— No więc od razu porzuciłem myśl, żeby ją podejrzeć, za duże ryzyko. A poza tym byłoby to bez sensu. Olivia jest sto razy bardziej kobieca niż jej córka. Nie ma w niej ani krzty zahamowań.

— Mówisz tak, bo wiesz to z doświadczenia?

— Nie twój interes.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tandy Barnes. Brig spojrzął na niego krzywo i spytał:

— Gdzie byłeś?

— Pomagałem Franckowi i Jocko naprawić generator.

Podszedł do zlewu, żeby umyć zabrudzone smarem ręce.

— Co tam znów nawaliło?

Brig odsunął krzesło i podszedł do kuchni, żeby dolać sobie kawy.

— To, co zwykle, iskrzył trochę. Ale już wszystko gra.

Zanim zdążył odłożyć mydło, do kuchni wmaszerował Jocko.

— A gdzie Franck? — spytał Brig.

— Na podwórzu — zarechotał Tandy. — Panienska wpadła mu w oko. Franck, biedaczysko, całkiem głupieje na widok kobiecych kształtów.

Brig wyjrzał przez okno. Olbrzym stał jak wryty tuż obok Jordahny i miał w rękach kapelusz. Rozanielony, z błogim uśmiechem na twarzy, gapił się na dziewczynę

z uwielbieniem. Brig widywał taki wyraz pyska u psów goniących za suką.

Odwrócił się na pięcie i ostro rzucił do Baska:

— Zawołaj mi go tutaj.

Jocko wyszedł przez tylne drzwi, żeby przywołać Francka. Tandy parsknął śmiechem widząc, jak olbrzymi kowboj z cudaczną galanterią gniew się przed Jordanną w szarmanckich ukłonach, gęsto się tłumacząc, że jest zmuszony ją na moment opuścić.

— Już w zeszłym tygodniu mówiłem ci, Brig, żebyś wysłał go do miasta dla podreperowania zdrowia zastrzykiem „trzy B”.

Oczy Tandy'ego skrzyły się wesołością, ale jego żart ani trochę Briga nie rozbawił.

— „Trzy B”? A cóż to takiego? — spytał zaintrygowany Max.

r- Baby, butelczyna i bijatyka. Niekoniecznie w takiej akurat kolejności. — Przysadzisty kowboj wybuchnął śmiechem. — To jego trzy nałogi, nie może bez tego żyć.

Gdy Franck wkroczył do kuchni, oczy Tandy'ego nadal lśniły wesołością.

— Wołałeś mnie? — Jego zapijaczona gęba promieniała radością.

— Przestań świecić zębami jak głupi do sera! — napadł na niego Brig.

Uśmiech błyskawicznie zniknął z twarzy Francka.

— Czego ode mnie chcesz?

— Chcę, żebyś się przestał kręcić koło tej pani i robić z siebie skończonego matoła.

Odstawił kubek, stuknąwszy nim gniewnie o stół. Wpadł w furję czując, jak namiętnie jego ciało pragnie Jordanny.

Franck nie okazał najmniejszego zakłopotania z powodu opryskliwych uwag Briga.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że zabieracie ze sobą kobietę?

- Bo nie wiedziałem.
- Zostaw na ranczo Tandy'ego zamiast mnie. Chcę jechać z wami na polowanie.
- Jeszcze czego!
- Ostry ton Briga z miejsca uciał dyskusję. Franck zamilkł, wiedząc doskonale, że nie ma sensu się spierać.
- Dlaczego to ty masz zawsze takie cholerne szczęście? — mruknął z zazdrością pod adresem Tandy'ego.
- Bo teraz kolej na mnie. Jak dotąd, to ty wszystko zgarniałeś — odparł Tandy.
- Ja? To ty pojechałeś po nich na lotnisko. Byłeś z nią przez cały dzień! — zaprotestował Franck. — Gdybyś nie był takim starym przykiem, to bym...
- Starym przykiem?! — Tandy nastroszył się jak kogut.
- Spokój, jeden z drugim! — Brig stanął między nimi. Toż ta dziewczyna przysparzała samych kłopotów! Najpierw jemu zawróciła w głowie, a teraz i jego ludziom... — To ja wydaję tutaj polecenia. Tandy jedzie na polowanie, a ty, Franck, zostajesz tutaj. Jeżeli chcesz pyskować, to wal z tym do mnie. Będzie tak, jak postanowiłem, i tyle! — Pochwyił wrogie, ponure spójrzenie Francka. — Wbij to sobie do głowy, Franck. Nie próbuj rozrabiać, bo raz na zawsze skończę z twoimi wybrykami!
- Hej, Franck, co byś powiedział na kubek kawy? — zaproponował Jocko.
- No, dobra.

Gdy ostatni kęs łososia zniknął z talerzy, Jocko oznajmił, że nie potrzebuje pomocy w kuchni, wszyscy przeszli więc do pokoju. Ponieważ Fletcher chciał-obejrzeć dokładne mapy zalesionych terenów, dokąd mieli się udać na polowanie, Brig rozłożył arkusiki na niskim stole. Max zasiadł w fotelu, by przysłuchiwać

się rozmowie. Christopher przyjął wyzwanie Tandy'ego i obaj pograżyli się w długiej karcianej rozgrywce. A że Jordanna, chcąc obserwować ich grę, stanęła za oparciem krzesła, na którym siedział Kit, Franck zaczął również przejawiać niepohamowane zainteresowanie kartami.

Przykleił się do Jordanny jak cień i Brig, który nie mógł się powstrzymać od śledzenia wzrokiem każdego jej ruchu, bez przerwy widział Francka tuż obok niej. Stanowili dość osobliwą parę, nieodparcie kojarzącą się Brigowi z „Piękną i Bestią”. Wszystko wskazywało na to, że obecność Francka znacznie bardziej przeszkadzała Brigowi niż Jordannie. Wynikało to, naturalnie, z zaśrości. Nie życzył sobie, by jakikolwiek inny mężczyzna patrzył na nią w taki sam sposób, jak on. Zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła powstrzymać szczerą chęć, by siłą wyperswadować Franckowi jego niewczesne zaloty. Tymczasem czuł, jak z każdą chwilą narasta w nim rozjątrzenie spowodowane poczuciem daremności jego tęsknot.

Fletcher zadał mu jakieś pytanie, a on musiał poprosić, żeby powtórzył. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, by skoncentrować uwagę na mapie i nic nie dać po sobie poznać ojcu dziewczyny. Udało mu się odpowiedzieć przytomnie na kilka pytań, bez odwracania głowy ku miejscu, gdzie stała Jordanna. W końcu jednak nie zdołał się od tego powstrzymać. Bez skutku rozglądał się po całym pokoju, gdy nagle poczuł w nozdrzach jej zapach. Stała za kanapą i przez ramię Fletchera spoglądała na mapę. Świadomość, że jest tak blisko, zamiast przynieść mu ulgę, pogłębiła tylko jego rozdrażnienie. Wodziła go za nos, niczym jakiegoś nieopierzonego sztubaka! Zerwał się z kanapy.

— Przejrzyj te mapy, Fletcher, a ja pójde do kuchni i zobaczę, czy Jocko ma jeszcze trochę kawy.

Nawet jej nikomu nie zaproponował, byle szybciej

oddalić się od miedzianowłosej dziewczyny. Gdy znalazł się w kuchni, Jocko przerwał mycie naczyń i przyglądał się, jak Brig nalewa sobie kawę.

— Jutrzejszą wyprawą tak się gryziesz?

— Tak — skłamał Brig.

— Nieraz musimy robić coś, co się nam nie podoba, żeby zarobić na życie. Weź, dajmy na to, mego wujka. Kiedyś był pasterzem. Teraz jest już bardzo stary, ma słaby wzrok, nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Dla zarobku sprząta w saloonie. Mówił mi, że przez tamte okna, pożółkłe od dymu z papierosów, nie lubi patrzeć na góry, w których spędził całe życie.

— Wiein. — Brig wpatrywał się uporczywie w parę unoszącą się znad czarnego płynu. Znał starego pasterza. To do jego obozowiska trafił przed wieloma laty, po kraksie samolotu, w której zginęli jego rodzice. — Mówiłem mu już, że jeżeli chce zarabiać na życie zamiataaniem podłóg, to niech lepiej zamiata moją. Zawsze znajdzie się tutaj miejsce dla niego.

— On nie chce zostawiać żony. To ostatnia radość w jego życiu. — Jocko uśmiechnął się. — Ciotka jest słabego zdrowia i musi mieć lekarza pod ręką. A wujek też chce być blisko niej. — Odstawił patelnię na kuchenną blachę i spojrzał na Briga. — Po mojemu, to nie polowanie cię gnębi, tylko kobieta.

Brig posłał mu lodowate spojrzenie.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo moja krew, tak jak i moich przodków, jest tak samo gorąca, jak i twoja. A coś mi się widzi, że nigdy dotąd nie spotkałeś kobiety, która tak by rozpałiła twoją krew. Hm? — powiedział, patrząc na niego z szelmowską miną.

— Pleciesz od rzeczy! — Brig pociągnął łyk kawy i zaklął, bo wrzątek poparzył mu język.

— Jesteś twardy i szorstki, ale ona sprawi, że sam jeszcze zechcesz być czuły i łagodny. Powiedziałem jej,

że już zapomniałeś, jak należy traktować taką kobietę, jak ona.

— Dobrze ci radzę, Jocko, zajmij się lepiej swoimi sprawami.

Pasterz wybuchnął śmiechem.

— Ona mi nawet mówiła, że na pewno by ci się nie spodobało, że ja za ciebie przepraszam. — Zajrzał, czy w dzbanku zostało trochę kawy. — Czy ktoś jeszcze chce pić?

— Nie wiem. Zapytaj ich. — Brig wylał do zlewu kawę ze swojego kubka i ruszył ku drzwiom prowadzącym na podwórze. — Wyjdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Zszedł po stopniach i zasunął zamek błyskawiczny kurtki. Noc była chłodna. Łąka lśniła w świetle księżycy, ale od północnego zachodu nadciągały chmury. Wcisnął rękę do kieszeni i poszedł w stronę stodoły, żeby zajrzeć do koni w corralu. Zarysy ciemnych kształtów rozsianych tu i ówdzie po pastwisku skierowały jego myśli ku stadom bydła.

Zaraz jednak zawrócił w stronę domu. Nieodparcie przyciągały go jasno świecące prostokąty okien. Wszedł po schodach na ganek, ale miał wejść do domu, schronił się w ciemnym kącie i, oparłszy nogę o balustradę, zapalił papierosa.

Gdy Brig wyszedł z pokoju, Jordanna sądziła w pierwszej chwili, że będzie mogła odetchnąć z ulgą, nie czując na sobie jego wilczego wzroku, śledzącego każdy jej ruch. Tymczasem było odwrotnie — poczuła się zdenerwowana i niespokojna, jakby jej nagle zabrakło czegoś niezbędnego do życia. Skończyła pić kawę, którą jej przyniósł Jocko.

— Może jeszcze się pani napije? — Franck nadskakiwał jej bez przerwy, gotów spełnić każde życzenie.

- Nie, dziękuję — odmówiła.
- No, to odniosę pani kubek.

Jordanna wręczyła mu pusty kubek. Gdy ciężkim, niezgrabnym krokiem pomaszzerował w stronę kuchni, rozejrzała się po pokoju. Kit i Tandy nadal grali w karty. Max znów przypierał ojca do muru, a Franck był w kuchni z Jocko i Brigiem. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie mając żadnego zajęcia, czuła się jak piąte koło u wozu. Podeszła do kanapy, na której siedział ojciec, i dotknęła jego ramienia.

— Chyba wyjdę na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem.

Skinął głową i z roztargnieniem poklepał ją po dłoni, po czym podjął rozmowę z Maxem. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, kiedy przechodziła przez pokój ku drzwiom prowadzącym na ganek. Gdy wymknąwszy się z domu, bezszelestnie zamykała za sobą drzwi, w ocienionym rogu dostrzegła zarys buta wspartego o balustradę ganku. Serce zabiło jej mocno, ponieważ w rosnącej postaci o szerokich ramionach rozpoznała gospodarza domu.

— Nie wiedziałam, że pan tu będzie. Myślałam, że jest pan w kuchni — wyjaśniła, nie chcąc, by sobie pomyślał, że przyszła tu z jego powodu.

Stał w cieniu, trzymając się z dala od światła padającego przez okno.

— Jest chłodny wieczór. Powinna pani założyć kurtkę.

Nie czuła chłodu. Krew zbyt gorączkowo krążyła w jej żyłach. Powoli szła w jego stronę — to było silniejsze od niej.

— Mam dość ciepły sweter. Chciałam tylko zaczerpnąć powietrza. W domu było mi duszno. — Nie próbowała mu wyjaśnić, że jej wzburzenie już minęło. — Pan też nie ma na sobie płaszcza — zauważyła, widząc go teraz wyraźniej.

— Przywykłem do chłodu.

W tym momencie drzwi się otworzyły, zalewając ganek światłem. Twarz Briga wynurzyła się raptownie z cienia i Jordanę znów zafrapowała niezwykła męska siła emanująca z całej postaci tego człowieka o surowych, wyrazistych rysach i gęstych włosach.

— A, tu pani jest.

Był to głos Francka. Odwróciła się trochę zaskoczona, jakby przedtem nie zauważyła, że ktoś otworzył drzwi.

— Halo, Franck — powitała go.

— Chciałeś zajrzeć do koni, Franck? — wycedził Brig niskim, powolnym głosem.

Kowboj podskoczył jak oparzony. Mając oczy wlepione w Jordanę, nie zauważył stojącej za nią ciemnej postaci.

— Chciałem się tylko ździebko przewietrzyć.

— No dobra, możesz się przewietrzyć, zaglądając do koni w corralu — poradził mu Brig.

Po chwili wahania, skwaszony Franck zszedł ciężko po schodach i zniknął w mroku.

— Franck ma słabość do pięknych kobiet.

— A pan? — spytała nieco prowokującym tonem.

Zignorował jej pytanie, ale ona przewidziała, że tak właśnie będzie. Odsunął zamek kurtki i z kieszeni wyjął paczkę papierosów.

— Zapali pani?

Uderzając w dno pudełka wysunął papierosa i podał jej. Z papierosem w wargach pochyliła się ku Brigowi, podającemu jej ogień. Osłonił płomień dłońmi i nie gasił od razu zapalki, chcąc przez chwilę przyjrzeć się twarzy dziewczyny.

— Dziękuję — mruknęła, wypuszczając obłoczek dymu.

— Dlaczego pani tu jest?

— Już panu mówiłam. — Poczwała, że ogarnia ją drżenie. Objęła nadgarstek bojąc się, by Brig nie zauwa-

żył dygotania jej dłoni. — Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem.

— Nie. Chodziło mi o to, dlaczego przyjechała pani na to polowanie.

— Proszę mi wierzyć, nie miałam pojęcia, że tu pana zastanę. Byłam równie zaskoczona, jak pan — oznajmiła z naciskiem, opierając się o balustradę.

— A gdyby pani wiedziała?

— To... też bym nie zrezygnowała z przyjazdu tutaj.

— Jest pani chyba zbyt dorosła, żeby grać rolę grzecznego córki, zakochanej w tatusiu. To właśnie dlatego zabrał panią ze sobą, prawda? Żeby mieć publiczność, zachwyconą jego niezwykłymi wyczynami?

— Ojciec nie potrzebuje nikogo, kto by się nim zachwycił! — wybuchnęła Jordanna. — Jeżdżę z nim na polowania, ponieważ sprawia mi to taką samą przyjemność jak jemu. Przyjechałam tu, żeby upolować muflona.

— Pannica z bogatego domu. Lata pani samolotami z miejsca na miejsce tylko po to, żeby zapolować na grubego zwierza. Czyżby naprawdę zabijanie sprawiało pani przyjemność?

Przechylił głowę w bok. Jordanna nie mogła rozróżnić rysów jego ukrytej w mroku twarzy. Znużona nieustanną koniecznością występowania w swojej obronie, odpowiedziała atakiem:

— A panu sprawia to przyjemność?

Zręcznym prztyczkiem kciuka i palca wskazującego Brig posłał niedopałek daleko za balustradę.

— Widzę, że Max wtajemniczył panią w szczegóły mojej odrażającej przeszłości — rzekł zimnym, ironicznym tonem.

Jordanna nigdy by się nie przyznała, że uzyskała tę informację od ojca, który właśnie ją zawsze uważał za najlepszą agencję informacyjną. Skoro więc Brig podsunął jej inne źródło wiadomości o sobie, wołała nie zaprzeczać.

— A pan myślał, że Max tego nie zrobi? — spytała ostrożnie.

— To bardzo stare dzieje.

Wpatrywał się w ciemność, nie zdradzając ani wyrzutów sumienia, ani skruchy z powodu swojej przeszłości.

— To tłumaczy niezwykłą szybkość, z jaką pan zareagował dziś po południu, kiedy waż zaatakował Maxa. Nie stracił pan instynktownych odruchów.

— Człowiek jest drapieżnikiem. I ten instynkt nigdy w nim całkowicie nie ginie. Dla mnie był to jedyny sposób, żeby przetrwać. — Brig odwrócił się do niej, poczuła na sobie jego spojrzenie. — Od drapieżnych zwierząt nauczyłem się, że zawsze należy sięgać po to, czego się pragnie.

Stwardniała dłońią uniósł jej podbródek. Wstrzymała oddech. Delikatnie rozchylił jej wargi, przesuając po nich szorstkim kciukiem. Na końcu języka poczuła słony smak jego palca.

— Nie boisz się mnie. Albo raczej tego, co kiedyś robiłem. Dlaczego?

— A powinnam? — szepnęła miękko.

— Na ogół budzę w ludziach strach.

Powoli zbliżał wargi do jej ust. Serce Jordanny łomotało jak oszalałe.

— Większość ludzi bpi się własnego cienia — mruknęła.

Otoczyła ramionami jego kark i wsunęła palce w czarne włosy. Namietność jak żywy płomień wtargnęła nagle między nich, gdy język Briga docierał niecierpliwie do każdego zakątka ust Jordanny.

Jego dłonie przesuwały się wzdłuż jej ciała, zarysowując kontury pleców i bioder. W jednej chwili do Jordanny powróciło wszystko: uderzająca do głowy bliskość jego ciała, upajający smak języka i szalone bicie serca. Tak jak i za pierwszym razem, wzbudzał w niej

równie gwałtowne i dzikie reakcje. Miażdżąc jej wargi, powiększał nienasycone pragnienie, z jakim pożądała jego ust. Wsunąwszy dłonie pod sweter, mocnymi palcami ugniatał jej skórę powolnym, zmysłowym masażem. Jordanna drżała, obezwładniona wzmagającymi się falami gwałtownego pożądania.

Jej pragnienie stało się intensywne, aż do bólu. Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, by nie ulec mu bez reszty, zapomniawszy o dumie i poczuciu niezależności.

— Brig! — wyszeptała z westchnieniem jego imię. Odnalazła nareszcie mężczyznę, którego wspomnienie prześladowało ją przez tyle miesięcy.

Uniósł głowę i odetchnął głęboko. Wsunąwszy ręce spod swetra Jordanny, drżącymi dłońmi ujął jej twarz. Wpatrywała się w niego w upojeniu i zachwycie. W twarzych, tchnących nieugiętą siłą rysach jego twarzy, ogorzałej i nawykłej do ukrywania uczuć, odbijała się niezachwiana wiara we własne siły. Jordanna ujęła rękę Briga i pocałowała wewnątrz jego dłoni.

Nagle w jego oczach pojawił się błysk czujności, oderwał wzrok od twarzy Jordanny i niespokojnie wpatrzył się w mrok.

— Franck wraca — powiedział ochrypłym głosem i odsunąwszy rękę od twarzy dziewczyny, dotknął jej ramienia.

Jordanna wytężyła słuch, lecz nie słyszała nic poza zwykłymi odgłosami nocy. Dopiero po chwili dotarł do niej niewyraźny szmer kroków, zgrzytających na żwirze.

— Jak mogłeś go usłyszeć? — spytała zaskoczona.

— To moje terytorium. Znam tu każdy szmer.

Brig odsunął się od niej, by nie stali tak blisko siebie.

— Brig? Co to za imię?

— To zdrobnienie od Brigham. Takie imię nosił mój dziadek Sanger. Ale nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

— Jego palce zacisnęły się na moment na jej ramieniu, lecz zaraz rozluźnił uścisk i odwrócił się do niej. — Lepiej będzie, jeżeli już wrócisz do domu.

Na stopniach ganku zadudniły kroki wyłaniającego się z ciemności Francka Savidge'a. Jordanna spojrzała na niego krzywo, mając mu za złe, że przybywa nie w porę.

— Z koźmi wszystko w porządku — obwieścił Franck.

— Świetnie.

Franck przystanął na ganku i łypnął z nadzieją na Jordannę.

— Wraca pani do domu?

— Tak.

Zadrżała nagle i mocno zacisnęła ramiona wokół siebie.

Franck otworzył przed nią drzwi. Jeszcze raz obejrzała się ku wysokiej postaci ukrytej w mroku. Brig stał odwrócony tyłem. Gdy weszła do pokoju, ojciec uniósł głowę i spojrzał na córkę i podążającego za nią kowboja.

— Zimno na dworze? — spytał.

Nadal miała skrzyżowane ramiona i dłonie zaciśnięte na łokciach.

— Trochę. — Zdała sobie z tego sprawę dopiero tuż przed powrotem do domu.

Zaledwie drzwi zamknęły się za Franckiem, a znów się otworzyły i do domu wszedł Brig. Fletcher wstał i obwieścił wszystkim wokół:

— Nie wiem, co wy macie zamiar robić, ale ja idę spać. Jutro wyruszamy wcześniej rano.

— Dwa (do dwóch — odezwał się Kit. — Najwyższy czas, żebym przerwał grę, zanim dam się pobić. — Od-sunął krzesło. — Dziękuję, Tandy. A ty, Jordanno? Też idziesz spać?

— Niedługo. Jak już wszyscy skorzystają z łazienki. Mam ochotę na porządną kąpiel. W górach będziemy

pozbawieni tego luksusu. Chciałabym się nim nacieszyć po raz ostatni.

— Nigdy nie kładę się spać tak wcześnie — oznajmił Max. — Ale jeżeli mamy wstać o świcie, to lepiej zrobię, idąc też do łóżka.

— No, chodź, Franck! — zawołał Tandy składając karty, po czym zwrócił się do Briga: — Tutaj sobie pościelimy, Brig?

— Mam jeszcze trochę pisaniny, zanim położę się spać. — Podeszedł do biurka, odsunął krzesło i obejrzałszy się przez ramię, powiedział do wszystkich: — Dobranoc.

Scandalous

11

Drzwi łazienki otworzyły się i zamknęły. Od strony pokoju przybliżał się szelest bosych stóp. Ale Brig ani drgnął, pochylony nad biurkiem. Znow usłyszał, jak drzwi otwierają się i zamykają.

Za jego plecami Franck westchnął i mruknął cicho:
— Widziałeś kiedy piękniejszą kobietę?

Palce Briga zacisnęły się kurczowo na piórze. Już po raz trzeci podliczał te cyfry, a za każdym razem wynik był inny.

— Jest bardzo piękna — przyznał Jocko miłym, łagodnym głosem.

Brig wsunął palce we włosy i ze wszystkich sił starał się skoncentrować całą uwagę na cyfrach. Wszystko, co napisał dotychczas, było przekreślone. Musiał zaczynać od początku.

— Następnym razem, jak się będę kąpał, to się dłużej w tej wannie powyleguję — obiecał wielce ożywiony Franck. — Pomyśl tylko, jak ona tam leży sobie w wodzie i chlapie na wszystkie strony!

— Dosyć tego, Franck! — rzucił Brig groźnym, ochrypłym głosem.

Nie zniósłby ani słowa więcej. Myśl, że trzymał ją w swoich ramionach, nie mogąc posunąć się dalej, była dla niego prawdziwą torturą.

Jego surowe polecenie sprawiło, że na pewien czas w pokoju zaległa cisza. Ale nie trwało to zbyt długo.

— Już ja widzę, jak namydła sobie ręce i rozciera pianę na piersiach — marzył głośno Franck.

Brig poczuł w żołądku bolesny skurcz. Odwrócił się i kopnął w śpiwór kowboja, leżący na podłodze.

— Powiedziałem dosyć tego! Zgaś światło i śpij!

— A ty? — Ton głosu Francka dowodził, że agresywność Briga nie robi na nim wrażenia. — Nie kłudziesz się?

— Najpierw skończę z tymi papierzyskami.

Gdy Brig odwracał się w stronę biurka, zauważył promień światła przesączający się pod drzwiami pokoju Jordanny. Ona też jeszcze nie spała. Starał się o tym nie myśleć.

— Nic nie zobaczysz, jak zgasimy światło — zauważył Franck.

— Mam lampę na biurku — odparł Brig i zaświecił żarówkę osłoniętą zielonym abażurem.

Posłyszał w odpowiedzi suchy trzask wyłączanego kontaktu i pokój pogrążył się w ciemności.

— Ale ta podłoga twarda! — gderał Franck. — I pomyśleć tylko, że jest tu łóżko, w którym tak by mi się wygodnie spało...

— Franck! — warknął głucho Brig. Było to ostatnie ostrzeżenie.

— Już się zamykam — powiedział posłusznie Franck, wiedząc doskonale, że lepiej nie przeciągać struny. Jeszcze tylko wymamrotał pod nosem: — Przecież to nic strasznego, jak człowiek ma na coś chęć.

Nic strasznego? Brig mógłby mu powiedzieć, jak straszną udręką może być pragnienie czegoś z całej duszy.

W pokoju z wolna zapadała cisza, zakłócana jedynie skrzypieniem pióra na papierze i wierceniem się Francka pogrążonego w niespokojnym śnie. Brig nadal wypełniał rubryki wykazów, wpisując numery umieszczone na

uszach zakupionych ostatnio cieląt i jałówek, które zachował dla odtworzenia stada. Raz po raz oczy Briga, wbrew jego woli, przyciągał promień światła sączący się spod drzwi pokoju.

Tandy głośno już chrapał, gdy Brig odłożył wreszcie pióro. Powoli potarł szorstki podbródek i rozmasował obolały kark. Wsłuchał się w odgłosy oddechów trzech pogrążonych we śnie mężczyzn. Jak za sprawą jakiejś magnetycznej siły, jego uwagę przykuł znów promień światła. Brig wpatrywał się weń zafascynowany, czując gwałtowne tętnienie krwi w żyłach.

Odsunął krzesło, zgasił lampę i po chwili jego wzrok przywykł do ciemności. A była to ciemność absolutna, jeśli nie liczyć poświaty pod drzwiami. Spojrzał w stronę schodów i nasłuchiwał przez chwilę. Z piętra nie dobiegał żaden dźwięk.

Zwinnie i miękko jak kot dotarł do drzwi sypialni. Było mu obojętne, na jakie ryzyko się naraża. Jeżeli tylko istniała choćby nikła szansa, że będzie mógł ją trzymać w ramionach, przylgnąć znów do tych miękkich, kobiecych kształtów, o których śnił przez tyle nocy, to ryzyko było bez znaczenia.

Zapukał lekko do drzwi. Czekał przez chwilę, nie słysząc najbliższego szmeru. Czyżby zasnęła, zostawiwszy zapalone światło? Już chciał nacisnąć klamkę, gdy usłyszał niski, gardłowy głos:

- Kto tam?

To pytanie było dla niego jak pieszczota.

— Brig — odezwał się przytłumionym, drżącym z emocji głosem. — Zostawiłem w tym pokoju swoje rzeczy.

Wyczuł przez drzwi, że się zawahała. Sekundy, które minęły, zanim klamka się poruszyła, wydawały mu się wiecznością. Czuł, że braknie mu tchu, gdy Jordanna, wyniosła, i wspaniała, stanęła przed nim w długiej, domowej sukni z jasnoczerwonego aksamitu, sięgającej

do samych stóp. Zamek błyskawiczny, zapięty aż pod szyję, skromnie skrywał dekolt, a bufiaste rękawy zwieszały się poniżej delikatnych nadgarstków. Czerwień sukni i światło, rzucane z boku przez lampkę palącą się przy łożku, rozpałały rude błyski w jej ciemnych włosach.

Brig pomyślał, że to dziwne, ale Jordanna wcale nie wydałaby mu się bardziej pociągająca, gdyby, otwierając mu drzwi, stanęła przed nim całkiem naga. Miała nie umalowaną twarz, lecz zarówno klasyczne linie kości policzkowych, nosa i podbródka, jak i zdumiewające, zielonoorzechowe oczy, nie wymagały żadnego makijażu.

Puściła klamkę i cofnęła się. Ręką wskazała mu stertę rzeczy piętrzących się pod ścianą.

— Zdaje się, że po to przyszedłeś?

Brig wsunął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Nie powinnaś była czekać, aż po nie przyjdę. Trzeba je było wystawić za drzwi.

— No tak — przyznała z nieco naiwną szczerością, a w tonie jej głosu nie było ani śladu impertynencji czy prowokacji.

Gdzie się podziała maska fałszu i sztuczności, za którą zawsze się kryją kobiety takie jak ona, piękne i bogate? — zastanawiał się Brig. Nie była ani nieśmiała, ani wyzywająca. Onieśmiała go i zarazem pociągała. Z każdą chwilą pragnął jej coraz intensywniej.

— Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Powoli Brig podchodził do niej coraz bliżej,

— Bo chciałam z tobą porozmawiać... w cztery oczy.

Ledwie dostrzegalne wahanie w jej głosie sprawiło, że wydała mu się jeszcze bardziej kobieca i upragniona. Odebrał to jako pewien przejaw uległości i był gotów w pełni wykorzystać tę szansę.

— O czym?

Zatrzymał się tuż przy niej i ta upajająca bliskość przyprawiła go o zawrót głowy. Uniosła ku niemu oczy. Twarz miała szczerą i otwartą. Zauważył, że jest przy

nim wyraźnie zmieszana. Dało mu to satysfakcję, która na moment go uspokoiła.

— Jestem pewna, że odniosłeś mylne wrażenie, że... jestem łatwą kobietą. Otóż nie jestem taka. — Pragnienie przekonania go było tak silne, że jej napięty głos drżał. — Nie leży w moich zwyczajach oddawanie się miłości z mężczyznami tak zupełnie, tak obsolutnie idealnie mi nie znanymi.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc zestawienie tych określeń.

— Nie jestem taki znów idealny.

Zafascynowany delikatnie zarysowaną linią podbródka uniesionej ku niemu twarzy, przesunął dłonią wzdłuż tego łagodnego łuku.

— Wyraziłam się trochę niezręcznie.

Brig widział, jak bardzo jest poruszona, i uświadomił sobie raptem, że w dużej mierze spowodował to jego gest. Upajało go poczucie, że ma nad nią tak dużą władzę. Pieszczotliwie dotknął jej szyi, wyczuwając pod dłonią nierównomierny rytm pulsującej w żyłach krwi. Potem jego palce powędrowały w dół sukni, ujął zapięcie zamka błyskawicznego i powoli, z przeciągłym, metalicznym chrzęstem, rozpiął suknię, odsłaniając jasny dekolt aż do nasady piersi. Przekonał się wtedy, że pod miękką tkaniną jest naga.

Chwyliła go za nadgarstek, by nie posuwał się dalej w swej dociekliwości.

— Nie słuchasz mnie. — Przełknęła ślinę, próbując opanować drżenie głosu. — Próbuję ci wytłumaczyć, że...

— Jestem mężczyzną — przerwał jej obcesowo. — A ty, Jordanno, jesteś kobietą. Twoje potrzeby i pragnienia są tak pierwotne i odwieczne, jak życie na Ziemi. I cóż tu jeszcze wyjaśniać?

Spojrzał na jej usta. Rozchyliła je, jakby chciała coś powiedzieć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jej warg. Brig przywarł do nich ustami, nie czekając ani

chwili na przyzwolenie z jej strony. Nagle zniknęła jego łagodna powściągliwość. Miażdżył jej wargi z namiętną, pożądliwą niecierpliwością, aż poczuł w ustach smak krwi, lecz i wtedy nie potrafił ochłonać na tyle, by osłabić brutalny nacisk.

Sięgnął znów ręką do zamka błyskawicznego sukni i rozsunął go aż do pępka. Tym razem Jordanna nie uczyniła nic, by temu zapobiec. Kontakt z tą cudowną istotą o alabastrowej skórze w irytujący sposób utrudniała mu sukienka, zsunął więc ją niecierpliwie z ramion dziewczyny i poczuł się usatysfakcjonowany dopiero wtedy, gdy miękki aksamit opadł w dół, tworząc krąg wokół stóp Jordanny.

Nie panując nad podnieceniem położył dłonie na jej nagiej skórze i bładził nimi gorączkowo od piersi do pasa, a gdy dotarł do wypukłości bioder, a potem do krągłych pośladków, poczuł, że traci głowę. Przycisnął dziewczynę do siebie tak gwałtownie, z tak niepomowaną zaborczością, jakby chciał bez reszty ją w siebie wchłonać. Chyba tylko to mogłoby ugasić żądze szalejące w nim jak pożar.

Przeniósł ją na łóżko i cofnął się o krok, by zrzucić z siebie ubranie. Tak jak poprzednim razem, przyglądała mu się nie spuszczać oczu, a i on, rozbierając się, ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Jego oczy wędrowały od jej piersi, unoszących się rytmicznie, do szczupłej talii i zatrzymały się przez chwilę na ciemnym trójkącie u nasady smukłych, kształtnych nóg.

Była w jego łóżku. Należała do niego, tylko do niego. Wreszcie miał osiąść to rudowłose półdiabło, które rzuciło na niego urok, o mało nie doprowadzając go do szaleństwa, całkowitej utraty sił i władzy nad sobą. Nareszcie uwolni się od dręczących go majaków, mających jego oczy wizją tej cudownej istoty. Była tu naprawdę — Jordanna z krwi i kości, skora zaspokoić jego pragnienie. Podszedł do łóżka.

— Nie zgasisz światła? — szepnęła.

— Nie — odparł głosem ochrypłym z pożądania.
- Nie zamierzam ukrywać w ciemności twojego ciała.
Za długo czekałem, żeby je wreszcie zobaczyć. .

Materac ugiął się pod jego ciężarem. Natychmiast wziął ją w ramiona. Tak bardzo pragnął posiąść ją niezwłocznie, że zaniedbał wszelkie czułe wstępy do aktu miłosnego. Było to ważniejsze niż pragnienie, by w pełni delektować się jej obecnością.

Przez chwilę próbował zapanować nad szalonymi, palącymi żądzami, które wzmagały się w nim coraz gwałtowniej. Ale wszelkie wysiłki, by powściągnąć nieokiełznane moce, które się w nim rozpętały, okazały się próżne. Jęk dzikiej rozkoszy wydobył się z gardła Jordanny, gdy całe jej ciało poddało się miłosnemu rytmowi. Nic już nie mogło powstrzymać nadchodzącej eksplozji rozkoszy. Brig doznał tak silnego wstrząsu, że cały dygotał. Był już teraz gotów w pełni cieszyć się wszystkim urokami, o których przedtem zapomniał, ogarnięty gorączkową niecierpliwością.

Wyczerpany Brig odsunął się od Jordanny. Leżała ledwie żywa. Jego namiętne, dzikie pieszczoty zupełnie pozbawiły ją sił.

Gdy wyciągnął ku niej ramię, pragnąc ją przytulić, Jórdanna ciągle jeszcze drżała. Poszukał jej warg, jakby chciał się odrodzić w ich słodyczy, a i dla niej kontakt z jego muskularnym ciałem okazał się wystarczającą podniętą, by na nowo odzyskać siły. Przepęłniała ją radość, gdy przekonała się, że zaznana przed chwilą rozkosz nie wyczerpała pożądania Briga. Nadal jej pragnął.

Gładził łagodnie jej plecy i ramiona, muskając delikatnie linię kręgosłupa, co wywoływało gęsią skórę na ciele Jordanny. Jego wasy przesuwaly się powoli po jej twarzy w stronę ucha. Zadrzała, czując na swojej skórze gorący oddech i twardy język.

Znów zapłonął w niej ogień namiętności, rozkoszne ciepło rozeszło się po żyłach, powodując oszalałe tętnienie pulsu. Brig, zaplątawszy się w jej włosy, odgarnął je od ust, by odsłonić szyję Jordanny. Odrzuciła głowę do tyłu, by nic nie stało na przeszkodzie jego pocałunkom, sama zaś pieściła pokryte kropelkami potu plecy Briga.

Ujął dłońmi jej talię i uniółszy dziewczynę, przytrzymał ją ponad sobą, po czym koniuszkiem języka zaczął drażnić twardy sutek. Przeciągły dreszcz przeszył jej ciało. Chcąc położyć kres tej udręce, chwyciła dłońmi ciemne kosmyki włosów Briga. Gdy jego usta otoczyły cały sutek, z gardła Jordanny wydobył się jęk rozkoszy. Przeniósł głowę ku drugiej piersi.

Pragnąc ukoić ból, który w niej narastał, zaczęła kołysać się rytmicznie na jego biodrach. Przyniosło jej to jedynie chwilową ulgę. Wówczas Brig położył ją na plecach i wślizgnął się pomiędzy jej nogi. W chwili gdy w nią wtargnął, wydała długi, zduszony jęk.

Dotykem dłoni i całym ciałem dawała mu do zrozumienia, czego od niego oczekuje. Szepcząc do niej słowa miłości, prosił ją, by teraz ona dała mu rozkosz podobną do tej, którą on ją obdarował. Ich oddechy mieszały się ze sobą, a ciała połączyły w jedno. Jordannę znów ogarnęła niewysłowiona' rozkosz. A więc to nie było złudzenie — zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim po-grążyła się w całkowitej niepamięci.

Czuła się w jego ramionach jak tonący, który znów wypływa na powierzchnię. Wtuliła się w ramię Briga i musnęła wargami bliznę po kuli karabinowej. Objął gwałtownie talię Jordanny i przycisnął ją do siebie. Czy istnieje na świecie bardziej oczywiste i naturalne miejsce do snu? — pomyślała wyczerpana miłosnymi zmaganiem i rozgrzana ciepłem skóry Briga. Nawet nie zdążyła sobie uświadomić, kiedy przykrył ją kołdrą.

Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wzbudzała w nim

odruchów takiej szalonej zaborczości; nigdy dotychczas tak bardzo się nie obawiał, że mógłby stracić tę, którą trzymał w ramionach. Było to całkiem nowe przeżycie, nic izatem dziwnego, że czuł się zaniepokojony i zbity z tropu. Nie był pewien, czy potrafi docenić subtelne uroki podporządkowania się komuś. Wprawdzie nie sądził, by mógł poprzestać na tej jednej nocy, ale zarazem nie potrafił rozstrzygnąć, do jakiego stopnia pragnienie, by zatrzymać przy sobie Jordannę, okaże się trwałe. Czuł się bezradny wobec niej. Tak jakby pozbawiła go pancerza i sprawiła, że nagle stał się podatny na ciosy i łatwy do zranienia. Dlatego właśnie była tak niebezpieczna, zwłaszcza że nie był pewien, czy może jej zaufać. Nie wiedział jednak, dlaczego tak jest.

Jordanna poruszyła się we śnie, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Okazało się to jednak niemożliwe: coś ścisnęło jej talię niczym stalowa obręcz. Wilgotne ciepło opływało jej ramiona, plecy, biodra, uda. Niezdarnie próbowała wyswobodzić się spod ciężaru uciskającego jej ciało i wtedy uświadomiła sobie, że spoczywa na niej owłosione i muskularne męskie ramię.

Otworzyła oczy, lecz dopiero po dłuższej chwili odzyskała pamięć przeżytych doznań. Koło niej spał Brig, a kształty jego ciała idealnie dopasowały się do jej kształtów. Po raz pierwszy zdarzyło się jej obudzić u boku mężczyzny. Przebudzenie w jego ramionach stanowiło dla niej zupełnie nowe — raczej przyjemne — doświadczenie. Bładoszare światło wpadające przez okno do pokoju oznaczało, że świt jest bliski.

Jordanna odwróciła się do pogrążonego w głębokim śnie Briga.

— Brig, obudź się! - powiedziała łagodnie i nie bez żalu. — Już świta!

— Mmmm.

We śnie jego ogorzała twarz była odprężona i łagodna. Jordanna pogłaskała go po policzku pokrytym szorstkim porannym zarostem.

— No, dalej! — zawołała pieszczotliwie. — Musisz wstać, zanim inni się obudzą.

Przeniósł ramię z jej brzucha na pierś i unióśł powieki. Jak na kogoś, kto dopiero przed chwilą się obudził, miał zdumiewająco czujny wzrok. Rzucił jej przeciągłe spojrzenie, a potem nachylił się i ugryzł w mlecznobiałe ramię.

— Nie ma pośpiechu.

— Już świt.

Uniosła rękę, by zasłonić szyję i nie pozwolić mu na bardziej śmiałe pieszczoty.

— I co z tego? — odparł zuchwale, odwracając się na plecy.

Widząc, że ma zamiar wziąć ją w ramiona, odpechnęła go od siebie.

— Nie teraz — zaprotestowała.

— Nie teraz?

Zmrużył oczy. Chciał przecież tylko całuska na dzień dobry. Skoro jednak tak go przyjęła, to on wcale nie będzie się śpieszyć. Nie ona będzie decydować, kiedy możemy, a kiedy nie możemy się kochać — pomyślał ze złością. Wystarczy, że już stracił przez nią głowę, nie może mu jeszcze na dodatek odbierać inicjatywy w łóżku.

— No, więc kiedy? Powiedz mi — prowokował ją z zimną ironią. — Może zajrzysz do notesu i wyznaczysz mi spotkanie?

— Brig, proszę cię.

Zaczynało ją to złościć.

— Proszę cię? O co? Bądź grzecznym chłopcem i idź precz? — szydził.

— Wcale tego nie powiedziałam.

Była już nie tylko zirytowana, ale także obrażona i zraniona.

— Tak? Ale nie chcesz się ze mną teraz kochać?

— Nie, nie chcę.

Usiłowała wymknąć się z łóżka, Brig jednak przewrócił ją na materac.

— To się jeszcze okaże. — Wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

Z początku się broniła, ale przygniatający ją ciężar szybko przełamał jej opór. Brig pozwalał, by szamotała się na próżno, próbując uniknąć jego ust aż do chwili, gdy ją to zmęczy. Ignorując jej protesty, pieścił ją i całował, dopóki nie zaczęła odwzajemniać jego pieśczot. Ale gdy wreszcie, unosząc biodra, wygięła ciało w łuk i jęcząc z pożądania, kołysała się pod nim namiętnie, odsunął się od niej i nie uczynił żadnego gestu, by zaspokoić jej pragnienie.

— Wydawało mi się, że nie chcesz już się ze mną kochać — zakpił.

— A niech cię diabli wezmą! —jęknęła rozczarowaną i wściekłą.

Rzuciła się na niego dziko i gryząc, drapiąc i okładając pięściami, domagała się, by zaspokoił żądzę, którą w niej obudził. Ta nieokiełznana napastliwość była dla Briga bardziej prowokująca niż łyzy i błagania. Ich zbliżenie, następstwo tej gwałtownej sceny, przerodziło się w namiętny i szalony paroksyzm rozkoszy, w pełni zaspokajającej gorące pożądanie obojga.

Brig leżał jeszcze przez jakiś czas, by nieco odetchnąć i uspokoić oszalałe bicie serca. Wcale nie miał ochoty wstawać, lecz widząc, że szary świt zaczyna powoli przybierać złotą barwę, wyskoczył z łóżka i sięgnął po ubranie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Jordanna bacznie mu się przygląda, i zastanawiał się, kiedy znów będą mieli okazję spotkać się sam na sam. Jeszcze przenikało go ciepło jej ciała, a już myślał o następnym spotkaniu z tą zielonooką czarownicą.

Wpuścił koszulę do spodni i podszedł do drzwi, nie

rzuciwszy nawet okiem na leżącą w łóżku Jordannę. Zawołała go dopiero wtedy, gdy położył dłoń na kłamece.

Stojąc w otwartych drzwiach, spojrział na nią przez ramię, nie uczynił jednak najmniejszego gestu, który by świadczył, że zamierza do niej wrócić. Gdy zdała sobie z tego sprawę, zsunęła się z łóżka i podbiegła do niego owinięta narzutą. Stała przed nim i zajrzała mu w oczy.

— Nie złość się — powiedziała. Nie przeproszała go ani nie błagała o wybaczenie, po prostu prosiła.

Opuściwszy oczy, zatrzymał wzrok na jej ustach. Czy zdawała sobie sprawę ze swej bezgranicznej władzy nad nim? Jak można to było wyjaśnić? Objąwszy Jordannę za szyję, przyciągnął jej twarz i pocałował.

W tym momencie postyszał za sobą odgłos zbliżających się kroków. Widząc, co się święci, odsunął się natychmiast od dziewczyny. Napotkawszy ostry, przenikliwy wzrok Fletchera Smitha, zaczął sobie gorzko wyrzucać, że nie zachował większej ostrożności — nie ze względu na siebie, tylko na Jordannę. Z drugiej jednak strony na myśl o tym, że nie będzie już musiał ukrywać swej namiętności, poczuł ulgę. Kit stał kilka kroków za ojcem. Brig zauważył go wprawdzie, ale jego obawy budził jedynie Fletcher.

— Masz mi coś do powiedzenia, Fletcher? — rzucił wyzywająco.

Smith zawahał się przez chwilę. Przeniósł wzrok na córkę. Kiedy znów spojrział na Briga, ostre błyski w jego oczach przygasły.

— Nie.

Gdy groźba starcia z Fletcherem minęła, Brig zerknął na Jordannę. Sprawiała wrażenie spokojnej, może tylko nieco zakłopotanej. Nie widział już żadnego powodu, by dłużej zwlekać z odejściem. Skłonił lekko głowę przed Jordanną i ruszył w stronę kuchni.

Jocko nalewał właśnie kawę do kubka, wręczył go wchodzącemu Brigowi. Tandy i Franck siedzieli już przy

stole. Napotkawszy ich pełne domysłów spojrzenia, Bfig pojął od razu, że miejsce, w którym spędził tę noc, nie jest dla nikogo tajemnicą.

— Coś mi się widzi, Brig, że wciąż lubsz kusić lichu — zauważył Jocko.

Brig zacisnął szczęki.

— Teraz raczej ty kusisz lichu — uciał ostro.

— Myślę też, że ten pan Fletcher Smith to mocny człowiek — ciągnął Jocko. — Nie chciałbym mu się narazić.

— Ty nigdy nie zrobiłbyś nic takiego, żeby mu się narazić — odparował Brig.

— A ty, *senor*?

— Nie wydaje ci się, że to moja sprawa, Jocko?

— Ano właśnie, dlatego się o ciebie martwię.

— Brig nie jest dzieckiem i dobrze wie, co robi — wtrącił Tandy.

— Zajmij się lepiej śniadaniem, Jocko. A wy dwaj kończcie kawę, idźcie siodłać konie i zajmijcie się jukami.

Nie miał ochoty roztrząsać ewentualnych niebezpieczeństw, na jakie narażał go związek z córką Fletchera Smitha. Tak czy owak, kości zostały rzucone i Brig nie żałował, że tak się stało. Nawet gdyby mógł, nie chciałby tego zmienić. A niech to diabli, ależ czuł się zmęczony! Spostrzegł, że Jocko obserwuje go, szczerząc zęby w uśmiechu. Pewnie zauważył jego znużenie i znał przyczynę tego stanu. Brig, opanowawszy odruch irytacji, uśmiechnął się do niego krzywo.

— Warta była zachodu, nie?

— Pewnie, że tak — przyznał Brig.

Fletcher tymczasem zszedł ze schodów. Jordanna stała nieruchomo w drzwiach, tylko nieco mocniej owinęła się narzutą. Nie wiedziała, co ojciec teraz o niej myśli. Czy porównuje ją ze swoją żoną? Nigdy nie

mówiła mu o nieznanym, którego poznała na przyjęciu. Byli bardzo ze sobą związani, nie na tyle jednak, by dzielić się zwierzeniami dotyczącymi spraw tak intymnych, jak przeżycia erotyczne. Nadal istniał między nimi dystans oddzielający dzieci od rodziców.

Ojciec zatrzymał się przed Jordanną. Wtedy Kit, który szedł za nim po schodach, ujął go pod ramię.

— Chodź, tato. Ta sprawa nas nie dotyczy.

Fletcher odepchnął brutalnie rękę syna. Spojrzał badawczo prosto w oczy Jordannie. Zmieszana się, lecz nie spuściła wzroku, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały.

— Czy ty wiesz, co'robisz? — spytał po prostu.

— Jestem już dorosła — przypomniała mu.

— McCord... — Po chwili namysłu Fletcher postanowił nie kończyć tego zdania. — Nie przywiązuj się do niego zanadto, Jordanno — poradził jej tylko. — To nie byłoby rozsądne.

— Nie wiem, czy rozsądek ma coś wspólnego z uczuciami — odparła.

— Nie chcę, żebyś cierpiała. — Wydawał się przygnębiony i nieswój. — No cóż, są rzeczy, których zmienić nie jestem w stanie.

— Wiem. — Jordanną czuła się zdumiewająco spokojna i pewna siebie. — Nie bój się o mnie, tatusiu.

Zawahał się i przesunął ręką po czole.

— Lepiej się ubierz i spakuj swoje rzeczy.

12

Ma m nadzieję, że masz dla mnie jakiegoś spokojnego wierzchowca, Brig — powiedział Max, z obawą wpatrując się w konie.

— Weź tego, jest najłagodniejszy ze wszystkich. — Brig wskazał mu srokiego konia, stojącego tuż przy ogrodzeniu.

Jordanna przystanęła na uboczu, przyglądając się ostatnim przygotowaniom. Tandy taszczył kosze i ładował je na juczne konie, równomiernie rozkładając ciężar. Jockó sprawdzał załadunek według listy. Franck, który przez cały ranek zachowywał pełen szacunku dystans wobec Jordanny, zajęty był teraz siodłaniem konia pod wierzch. Zachowanie trzech mężczyzn wobec niej uległo zmianie. Była teraz w ich oczach dziewczyną Briga. Sprawiało jej to wielką przyjemność.

Brig po kolei przydzielał konie jeźdźcom.

— Jordanna!

Ogarnęła ją fala rozkosznego ciepła, gdy usłyszała, jak wypowiada jej imię. Trzymając ręce w kieszeniach kurtki, zrobiła krok do przodu. Włosy miała schowane pod wielkim, kowbojskim kapeluszem, co uwydatniało smukłą linię jej szyi.

— Weźmiesz tego kasztana.

Spojrzał na nią chłodno i beznamiętnie. Odkąd wyszedł od niej rano z sypialni, tylko takim wzrokiem na nią patrzył.

Podeszła do osiodłanego konia, którego Franck odwiązywał od ogrodzenia. Zarzuciwszy wodze na szyję zwierzęcia, przytrzymał kasztana za uzdę, gdy Jordanna wskakiwała na siodło.

— Strzemiona są za wysoko, Franck, trzeba wydłużyć rzemienie — powiedziała.

— Lecę powiedzieć Brigowi — wymamrotał i umknął co sił w nogach.

Jego reakcja wprawiła ją w osłupienie. Ostentacja, z jaką jej unikał, była wręcz komiczna. Pokiwała tylko głową i już miała zsiąść, żeby zająć się tym własnoręcznie, gdy nadszedł Brig.

— Jakieś problemy?

Poprawiła się w siodle.

— Strzemiona są za wysoko.

— Zaraz się tym zajmę.

Wyjęła nogę ze strzemienia i uniółszy ją ku końskiemu zadowi, przyglądała się, jak Brig reguluje długość puśliska najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Gdy skończył, odsunął się od konia i spytał:

— No i jak teraz?

Wsparłszy futerał ze sztucerem o nogę, uniosła się w strzemionach.

— Doskonale.

Patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem pogłaskał konia po kłębie i odszedł, żeby pomóc Tandy'emu.

Dla ojca i brata Jordanny Brig przeznaczył dwa gniadosze, nawykłe do górskiego terenu, wytrzymałe zwierzęta o ciemnej i gęstej zimowej szacie. Max lepiej trzymał się w siodle, niż można by się było po nim spodziewać. Wszyscy jeźdźcy mieli na głowach wielkie, kowbojskie kapelusze, które miały ich chronić przed słońcem, kurzem, deszczem i wiatrem.

Kit podjechał do Jordanny. Czekali, aż wszystkie pakunki zostaną przytroczone do końskich grzbietów.

— Wkrótce wyruszamy — odezwała się do brata.

— Zdaje się, że nie możesz się już doczekać.

— O, tak. — Wszelkie pytania były zbędne. Jordanna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. — To będzie polowanie naszego życia. Tata często mawiał, że człowiek może upolować tylko jednego muflona w życiu.

Brig sprawdzał wszystkie rzemienie, żeby się upewnić, czy konie zostały prawidłowo objuczone. Jordannie przyszło na myśl, że w miłości jest nie mniej skrupulatny, i to porównanie wprawiło ją w dobry humor.

— Wygląda na to, że jesteś szczęśliwa.

W zamyślonych oczach Kita pojawił się wyraz świadczący o tym, że jego słowa zawierają ukryte pytanie.

— Tak.

Po raz pierwszy w życiu niczego jej nie brakowało, może więc słowo „zaspokojona” lepiej by oddawało ów stan całkowitej satysfakcji i poczucia spełnienia. Kit, idąc za spojrzeniem Jordanny, spostrzegł, że całą swą uwagę siostra koncentruje na Brigu McCordzie.

— Czy tata w pewnej mierze nie przyczynił się do tego, co wydarzyło się w nocy?

Pytanie zaskoczyło ją i wprawiło w zakłopotanie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiem, że radził ci, żebyś była miła wobec McCorda, aby przełamać jego niechęć do zabrania na polowanie kobiety, zwłaszcza ciebie.

Wpatrywał się w nią badawczo i ani myślał się przejmować, że jego słowa budzą jej złość.

— I ty sobie wyobrazasz, że ja wczoraj., że spałam z Brigiem dlatego, że tata sobie tego życzył? — spytała* trzęsąc się z wściekłości. — Boże drogi, i pomyśleć, że ty jesteś moim bratem! Czy zdajesz sobie chociaż sprawę* za kogo uważasz własną siostrę? I ojca?

— Wiem tylko, że czcisz ziemię, po której stapa

ojciec. W twoim mniemaniu jest nieomylny. Zastanawiam się nieraz, jak daleko mogłabyś się posunąć, byle tylko go zadowolić. Doskonale zdaję sobie sprawę, że jesteś bardzo przywiązana do McCorda, ale kto wie, czy mu nie uległaś dziś w nocy, ponieważ wiedziałas, że tata chce, żeby McCord zmienił zdanie o tobie.

— Mylisz się. Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

— Była tak głęboko dotknięta i zarazem rozgniewana, że z trudem znajdowała słowa. Koń, wyczuwając jej wzburzenie, poruszył się nerwowo i potrząsnął płową grzywą.

— Przede wszystkim, nigdy z takich pobudek nie zrobiłabym czegoś podobnego. A poza tym, tata nigdy by się na to nie zdobył, żeby podsuwać mi taką myśl.

— Nigdy nie twierdziłem, że otwarcie cię do tego nakłaniał. Aż tak źle taty nie oceniam. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłby cię wykorzystywać dla zaspokojenia własnych zachcianek.

— On wcale mnie nie wykorzystuje — wycodziła przez zęby.

— Nie wydawał się zbyt przejęty, kiedy zobaczył, jak McCord wychodzi dziś rano z twojego pokoju.

— A według ciebie powinien być? Jestem już dorosła. Tata nie ma nade mną żadnej władzy.

-^ Jesteś jego córką, a tata jest bardzo zaborczy. Nie lubi, jeśli ludzie sięgają po coś, co należy do niego... chyba że jest mu to na rękę. Chcę przez to powiedzieć, że są tylko dwie możliwości: albo on chciał, żebyś miała romans z Brigiem, albo Brig przysporzył sobie nieprzejednanego wroga.

— Nic dziwnego, że tata cię nie kocha. Nie jesteś synem, tylko Judaszem. — Akcentowała każdą sylabę w taki sposób, żeby jej słowa sprawiły Kitowi jak największą przykrość i jak najdotkliwszy ból.

Kit uśmiechnął się tylko ze smutkiem.

— Nie zapominaj Jordanno, że on nie jest Bogiem.

— Zawrócił konia i oddalił się w stronę Maxa.

Jordanna została sama. Siedziała w siodle nieruchomo, jak rażona gromem. W jej oczach lśniły łzy. Jak mógł wygadywać takie rzeczy o niej i o ojcu? Nawet nie usłyszała, że z tyłu ktoś podjechał do niej na koniu.

Drgnęła gwałtownie, usłyszawszy głos ojca.

— Co się stało, Jordanno? Co Kit ci powiedział?

Niełatwo przyszło jej ukryć wzburzenie, pomimo to zwróciła się do ojca z opanowaną twarzą i starała się nie dać po sobie poznać, jak dotkliwie została zraniona.

— Nic takiego — rzekła ochryłym głosem. — Zawsze to samo: nawet pięć minut nie możemy rozmawiać, żeby się ze sobą nie pokłócić.

— Jordanno, ja... — przerwał i nagle zmienił ton głosu. — Mam nadzieję, że zabrałaś ze sobą zapas balsamu do warg. Nie mam zamiaru obywać się bez mojej maści, tak jak poprzednim razem, na Alasce.

W rozrzedzonej atmosferze na dużych wysokościach słońce bardzo szybko wysusza wargi i powoduje ich pierzchnięcie. Jednakże Fletcher napomknął o tym tylko po to, żeby zatrzeć w pamięci Jordanny przykrą rozmowę z Kitem. Jego żartobliwa uwaga odnosiła się do czasów^ gdy jedyną złą aurę, na jaką byli narażeni, stanowiły wyłącznie zjawiska atmosferyczne.

Jordanna wzięła się w garść i zapewniła ojca z bladym uśmiechem:

— Tym razem zabrałam trzy tuby.

— To powinno wystarczyć.

Fletcher spojrział na nią z uśmiechem.

Przemknęło jej przez myśl, czy aby nie chciał w ten sposób zamaskować świdrującego spojrzenia — a może było to tylko złudzenie, wywołane oskarżeniami, które Kit rzucił na ojca? Zanim jednak zdążyła rozstrzygnąć ten problem, ojciec odwrócił wzrok.

— Wygląda na to, że nareszcie wyruszamy.

Brig dosiadł ogromnego, silnie umięśnionego konia o izabelowatej maści, która w porannym słońcu wyda-

wała się złota, oraz o grzywie, ogonie i kopytach czarnej barwy. Okazałość wierzchowca znakomicie pasowała do rosłej, barczystej sylwetki jeźdźca. Zatoczył koniem i, zrobiwszy pół wolty, osadził go przed olbrzymim Franckiem Savidge'em.

— Znasz mniej więcej tę okolicę, w którą się wybieramy. Jeżeli pójdzie dobrze, wrócimy za niecałe trzy tygodnie — powiedział.

— Zajmę się tu wszystkim — obiecał Franck.

Brig kiwnął mu głową i, zwróciwszy się do grupy myśliwych, wydał krótką komendę;

— W drogę.

Jordanna jechała tuż za Brigiem, podążającym na czele pochodu. Juczne konie, które zostały powiązane ze sobą tak, by tworzyły pojedynczy szereg, prowadził Jocko, a Tandy jechał na końcu. Pozostali rozproszyli się po hali.

Z chwilą gdy wyruszyli w drogę, Jordanna odetchnęła z ulgą. Nadal czuła się skrepowana w towarzystwie brata i ojca. Tylko widok szerokich ramion jeźdźca podążającego na czele pozwalał jej nie myśleć o przyczynie dręczącego ją napięcia. Przyśpieszyła bieg konia i zrównała się z Brigiem.

— Nie masz nic przeciwko temu, że pojedę przy tobie? — spytała z przymilną minką.

Chciała z nim być i nie miała zamiaru tego ukrywać. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin stał się jej tak bliski, że nawet nie miała ochoty tego maskować.

Siodło zaskrzypiało pod Brigiem, gdy odwrócił się, żeby sprawdzić, czy wszyscy za nim jadą. Rzucił jej ciepłe, porozumiewawcze spojrzenie.

~ Jesteś pewna, że ojciec nie ma nic przeciwko temu?

— Jestem już w takim wieku, że nie muszę go prosić o pozwolenie.

Brig nic na to nie odrzekł i zapatrzył się przed siebie. Jedynie lekko uniesiony kącik jego ust dowodził, że jest

zadowolony mając ją tuż przy sobie. Ów widok rozgrzał serce Jordanny rozpraszając chłód, który pozostawiły po sobie słowa Kita.

Gdy ranek miał się ku końcowi, znajdowali się już w odległości wielu mil od rancza i coraz dalej zapuszczali się w góry. Trudny teren, w którym łatwo było o wypadek, zmusił jeźdźców, by podążali gęsiego. Tandy i Jocko, prowadzący objuczone konie, zamykali korowód. Słońce skryło się za szarą chmurą, która przesłoniła wznoszące się wokół wierzchołki gór. Temperatura powietrza obniżyła się i z końskich chrap zaczęły się wydobywać białe obłoczki pary. Powietrze było ostre i rześkie.

Gdy trawersowali pierwsze zbocze, konie stapały po grubym dywanie ze świerkowych igieł. Posuwali się wzdłuż krawędzi kanionu, porośniętej rzędem drzew iglastych. Pomimo tej bariery odłamki skalne staczały się niekiedy spod końskich kopyt na dno kanionu.

Brig wstrzymał swojego konia, zmuszając pozostałych, by uczynili to samo. Jordanna sądziła, że chodzi mu o to, by dać koniom chwilę wytchnienia. Wspinali się już ponad godzinę, a ich płuca z trudem przystosowywały się do rozrzedzonego powietrza na tych wysokościach.

Obejrzała się, by sprawdzić, jak sobie radzą Kit i Max. Zazwyczaj początkujący jeźdźcy zbyt łatwowiernie zakładają, że koń sam dobrze wie, co ma robić. Tymczasem w rzeczywistości jazda konna, podobnie jak pływanie, jest dyscypliną wymagającą pracy wszystkich mięśni i niemałego wydatku energii. Wyglądało jednak na to, że obaj całkiem nieźle sobie radzą, choć z pewnością już zdążyli zauważyć, że nie wystarczy siedzieć sobie po prostu wygodnie w siodle.

— Popatrz! — rzucił Brig cicho.

Jordanna spojrzała przed siebie. Tuż pod granią łączącą stok, na którym się znajdowali, z następnym górskim szczytem, las się przerzedzał, a dalej rozciągała się nie porośnięta drzewami, kamienista przestrzeń. Jordanna przebiegła ją wzrokiem, lecz w pierwszej chwili nic nie dostrzegła. I nagle zauważyła, że tuż przy drugiej przełęczy coś się poruszyło.

Był to ogromny łos, który przesuwiał się skrajem kamienistego pustkowia. Na tle lasu trudno było odróżnić jego potężne łopaty od gałęzi drzew. Pomimo masywnego, krępego cielska zwierzę miało majestatyczny wygląd i nie sprawiało wrażenia niezdarnego. Łos kroczył nadzwyczaj dostojnie, dumnie unosząc łeb. Biała łata jego zadu odcinała się wyraźnym kręgiem od płowej sierści. Raptem zatrzymał się i odwrócił w ich stronę, jakby, wiedziony szóstym zmysłem, odkrył ich obecność. Rozmiary jego wieńca zaparły Jordannie dech w piersiach. Choć widziała go z daleka, była pewna, że nigdy dotąd nie spotkała łosia o tak ogromnych łopatach. Oszacowała ich wielkość na blisko półtora metra.

— Popatrz na tego łosia, tato.

Z wrażenia zabrakło jej tchu. Rzuciła okiem przez ramię, żeby sprawdzić, czy ojciec zauważył ogromnego zwierza.

Tymczasem Fleteher zdążył już zsiąść z konia i wyjąć Winchestera z pokrowca. W skupieniu oceniał odległość od celu i siłę wiatru — obliczał, czy łos znajduje się w zasięgu skutecznego strzału.

— A niech mnie, ma wieńec godny honorowego miejsca u Boone'a i Crocketa... — mruknął z zaaferywanym wyrazem twarzy. Jego uwaga stanowiła aluzję do imponującej kolekcji trofeów w słynnym klubie myśliwskim „Boone and Crocket”.

Brig podprowadził konia i ustawił się dokładnie na linii strzału Fletchera.

— Wydawało mi się, że to polowanie zostało zor-

ganizowane po to, żeby zastrzelić jednego muflona. O innych zwierzętach nie było mowy. A może masz zwyczaj strzelać do wszystkiego, co się rusza?

— Psiakrew! Toż to bezcenne trofeum! No, odsuńże się wreszcie! — zgromił go porywczo Fletcher, z wyrazem wściekłości na napiętej twarzy.

Ale Brig nie zdradzał najmniejszego zamiaru, by zastosować się do tego żądania, i wsparłszy dłonie na łąku siodła, nie ruszył się z miejsca.

— O ile dobrze zrozumiałem, interesują cię trofea myśliwskie. Gatunek zwierzęcia jest bez znaczenia, tak? Jako przewodnik mam prawo to wiedzieć, ponieważ podczas naszej wyprawy zobaczymy jeszcze mnóstwo zwierzyny. Jeżeli chciałeś strzelać do każdego zwierzęcia, jakie się tylko pokaże, to mogłeś mi wcześniej o tym powiedzieć.

— Chcę muflona — oświadczył lakonicznie Fletcher.

Jordanna domyśliła się, że Brig usiłował wybać, jak bardzo ojcu zależy na upolowaniu muflona. Czyżby jednak ojciec zamierzał zrezygnować z tego łosia? Stał przez chwilę niezdecydowany, a potem, z wyraźnym żalem, schował broń do pokrowca. Brig bez słowa ruszył z miejsca i ustawił się znów na czele grupy.

Wzrok Fletchera natychmiast powędrował ku ogromnemu łosiowi i Jordanna dostrzegła na twarzy ojca wyraz bezsilnej wściekłości. Fletcher, nie mogąc zaspokoić swojego pragnienia, skoncentrował złość na człowieku, który mu się przeciwstawił. Patrzyła, jak nieosiągalny łos znika po drugiej stronie górskiego grzbietu. Było to wyjątkowo wspaniałe zwierzę, mogące stanowić bezcenne trofeum myśliwskie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Brig przeszkodził ojcu.

McCord poczekał, aż Fletcher dosiądzie konia, i natychmiast ruszył w dalszą drogę. Jordanna, tak jak poprzednio, podążała tuż za nim. Jechali w milczeniu i z każdą chwilą atmosfera stawała się coraz cięższa.

Tuż po południu Brig postanowił zarządzić krótki popas, żeby dać koniom chwilę wytchnienia. Miały za sobą trzy godziny forsownej jazdy w trudnym, skalistym terenie i były już bardzo wyczerpane. Max nie bez trudu zsunął się z siodła, obolały na całym ciele, z żalnym grymasem na twarzy. Niemniej jednak trzeba było przyznać, że mimo braku przygotowania do takiego wyczynu trzymał się całkiem nieźle.

— Długo *to* jeszcze dzisiaj potrwa? — spytał Briga.

— Rozbijemy obóz koło czwartej. Do obozowiska, które będzie naszą bazą wypadową, dotrzemy jutro i zajmie nam to cały dzień. — Brig poluzował popręg siodła swojego konia i to samo zrobił przy srokaczu Maxa.

Zeskoczywszy z konia, Jordanna odczepiła sztucer od siodła, na wypadek gdyby zwierzę nabrało ochoty, żeby się wytarzać. O tej porze temperatura powietrza była najwyższa, nadal jednak było bardzo chłodno. Toteż nie zwlekając, Jordanna schroniła się za rozłożystym krzewem, gdzie wcześniej inni uczestnicy wyprawy ukryli się przed ostrymi porywami przenikliwego wiatru. Jocko nalewał właśnie do kubka resztkę kawy z wielkiego termosu.

Znajdowali się na skraju lasu, u podnóża urwistego górskiego zbocza. Ponad ich głowami wznosiła się naga, poszarpana turnia. Wszędzie wokół, z rzadka rozsiane, rosły skarłowaciałe drzewa iglaste i karłowate wierzby. Wśród mchów i porostów wiła się ścieżka wydeptana przez dzikie zwierzęta. Tworzyły ją przecinające się nawzajem, splątane tropy. Fletcher przysiadł na piętach i kubkiem gorącej kawy ogrzewał dłonie.

— Oto kraina muflonów, Max — powiedział do Sangera, który dołączył do nich przed chwilą i zgarbiwszy plecy, osłaniał się, jak mógł, przed zimnym wiatrem. Słowa Fletcher a najwyraźniej nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

— No tak — ciągnął Fletcher — trzeba widocznie być myśliwym, żeby doświadczać wszystkich tych ekscytujących przeżyć. Niezwykłą atmosferę krainy muflonów od razu daje się zauważyć, a raczej... wyczuć. To doprawdy niepowtarzalne przeżycie. Dzieje się tak i z tej przyczyny, że polowanie na muflona otoczone jest tyloma mitami i legendami. Słysz się nieraz, że wprawdzie polowanie na niedźwiedzia grizzly jest najbardziej niebezpieczne, a łowy na łosia wymagają ogromnego wysiłku, ale bezsprzecznie żadne zwierzę nie przynosi myśliwemu takiego zaszczytu, jak muflon.

Widząc entuzjazm płonący w oczach ojca, Jordanna uświadomiła sobie, jak bardzo zafascynował go ogromny muflon. Jedyne szlachetne, dzikie zwierzęta mogły się równać z pierwotnym majestatem tych niegościnnych, trudno dostępnych gór o wyniosłych, ośnieżonych szczytach.

— Rozumiem, o czym mówi tata — odezwała się. — Muflony to niezwykle zwierzęta, otoczone aurą tajeni niczości, co rzadko można powiedzieć o ludziach i niezbyt często o innych gatunkach zwierząt.

— Wiem, co pani ma na myśli — zapewnił Tandy z przekonaniem. — Byłem kiedyś w górach w okresie godowym muflonów. Pewnego razu widziałem walkę dwóch starych, potężnych samców. To dopiero było widowisko! Odstąpiły od siebie tak obojętnie i ospale, jakby ten drugi nie był wart, żeby w ogóle go zauważyć. A potem jak się nie odwróca, jak nie runą na siebie! Łoskot był taki, jakby dwie kule bilardowe się ze sobą zderzyły, tyle że o wiele głośniejszy. Aż się echo niosło po górach. Po kilku rundach przerwały walkę. Z boku stało stadko owiec, ale wyglądało na to, że całkiem ich nie obchodzi, który z nich wygra.

— Przynajmniej nie zabijają się z powodu samic — wtrącił Kit.

. — Bywa i tak, że niektóre z nich giną w walce

— sprostował Jocko. — Zderzają się z taką siłą, że nieraz kończy się to uszkodzeniem narządów wewnętrznych. Ze wszystkich parzystokopytnych one są najbardziej skore do walki.

— Ale tylko podczas godów, prawda? — uzupełniła Jordanna. — O ile dobrze pamiętam, odbywają się pod koniec listopada.

— *Si*, wtedy właśnie porzucają stan kawalerski i zaczynają się rozglądać za samicami.

— Zostało jeszcze trochę kawy, Jocko? — Upewniwszy się, że koniom niczego nie brakuje, Brig wreszcie dołączył do ich kółka. Od razu włączył się do rozmowy: — Najsilniejsze samce mają zawsze pierwszeństwo w wyborze samic, ale zdarza się, że bywają atakowane przez słabsze i młodsze samce. W ten sposób natura dba o zapewnienie silnego przychówku. Najsłabsze sztuki muszą odpaść w walce p samice.

— Przywódcą jest zawsze baran o największych rogach. — Jocko nalał kawę do ostatniego kubka i podał go Fletcherowi. — Rzadko dożywa późnego wieku, bo bez ustanku walczy i płodzi potomstwo. Aż w końcu okazuje się to ponad jego siły.

— No tak, teraz nasze problemy stają się bardziej zrozumiałe, co Max? — Fletcher ze śmiechem poklepał Maxa protekcyjnie po ramieniu. — Jesteśmy dwoma starymi baranami w kiepskim stanie.

— Pewnie masz rację! — Max także wybuchnął śmiechem. — Raczej zbyt wiele owiec niż lat!

Kit zignorował rubaszne żarciki dwóch starszych panów.

— Jak długo trwa okres godowy?

— Około miesiąca — odrzekł Jocko. — Od końca listopada przez cały grudzień. Może trochę krócej, jeżeli zima zacznie się wcześniej i zanosi się na ciężkie mrozy. Dzikie zwierzęta wiedzą o takich rzeczach, bo żyją w zgodzie z naturą i rozumieją mowę znaków, którymi

przyroda je ostrzega. A człowiek, żeby to pojąć, próbuje wymyślać coraz to nowe maszyny.

— Niedługo już zobaczysz swojego pierwszego muflona, Kit — rzekł Tandy. — Przez całą wiosnę, lato i jesień pasą się na górskich halach, żeby nabrać krzepy przed walką. To ciężkie, masywne zwierzę z wielkimi, zakręconymi rogami. Jak się komuś mówi, że muflon jest dziką owcą, to ludzie od razu myślą o owcy domowej, a tymczasem jest to zwierzę wielkości jelenia. Rogi ma takie wielkie, że mogą ważyć i ze dwadzieścia kilo. Wyobraź no sobie, że taszczysz na głowie taki ciężar! Nie dziwota, że ma kark jak, nie przymierzając, jakiś rugbysta.

— A jakże! — zgodził się Jocko. — Ale trzeba zobaczyć tego barana po okresie godów. Przez cały czas prawie nic nie je, tylko się bije i płodzi potomstwo. Jak ten czas się kończy, baran jest całkiem wynędzniały — skóra i kości. Dlatego starszym często nie udaje się doczekać, aż zima na dobre się zacznie.

— Zdaje się, że muflony rzeczywiście są fascynującymi zwierzętami — mruknął Kit.

— A są, żebyś wiedział — zapewnił Fletcher.

— Jeżeli muflony są dzikimi owcami, to dlaczego nie przypominają owiec domowych, a stanowią nawet ich przeciwieństwo? — zainteresował się Kit.

— Uważa się, że muflony żyjące w Ameryce pochodzą od wielkich dzikich owiec azjatyckich, które przedostały się do Ameryki Północnej wtedy, gdy oba lądy były jeszcze ze sobą połączone przesmykiem wyjaśniła Jordanna. — Owce domowe natomiast mają wiele wspólnego z dzikimi owcami żyjącymi na Bliskim Wschodzie.

— Jak widzę, świetnie się orientujesz w zwyczajach swoich ofiar. — Brig, nieco wbrew sobie, przyjrzał się jej z uznaniem. — Wcale nie mniej niż w sposobach i miejscach, gdzie można je upolować.

— Nauczyłam się od taty, że należy jak najwięcej wiedzieć o zwierzęciu, na które się poluje — odparła Jordanna wzruszywszy ramionami, co dowodziło, że uważa tę wiedzę za rzecz niezbędną i normalną dla każdego szanującego się myśliwego,

— Ta wiedza to podstawa łowieckich umiejętności — dodał Fletcher. — Trzeba znać jego zwyczaje, dokładny czas żerowania, godziny spoczynku, rodzaj terenu, w którym najchętniej przebywa. Jest to szczególnie ważne w odniesieniu do muflonów z Gór Skalistych, ponieważ poluje się na nie w najbardziej niedostępnych okolicach. Ich wytropienie staje się przez to podwójnie trudne. To tłumaczy, dlaczego upolowanie tego zwierzęcia uważa się za taki sukces i dlaczego jest ono tak rzadką zdobyczą.

— Z wyjątkiem okresu godów — wtrącił Tandy. — Barany są wtedy tak sobą nawzajem zajęte, że bez problemów może pan do nich podejść. Dlatego też polowanie w tym czasie jest zakazane.

Brig wypił kawę do ostatniej kropli, po czym podniósł się, wręczył kubek Jocko i oznajmił:

— Koniec przerwy. Najwyższy czas ruszać w drogę.

Niechętnie i z wyraźnym trudem dźwigali się z miejsc. Jordanna podeszła do Briga, zajętego dociąganiem popręgu przy siodle na swoim izabelowatym wierzchowcu. Rozmowa o muflonach rozładowała napięcie wywołane niedawnym starciem Briga z Fletcherem.

— Brig? Dlaczego dziś rano nie pozwoliłeś ojcu upolować tego łosia?

— Nie podoba mi się gdy ktoś strzela do zwierzęcia tylko po to, żeby zdobyć jego rogi.

Jordanna zmarszczyła brwi.

— Jeżeli tak uważasz, to dlaczego zgodziłeś się zostać przewodnikiem podczas tej wyprawy?

Skończył już siodłanie konia i odwróciwszy się do niej, odrzekł:

— Potrzebowałem pieniędzy.

Potem, nie patrząc na nią, podał jej strzemień, gdy dosiadała wierzchowca. Odszedł i wskoczył na siodło.

Ojciec wprawdzie jej mówił, że kupił McCorda, ale nie chciała w to wierzyć — aż do tej chwili, gdy sam to przyznał. Rozumiała już teraz, dlaczego ojciec zrezygnował ze strzału do łosia. Wolał pozostawić Brigowi możliwość dochowania wierności paru' zasadom, nie chcąc doprowadzać go do ostateczności. Pomyślała, że ojciec podjął chyba słuszną decyzję.

— Dlaczego masz taką posepną minę? — zainteresował się Kit, który podjechał do niej na swym gniadoszu.

— Myślałam o Brigu, zwłaszcza o tym, dlaczego nie pozwolił ojcu zabić tego łosia — mruknęła z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Prawdopodobnie podziela moją niechęć do zabijania zwierząt dla przyjemności. Należałoby wprowadzić prawo zmuszające ludzi, żeby zjadali to, co upolują — odparł i popędził konia, by dogonić Briga.

Tuż przed czwartą po południu zatrzymali się na nocny popas. Brig i Tandy zajęli się końmi. Rozsiodłali je i wypuścili na łąkę, żeby mogły skubać trawę porastającą górską dolinę, Jocko rozpalił ognisko i natychmiast nastawił dzbanek z kawą, zanim jeszcze zaczął przygotowywać jedzenie.

Pobliskie krzaki spełniały funkcję ustępów. Jordanna wychynęła właśnie spoza osłony gałęzi, gdy nagle natknęła się na czekającego na nią ojca.

— Jest coś, o czym chciałem z tobą pomówić, Jordanno — odezwał się. — Ale dopiero teraz udało mi się po raz pierwszy dzisiaj zobaczyć z tobą sam na sam.

— O co chodzi?

Była nieco zaintrygowana, co też mogło skłonić ojca do szukania okazji, by porozmawiać z nią w cztery oczy.

— O wczorajszy wieczór, chociaż może raczej należałoby powiedzieć... dzisiejszy ranek.

— A zatem?

Starła się sprawiać wrażenie pewnej siebie, poczuła jednak, że się czerwieni.

— Kiedy cię wczoraj prosiłem, żebyś była miła dla McCorda, nigdy bym nie przypuszczał, że możesz się posunąć aż tak daleko. — Był wyraźnie zakłopotany, jakby koniecznie chciał się przed nią wytłumaczyć. — Myślałem tylko, żebyś...

— Dobrze wiem, o czym myślałeś — wpadła mu w słowo, chcąc zaoszczędzić dalszych wyjaśnień. — W najmniejszym stopniu nie przyczyniłeś się do tego, co się stało.

~ Jesteś pewna, że... — Nadal nie mógł pozbyć się wątpliwości.

Jego przeświadczenie, że Jordanna byłaby dla niego gotowa zdobyć się na coś podobnego, bardzo ją zraniło. Zraniło i zarazem zirykowało.

— Jestem dorosła, tato — powiedziała oschłym tonem. — Potrafię myśleć samodzielnie. Możesz mi chyba uwierzyć, jeżeli ci mówię, że dobrze wiem, co robię?

— Tak. — Uśmiechnął się do niej przepraszająco i pogłaskał po policzku. — Chciałem się tylko upewnić, że w pełni zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz.

— Doskonale zdaję sobie sprawę — zapewniła. — Nie masz absolutnie żadnych powodów do niepokoju.

— Chodźmy do ogniska, może kawa jest już gotowa.

Odwrócił się w stronę obozowiska i czułym, serdecznym gestem objął córkę za ramiona.

Brig stał ukryty w cieniu krzaków. Gdy po wyczyszczeniu zgrzebłem i spętaniu koni podszedł do kępy zarośli, usłyszał, jak Fletcher prosi córkę o rozmowę w cztery oczy. Stali po przeciwnej stronie krzewu. Nie

zauważyli go i już miał zamiar wycofać się niepostrzeżenie, gdy wtem zorientował się, co jest przedmiotem ich rozmowy. Mówili o wydarzeniach ostatniej nocy. Nie mógł oprzeć się chęci wysłuchania tego do końca.

„Kiedy cię prosiłem, żebyś była miła dla McCorda...”
Bez przerwy dźwięczało mu w uszach to zdanie Fletchera.

Napięta twarz Briga odprężyła się, gdy ujrzał ojca i córkę siedzących przy ognisku i grzejących dłonie. Odpowiedź, której Jordanna udzieliła Fletcherowi, stanowiła dostateczne potwierdzenie, że pragnęła tej miłosnej nocy nie mniej niż Brig.

On wprawdzie niczego nie pragnął bardziej, ale czy przyszedłby do niej, gdyby nie zostawiła w sypialni zapalonego światła? Nie tylko na niego czekała — wręcz go zapraszała.

Na jego wargach pojawił się lekki uśmiech, gdy przypomniał sobie, jak mu wyjaśniała, że nie jest łatwą dziewczyną. Powinien był to sobie uświadomić już wtedy, gdy kochali się po raz pierwszy. Choćby dlatego, że w pierwszej chwili tyle trudności sprawiało jej uwolnienie się od zahamowań.

Ostatniej nocy poddawała się jego pieszczotom bez żadnych oporów. To on obudził jej zmysłowość. Ale czy przypadkiem nie przemawiała przez niego męska próżność? Tak go ta myśl rozbawiła, że niewiele brakowało, a wybuchnęłyby głośnym śmiechem.

Potem zadumał się przez chwilę nad tym, dlaczego Fletcherowi tak bardzo zależało, by Jordanna „była miła” dla niego. Czyżby z powodu polowania? Wyglądało na to, że ten facet jest rzeczywiście gotów zrobić wszystko, byleby tylko dostać to, na czym mu zależy, Kto wie, może myśl o zdobyciu trofeum muflona stała się dla niego prawdziwą obsesją. Ludzie tak majątni jak Fletcher miewają niekiedy jeszcze bardziej osobliwe zachcianki.

13

Brig nie miał jeszcze ochoty wracać w pobliże ogniska. Nie wabił go nawet zapach świeżej kawy. Wolał przez moment pozostać na przenikliwym zimnie, szczypiącym w nos i policzki.- Ostry chłód pobudzał wszystkie zmysły.

Samotność miała dla niego w tej chwili więcej uroku niż gwar głosów i koleżeńska atmosfera panująca w obozowisku osłoniętym od wiatru ścianą lasu. W promieniach zachodzącego słońca woda w górskim strumieniu wyglądała jak struga ognistoczerwonej miedzi. Zarysowujące się na niebie wierzchołki gór zdawały się ciągnąć w nieskończoność. W dali rozległo się poszczekiwanie kojota.

Obóz, który rozbili tu na noc, był bardzo prowizoryczny w porównaniu z obozowiskiem, do którego mieli dotrzeć nazajutrz. Jocko przygotowywał posiłek nad ogniskiem rozpalonym pod gołym niebem. Rozbili tylko dwa namioty, duży dla mężczyzn i mały dla Jordanny. Brig zobaczył, jak dziewczyna taszczy naręcze świerkowych gałęzi, żeby rozłożyć je na podłodze swojego namiotu, tak małego, że nie można się w nim było swobodnie rozprostować.

Czuł do niej pociąg tak niepohamowany, jak przemożna siła przyciągająca ćmę do płomienia świecy. To poczu-

cie własnej niemocy ciągle go zaskakiwało, choć przecież doświadczał go stale od chwili, gdy spotkał Jordannę po raz pierwszy. Czyż kiedykolwiek potrafi się jej oprzeć?

Był dzisiaj taki szczęśliwy, gdy jechała u jego boku! Zachwycała go wspólna podróż z kimś, kto jechał tuż obok niego nie po to, żeby słuchać jego poleceń, a jedynie dla samej przyjemności bycia razem. Nagle uświadomił sobie, jak głębokie uczucie łączy go z Jordanna.

Zebrał trochę świerkowych gałęzi i skierował się w stronę małego namiotu. Przez uchylone skrzydło widać było, jak Jordanna rozkłada gałęzie, robiąc z nich materac. Na widok Briga przysiadła na piętach i na jej twarzy, jeszcze przed chwilą skupionej, pojawił się promienny uśmiech.

— Witaj! — Była nieco zdyszana, ale jej lekko ochrypły głos wydał się Brigowi miły i łagodny jak mruczenie kota. — Usiłowałam wymościć sobie posłanie, zanim całkiem się ściemni.

— Zostajemy tu tylko na jedną noc. Niepotrzebnie zadajesz sobie tyle trudu.

Wydawała się nieco zmieszana jego uwagą, ale wzięła gałęzie, które dla niej przyniósł, i zaczęła je układać. Brig starał się ukryć, że kompletnie traci głowę w jej obecności.

— Tak, wiem — przyznała. — Ale żeby nie wiem jak gruba warstwa puchu była w śpiworze, to jeżeli się w nim długo śpi, ciężar ciała ubije to wszystko i czuje się ciągnący od ziemi chłód. Zwykle zabieram ze sobą nadmuchiwany materac, ale prawdę mówiąc, gałęzie świerkowe izolują wcale nie gorzej.

Brig odnosił wrażenie, że Jordanna mówi to tylko po to, żeby ukryć zdenerwowanie. Wprawiał ją w podobne zakłopotanie jak ona jego. A może czuła się tak nieswojo z powodu rozmowy z ojcem?

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Gruba, niezgrabna kurtka i dzinsy wpuszczone w buty całkowicie

maskowały kształty jej ciała. Brig widział tylko szczupłą, nieforemną sylwetkę. Nawet jej piękne włosy były niewidoczne spod wielkiego kapelusza. Mógł tylko podziwiać idealny owal twarzy. Miał jej niemal za złe, że tak się przed nim ukrywa. Jordanna, zauważywszy jego natarczywy wzrok, spojrzała na niego pytająco.

— Z włosami ukrytymi pod kapeluszem wyglądasz jak chłopak — orzekł.

— Chyba masz jakieś przywidzenia! — Ze śmiechem odrzuciła kapelusz, potrząsnęła głową i przesunęła dłonią po gęstych włosach.

Brig zaprzagnął zatonać w jej przepastnych zielonych oczach i nigdy już się z ich głębi nie wydostać.

— Zamierzasz spać tu sama? — Wypowiedział te słowa mimo woli, nawet zdziwił się, gdy je usłyszał.

— Ja... — Nie dokończywszy zdania, zerknęła w stronę zgromadzonych przy ognisku mężczyzn, wśród których był także jej ojciec. Zawahała się przez chwilę, popatrzyła na czubki swoich butów, potem spojrzała na Briga i z całą prostotą odrzekła: — Nie bardzo mi się to uśmiecha.

— I mnie się nie uśmiecha ani trochę.

Przysunęła się do niego. Pochwycił ją w ramiona, wsunął rękę w jej włosy i pocałował z taką niecierpliwością, tak gwałtownie, jakby chciał zmiażdżyć jej delikatne wargi. Ten namiętny pocałunek zdradził natychmiast tak starannie skrywane podniecenie. Z całych sił starał się je opanować, obawiając się, że straci nad nim kontrolę.

Oderwał się od niej i bez słowa wyszedł z namiotu. Wszedł do drugiego namiotu, wyjął swój śpiwór i na oczach siedzących przy ognisku mężczyzn zaniósł go do Jordanny. Nie padło ani jedno słowo, nikt nie drgnął. Minęły już całe lata, odkąd po raz ostatni w tak otwarty sposób postąpił wbrew wszelkim konwenansom. Ale jego pierwotne żądze wymykały się spod kontroli i już

nie potrafił się im przeciwstawić. Jordanna należała do niego i musiał ją pojąć — fizycznie, skoro nie mógł inaczej.

Wśliznął się pod namiot i rzucił śpiwór na ziemię obok Jordanny. Zauważył, że zachnęła się w pierwszej chwili, lecz natychmiast opanowała ten odruch.

— Będę potrzebowała więcej gałęzi do podłożenia pod twój śpiwór — zaproponowała z czułą troskliwością.

— Zawracanie głowy! Bądź co bądź, prawie przez cały czas będę po twojej stronie namiotu.

Leżąc z ramionami założonymi pod głowę, Jordanna wpatrywała się w noc. Jej śpiwór połączony był zamkiem błyskawicznym ze śpiworem Briga. Słuchała, jak deszcz bębni o płócienny dach namiotu. Tuż nad jej głową rozległ się grzmot, od którego zadrżała ziemia. Gęste chmury, towarzyszące im przez cały dzień, teraz w gwałtownej burzy rozładowały nagromadzoną energię.

Gdzie się podziewa Brig? Serce załomotało jej w piersiach, gdy pomimo szumu deszczu i łoskotu grzmotów usłyszała na zewnątrz jego kroki. Trochę ją zaniepokoiło odkrycie, że z taką niecierpliwością wyczekuje jego powrotu i taka jest niepoohamowana w swych namietnościach. Nie odczuwała absolutnie żadnego wstydu. Nie bardzo już zresztą wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Ale jakże by można było uznać, że jest w tym coś złego, skoro czuła się przy Brigu tak cudownie?

Skrzydło namiotu uniosło się i błyskawica przecinająca zygazkiem niebo wydobyła z ciemności wysoką sylwetkę. Powietrze naładowane było elektrycznością. Brig wszedł, zasłaniając natychmiast wejście do namiotu, lecz zimne powietrze zdążyło wtargnąć do środka. Jordanna zadrżała, gdy wilgotny, lodowaty podmuch owiał jej twarz.

Brig w jednej chwili zrzucił z siebie moką bieliznę

i wślizgnął się do śpiwora. Czując dotyk dłoni Briga, Jordanna odwróciła się na bok i przy akompaniamencie szalejącej na zewnątrz burzy wtuliła się w jego ramiona. Ich ciepłe oddechy zmieszały się, poczuła, jak wąs Briga łaskocze ją w nos. Gdy jednak jego dłonie natrafiły na bieliznę Jordanny, przerwał na moment pieszczoty i ofuknął ją:

— Po co założyłaś te szmatki?

— A po to, żeby mi było ciepło. Ty też je po to zakładasz — mruknęła.

Dokładnie w chwili, gdy błyskawica przecięła niebo oświetlając płachty namiotu, Brig pocałował namiętne Jordannę.

— Są inne sposoby, żeby się rozgrzać — wyszeptał.

Lodowata dłoń wsunęła się pod bieliznę i zamknęła na piersi Jordanny. Dziewczyna zadrżała z rozkoszy i natychmiast poczuła, jak ją ogarnia płomienne pożądanie.

— Zgadzam się z tobą.

Na zewnątrz burza rozszalała się na dobre. Ciężkie, czarne chmury zderzały się ze sobą ziejąc ogniem, a ziemia i powietrze drżały od huku piorunów. Żywioty łączyły się, ścierały ze sobą i rozdzielały, by po chwili znów się odnaleźć we wzniosłym crescendo.

Dłonie Briga niestrudzenie błądziły po ciele Jordanny. Burza przycichła. Nawet teraz, gdy w pełni zaspokoił zarówno swoje pożądanie, jak i namiętne pragnienia Jordanny, nieustannie pieścił jej biodra, piersi, ramiona. Ulewny deszcz, bębniący natarczywym rytmem o płachty namiotu, wzmagął miłosne Uniesienia Briga. Głowa Jordanny spoczywała w zagłębieniu jego ramienia, a jedwabiste włosy muskały podbródek. Na brzuchu czuł ciężar ramienia dziewczyny, zgiętą w kolanie nogę wsparła na jego nogach.

— Powiedz, czy podczas długich, burzliwych nocy w górach każdemu przewodnikowi ofiarowujesz tego rodzaju zadośćuczynienie?

W oddali rozległ się pomruk grzmotu. Jordanna otarła się policzkiem o Briga jak kotka.

— Niech no się zastanowię. W Afryce był ten biały przewodnik, potem — Hiszpan w Argentynie... w Albercie — taki jeden francuski Kanadyjczyk... Nie, z pewnością nie zdołam przypomnieć sobie wszystkich! — westchnęła żałośnie na zakończenie. Kpiarskie nutki w jej głosie nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że dworuje sobie z niego w najlepsze.

On wszakże nie dostrzegł w tym niczego zabawnego.

— Wcale mnie to nie dziwi — mruknął.

Jordanna uniosła głowę i, ujrawszy jego ponurą minę, powiedziała z łagodną perswazją w głosie:

— Przecież to żarty!

Przesunął palcem po delikatnej linii jej podbródka. Przypomniał sobie, jak to ojciec radził jej, żeby była dla niego miła. Uznał jednak że to bez znaczenia. Nie miał wątpliwości, że żadnemu mężczyźnie przed nim nie udało się obudzić w niej takich gorących uczuć.

— Zapomniałem się roześmiać? Przepraszam — usprawiedliwił się łagodnym tonem. — Czas spać.

— I ja tak sądzę — mruknęła i wyswobodziła się z jego objęć.

Błyskawice stawały się coraz rzadsze. Brig wsłuchiwał się w rytmiczną mowę deszczu. Jordanna zasnęła na długo przed nim.

Po nocnej burzy została rano tylko lekka mżawka i nieliczne, odległe pomruki grzmotów. O świcie wyruszyli w drogę do obozowiska mającego stanowić ich bazę podczas polowania. Założyli na siebie wszystko, co mogło ich ochronić przed deszczem impregnowane

peleryny, poncha, płaszcze przeciwdeszczowe. Chmury zwieszały się nad turniami jak ciężki całun, a odrywające się od nich szare pasma płynęły ponad szlakiem, którym podążali. Końskie kopyta ślizgały się na spadzistym, mokrym gruncie. Jeźdźcy rozmawiali niewiele, starali się ani na chwilę nie stracić z oczu izabelowatego zadu wierzchowca podążającego na czele pochodu.

Jeszcze przed wieczorem dotarli do celu podróży — schroniska, mającego stanowić ich bazę. Był to wielki namiot z jednym centralnym masztem. Znajdowały się tam drewniane ławy i stół. Kuchnia, z której zwykle korzystali pasterze, zapewniała teraz uczestnikom wyprawy możliwość ogrzania się i przygotowania gorącej strawy. Jocko zajął się zaraz rozpaleniem ognia, Tandy zdejmował juki z koni, a Brig rozbijał mały namiot dla siebie i Jordanny. Wolał ciepło jej ciała od sztucznego ciepła pieca.

Nazajutrz rano mżawka przeszła w nieprzerwaną ulewę. Jocko skorzystał z wolnego czasu, by przyrządzić ogromny stos smakowitych placków. Wszyscy byli skazani na przymusowy pobyt w namiocie. Max postanowił odpocząć, wszystkie mięśnie miał obolałe. Fletcher — rasowy myśliwy — sprawdzał stan ekwipunku. Tandy, który *me* zapomniał zabrać ze sobą talii kart, wciągnął zaraz Kita w nie kończącą się karcianą rozgrywkę.

Brig bez trudu znalazł sobie mnóstwo zajęć, począwszy od czyszczenia koni i konserwacji siodła, poprzez gromadzenie drewna na opał, a skończywszy na noszeniu wody. Jordanna widziała teraz wyraźnie, że jedynym miejscem, gdzie nie ukrywał swojego zainteresowania nią, był jej namiot — nocą. Poza tym, przez cały czas utrzymywał dystans. Ale ponieważ ani przez chwilę nie spuszczał jej z oka, zrozumiała, że chce zachować dyskrecję i unika afiszowania się łączącą ich zażyłością przed jej ojcem. Nie mogła zatem mieć do niego pretensji, że zachowuje się wobec niej tak powściągliwie w obecności innych.

Jordanna spędziła ten dżdżysty dzień pomagając Jocko. Z początku odrzucił jej pomoc, ale szybko domyślił się, że jest to dla niej jedyny sposób na zabicie czasu. Toteż na swój ujmująco miły sposób zgodził się, by kucharzyła razem z nim.

Czwartego dnia rano słońce wyjrzało wreszcie spoza chmur. W godzinę po wschodzie słońca niewielka grupka wyruszyła na pierwszy myśliwski wypad, a Tandy i Jocko zostali sami w obozowisku.

Koło południa dostrzegli pierwsze muflony. Zatrzymali się na krawędzi nagiego, skalistego płaskowyzu, by obserwować pobliskie łańcuchy gór. Max i Kit zostali przy koniach, które im posłużyły jako osłona przed przenikliwym górskim wiatrem. Fletcher, Brig i Jordanna, zaopatrzeni w lornetki, skierowali się w stronę najkorzystniejszego punktu obserwacyjnego na płaskowyzu.

Upłynęło dwadzieścia minut. Ponieważ niczego nie wypatryli, Fletcher opuścił lornetkę, by oczy mogły trochę odpocząć.

— To miejsce to typowe siedlisko muflonów — mruknął.

— Tak — przyznał Brig, nie przestając obserwować kotliny. — Mają tu wodę w strumieniu i dużo trawy dokoła. A strome zbocza zapewniają im doskonałą drogę odwrotu.

Brig wygodnie rozsiadł się na gołej ziemi i oparł łokcie na kolanach, żeby pewniej trzymać w rękach lornetkę.

Wtem wydało się Jordannie, że coś się poruszyło przy skalnym zwalisku piętrzącym się w oddali. Wyregulowała lornetkę.

— Zdaje się, że coś jest tam, przy tym rumowisku.

Brig i Fletcher wpatrzyli się natychmiast we wskazany punkt. Brig pierwszy dostrzegł stado.

— Są tam. Przed chwilą jeszcze zerowały i teraz przeżuwają.

— To młode sztuki — stwierdził Fletcher. — Nie wypatrzyłem wśród nich ani jednego, który by miał rogi o skrócie przekraczającym półkole. — Spojrzawszy przez ramię, zawołał Maxa i Kita. — Chodźcie zobaczyć wasze pierwsze muflony!

Gdy do nich dołączyli, Jordańna podała bratu lornetkę!. Wspólnie z Fletcherem pomogli im odnaleźć stado, a tymczasem Brig nadal skrupulatnie obserwował okolicę, żeby upewnić się, czy w pobliżu nie ma starszych sztuk.

— I co teraz? — zainteresował się Max.

— Będziemy czekać — odrzekł Brig. — Może są jeszcze inne, niewidoczne w tej chwili.

Z lornetkami przy oczach czekali jeszcze godzinę, wodząc wzrokiem po skalnym rumowisku. Nie wypatrzyli jednak ani jednego muflona o rogach, których skręt przekraczałby półkole. Wsiedli więc na konie i udali się do tego miejsca, gdzie Brig niedawno widział największe muflony.

Na godzinę przed zachodem słońca, nie wypatrzysz ani jednego muflona godnego strzału Fletchera czy Jordanny, wyruszyli w drogę powrotną do obozowiska. Podczas tego pierwszego wypadu Max tak się wynudził, że pomimo wysiłków, by ukryć niemiłe wrażenia, jego rozczarowanie aż nazbyt wyraźnie rzucało się w oczy.

— Jeszcze nie doszedłem do siebie po tym, jak się ostatnio wytrząsałem w siodle, a znów cały jestem obolały — zrzędził cicho pod nosem.

Tandy usłyszał jednak jego narzekania.

— Jeszcze się pan nie przyzwyczył do konnej jazdy?

— Spędziliśmy czas raczej na wdrapywaniu się na siodło, zsiadaniu z koni i na wspinaczce, niż na posuwaniu się przed siebie. Całe siedzenie mam koszmarne obolałe — poskarżył się. — Moim zdaniem, tracimy tylko czas.

— Cierpliwość i wytrwałość, Max. — Fletcher, siedzący po drugiej stronie ogniska, uśmiechnął się do Maxa, wytrząsając popiół z fajki. — Jeśli myśliwy nie ma tych dwóch zalet, niech najlepiej od razu zrezygnuje i wróci do domu.

Dotknięty nieco tą dość przejrzystą krytyką, Max wyprostował się z godnością i odparł:

— Z pewnością masz rację, ale jestem raczej przyzwyczajony do większej aktywności.

— Toteż damy ci jutro możliwość bardziej aktywnego spędzania czasu. Została jeszcze jedna lornetka. Jordanna ci ją da i będziesz nam pomagał wypatrywać zwierzynę, zamiast na nas beczynn timer czekać.

— Bardzo to z twojej strony wspaniałomyślne — odparł Max z wymuszonym uśmiechem.

— A poza tym, jesteś tu przecież na wakacjach. Nie mógłbym sobie darować, gdybyś zanudził się na śmierć.

W ironicznym tonie, z jakim ojciec wypowiedział te słowa, Jordanna wyczuła ledwie dostrzegalną pogroźkę, co ją niemile zaskoczyło.

— Robi się późno. — Kit przerwał nagle tę wymianę zdań i rozprostował skrzyżowane nogi, żeby wstać od ogniska. — Pójdę chyba spać.

— Wszyscy powinniśmy to zrobić — oznajmił Fletcher i przyłączył się do mężczyzn udających się do dużego namiotu. — Dobranoc, Jordanno.

— Dobranoc, tatusiu — odpowiedziała. Nie uszło jej uwagi, że ojciec nie pożegnał się z Brigiem.

Domyślała się, że nie aprobuje jej zachowania, lecz teraz dopiero po raz pierwszy dał to wyraźnie do zrozumienia. Czuł wobec Briga urazę. Jordanna wpatrywała się w płomień W tak głębokiej zadumie, że nawet nie zauważyła, iż wszyscy poszli już spać.

— Masz zamiar siedzieć przy ognisku, aż upieczesz się na złoty kolor? Może byś się jednak położyła? — Brig stał tuż obok i przyglądał się jej z osobliwym zainteresowaniem.

Jordanna oderwała się od rozmyślań o ojcu. Była już zbyt dorosła, by zabiegać o jego aprobatę w sprawach dotyczących jej intymnego życia. A zresztą, czekał na nią Brig i tylko to się liczyło. Wstała i z prowokującą miną zażartowała:

— Jak to? Nie podobałabym ci się, przypieczona na złoty kolor?

Objął jej talię i przyciągnął dó siebie, wyprowadzając dziewczynę poza krąg światła. Ta pełna entuzjazmu poufałość głęboko wzruszyła Jordanne. Rozchyliła wargi i odrzuciła głowę do tyłu, by przyjrzeć się jego przystojnej, męskiej twarzy, na której tańczyły refleksy płomieni ogniska.

— Przepadam za potrawami lekko przyrumienionymi z zewnątrz, a miękkimi i delikatnymi w środku — powiedział ochryłym głosem. Potem nachylił się nad nią i pocałował. Jordanna zarzuciła mu ręce na szyję, żeby zaniósł ją do namiotu.

Piątego dnia mieli równie mało szczęścia jak poprzednio. Wreszcie szóstego dnia wyprawy zauważyli pierwszego muflona o rogach godnych uwagi. Byli wtedy niezbyt daleko od tego miejsca, gdzie widzieli stado młodych baranów. Ogromny muflon pasł się spokojnie na porośniętym trawą stoku. Miał potężne rogi, grube u nasady, o zakończeniach majestatycznie rozłożonych na boki. Środkowa część ślimów była zakręcona w pełny krąg. Jeden z rogów był uszkodzony podczas walk w okresie godowym, ale ten defekt w niczym nie umniejszał wartości trofeum.

— Mają ponad metr długości — wyszeptał Fletcher. Jego oczy błyszczały z podniecenia, gdy opuścił lornetkę.

— Popatrz, dokąd stał sobie zakończenia ślimów! — powiedziała cichym głosem zachwycona Jordanna.

— Dzięki temu może widzieć na boki — stwierdził

Brig, nie przestając uważnie badać przez lornetkę terenu wokół barana. — Źle stoi — orzekł.

— Tak — zgodził się Fletcher, obejrzawszy dokładnie teren. — Nawet gdyby mi się udało podejść do niego na dobry strzał, nie płosząc go żadnym hałasem, to zawsze istnieje ryzyko, że runie w dół, jeżeli go trafię.

Tuż za zwierzęciem, pomiędzy poszarpanymi skałami, otwierała się głęboka przepaść. Jordannie przemknęło przez myśl, że to góry ziewnęły i trwają tak z otwartą paszczą.

— Nawet gdyby nam się udało wydostać go potem z przepaści, to podczas upadku rogi mogłyby się połamać — zauważyła.

— Poczekajmy jeszcze. — Fletcher położył się na ziemi. — Może przesunie się w miejsce lepiej dostępne.

— Ja też chętnie bym się wygodniej usadowił — oznajmił Max, wyciągając się na ziemi.

Przez godzinę król gór raczył się smakowitą, pożywną trawą na górskim stoku. Napięcie rosło i gdy muflon oddalił się od przepaści, zapanowało niezwykle poruszenie.

— No, dalej! — popędzał go Fletcher, zniecierpliwiony widokiem wolno przesuwanego się barana. — Nareszcie jest w dobrym miejscu. Połóż się teraz, durniu!

— Właśnie to robi — stwierdził Brig. — Nie wiem tylko, czy to dobrze. Lepiej by było, gdyby się jeszcze nie zatrzymywał. Mógłbyś poruszyć się z miejsca, gdyby baran stał z opuszczoną głową. Jeżeli teraz do niego podejdziesz, na pewno cię zauważy, zwłaszcza przy tym wietrze.

Po wymienię zdań na temat najwłaściwszego sposobu osaczenia zwierzęcia, dwaj mężczyźni wyruszyli w drogę. Jordannę, Kita i Maxa zostawili na stanowisku obserwacyjnym na krawędzi skalnego zrębu.

Wybrali długą i trudną trasę. Musieli okrążyć górę i wspiąć się od drugiej strony, zboczem wiodącym na

grań górującą nad tym miejscem, gdzie ostatnio widzieli muflona. W przypadku dzikich owiec, zwierząt płochliwych i ostrożnych," stale mających się na baczności, manewr ten nie zawsze bywał skuteczny.

W godzinę po wyruszeniu Fletchera i Briga, Max odezwał się do Kita:

— Zostało jeszcze trochę kawy w termosie, który dał nam Jocko? Chętnie bym się napił.

Ciekło mu z nosa i zacierał ręce, żeby się rozgrzać.

— Sądzę, że tak.

Kit podszedł do koni, przywiązanych nie opodał, i wrócił z termosem.

— Nie wypijcie wszystkiego! — ostrzegła Jordanna.

— Tata i Brig na pewno będą jej potrzebowali, jak wrócą.

Upłynęła następna godzina, zanim wreszcie przez lornetkę dojrzeli dwóch mężczyzn wyłaniających się zza skalnej krawędzi powyżej miejsca, gdzie stał baran. Jednakże urwista ściana i piętrzące się poniżej rumowisko skalne zasłaniało im zwierzę znajdujące się w dole pod nim. Jordanna obserwowała ojca. Szukał stanowiska, z którego zwierzę wystawi się na pewny strzał.

Ale nagle szczęście się odwróciło. Czy to wiatr się zmienił, czy też muflon poczuł zapach ludzi przyniesiony jakimś podmuchem, dość że w mgnieniu oka zerwał się na równe nogi i pomknął ze stukotem racic w stronę niemal pionowej skały wznoszącej się po drugiej stronie. Sadził przed siebie i wspinał się, skacząc po skałach ze zręcznością akrobata. Teraz już ojciec nie mógł go dosięgnąć.

— Tyle czasu! — mruknął pod nosem Max. — I ani jednego strzału!

— Jeżeli ci się to nie podoba, Max — powiedział Kit cichym głosem — to nie musisz wybierać się z nami codziennie. Możesz zostać w obozie.

Max rzucił Kitowi spojrzenie mówiące wyraźnie, że

jego sugestia jest czystym absurdem. Jordanna, która siedziała obok objąwszy kolana ramionami, pomyślała, że Maxowi musi szalenie zależeć na tym, by sprzedać ojcu ten pakiet akcji, choćby wymagało to narażania się na nie wiadomo jakie niewygody i przykrości.

Dopiero tuż przed wieczorem Fletcher i Brig wrócili z nieudanego wypadu. Fletcher sprawiał wrażenie wyczerpanego i nie oponował, gdy Brig zaproponował powrót do obozowiska.

Widok muflona rozpałił entuzjizm Fletchera. Nie mógł nazajutrz doczekać się chwili, gdy znów wytropi potężnego zwierza. Przejechali wiele kilometrów i widzieli niejednego muflona o pięknych rogach, lecz Fletcher ani myślał zadowalać się zdobyczą nie dorównującą wspaniałością baranowi, którego widział poprzedniego dnia. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Minęły całe dwa dni, zanim Brig dostrzegł ogromnego muflona.

— Jesteś pewien, że to ten sam? — Jordanna leżała na ziemi wsparta na łokciach, z lornetką przy oczach.

— Ten sam — zapewnił Fletcher. — Przyjrzyj się prawemu rogowi z odłamanym końcem.

Brig z napiętą twarzą szukał wzrokiem najlepszej drogi, umożliwiającej podejście do muflona. Posłyszał, jak Fletcher zaklął przez zęby, i domyślił się, że myśliwy zobaczył to samo, co on.

— Jest tylko jeden sposób, żeby do niego podejść, tyle że zbyt niebezpieczny — stwierdził Brig.

— Poczekajmy jeszcze trochę — westchnął Max z kwaśną miną.

— Może się ruszy — mruknął Fletcher, choć najwyraźniej sam nie bardzo w to wierzył.

Brig drobiazgowo przepatrywał okolicę z lornetką

przy oczach, lecz po dokładnym zbadaniu ukształtowania terenu, nadal widział tylko jedną drogę, którą Fletcher mógł podejść do zwierzęcia na odległość strzału. Ale istotnie, była to droga nadzwyczaj niebezpieczna. Musieliby obejść rozległe skalne osuwisko rozciągające się w dole pod nimi. Porywając się na to, wiele by ryzyko? wali. Wprawdzie osuwające im się spod nóg kamyki raczej by muflona nie spłoszyły, gdyż z pewnością przywykł do odgłosu staczających się kamieni, jednakże Briga przyprawiała o dreszcz grozy przepaść, wzdłuż której musieliby się posuwać. Jeden fałszywy krok był równoznaczny z upadkiem z wysokości dwustu metrów.

Godzina. Półtorej godziny. Muflon ani drgnął. Brig zerknął na Fletchera, mając zamiar podsunąć mu myśl, żeby spróbowali innego dnia, lecz widząc malującą się w jego oczach determinację, porzucił ten zamiar. Spojrzał w stronę muflona. Patrząc na niego bez lornetki, widział tylko brunatną plamę, którą z trudem można było odróżnić od otoczenia, stanowiącego doskonały kamuflaż dla zwierzęcia.

— Nie rozumiem, dlaczego nie obejdiesz tej wysokiej skały, żeby zająć go od tyłu — podsunął Max, znużony przedłużającym się oczekiwaniem.

— To zbyt niebezpieczne — wyjaśnił Brig.

— Ja nie odnoszę takiego wrażenia. — Max wzruszył ramionami.

— A może by tak spróbować? — zaproponował Fletcher.

Brig uznał, że Fletcher wpatrując się w te ogromne rogi kompletnie postradał zmysły.

— Może z bliska okaże się, że niebezpieczeństwo nie jest aż tak duże — dorzucił Fletcher.

— To brzmi całkiem rozsądnie — poparł go Max.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to na nic się nie zda — ostro sprzeciwił się Brig, patrząc surowo na Fletchera.

— Sądzę, że Brig ma rację — wtrąciła Jordanna.

— Wkrótce zrobi się ciemno i stracimy barana z oczu. Równie dobrze możemy zbadać tę drogę z bliska — przekonywał Fletcher, po czym zerknął przez ramię na Maxa. — Pójdiesz ze mną, Max?

Brig dostrzegł wyraz osłupienia, który odmalował się na twarzy kuzyna, najwyraźniej nie spodziewającego się tego zaproszenia. Był bardzo skóry, aby zachęcać ich gorąco do działania, pod tym wszakże warunkiem, że nie będzie to wymagało od niego żadnego wysiłku. Jego niezdecydowanie wzbudziło w Brigu zgryźliwe rozbowienie. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Max przystał na propozycję Fletchera.

— Nie bądź śmieszny, Max! — Brig zakapiał ze złości widząc, jak kuzyn stara się za wszelką cenę przypodobać człowiekowi, którego chciał oskubać z pieniędzy. — Przecież nie jesteś w stanie wdrapać się na takie urwisko!

Natychmiast jednak pojął, że obrał wyjątkowo niefortunną metodę. Nie powinien był krytykować Maxa wobec Fletchera, a w dodatku podkreślać, że Sanger jest w o wiele gorszej kondycji niż znacznie starszy od niego Smith. Teraz Max będzie się starał udowodnić Brigowi, że jest w błędzie. McCord gorzko pożałował pochopnie wypowiedzianych słów.

— Nic się nie bój, Brig! — odparł z uporem Max. — Dam sobie radę.

— Przyjrzymy się z bliska temu zbocz. — Fletcher starał się zbagatelizować niebezpieczeństwo. — Jeżeli okaże się, że ryzyko jest zbyt duże, to wrócimy.

— Idę z wami — odezwał się Kit.

— Nie! — sprzeciwił się Fletcher kategorycznym, zaskakująco ostrym tonem. Zaraz jednak złagodniał, napotkawszy spojrzenie Jordanny. — Zostaniesz tu z siostrą. Trzy osoby w zupełności wystarczą. Większa grupa ludzi mogłaby tylko spłoszyć barana. Wzięłyby nas za pułk wojska.

Brig odgadł z wyrazu twarzy Kita, że miałby ochotę sprzeciwić się woli ojca, ale argumenty Fletchera były nie do odparcia. Smith kilkakrotnie powtórzył z naciskiem, że wrócą natychmiast, gdy przekonają się, że trasa jest zbyt niebezpieczna. Brigowi nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść z nimi.

Scandalous

14

Dojście do skalnego osuwiska zajęło im prawie godzinę. Brig nie szedł zbyt szybko, żeby Max mógł za nim nadążyć. Spoglądając od czasu do czasu za siebie stwierdził, że Sanger z trudem łapie oddech. Sam także czuł w płucach palący ból, ponieważ rozrzedzone powietrze sprawiało, że piesza wędrówka w tym trudnym terenie była nie lada wyczynem. Jednakże ani on, ani Fletcher nie cierpieli tak bardzo, jak Max. Pomimo to, Sanger ani razu nie poprosił ich, żeby się zatrzymali i dali mu chwilę wytchnienia. Brig podziwiał jego pełną samozaparcią brawurę, nawet jeśli był zdania, że kuzyn zachowuje się w sposób niedorzeczny i trochę szalony.

Zatrzymał się na skraju osuwiska i rzucił okiem w stronę odległego górskiego grzbietu, gdzie Jordanna z bratem czekali na ich powrót. Po chwili dołączył do niego Fletcher, a tymczasem Max zwałił się ciężko na ziemię i wsparłszy plecy o skałę, starał się uspokoić oddech. Brig bacznie wpatrywał się w groźne, najeżone pułapkami urwisko, do którego dotarli.

— To wykluczone, Fletcher.

Wsparłszy ręce na biodrach, patrzył na niebezpieczne przejście, biegnące wzdłuż krawędzi przepaści.

— Nie byłbym tego taki pewien. Spójrz tam, na to wąskie przejście. — Wskazał palcem skalną półkę. — Ten

ogromny głaz jest na tyle solidny, żeby utrzymać nawet duży ciężar, i zawsze będzie można na nim znaleźć punkt zaczepienia.

— Ale trzeba go okrążyć, przesuwać się po tym wąskim występie — zwrócił uwagę Brig. — A stąd nie możesz zobaczyć, co jest po tamtej stronie.

— Dajmy na to, że jest tam przepaść, to co z tego? Szczelina może mieć jeden krok szerokości. Sądzę, że bez trudu da się przeskoczyć.

— To samobójstwo.

Brig zmierzył Fletchera twardym wzrokiem, lecz Smith go zignorował i zwrócił się do Maxa:

— No więc jak? Idziesz ze mną?

Max odetchnął głęboko i wstał, odepchnąwszy się od skały.

— Pewnie, że idę.

Brig popatrzył osłupiałym wzrokiem na Maxa, potem na Fletchera, lecz Smith już ruszył przed siebie wąską ścieżką, biegnącą wzdłuż urwiska.

— Całkiem straciłeś rozum, Max? — Brig, zastąpiwszy mu drogę, mówił pełnym napięcia, stłumionym głosem, żeby Fletcher nie mógł go usłyszeć. — Zastanów się, przecież ledwo zipiesz! Ścięło się z nóg już po przejściu tego pierwszego odcinka. Toż to czyste szaleństwo iść za nim!

— Odsuń się, Brig. — Max udawał, że oddycha już całkiem normalnie. — Nie prosiłem o radę.

— Możliwe, ale jestem tu po to, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Nie idź tam!

Max odsunął go ręką.

— Możesz zostać, jeżeli chcesz. Ja idę za Fletcherem.

Brig spojrział na nich obu. Ze też musiał trafić na takich dwóch sakramenckich idiotów! Miał być jakoby przewodnikiem, a tymczasem nikt go nie słucha. Zaklął z bezsilnej wściekłości. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść za nimi.

Przejście pierwszych dwudziestu metrów nie nastęczyło żadnych trudności. Brig zauważył, że Fletcher posuwa się ostrożnie, pilnie badając grunt pod stopami. Przynajmniej to, że zachowuje się rozważnie i nie szarżuje, stanowiło niejaki pocieszenie. Ścieżka przechodziła w wąziutką skalną półkę dokładnie w miejscu, gdzie zaczynała biec wzdłuż otwierającej się nagle, niemal pionowej rozpadliny, urwiska o głębokości dwustu metrów. Ze względu na bezpieczeństwo Maxa Brig zachowywał spory dystans. Gdyby bowiem doszło do osunięcia się skały, człowiek łatwo mógł runąć w przepaść, pociągając za sobą tego, kto by się znalazł zbyt blisko.

Idący przodem Fletcher dotarł do ogromnego głazu i wczepiwszy się weń dłońmi, okrążył go centymetr po centymetrze. Brig i Max zwolnili i przyglądali mu się w napięciu. Rzemień przewieszzonego przez ramię sztucera zawadził o skalny występ. Fletcher zatrzymał się, żeby go odczepić. Brig poczuł pot perlący mu się na czole. Strach go jednak nie paraliżował, wręcz przeciwnie — wyostrzał zmysły, pompując adrenalinę do krążącej w żyłach krwi. Fletcher zniknął za skałą. Upłynęło kilka chwil.

— Wszystko w porządku po tej stronie — powiadomił ich cichym głosem.

— Max, jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać — szepnął Brig.

Jedyną odpowiedzią było lodowate spojrzenie. Brig poczekał, dopóki Max nie zniknie mu z oczu, a potem ruszył za nim. Poczuł się znacznie lepiej, gdy całym ciałem przywarł do skały, niż wtedy, gdy przesuwiał się po wąskiej półce zwieszającej się nad urwiskiem. Po przejściu na drugą stronę wielkiego głazu zobaczył, że Fletcher zatrzymał się i asekuje Maxa, mówiąc mu, jak ma stawiać stopy podczas przesuwania się po wąskiej krawędzi. Z tego miejsca,, gdzie stał Brig, widać było, że

występ skalny jest bardzo niepewny i ledwie się trzyma. Spływająca woda, błoto i staczające się kamienie naruszyły skalną półkę w miejscu zaczepienia. Sprawiała wrażenie chwiejnej i niebezpiecznej. Do tego właśnie punktu zbliżał się teraz Max. Jeden krok dzielił go od niebezpiecznej strefy. Brig był przekonany, że kuzyn zamierza przejść ponad tym miejscem, gdy jednak zobaczył, że Max stawia stopę dokładnie pośrodku kruchego, zwietrzałego występu, poczuł instynktownie, że chwiejna podstawa może nie wytrzymać takiego obciążenia.

— Max, nie stawaj tam!

Ostrzeżenie dotarło za późno. Max wychylił się już za daleko, by móc zmienić ustawienie stopy. Występ utrzymał ciężar jego ciała tylko przez moment, a potem runął w przepaść. Max wrzasnął rozpaczliwie usiłując chwycić się czegoś, co powstrzymałoby go od upadku.

Brig jedną ręką uczeplił się załomu skalnego i wysunął się jak tylko mógł najdalej, by drugą dłonią pochwycić słabnące ramię Maxa. Jakimś cudem udało mu się zacisnąć palce na jego nadgarstku. Z całych sił zaparł się nogami, żeby utrzymać ciężar ciała Maxa, nic jednak nie mogło przygotować go na wstrząs, który nastąpił, gdy wiszący nad przepaścią Max wczepił mu się oburącz w ramię i przebierając gorączkowo nogami, szukał oparcia dla stóp. Ale tylko grad kamieni spadał w rozpościerającą się pod nim otchłań.

— Nie puszczaj mnie, Brig! Nie pozwól mi spaść! — krzyczał ogarnięty paniką.

Brig, mając ramię obciążone osiemdziesięcioma kilogramami, w każdej chwili spodziewał się, że kołyszący się nad przepaścią ciężar wyrwie mu rękę ze stawów. B91 był nie do wytrzymania* lecz Brig, nawet gdyby chciał, nie mógłby rozluźnić uchwytu. Max, śmiertelnie przerażony, wczepił się kurczowo w jego ramię i gdyby teraz runął w przepaść, pociągnąłby Briga za sobą.

— Psiakrew, Fletcher! Gdzie jesteś, do jasnej cholery!
— Brig zacisnął zęby, w ramieniu czuł ból rozdzieranych mięśni. — Pomóż nam!

Zawrzała w nim dzika furia, gdy pomyślał o tym, że z powodu muflona Fletcher gotów był narażać ich życie — dla rogów mających ozdobić ścianę salonu.

— Nie mogę się do was dostać. — Głos Fletchera docierał z daleka i nic nie wskazywało na to, żeby się do nich przybliżał.

Palce Briga zaczynały się ześlizgiwać ze skały i lada chwila mogły stracić oparcie. Walczył ze wszystkich sił, by utrzymać ciężar, wciągający go w rozdziawioną paszczę gór. W głowie kołatała mu tylko jedna, obsesyjna myśl: Jordanna nie spuszcza z nich oczu. Nie chciał, żeby oglądała ich śmierć. Wtem nacisk na ramię zelżał. Max znalazł w skale jakieś miejsce, o które mógł oprzeć stopę. Co za ulga! Wsparłszy jedną nogę, szukał oparcia dla drugiej. Zapanował nad paniką, choć nadal z przepaści dobywał się jego rzeźący oddech. Wreszcie udało mu się znaleźć na ścianie występ na tyle solidny, żeby móc wbić weń kolano. Brig, zebrawszy wszystkie siły, wyciągnął go na skraj urwiska. Ociekając potem i spazmatycznie chwytając powietrze Brig oparł się o skałę. Rozdygotany Max siedział na krawędzi przepaści. Zamknął oczy, żeby nie patrzeć w otchłania. Brig miał ramię całkiem zeszywfliałe. Nie był pewien, czy je w ogóle jeszcze ma. Odczekał, aż oddech nieco mu się uspokoi, i spojrzął na Maxa.

— No,-Max; schodzimy z tej półki!

Max był blady jak prześcieradło, wyglądał tak, jakby za chwilę miał zwymiotować. Przełknął ślinę i niezdarnie dźwignął się na nogi, czepiając się skały. Centymetr po centymetrze Brig wycofywał się, okrążając ogromny głaz, a potem, posuwając się jak lunatyk, przeszedł po wąskiej półce. Gdy dotarł do miejsca, gdzie karkołomnie wąska półka skalna rozszerzała się i zbocze stawało się w miarę

łagodne i bezpieczne, przystanął, żeby rozmasować obo-
łałe ramię. Max osunął się ciężko na ziemię tuż obok
Briga.

— Ja... — Podniósł wzrok na człowieka, który przed
chwilą uratował mu życie. Po raz pierwszy zdarzyło się,
że nie umiał znaleźć słów. — Dziękuję, Brig.

Brig powinien go zwymyślać za to, że zaryzykował
w tak nierozważny sposób. Ten wybryk mógł za sobą
pociągnąć opłakane skutki. Ignorancja i brak doświad-
czenia niejednego już wyprawiły na tamten świat. Brig
wiedział, że Max zastanowiłby się dwa razy, zanim by
się zapuścił w ciemną uliczkę, ale przeprawę przez to
urwisko podjął bez jakichkolwiek podejrzeń, na jakie
waży się ryzyko. Niewiele brakowało, a obaj by zginęli.

Łoskot osuwających się kamieni obwieścił nadejście
Fletchera. Zatroskanym wzrokiem przyjrzał się Ma-
xowi, a potem popatrzył na Briga. McCord poczuł,
jak wzbiera w nim furia. Zacisnął pięść. Wszystko
z powodu tych przeklętych rogów! Ze szczerą satsys-
fakcją obiłby mu głowę.

— Obaj cali i zdrowi? — spytał Fletcher.

— No, a jakże! — warknął Brig. — Tyle że nie dzięki
tobie!

— Nic nie mogłem zrobić. — Fletcher widocznie
uznał, że został zgromiony za to, że nie przyszedł im
z pomocą, nie zaś za sprowokowanie tego niebezpieczne-
go zajścia. — Kiedy zwała się ta półka i wszystko dokoła
zaczęło się osuwać, nie mogłem się już do was dostać.

To mogło nawet być zgodne z prawdą. Brig był zbyt
zajęty, żeby zaobserwować, w którym miejscu zbrocza
znajduje się Fletcher. Całkiem możliwe, że nie znalazł
żadnego sposobu, by do nich dotrzeć, nie powodując
obsunięcia się skały i upadku ich wszystkich w przepaść.
Brig jednak podejrzewał, że Fletcher był raczej zajęty
ratowaniem własnej skóry i ani myślał śpieszyć im
z pomocą.

— Cała ta akcja była ryzykowna, niepotrzebna i głupia. - Brig postanowił przypomnieć, kto był autorem tego pomysłu. — Powinieneś być ostrzec Maxa, że skała może się oberwać, zanim postawił tam nogę.

— Hm... Myślałem, że on to widzi.

Fletcher zdawał sobie sprawę, jak słabo i nieprzekonująco zabrzmiały jego wyjaśnienia.

-- Wolne żarty, Fletcher! Wiesz równie dobrze jak ja, że Max nie ma zielonego pojęcia o niebezpieczeństwach wspinaczki w tak trudnym terenie.

Fletcher, próbując zrzucić z siebie winę, zmienił nagle front.

— To ty jesteś przewodnikiem i powinieneś iść pierwszy, a nie ja.

— Uprzedzałem cię, że to samobójstwo zapuszczać się w takie osuwisko. Ale nie chciałeś mnie słuchać — odpalił z miejsca Brig.

— Gdyby on nie szedł na końcu, już bym nie żył — stwierdził Max, głosem łamiącym się jeszcze z emocji.

Fletcher uśmiechnął się do niego.

— Zapewniam cię, Max, że nie zapominam o tym. Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu tego incydentu. Ale mamy to już za sobą i na nic się nie zda prawienie morałów po fakcie.

— Łatwo ci mówić, ale faktem jest przede wszystkim to, że mieliśmy cholerne szczęście! — wycodził Brig przez zęby.

— Ten baran już pewnie przeszedł na drugą stronę przełęczy — powiedział Fletcher, zerknąwszy w stronę zbocza.

Do pioruna! — zaklął w duchu Brig. On ciągle myśli o tym przeklętym baranie! Fletcher był egocentrykiem, nigdy zbyt długo nie zaprzętał sobie głowy innymi. Nawet nie dopuszczał myśli, że ktoś mógłby wejść mu w drogę. Był tylko jeden sposób, by mu wyperswadować pomysł zapuszczenia się w tak niebezpieczny teren:

użycie fizycznej przemocy. Im lepiej Brig go poznawał, tym bardziej nabierał przekonania, że trzeba się mieć na baczności przed tym człowiekiem.

Ramię dopiero teraz zaczynało go dotkliwie boleć, ale Brig wolał już ból od paraliżującego odrętwienia. Spojrzał na Maxa, żeby sprawdzić, czy już do siebie doszedł. Nadal na jego twarzy malował się przeżyty wstrząs, ale wyglądało na to, że powoli odzyskuje władzę w nogach i panowanie nad sobą.

— Lepiej już wracajmy — zarządził Brig.

Chwycił kuzyna pod pachę i pomógł mu podźwignąć się na nogi. Tym razem wspinali się łatwiejszą i prostszą drogą, nie musieli już ukrywać się przed muflonem. Ani Brig, ani Fletcher nie robili żadnych uwag pod adresem podartych spodni Maxa.

W połowie drogi spotkali Jordannę i Kita, którzy wyszli im naprzeciw. W oczach dziewczyny bez trudu można było dostrzec rozterkę i przerażenie. Brig, który przed chwilą otarł się o śmierć, zapragnął teraz przytulić Jordannę mocno do siebie, lecz zerknąwszy na surową, ponurą twarz Fletchera, powstrzymał się od tego odruchu. Intrygował go ten człowiek. Jego milczenie mogło na pozór sugerować, że aprobejuje związek córki z McCordem, ale Brig odnosił niejasne wrażenie, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

Jordanna stanęła tuż przy nim. Dzieliły ich zaledwie centymetry. Natychmiast zauważyła nienaturalny sposób, w jaki trzymał ramię. Dotknęła go z wahaniem, jakby zdawała sobie sprawę, że dotyk może łatwo przerodzić się w namiętny uścisk.

— Jesteś ranny? — s p y t a ł a . ,

— To nic poważnego.

— Ja... martwiłam się o ciebie — wyznała z wahaniem i zakłopotana zerknęła na ojca. — Nie powinniście byli tego robić. Mogliście się zabić.

— Dlaczego to zrobiliście? — spytał Kit wpatrując się

natarczywie w Ojca. — Obiecywałeś, że nie będziecie niepotrzebnie ryzykować.

— Myślałem, że nam się uda — odparł Fletcher z irytacją. — Mnie się udało.

— Ale Maxowi nie — stwierdził Kit oskarżycielskim tonem. — Niewiele brakowało, a zginąłby przez ciebie.

— No, ale nie zginął — zniecierpliwiał się Fletcher. — Co się stało, to się nie odstanie i nie ma sensu rozwodzić się nad tym w nieskończoność.

— Może właśnie jest sens, chociażby po to, żeby zapobiec w przyszłości takim wypadkom — mruknął Kit tonem, w którym pobrzmiwały nuty wyzwania. Spojrzał na ojca lodowatym wzrokiem, potem zwrócił się do Maxa: — Dobrze się czujesz?

— Tak, naprawdę nie ma powodów do irytacji — powiedział Max. — Odtąd twój ojciec będzie mógł sam osaczać swoją zwierzynę, bo ja na pewno nigdzie się nie ruszę z konia.

— Najwyższy czas wracać do koni — ponaglił ich Brig.

Po długiej i trudnej wspinaczce do miejsca, w którym zostawili wierzchowce, poczuli prawdziwą ulgę, mogąc nareszcie się wygodnie w siodle i pozwolić odpocząć obolałym nogom. Gdy zbliżali się do obozowiska, koń Briga puścił się kłusem, co wywołało grymas bólu na twarzy jeźdźca, któremu ramię zaczynało dolegać coraz bardziej. Dotarli wreszcie na miejsce i zeskoczyli z koni. Wyszedł im na spotkanie Tandy Barnes. Natychmiast, z właściwą sobie bystrością, dostrzegł, że coś jest nie w porządku z ramieniem Briga.

— Co ci się stało?

Zwięźle, nie wdając się w szczegóły, Brig wyjaśnił mu, co zaszło. Przedstawił incydent jako następstwo normalnego ryzyka, grożącego w górach w każdej chwili, i nie wyjawiał faktu, że wypadek był rezultatem lekkomyślnej decyzji Fletchera.

— Jocko i ja zajmiemy się końmi, a ty idź zaraz do namiotu i napij się gorącej kawy — poradził Tandy. — Jak tylko uporam się z końmi, to czym prędzej przyjdę i obejrzę dokładnie twoje ramię.

Brig czuł tak dotkliwy ból, że nawet nie protestował. W dużym, dobrze ogrzanym namiocie, Brig rozebrał się do pasa i poddał bolesnym oględzinom. Jordanna krążyła wokół stołu i z uwagą przypatrywała się, jak zręczne i biegłe palce Tandy'ego dotykają delikatnie ramienia Briga.

— Masz szczęście, nie jest wywichnięte. Każdy zwykły facet miałby wyrwane ramię — mruknął pod nosem kowboj.

— Naciągnąłem sobie kilka mięśni, ot i wszystko. — Brig skrzywił się i spróbował wyswobodzić spod palców Tandy'ego, naciskających skrupulatnie i z wyczuwaniem, choć nie bezboleśnie, i tak już obolałe ramię.

— No jasne, ma się rozumieć... naciągnąłeś sobie tylko kilka mięśni, ot i wszystko... i jeszcze tylko ociupinkę pozrywałś sobie ścięgna, zwichnąłeś to i owo i diabli wiedzą, co jeszcze... Warto by to ramię zbandażować, żeby mięśnie mogły sobie krzynekę odpocząć. Jocko, kopnij no się po...

— *Si*, po bandażu.

Jocko w lot domyślił się, o co chodzi. Otworzył podręczną apteczkę, wyjął szeroki bandaż elastyczny i podał Tandy'emu, który przystąpił do bandażowania ramienia. Nie wykazywał się przy tym nadzwyczajną subtelnością i szło mu to trochę niesporo.

— Gdybyś był koniem, to bym lepiej wiedział, jak się mam za to zabrać — wymamrotał już na początku tej skomplikowanej operacji.

— Może ja to zrobię.

Jordanna wyjęła bandaż z rąk kowboja.

— Jesteś pewna, że się na tym znasz? — zaburczał Brig z miną zrzędy.

— Przez parę tygodni chodziłam na kursy — za-replikowała spokojnie. — Nigdy nie wiadomo, czy takie robótki ręczne nie okażą się przydatne podczas polowania.

Jej ręce okazały się delikatne i sprawne. Pochyliła się nad nim w skupieniu. Światło latarni wydobywało z jej ciemnych włosów rude błyski. Tuż przy twarzy widział jej lśniące pukle i czuł znajomy zapach, który kojarzył mu się z koniem, skórą i czystością.

Pomimo spartańskich warunków obozowego życia, świetnie dawała sobie radę, myjąc się regularnie ręcznikiem w swoim małym namiocie. Wodę podgrzewała w czajniku. Nieraz widział jej sylwetkę, zarysowującą się na płachcie namiotu. Wprawdzie nie był to wcale z jej strony akt prowokacji pod jego adresem, ale efekt był dokładnie taki sam — linie jej ciała pobudzały wyobraźnię Briga i rozpałały jego namiętność.

Ramię było już porządnie opatrzonej Jordanna związała resztki bandaża.

— No i jak, dobrze? — spytała.

— Świetnie.

Z wyrazu jego oczu odgadła, że w tej chwili był jak najdalszy od zaprzątania sobie głowy dolegliwościami okaleczonego-ramienia. Trocheja to speszyło. Nie chciała manifestować swoich uczuć w obecności Tandy'ego i Jocko. Sięgnęła po leżące na ławie ubrania Briga.

— Pomogę ci to założyć — zaproponowała.

- Widzę, Brig, że jesteś w dobrych rękach — stwierdził Tandy i skierował się w stronę wyjścia z namiotu.

— Pójdę po drewno na podpałkę. Mówiłeś, Jocko, że ci potrzebne.

— Idę z tobą. Muszę nanosić wody ze strumienia, żeby nagrzała się do mycia. — Jocko też znalazł wymówkę, żeby Jordanna i Brig mogli zostać sami.

Kiedy Jordanna wróciła do niego niosąc koszulę, przesunął dłonią po jej udzie i przyciągnął do siebie za

biodra. Wtulił twarz w zagłębienie pomiędzy piersiami dziewczyny. Ubrania przeszkadzały mu w dotknięciu wargami jej nagiej skóry. Usłyszał kojące bicie serca. Nacisnął łagodnie jej biodra, a gdy osunęła się na kolana, dotknął ustami warg. Pocałował ją niecierpliwie i namiętnie.

— Dzisiaj... — zaczęła po dłuższej chwili.

— Nie będę mówić o tym, co się dziś po południu wydarzyło. — Nie chciał rozpamiętywać tamtych chwil, gdy myślał właśnie o niej, wyobrażając sobie, że jest bliski śmierci. Podniósł ją z kolan. — Pomóż mi założyć podkoszulek.

Jednak już przy zakładaniu koszuli flanelowej odrzucił pomoc Jordanny. Zrobił to sam, z wyraźnym trudem, bóg każdy ruch zabandażowanym ramieniem wywoływał ostry ból. Musi upłynąć jeszcze wiele dni, zanim będzie mógł poruszać ręką swobodnie i bez bólu.

— Napijesz się kawy?

Jordanna stała przy kuchni i nalewała sobie kawę do kubka.

— Nie.

Jordanna odstawiła kubek i założyła na siebie ciepłą kurtkę.

— Wyjdę na chwilę.

Brig nie próbował jej zatrzymywać, gdy wychodziła z namiotu.

Max siedział samotnie przy ognisku. Tandy wracał z naręczem drewna na opał, a Jocko szedł od strony strumienia, taszcząc wiadro wody. Jordanna rozglądała się wokół, wypatrując ojca i Kita. Popijając gorącą kawę, zbliżyła się do ogniska.

— Gdzie są Kit i tata? — spytała.

Max patrzył na nią pustym, nieprzytomnym wzrokiem.

— Nie wiem - odrzekł, wrzuszony ramionami.

— Poszli się gdzieś przejść, ale nie wiem dokąd, nie zwracałem uwagi.

— Widziałem ich przy strumieniu — odezwał się Jocko.

Jordanna stała jeszcze chwilę przy ognisku, a potem ruszyła powoli w stronę strumienia. W miarę jak się do niego zbliżała, szum wody stawał się coraz głośniejszy. Rwące wody przedzierały się wartko po skalistym podłożu, polerując napotkane po drodze kamienie i rozbijając się z hukiem o poszarpane przybrzeżne skały. Wzburzona struga lodowatej, przejrzystej wody wiła się wśród gór jak srebrzysty wąż.

Zwolniła kroku, posłyszawszy nagle przepełniony wściekłością, podniesiony głos. Usiłowała zorientować się, skąd dobiega. Wreszcie, w niewielkiej odległości od miejsca, w którym stała, spostrzegła ojca i Kita, zawzięcie się o coś spierających. Choć szum wody zagłuszał ich słowa, Jordannie wystarczył sam widok rozgrywającej się tam sceny. Jeszcze nigdy nie widziała ojca ogarniętego taką furją. Słowa Kita najwyraźniej dolewały tylko oliwy do ognia.

Nagle ojciec zamachnął się i wierzchem dłoni uderzył Kita w twarz z taką siłą, że zwałił go na ziemię. Ogarnięta grozą Jordanna rzuciła się pędem w ich stronę. Nie czekając, aż syn podniesie się z ziemi, Fletcher zawrócił do obozowiska. Kit dźwignął się na nogi, pocierając szczękę. Unikał wzroku siostry.

— Wszystko w porządku? — spytała z niepokojem.

— Tak — odrzekł, ostrożnie dotykając ręką obitego policzka.

— Dlaczego cię uderzył? O co się pokłóciliście?

Jordanna nie potrafiła sobie wyobrazić, co takiego Kit mógł powiedzieć, żeby doprowadzić ojca do wybuchu aż tak niepohamowanej furii.

Kit zawahał się, przez chwilę patrzył siostrze w oczy, wytrzymując jej badawcze spojrzenie, po czym odwrócił się i rzucił niedbale:

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

- Co to ma znaczyć?
- Zapomnij o tym, Jordanno.

Zrozumiała, że wszelkie nalegania są bezcelowe, ponieważ Kit nie ma najmniejszego zamiaru mówić.

Posłyszawszy, że ktoś odchyła skrzydło namiotu, Brig odwrócił się z niejaką nadzieją, że to wraca Jordanna, ale ujrzał tyłko wchodzącego Jocko. Rozczarowanie, które odmalowało się na twarzy Briga, nie uszło uwagi baskijskiego pasterza.

— Poszła nad strumień, do ojca i brata — poinformował go Jocko.

— Pytałem cię o coś? — warknął Brig. Czyżby jego przeżycia były aż tak łatwe do rozszyfrowania?

— Jasne, o nic mnie nie pytałeś — przyznał Jocko, uśmiechając się pod wąsem.

Brig poszedł do kuchni i nalał sobie kubek kawy, czarnej i mocnej — takiej, jaką lubił. Przypomniawszy sobie, że niedawno odrzucił pomoc Jordanny, gdy zaproponowała, że przyniesie mu kawę. Wziął kubek i usiadł na ławie przy stole z jasnego drewna.

— Czy uważnie jej się ostatnio przyjrzałeś? — odezwał się Jocko, który napełniał przy kuchni swój kubek.

— Komu? Jordannie?

— *Si*, Jordannie. — Bask był szczerze rozbawiony widząc, jak Brig próbuje udawać, że nie wie, o co chodzi.

— No więc, co z nią?

Brig, czując narastające wzburzenie, siedział z ponurym, nieruchomym wzrokiem, pogrążony w kontemplacji kubka z kawą.

— Będzie już tydzień, jak jesteśmy w górach, a ona nic a nic się nie zmieniła. Jeżeli już, to chyba tylko przez to, że jeszcze bardziej wypiękniała.

— No, oczywiście. Jako jedyna kobieta, na której

można oprzeć oko, musi się wydawać coraz to piękniejsza — zbył go Brig, chcąc uciąć tę dyskusję.

— Nie, nie zrozumiałeś mnie -- odparł Jocko łagodnym tonem, jakby strofował dziecko. — Chodzi o to, że w tych ciężkich warunkach ona rozkwita jak kwiat. Życie w górach dodaje jej sił. Sama potrafi osiodłać konia, upolować zwierzę, ugotować sobie strawę, uprać ubranie i opatrzyć ranę. Nie boi się życia na odludziu i nie tęskni za miejskimi wygodami ani miękkimi, puchowymi piernatami.

- No więc?

Wyliczanie wszystkich jej zalet nie było wcale konieczne. Zdawał sobie z nich sprawę bez pomocy Jocko. Podziwiał ją za to wszystko. Jej odwaga, siła, z jaką stawiała czoło przeciwnościom losu, namiętność i oddanie w miłości, czyniły z niej kobietę idealną. Taka właśnie była Jordanna i nie było potrzeby o tym przypominać.

— To wyjątkowa kobieta — ciągnął Jocko z przekonaniem. — Jest jak żony pionierów, które wraz z dziećmi przybyły na Zachód, żeby, pracując u boku swoich mężów, budować nowe życie.

— Zapomniałeś, Jocko, o rzeczy najważniejszej... o sercu. — Co za diabeł podkusił go, żeby to powiedzieć?

— A ty myślisz, że twoja kobieta go nie ma? — zareplikował Jocko, rzuciwszy Brigowi rozbawione spojrzenie.

— Tego nie powiedziałem — odparł.

Wstał od stołu w chwili, gdy Jocko zamierzał obok niego usiąść.

— Nie? — spytał Jocko drwiącym, sceptycznym tonem.

- Nie.:

Nieco niepewnie zabrzmiało jego stanowcze na pozór zaprzeczenie, ponieważ dręczyła go jakaś niejasna, niepokojąca wątpliwość. Wolał tego jednak nie roztrząsać,

— Wiem, że ona znaczy dla ciebie więcej niż jakakolwiek inna kobieta. Czy ty aby nie boisz się przyznać, jak bardzo ci na niej zależy? — Jocko przypatrywał się Brigowi wzrokiem pełnym współczucia.

— Ogrzewa mój śpiwór podczas zimnych nocy w górach, bandażuje mi ramię, razem jeździmy konno. Tak, na pewno mi na niej zależy — przyznał niechętnie Brig. — Ale jesteśmy tutaj po to, żeby polować na muflony, i nie wolno nam o tym zapominać. Jej ojcu bardzo zależy na tym trofeum.

Do tego stopnia, że dziś po południu Max omal nie zginął z tego powodu i omal nie pociągnął za sobą Briga.

— A co to ma wspólnego z Jordanną? Zdaje mi się, że ty niepotrzebnie wszystko gmatwasz. — Jocko potrząsnął głową z dezaprobatą.

— Tak ci się wydaje, bo jesteś pasterzem i wszystko jest dla ciebie proste. Nawet nie wiesz, do jakiego stopnia ludzie bogaci potrafią się okazać fałszywi, samolubni i pozbawieni skrupułów, żeby dostać to, na czym im zależy. To świat kojotów, Jocko! Tak się składa, że wiem coś o tym. Żyłem wśród tych ludzi. Samotny kojot atakuje tylko słabsze od siebie ofiary — małe jagnię czy ranne zwierzę. Ale doskonale wiesz, Jocko, do czego one są zdolne, kiedy atakują całą watahą. Mogą wówczas zabić nawet wielkiego łośia. - Brig rzucił okiem w stronę wejścia do namiotu.

— Kto wie, czy tam, na zewnątrz, zgraja czterech kojotów nie urządza sobie polowania. I mam takie niemiłe uczucie, że we własnym interesie powinniśmy się mieć na baczności.

— Wydarzyło się dzisiaj coś takiego, o czym wolałeś mi nie mówić — domyślił się Jocko.

— Zapamiętaj sobie to, co ci przed chwilą powiedziałem.

Brig wypił potężny łyk kawy, zarzucił na ramiona kurtkę z owczej skóry i skierował się ku ognisku.

Nazajutrz Max postanowił zostać w obozowisku z Jocko i Tandym. Przeżycia poprzedniego dnia były jeszcze zbyt żywe w jego pamięci. Brig nie mógł mieć mi tego za złe, ale Max dostrzegł pogardliwy błysk w oczach Fletchera.

Niczego zresztą nie stracił, pozostając w obozie. Był to bowiem jeden z tych dni, kiedy cierpliwość myśliwych zostaje poddana wyjątkowej próbie. Jordanna upatrzyła sobie barana wśród samotnych samców. Nie miał wprawdzie rogów tak imponujących jak muflon wybrany przez ojca, ale i tak przekraczały rozmiarami wszystkie te, które dotychczas widzieli. Udało im się podejść do zwierzęcia bardzo blisko, w ostatniej jednak chwili baran umknął. Chybiła do niego za pierwszym razem, a nie miała już czasu, by wystrzelić po raz drugi. Potem parokrotnie udało im się wypatrzeć muflona, którego tropił Fletcher, ale ten również okazał się nieosiągalny, ponieważ ani na chwilę nie zatrzymywał się w miejscu, nieustannie wspinając się po skałach i wędrując po górach. Za każdym więc razem ich przewidywania co do miejsca, w którym spodziewali się go znaleźć, okazywały się fałszywe. Tym razem to Fletcher, rozczarowany i zniechęcony, zarządził powrót do obozowiska przed zachodem słońca.

Swój zły humor i rozczarowanie wyładował na Maxie. Po kolacji wszyscy rozsiedli się wokół ogniska. Fletcher próbował ustalić, dokąd mają się udać nazajutrz, by mieć jak największą szansę wytropienia muflona. Ponieważ jednak nigdy nie widzieli go dwukrotnie w tym samym miejscu, Brig wolał powstrzymać się od snucia czczych domysłów, co wywołało niezadowolenie Fletchera.

Odwrócił się do Maxa i otwarcie go zaatakował.

— No, a ty? — rzucił pogardliwym tonem. — Wybierasz się jutro z nami, czy znów masz zamiar zostać w obozowisku?

Max zbladł, ale zdobył się na udzielenie spokojnej, pozornie obojętnej odpowiedzi.

--Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

— Skoro zbrzydły ci nasze wyprawy to lepiej będzie, jeżeli zostaniesz tutaj — powiedział Fletcher takim tonem, jakby był przekonany, że Max z pewnością tak nie postąpi.

— Jak już o tym mowa - wtrącił Kit — to właśnie zastanawiam się, czy by także nie zostać jutro w obozowisku. A jeśli chodzi o ciebie, Max, to myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś od czasu do czasu nieco wypoczął. Przecież my, w odróżnieniu od taty, nie przyjechaliśmy tutaj, żeby upolować zwierzę, i nie ma powodu, abyśmy brali udział we wszystkich wyprawach w góry.

— To prawda — zgodził się ochoczo Max. — Ale nigdy nie wiadomo, zupełnie możliwe, że jutro będę w dobrej formie, i wybiorę się razem z innymi.

— Rób, jak chcesz — rzekł Fletcher, który, wsparłszy się o pień drzewa, palił fajkę. — Wiesz, Max, pomyślałem sobie ó twoich akcjach. Gdybym zdecydował się kupić je od ciebie, to jak wyobrażasz sobie naszą transakcję?

Ledwie Fletcher zarzucił przynętę, Max natychmiast połknął haczyk. Obaj mężczyźni pograżyli się w nie kończącej się dyskusji o prawnych i finansowych szczegółach ewentualnej umowy, co zajęło ich już do końca wieczoru. Tuż przed pójściem spać Max napomknął, że swą rozmowę podejmą nazajutrz rano, co oznaczało, że postanowił z nimi pojechać.

Brig nie żywił żadnych złudzeń co do natury swego kuzyna. Jego zachłanność znacznie przewyższała strach. Podjąłby, każde ryzyko, byleby tylko wydebić pieniądze od Fletchera. Właśnie tego dowiódł. Brig, masując obolałe ramię, skierował się ku małemu namiotowi.

15

Izabelowaty zgubił podkowę — obwieścił Tandy.
— Brig, będziesz musiał dzisiaj wziąć Muła.

— Muł? Cóż za obelżywe imię dla konia! — zawołała Jordanna z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Ciesz się, że nie musisz dosiąść tego upartego bydlęcia, twardego w pysku jak skała! — odrzekł Brig uśmiechając się nieznacznie.

— Jak tam dzisiaj twoje ramię? — spytał Tandy i aż stęknął z wysiłku, z całych sił dociągając popręg przy siodle; — Może wolałbyś, żebym trochę poluzował?

Brig zawahał się, a potem kiwnął głową.

— Chyba masz rację. Jeżeli zrzuci mnie na ziemię, to nie tylko będę potłuczony, ale i podle sponiewierany.

Przytrzymał konia za uzdę i Tandy wskoczył na siodło. Wszyscy, a wśród nich Jordanna, cofnęli się o krok, patrząc, co się teraz będzie działo. Tandy nacisnął kapelusz na głowę i wygodnie usadowił się w siodle. Gdy tylko Brig puścił uzdę, gniady koń dał niezwykle pokaz swych możliwości. Po zademonstrowaniu błyskotliwej serii wierzgnięć i karkołomnych skoków z grzbietem wygiętym ku górze, widząca że na nic się to nie zda, uspokoił się i parszając przeszedł do kłusa.

— Robi to za każdym razem? — spytała Jordanna z uśmiechem.

— I to niezależnie od tego, czy ma na grzbiecie jeźdźca, czy juki — potwierdził Brig.

Tandy podjechał do nich stępa i zsiadłszy z konia, podał wodze Brigowi. Jordanna nie dosiadła jeszcze swojego konia i przez chwilę pozostała przy Brigu. Nigdy dotychczas nie przyglądała się, jak on wskakuje na siodło. Zrobił to jednym, płynnym i zręcznym ruchem. Kiedy siedział już w siodle, Jordanna również włożyła nogę w strzemień, zauważyła jednak, że popręg nie jest dość mocno dociągnięty. Tandy widząc, że Jordanna zabiera się do regulowania popręgu, podszedł do niej natychmiast.

— Ja to zrobię — zaproponował. — Dandy zawsze się nadyma przy spinaniu go popręgiem i ciągle trzeba potem poprawiać.

— Coś jest nie w porządku z moim koniem — oznajmił Max. — Nie chce ruszyć z miejsca.

Rzeczywiście, choć Max z całych sił naciskał piętami boki swego wierzchowca, srokacz ani drgnął. Stał nieruchomo jak posąg, obojętny na wszelkie perswazje jeźdźca.

— Może popręg za mocno go ściska — podsunął Tandy. — Zaraz przyjdę.

— Zajmę się tym, Tandy — odezwał się Fletcher zeskakując z konia. Podszedł do srokacza i spojrział na Maxa. — Będziesz musiał zsiąść.

— Aha, nie wiedziałem!

Fletcher przesunął naciąg popręgu o jedną dziurkę i umieścił siodło dokładnie pośrodku końskiego grzbietu. Cofnął się o krok i powiedział:

— Gotowe, spróbuj teraz.

Max wsiadł, kopnął konia piętą i stwierdził:

— Nadal nie chce ruszyć.

Tandy dał kasztanowi Jordanny kuksańca w brzuch i nareszcie mógł dociągnąć popręg.

— Pewnie zrobiła się fałda na derce pod siodłem.

Przy tym srokaczu trzeba szczególnie zwracać na to uwagę. Nie ruszy się, jeżeli z jego uprzężą cokolwiek jest nie w porządku. Kiedy go kupiliśmy, miał kłopoty z grzbietem. Przypuszczam, że dobrze to sobie zapamiętał i postanowił, że już nigdy się to nie powtórzy.

Max ponownie zsiadł z konia i Fletcher rozpiął popręg. Zajrzał pod siodło i wyrównał derkę.- Nagle zatrzymał się na moment.

— Chyba znalazłem, Tandy! — wykrzyknął.— Rze-
czywiście była fałdka.

— Pewnie to właśnie to.

Max wspiął się na siodło i tym razem koń ruszył przed siebie.

— No popatrz, Max, jakie to mądre zwierzę! — zauważył Fletcher, idąc w stronę swojego konia.

Kilka minut później wszyscy już siedzieli w siodłach i Brig dał sygnał do wyjazdu. Jechał na czele, a Jordanna tuż za nim, na swoim zwykłym miejscu — tak się już utarło. Lubiła widzieć przed sobą jego szerokie ramiona. Nie bała się niczego, a jednak, choć trudno by jej było to wyjaśnić, jego obecność dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Program dnia przewidywał, że mają wrócić w to miejsce, gdzie zauważyli ogromnego muflona po raz pierwszy. Znajdowało się ono w niewielkiej odległości od obozowiska. Potem mogliby objechać inne miejsca, gdzie istniała szansa albo odnalezienia muflona, którego tropił Fletcher, albo wyszukania jakiegoś innego — dla Jordanny.

Obejrzała się za siebie. Tuż za nią jechał Max, potem ojciec i na końcu Kit, który zdecydował się pojechać z nimi, gdy tylko uświadomił sobie, że Max nie zostanie w obozowisku. Nie wiedział, oczywiście, w odróżnieniu od Jordanny, że ojciec nie jest już usposobiony tak zgryźliwie i agresywnie. Jeśli wyładowywał zły humor na Maxie, wynikało to wyłącznie z rozczarowania spowo-

dowanego tym, że nieuchwytny baran znów mu się wymknął.

Przypomniała sobie wtedy gwałtowne starcie, do którego doszło w jej obecności pomiędzy ojcem i Kitem. Miała nadzieję, że ta wyprawa zbliży ich do siebie, a tymczasem ich wzajemne stosunki były coraz bardziej napięte. Dlaczego? Nie potrafiła znaleźć przyczyny.

Pograżona w myślach Jordanna nie zauważyła, że Brig się zatrzymał. Jej koń sam zatrzymał się obok srokacza. Spojrzała na Briga, który przez lornetkę wpatrywał się w dolinę rozciągającą się poniżej.

— Co to jest?

— Niedźwiedź brunatny. — Brig opuścił na chwilę lornetkę. — Niedaleko tej kępy drzew. Widzisz go?

Jordanna skierowała lornetkę we wskazanym przez Briga kierunku. Niedźwiedź znajdował się w sporej odległości od nich. Najpierw dostrzegła tylko brunatną plamę. Wyregulowała lornetkę. Z tej odległości niedźwiedź wydawał się mniejszy i ciemniejszy niż w rzeczywistości, nie większy od szczególnie wyrosniętego labradora. Kroczył niespiesznie, kołysząc się na boki, i wkrótce zniknął wśród drzew.

— W tych górach jest za dużo zwierzyny — orzekła Jordanna* odwracając się do Briga, a widząc zadrapanie na jego policzku, uśmiechnęła się figlarnie.

— Dlaczego się śmiejesz? — spytał zbity nieco z tropu Brig.

— Myślę o katuszach, które sobie zadałeś, gołąc się dziś rano, zanim przyszedłem, żeby ci pomóc ^- powiedziała z lekką drwiną w głosie.

Brig uśmiechnął się przelotnie.

— Przerażenie mnie ogarnia, kiedy pomyślę, na jakie ryzyko bym się naraził, powierzając ci moje gardło — mruknął.

Cmoknął na konia i ruszyli w dalszą drogę. Jordanna podążała za nim ni to rozbawiona, ni zaintrygowana

i nieco zaniepokojona. Słowa Briga zabrzmiały nieomal poważnie.

Droga aż do samego szczytu wiła się stromą serpentiną wśród drzew, Konie z trudem wspinały się po spadzistym zboczu. Jordanna puściła wodze swojego konia, zdając sobie sprawę, że nawykłe do górskich warunków zwierzę samo najlepiej da sobie radę.

Przez cały ranek nie zauważyli ani jednego muflona. Około południa ułożyli się na ziemi na krawędzi zbocza, obserwując okolicę przez lornetki. Teren sprawiał wrażenie typowego siedliska muflonów: górskie jezioro, bujna trawa i strome skały. Nie dostrzegli jednak dotychczas ani jednego muflona.

— Spójrz, tam! Na samym brzegu łąki!— wykrzyknął Fletcher, wpatrując się w podnóże stoku,

— Widzę — odrzekła Jordanna, spostrzegłszy trzy barany bardzo wolno przesuujące się po łące. — Jeden z nich wygląda na dużego.

— Z tej odległości trudno to ocenić. Są za daleko, żebym mógł się zorientować, czy to ten z uszkodzonym rogiem.

— Podjedźmy bliżej — zaproponował Brig. — Możemy się do nich przybliżyć posuwając się tuż pod granią w prawo. Będziemy wtedy jechać pod wiatr. — Spojrzał przez lornetkę. — Z tamtego miejsca podejście do nich na odległość strzału nie powinno być trudne.

Wsiedli na konie i pojechali wzdłuż grzbietu zbocza, dobrze ukryci przed muflonami. W miejscu wskazanym przez Briga zatrzymali się i posuwając się ną ukos, ostrożnie wspięli się na grań. Trzy muflony nadal tam były i pasły się niedaleko miejsca, gdzie spostrzegli je po raz pierwszy. Nie było wśród nich barana ze złamanym rogiem, lecz największy z tej trójki był niemal równie piękny. Jordanna długo przyglądała mu się przez lunetę, potem wręczyła ją ojcu.

— Piękne zwierzę — przyznał, — Chcesz spróbować?

- Tak.

Przyciszonym głosem omówili różne możliwości podejścia do muflona na odległość strzału, uwzględniając widoczność i kierunek wiatru. Potem Jordanna wybrała jeden z tych sposobów i oboje, ona i Brig, przystąpili do powolnego, subtelnego procesu podkradania się do zwierzęcia, starając się przesuwać tylko wtedy, gdy baran stał z opuszczonym łbem, skubiąc trawę, albo kiedy spoglądał w przeciwnym kierunku.

Gdy Jordanna dotarła do wielkiej skały, usytuowanej w odległości pięćdziesięciu metrów od celu, Brig dał jej znak, żeby nie szła już dalej do przodu. Ogarnął go podziw dla jej biegłości i doświadczenia w polowaniu z podchodu, wymagającego umiejętności szybkiego i bezszmerowego podkradania się do zwierzęcia.

Lufę sztucera oparła o potężny głaz i podtrzymując ją lewą ręką, przylgnęła do skały. Zaszło jej w gardle, czuła mocne bicie serca. Trema myśliwska! Kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić, a potem wycelowała w punkt nieco poniżej brązowego barku. Nacisnęła lekko spust. Huk wystrzału, powtórzony echem przez kamienne ściany, eksplodował w ciszy gór i sprawił, że powietrze wokół zadrżało. Baran usiłował zrobić krok do przodu, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i ciężko zwałił się na ziemię. Potężna detonacja na mgnienie oka sparaliżowała młode barany. Potem, ogarnięte paniką, rzuciły się ku stromym skałom.

Jordanna czuła, jak ogarnia ją upojenie sukcesem. Wyszła spoza skały i spojrzała na Briga triumfująco.

— Chodźmy zobaczyć, co ci się udało ustrzelić — zaproponował spokojnie. Wzrok miał obojętny, pozbawiony wyrazu.

Poszedł przodem, Jordanna tuż za nim. Gdy dotarli do nieruchomego zwierzęcia, Jordanna, zarówno z emocji, jak i z powodu wspinania się po stromym stoku, była lekko zdyszana. Upolowany przez nią muflon był

wspaniałym okazem o ogromnych, zniszczonych podczas walk rogach. Zakończenie jednego z rogów było ódlamane. Z pewnością stoczył wiele walk i zdobył mnóstwo owiec. Jordanna była bardzo dumna że swojego trofeum. Brig nie dał jej jednak wiele czasu na przeżywanie radości z odniesionego sukcesu.

— Tu go chcesz oskórować?

Teren, gdzie padł muflon, był względnie płaski i w niczym nie utrudniał ściągania skóry ze zwierzęcia. Jordanna spostrzegła ojca, brata i Maxa zbliżających się konno w ich stronę.

— Tak, wydaje mi się, że to dobre miejsce — zgodziła się i wyjęła nóż, przyczepiony do pasa.

— Masz zamiar zrobić to sama? — spytał osłupiały Brig.

On też trzymał już nóż w garści.

— Umieję to robić — odparła, szczerze rozbawiona wyrazem jego twarzy. — Ale możesz mi pomóc, jeżeli wiesz, jak to się robi.

— Dzięki — odrzekł z sarkazmem i przystanął z boku.

Jordanna przystąpiła do skórowania zwierzęcia od przedniej łapy, nacinając ją od wewnątrz. Brig pomógł odwrócić barana na grzbiet, żeby ułatwić jej dostęp do drugiej nogi. Po przecięciu skóry wokół przednich łap zakończyła cięcie za mostkiem. Ostrze noża przesunęło się gładko po szyi wzdłuż kręgosłupa. Na koniec u nasady rogów zrobiła nacięcie w kształcie litery „T”. Pracowała szybko i wkrótce oddzieliła zręcznie skórę od szyi i łopatek. Uważała, by nie pozostawić na niej ani kawałka mięsa czy tłuszczu.

— Znasz się na tej robocie - skomentował Brig.

— To nieodłączna część polowania — odparła skromnie.

Aż się zaróżowiła z radości! Brig nie był skory do prawienia komplementów, chyba że były naprawdę zasłużone. Doskonale o tym wiedziała.

— Bardzo dobrze to robisz. Widywałem myśliwych, którzy tak potrafili pokiereszować skórę zwierzęcia, że zostawały tylko strzępy.

Pomógł jej oddzielić głowę muflona od szyi na wysokości pierwszego kręgu. Gdy dołączyli do nich pozostali uczestnicy polowania, którzy przywieźli ze sobą narzędzia, Jordanna mogła dokończyć pracę. Za pomocą śrubokrętu oddzieliła skórę znajdującą się na rogach, piłą odcięła górną część czaszki wraz z rogami, a przywieziona w worku sól posłużyła jej do oczyszczenia skóry muflona. Cała ta operacja była długa, trudna i wymagała dużej staranności.

Zdobycz, którą przywieźli do obozowiska, stanowiła pokaźny ciężar — same rogi ważyły ponad piętnaście kilogramów. Pełen przepychu zachód słońca otoczył pograżające się w mroku doliny i turnie promienistą aureolą różowego światła. Tego wieczoru w obozowisku zapanowała świąteczna atmosfera i triumfalny nastrój. Skórę muflona, starannie złożoną, umieścili w dziupli, zabezpieczając ją w ten sposób przed drapieżnymi zwierzętami.

— A zatem, Brig, masz już w kieszeni pierwszą premię. Jakie to na tobie robi wrażenie? — spytał jowialnie Fletcher.

Brig siedział na wystającym z ziemi pniaku niedaleko ogniska. Jordanna, przysiadłszy na ziemi u jego stóp, ramieniem niemal dotykała jego uda. Miała za złe ojcu, że poruszył problem pieniędzy, nawet jeśli miał to być dobroduszny żart. Według niej popełnił jaskrawą niezręczność.

Po chwili wahania Brig odrzekł:

— Nie najgorsze.

— Mięso tego muflona moglibyśmy zjeść na kolację — wtrącił Jocko, zmieniając temat. — Jadłeś już kiedyś? — spytał Jordannę, nie przestając nalewać kawy do kubków.

— Nie.

— Myślę, że nie ma lepszej dziczyzny. Mięso muflona jest nie gorsze od solonej wołowiny i ma tylko lekki posmak dziczyzny.

— Według słów pasterza, oczywiście — zakpił Max.

— Nie ma smaku baraniny.

— Ale ten muflon jest stary — zaprotestował Max. — Jestem przekonany, że ma twarde, łykowane mięso i przyrządzanie go to tylko strata czasu.

— Były czasy, kiedy cały Zachód aż roił się od muflonów — rozmarzył się Fletcher. — Można je było spotkać od Dakoty do przełomów Missouri, wszędzie tam, gdzie ziemia była dzika, a życie twarde i surowe. Były liczniejsze od płowej zwierzyny. Szossoni, „Zjadacze baranów”, polowali na nie tak, jak inne indiańskie plemiona polowały na bizona. Potem nastąpiła inwazja ludzi, którzy na tym terenie zaczęli zakładać rancza, hodować bydło i owce. I muflony zniknęły, zdziesiątkowane przez choroby i kurczenie się naturalnych żerowisk.

— Ale to właśnie dzięki temu, że są tak rzadkie i nieuchwytnie, ich trofea nabrały takiej wartości — zwrócił uwagę Brig.

— Wielka szkoda, że nie mogą znów się pojawić w tak dużej ilości, jak to się stało z płową zwierzyną — rzekła w zadumie Jordanna.

— To by było możliwe — stwierdził stanowczo Fletcher.

— Jak? - spytał Kit.

— Weź, dajmy na to, Idaho. Poza niewielkim rejonem rolniczym na południu, jest to ziemia nie nadająca się pod uprawy, dobra tylko jako pastwiska dla nielicznych stad owiec i bydła. Jeżeli rząd zaprzestałby przekazywania tych terenów w dzierżawę, hodowcom, znów znalazłoby się dość pożywienia i dla muflonów, i dla innych gatunków dzikiej zwierzyny. A w rezultacie ich liczebność

stale by rosła. Zostałoby ponadto wyeliminowane ryzyko przenoszenia infekcji przez stada zwierząt domowych.

Brig obrzucił go przeciągłym, chłodnym spojrzeniem.

— Innymi słowy, zlikwidujemy w Idaho hodowlę bydła i owiec, o to chodzi?

Fletcher roześmiał się, sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego.

— Och, zapomniałem, że wśród nas jest hodowca! Ale tak, w pełni podtrzymuję to, co powiedziałem. Polowania na grubą zwierzynę byłyby znacznie korzystniejsze dla gospodarki kraju niż obecność tutaj nielicznych hodowców czy pasterzy. Uzyskiwano by pieniądze za wydawanie zezwoleń na polowania, organizowanie wypraw, podróży, powstawałyby motele, dobrze prosperujące sklepy z ekwipunkiem myśliwskim czy punkty wypychania zwierząt, i tak dalej. Polowania na grubego zwierza to świetny interes, który przyniósłby temu regionowi więcej pożytku i pieniędzy niż tutejsze rancza.

— Ano właśnie, to by było coś! — Max wpatrywał się w ognisko z rozmarzonym wyrazem twarzy. — Całe Idaho zamienione w jeden wielki rezerwat dzikich zwierząt, dokąd najbogatsi ludzie z całego świata przyjeżdżaliby na polowania!

Błysk zachłanności w oczach Maxa, w natchnieniu liczącego już dolary, nie uszedł uwagi Jordanny, przekonanej, że jego merkantylna wizja nie ma nic wspólnego z przepojoną altruizmem ideą rzuconą przez ojca.

— To zresztą nie musiałyby się ograniczać do Idaho. We wszystkich zachodnich stanach są tysiące hektarów terenów odpowiednich zarówno dla muflonów, jak i innej grubej zwierzyny. Znowy by mogły pojawić się muflony, niedźwiedzie grizzly i łosie, a także kozioł amerykański, puma i wilk — zapewnił Fletcher.

Był to opis istnego rajy dla myśliwych. Jordanna usłyszała, jak ogarnięty niesmakiem Brig klnie pod nosem. Uniósł głowę i odblask ognia ujawnił wyraz

wzgardy malujący się w jego oczach, wędrujących od Maxa do Fletchera,,,

— Zarówno w tym kraju, jak i na całym świecie, żyją miliony ludzi, którzy umierają z głodu — powiedział. — A wy chcecie zlikwidować hodowlę bydła i owiec, która żywi i odziewa miliony ludzi. I to tylko w tym celu, żeby garstka nadzianych forszą dżentelmenów mogła się zabawiać zabijaniem zwierząt — bez jakiegokolwiek pożytku. Skromni ludzie, żyjący wokół nas, są w waszym mniemaniu tylko podnóżkiem dzięki któremu możecie nacieszyć oczy pięknymi widokami, mam rację? — Podniósł się, spojrzał na nich z pogardą i wyraz lodowatego cynizmu pojawił się na jego wargach. — Najbardziej jednak przeraża mnie to, że kto wie, czy nie posunęlibyście się do tego, by przekupić wystarczająco wielu polityków, którzy pomogliby wam przepchnąć ten pomysł. — Wylał resztkę kawy do ogniska; zasyczały płonące drwa. — Przepraszam, muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Nikt się nie odezwał, gdy Brig odszedł od ogniska i zniknął w mroku. Księżyc przesłaniała warstwa chmur. Tandy mruknął coś na temat pilnej konieczności zajrzenia do koni, a Jocko postanowił zebrać naczynia. Robił przy tym tyle hałasu, jakby brzękiem talerzy chciał rozproszyć ciszę, która zaległa po odejściu Briga i z każdą chwilą stawała się coraz cięższa. Jordanna otrzepała zakurzone ręce i skierowała się ku namiotom. Zerknęła w tę stronę, gdzie zniknął Brig, lecz nie poszła za nim. Na widok drzewa, w którym ukryli skórę i rogi muflona, poczuła się nagle niemal zawstydzona, że zabiła to zwierzę.

Za plecami słyszała głosy ojca i Maxa. Spuścili nieco z tonu. Tuż obok niej zachrząściły sosnowe igły. Odwróciwszy się, zobaczyła brata.

— To było nieźle powiedziane, nie sądzisz? — spoglądał na nią uważnym łagodnym wzrokiem.

— Tak. — Zadrzała na ostrym wietrze. — Wydaje mi się, że nareszcie zacznę rozumieć to, o czym tak często mi mówiłeś.

— Naprawdę?

— Polowanie powinno służyć czemuś innemu niż tylko zabijaniu zwierzęcia po to, żeby zawiesić je na ścianie, i nabijaniu kabzy paru ludziom. Powinno stanowić dla ludzi źródło pożywienia — powiedziała Jordanna.

— Sądzę, że nigdy nie udałoby mi się wyrazić tego tak, jak zrobił to dzisiaj Brigu, ale on powiedział dokładnie to, co i ja myślę — zapewnił Kit. — To porządny człowiek, Jordanno.

— Tak — przyznała, opatrując się z zadumą w ciemność.

Niewiele wiedziała o Brigu, ale czuła, że wie to, co jest najważniejsze. Był dość silny, by być człowiekiem łagodnym, dość okrutny, by stać się dobrym, i dość nieugięty, by zdobyć się na uległość. Był twardy, ale tak, jak twarda jest niewzruszona skała. A ona go kochała, Ta świadomość, kojąca i pełna ciepła, spłynęła na nią łagodnie i napełniła jej serce radością. Z błyszczącymi oczyma odwróciła się do brata.

— On jest wyjątkowy, Kit, może nawet jedyny.

— Pewnie masz rację.

— Ja... — Jordanna urwała raptownie. Nie musiała już nic dodawać. — ...chyba się położę spać. Dobranoc, Kit.

— Dobranoc.

Kit stał przez chwilę nieruchomo, odprowadzając wzrokiem siostrę zmierzającą ku małemu namiotowi. Potem podszedł do ogniska.

Po drodze do namiotu Jordanna zabrała ze sobą śpiwory, które wywiesiła na zewnątrz, żeby się przewietrzyły. Wniosła je do namiotu i ułożyła na materacu ze świerkowych gałęzi. Rozebrała się i wśliznęła do śpiwora. Leżąc pośrodku dwuosobowego pościania, czuła

się trochę zagubiona. Zabrała się do metodycznego szcztokowania włosów.

Odłożyła szcztkę i ulokowała się wygodnie na plecach. Czekwała na Briga. Przyszedł godzinę później. Jego ciało było jedynie ciemnym, niewyraźnym kształtem w ciemności. Rozebrał się w milczeniu i ułożył obok Jordanny. Nie uczynił żadnego gestu, żeby się do niej zbliżyć.

— Brig?

Odwrócił się do niej i dotknął dłonią jej ciała. Objąwszy talię Jordanny, przyciągnął dziewczynę do siebie i obsypał pocałunkami. Bez reszty poddała się jego gwałtownej zaborczości.

— Jesteś dla mnie jak narkotyk, Jordanno — mruknął. — Czuję się przy tobie jak narkoman na haju i... jestem na siebie wściekły za każdą minutę tego uzależnienia.

— A co byś powiedział, gdybym... — Przesunęła palcami po jego twarzy, odtwarzając ją w pamięci dotykiem, — ...Gdybym... ci wyznała... że się trochę w tobie zakochałam?

Przez chwilę leżał nieruchomo, potem powoli oderwał wargi od jej skóry i westchnął cicho.

— Powiedziałbym, że chyba za długo już jesteś w tych górach. Że oboje potrzebujemy bliskiego kontaktu fizycznego, a nie uczuciowego uzależnienia. I starajmy się nie mieszać zbyt pośpiesznie jednego z drugim.

Jordanna poczuła bolesny, dławiący ucisk w gardle. Była głęboko przekonana, że jego słowa nie oddają jej prawdziwych uczuć.

— Naprawdę tak myślisz?

Dłoń Briga przesuwiała się pod ciepłym nocnym ubraniem Jordanny.

— Całkiem możliwe — szepnął tuż przy jej ustach.

Pragnęła go przekonać, że się myli, ale nie mogła wydobyć ani słowa. Poddała się jego uściskom i gdy

poczuła na sobie ciężar ciała Briga, zapomniała o całym świecie. Namiętny pocałunek wywołał gwałtowne bicie jej serca. Oddawała się bez najmniejszych oporów, ulegając i mężczyźnie, którego kochała, i zarazem płomiennej namiętności, która nią zawładnęła. Nie żądała nic w zamian za swe oddanie, prócz tego jedynie, by ją posiadał. Brig spełnił to żądanie, w pełni zaspokajając pragnienia ich obojga.

Odpooczywali leżąc w swoich objęciach. Dłonie Briga łagodnie i leniwie błądziły po ciele Jordanny. Niczego już od niej nie oczekiwali.

— Twój ojciec obiecał mi premię za barana o pięknie zakręconych rogach — odezwał się cicho, po czym miękkiem, pozbawionym złośliwości tonem zażartował: — Nie sądziłem, że ty także masz zamiar się do tego dołożyć i przyznać mi dodatkową premię od siebie.

Te rozważania, które snuł nie spodziewając się najwyraźniej żadnej reakcji z jej strony, głęboko ją dotknęły.

— Wolałabym nigdy nie upolować tego muflona!

Odwrócił się do niej zaskoczony, lecz w ciemności nie mógł zobaczyć jej twarzy.

— A to dlaczego? — spytał rozbawionym, cynicznym tonem.

Jordanna wołała mu tego nie tłumaczyć. Nie potrafiłaby go przekonać, ponieważ nigdy nie zechciałby jej uwierzyć. Ułożyła się na boku, z dała od Briga.

— Nie warto o tym mówić. To i tak by niczego nie zmieniło.

Brig patrzył na ciemny zarys głowy spoczywającej przy nim Jordanny. Powściągnął chęć nakłonienia jej, by powtórzyła swe wyznanie miłości, choć bardzo chciałby się przekonać, czy naprawdę myśli to, o czym mu powiedziała.

Odkąd tylko zaczęło się to polowanie, instynkt ostrzegał go przed bliżej nie sprecyzowanym, ukrytym

niebezpieczeństwem. Ale, jak dotąd, jedynym zagrożeniem, jakie dostrzegał, były jego uczucia do Jordanny. Coś nieustannie utwierdzało go w przekonaniu, że cały czas musi się mieć na baczności.

Z wytrawną znajomością rzeczy, niczym tygrysica, podkradała się dzisiaj do tego zwierzęcia, a potem odarła je ze skóry ze zręcznością i pewnością siebie godną doświadczonego myśliwego. Czyżby miał być jej następnym trofeum? Dlaczego stawiał sobie podobne pytania?

Zwalczył w sobie chęć, by wziąć ją w ramiona, i odwrócił się na drugi bok.

Scandalous

16

Gdy nazajutrz rano Brig otworzył oczy, wokół było szaro, ciemno i ponuro. Leżąc w namiocie słyszał monotony szum deszczu wśród gałęzi drzew. Założył spodnie i sięgnął po koszulę. Zatrzymał wzrok na spoczywającej na ziemi, pogrążonej we śnie Jordannie. Boże, ależ ona jest piękna! Poczował nagłą pokusę, by wślizgnąć się do śpiwora i ją obudzić, lecz tylko potrząsnął jej ramieniem.

— Czas wstawać.

Zatrzepotała rzęsami, potem otworzyła oczy. Brig odwrócił się do mej plecami, żeby założyć koszulę. Teraz się przeciąga — pomyślał, czując narastające pożądanie. Zastygł na chwilę w bezruchu, po czym zaczął powoli zapinać guziki koszuli. Zmuszał się, żeby myśleć o czymś innym.

Kiedy usłyszał chrzęst zamka błyskawicznego, odwrócił się i wpatrzył w smukłe kształty Jordanny, miękko zarysowujące się pod obcisłym białym trykotem. Przeciągnęła się jak kot, przykuwając wzrok Briga do ponętnych krągłości swych piersi.

Odwrócił się i wciągnął koszulę 'do lewisów.

— Gdybyś nosiła ten trykot w Nowym Jorku, to ani chybi wylansowałabyś nową modę. — Jego głos zabrzmiał trochę niepewnie.

— Tak sądzisz? — Parsknęła śmiechem i przesunęła się przed nim, parodiując pokaz mody, po czym, stając w pozie modelki, obwieściła: — Panie i panowie, oto w czym wytworne debutantki powinny wystąpić w tym sezonie. Zechcą państwo zwrócić uwagę na sposób, w jaki materiał przylega do sylwetki i oblepiając ją, uwydatnia...

Nawet gdyby zrobiła przed nim striptiz, nie zdołałaby go bardziej roznamiętnić. A chociaż był to tylko niewinny figiel, z każdego jej ruchu emanowała nieodparta zmysłowość. Ujął jej talię i przyciągnął dziewczynę ku sobie, przerywając raptownie to kpiarskie wystąpienie. Zanim jednak zdążył ją do siebie przygarnąć, jej wargi już szukały niecierpliwie jego ust. Przyłgnęła do niego z tak skwapliwą żarliwością, że niechcący spowodowała niefortunny ruch obolałego ramienia. Skrzywił się z bólu i wypuścił ją z objęć.

— Twoje ramię! Jak mi przykro, zapomniałam! — Skruszona Jordanna przepaszającym gestem pogłaskała delikatnie rękę Briga i spojrzała na niego z niepokojem malującym się w orzechowych oczach. — Jak ono się dzisiaj czuje?

Brig, ochłonawszy nieco, odsunął się od niej i założył kurtkę z owczej skóry.

— Lepiej. Ubierz się ciepło, bo się jeszcze przeziębisz.
— Ostentacyjnie ignorował jej błagalne spojrzenie.
— Dzień jest mglisty i mokry. Załóż na siebie ciepłe ubranie i nie zapomnij o poncho.

Wymknął się z namiotu, nie spojrzawszy nawet na Jordannę. Powietrze na zewnątrz było wilgotne i z ronda kapelusza spływały krople wody. Znosiło się na zimny, ponury dzień. Brig wszedł do dużego namiotu, ciepłego i przytulnego, napełnionego przyjemnym aromatem kawy i smażonego bekonu.

— Tandy jest przy koniach? — spytał.

— *Si*. — Jocko zerknął na niego spod oka. — Fletcher mu dzisiaj pomaga.

Brig miał wprawdzie wielką ochotę napić się kawy, lecz słysząc, że człowiek, który go zatrudnił, moknie teraz na deszczu, wyręczając go w robocie, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do wyjścia. To był właśnie skutek wylegiwania się w łóżku i ulegania powabom kobiecego ciała. Wymościła takie miękkie i wygodne posłanie, że nie wstał dziś na czas...

W połowie drogi do miejsca, gdzie były przywiązane konie, natknął się na Tandy'ego.

- Patrzcie no, jednak w końcu wstałeś — skonstatował mały kowboj, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu.

— Konie gotowe do drogi? — spytał Brig. Twarz mu się wydłużyła, gdy usłyszał uwagę Tandy'ego. Spojrzał ponad jego ramieniem. — Gdzie jest Fletcher?

— Przy koniach. Szedłem tylko zobaczyć, czy się już obudziłeś. Srokacz zgubił podkowę. Nie wiedziałem, czy chcesz, żebym, dla Maxa osiodłał Muła, czy co?

- Szlag by to trafił! Dlaczego wczoraj nie przyjrzałeś się koniom dokładniej?

— Właśnie że dobrze sprawdziłem. Wczoraj wieczorem nie widziałem, żeby srokaczowi brakowało podkowy, dopiero dzisiaj rano zobaczyłem ją o tam, na ziemi.

— Opuszczasz się w robocie, Tandy. Nie jesteś już taki uważny i staranny jak dawniej. Cóż, wiek robi Swoje.

Od razu zorientował się, jak boleśnie zranił poczucie dumy kowboja. Tandy był nadzwyczaj drażliwy na punkcie swojego wieku i Brig gorzko sobie teraz wyrzucał, że zadrwił z jego słabostki i zbeształ go w taki niestosowny i niepotrzebny sposób.

— Oglądałem srokacza ze wszystkich stron. Każdego konia sprawdziłem jak należy, nie brakowało ani jednej podkowy — bronił się Tandy. — No to w końcu, którego mam osiodłać dla Maxa?

— Osiodłaj Muła.

— Chcesz, żebym go najpierw trochę utemperował, czy boisz się, że moje stare kości tego nie wytrzymają? — spytał napastliwie. — Podobno dzisiaj rano ni z tegcr, ni z owego się zestarzałem.

— Wypuść z niego trochę pary. — Po chwili wahania dorzucił: — Ja... palnałem bez zastanowienia, wcale tak o tobie nie myślę. Wiesz... jestem dzisiaj nie w sosie. Nie wypitem rano kawy.

— No to idź się napić. Dokończę robotę przy koniach. Nie potrzebuję twojej pomocy. — Tandy dziarsko odwrócił się na pięcie i odszedł.

Brig stał niezdecydowany. Korciło go, żeby pójść za radą Tandy'ego i wypić wreszcie kawę, nie mógł jednak obarczać Fletchera odpowiedzialnością za konie. Postanowił pójść za Tandym.

— Brig? — Jordanna szybko szła w jego stronę z kubkiem kawy w ręku. Kaptur poncha zsunął się z jej głowy, ukazując kasztanowate włosy. Stanęła przed Brigiem i podała mu kubek: — Jocko mi powiedział, że nie piłeś jeszcze kawy.

Na czubku jej nosa zawisła kropla wody.

— Włosy ci zmokły.

Nie wziął kubka z jej rąk, tylko naciągnął jej kaptur na głowę, którą ujął dłońmi przez kaptur, i nachylił się, by pocałować świeże i wilgotne wargi. Jordanna pieszczotliwie otarła się twarzą o jego policzek. Stwierdziła, że jest szorstki.

— Jeszcze się nie ogoliłeś — mruknęła. — Chcesz, żebym to zrobiła?

Chciałby, żeby dla niego zrobiła do najmniej sto różnych rzeczy. Poczul palące pożądanie, ale odsunął się od niej.

— Sam sobie poradzę.

Przemknęło mu przez myśl mnóstwo innych rzeczy, wśród których nie znalazło się poranne golenie twarzy.

— Twoja kawa — przypomniała Jordanna, ponownie

wręczając mu kubek. — Najlepiej wypij od razu, bo na deszczu zupełnie wystygnie i straci moc.

Brig wziął kawę, zadowolony ze zmiany tematu. Wypił spory łyk. Kawa była zaledwie ciepła, lecz nadal mocną i aromatyczną.

— Tego właśnie potrzebowałem — oznajmił.

— Dokąd idziesz?

— Pomóc przy koniach.

Wiedział, że musi już iść, ale jej wilgotna od deszczu, świeża twarz przyciągała go w neodparty sposób.

— Śniadanie już prawie gotowe.

— Wiem. Ja... — Odwrócił się, zaskoczony hałasem dobiegającym od strony miejsca, gdzie znajdowały się konie. Tandy dosiadał ciężkiego gniadego konia, który właśnie powtarzał wczorajszy pokaz skoków. Dwie minuty później koń zaczął przestępować z nogi na nogę i w końcu się uspokoił.

— Dzisiaj również będziesz na nim jechał? — spytała Jordanna.

— Nie, dzisiaj to Max na nim pojedzie. Nie ma szczęścia, jego koń zgubił podkowę.

— Biedny Max! — Uśmiechnęła się i nie miała zbyt współczującej miny.

— Nie przepadasz za nim, prawda? A przecież to przyjaciel twojego ojca.

— I twój kuzyn.

— Owszem. Co za pech.

— Jeżeli naprawdę myślisz to, co mówisz, to dlaczego niedawno uratowałeś mu życie? Przecież byłoby ci na rękę, gdyby on stąd zniknął.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Palnęła to bez chwili zastanowienia. Zaskoczony Brig uznał jej słowa za co najmniej dziwne. Skąd mogła się tego dowiedzieć? Max z pewnością nic jej nie powiedział, co do tego Brig nie miał żadnych wątpliwości. Więc kto? Nie pozostało zbyt wiele innych możliwości. Nagle przypomniał sobie

jej miłosne wyznania z ubiegłej nocy. Poczuł wtedy instynktownie, że nie powinien jej ufać i bezgranicznie wierzyć. Teraz to uczucie powróciło z jeszcze większą intensywnością.

— A co nasunęło ci myśl, że Max ma coś takiego, co ja chciałbym mieć? — spytał z nieszczerą słodyczą w głosie.

— Nic — odrzekła pośpiesznie. — W ogóle o tym nie myślałam. Zapomnij o tym, co mówiłam.

— Jest wiele innych rzeczy, o których chętnie bym zapomniał. — Przyjrzał się jej natarczywie od stóp do głów, jakby rozbierał ją wzrokiem. — Jaka ty jesteś namiętna pod pozorami opanowania i powściągliwości! Jak drżysz w moich ramionach! Cóż to za miłe uczucie trzymać twoje piersi w dłoniach i poczuć pod sobą twoje ciało! — Zauważył, że Jordanna się zaczerwieniła. — Chciałbym cię w tej chwili bardzo powoli rozebrać i całować każdy centymetr twojego ciała. — Przerwał z rozmysłem na moment, by tym mocniej ugodzić ją ostatnim zdaniem. — Jesteś stworzona wyłącznie po to, żeby kłaść się na plecach, Jordanno.

Ta obelga sprawiła, że Jordanna zadrzała. Brig zauważył, jak unosi rękę, lecz nie zrobił nic, by ją powstrzymać i uniknąć uderzenia. Doznał wrażenia osobiwej przyjemności, gdy poczuł piekący ból policzka. Oczekiwał — a nawet się spodziewał — takiej reakcji z jej strony, a jednak nie dało mu to jeszcze całkowitej satysfakcji.

— Jesteś skończonym łajdakiem, Brigu McCord — syknęła przez zęby, ogarnięta ślepą furją. — W życiu liczy się jeszcze coś więcej niż tylko seks!

— Ale pomiędzy tobą i mną nie ma niczego prócz seksu. Cóż jest zresztą złego w radosnym seksie poza-mażeńskim? Nie zaprzeczysz chyba, że to całkiem przyjemne — dla dwojga.

Tak bardzo pragnął, by dostarczyła mu kolejnego

dowodu, że nadal, wbrew sobie, prowokował ją, doprowadzając do ostateczności.

— Ach, tak?

Zacisnęła zęby, ale jej oczy napełniły się łzami.

— Jeżeli to ci się nie podobało, to znaczy, że jesteś niesamowicie utalentowaną komediantką. Wcale mnie to zresztą nie dziwi.

Brig oczekiwał, że Jordanna zaprzeczy gwałtownie, pragnął usłyszeć to z jej ust.

— Prawda? Dziwne, tak dobrze grałam rolę zakonчанej, kobiety, że w końcu sama w to uwierzyłam.

— Roześmiała się z goryczą.

— Kłamczucha! — Zaprotestował, gdy nieoczekiwanie potwierdziła jego wersję. — Wcale nie udawałaś!

— Doprawdy? — rzuciła wyzywająco i odwróciła się, chcąc odejść.

Briga ogarnął gniew. Chwycił ją za ramię.

— Nie odchodź!

Pomimo wściekłości, zdał sobie sprawę, że nie chce pozwolić jej odejść.

— Zostaw mnie! — zażądała Jordanna lodowatym głosem. — Nie mam zamiaru nadal udawać, że lubię, jak mnie dotykasz. Między nami wszystko skończone.

— To ja zdecyduję, kiedy to się skończy. Zapamiętaj to sobie — ostrzegł ją Brig, zanim pozwolił jej odejść,

Jordanna przełknęła łzy. Nienawidziła go równie mocno, jak kochała. Przedtem nie przeszkadzało jej, że Brig pragnie jedynie jej ciała. Była tak zadufana w sobie, że nie wątpiła, iż czas wszystko zmieni. Wierzyła, że z czasem potrafi wzbudzić w nim miłość. Ale on sprowadził ich wzajemne stosunki do tak żenująco niskiego poziomu, że to, co dotychczas wydawało się jej piękne, teraz nagle zostało splugawione.

Dlaczego skłamała mówiąc mu, że tylko udawała

gorącą namiętność? Po to, by uratować twarz i odzyskać poczucie własnej, wartości. Na kolanach będzie musiał ją błagać o wybaczenie, zanim znów pozwoli, by ją dotknął!

Ominęła duży namiot i weszła do małego. Rozdzieliła dwa śpiwory, a rzeczy Briga pozbierała i ułożyła w stertę. Potem znalazła jeszcze dość sił, by zjeść śniadanie w dużym namiocie.

Natychmiast po odejściu Jordanny Brig gorzko pożałował tego, co zrobił. Gdy odchodziła trochę sztywnym, dumnym krokiem, wyglądała jak dziecko niesłusznie posadzone o to, że skłamało i za karę zostało wysłane do łóżka bez kolacji. Był na siebie wściekły. Ale przecież, do licha, on też miał rację! Wypił łyk kawy. Wydała mu się zimna i gorzka. Ze wstrętem wylał ją na ziemię.

— Jakże można marnować taką dobrą kawę? — powiedział Tandy z wyrzutem.

Brig drgnął gwałtownie.

— Była już zimna. — Zerknął za siebie. — Konie przygotowane?

— Tak. A i mój żołądek jest gotów do śniadania.

— Gdzie jest Fletcher? Myślałem, że z tobą?

— Zaraz przyjdzie. Tylko uwiąże Muła.

Chwilę potem Fletcher wyłonił się spoza drzew otaczających polanę. Brig był przekonany, że myśliwy najęży się na jego widok, i dlatego pomyślał, że wzrok go myli, gdy Fletcher, z szerokim uśmiechem na ustach, powitał go z wylewną serdecznością.

— Dzień dobry, Brig. Jak tam ramię dziś rano?

— O wiele lepiej.

— To świetnie! Gdzie jest Jordanna? Nie z tobą?

— Śniadanie już gotowe, więc pewnie poszła do dużego namiotu.

- Otóż to, najwyższy czas na śniadanie, wszystkim

nam dobrze zrobi — stwierdził Fletcher, wesoły jak szczygiełek, po czym konfidencjonalnym tonem spytał: — Pojedziemy, jak sądzę, tą samą drogą, co wczoraj, prawda?

Tego ranka polowanie nie było z pewnością najważniejszą przyczyną troski Briga, ale za to mu płacono. Jego duchowe rozterki były zatem bez znaczenia.

— Tak — potwierdził kiwnąwszy głową. — Może przyniesie ci to szczęście, tak jak wczoraj przyniosło szczęście Jordannie.

— Bardzo na to liczę. — Fletcher uniósł skrzydło namiotu, zatrzymując się, by przepuścić Briga.

Jordanna była w środku, lecz nie uniosła oczu, gdy weszli do namiotu. Jej twarz wyglądała jak wykuta z marmuru. Podczas śniadania nie odezwała się ani słowem. Tylko raz ich spojrzenia się skrzyżowały i wtedy nie dostrzegł w jej oczach nic prócz lodowatego chłodu. Zauważył jednak, że jadła bez apetytu, tylko ód czasu do czasu skubnąwszy coś niechętnie. A zawsze dotychczas zajadała, aż jej się uszy trzęsły. „Nie jest wcale taka obojętna i niewzruszona, jakby mi chciała pokazać” — pomyślał Brig.

Gdy wszyscy skończyli jeść i wypili kawę, opuścili przytulny namiot i poszli w stronę koni, moknąc na zimnym, nieprzyjemnym kapuśniaczku. Max dosiadł ogromnego gniadosza, lecz narowisty koń natychmiast jął niespokojnie tańczyć w miejscu, parskając i przestępując z nogi na nogę.

— Może będzie lepiej, jeżeli ja na nim pojedę — zasugerował Fletcher. — Ty, Max, „możesz mieć kłopoty z opanowaniem tego konia.

— Dam sobie radę — zapewnił Max, z całych sił ścigając wodze, by zmusić konia do posłuchu.

— Zaraz się uspokoi — obiecał Tandy.

— Możesz wziąć innego, jeżeli chcesz — zaproponował Brig.

— Mówiłem przecież, że dam sobie radę — warknął Max.

— O.K.! Zatem jedźmy. — Brig skierował swego izabelowatego wierzchowca w stronę szlaku, którym jechali poprzedniego dnia.

Tym razem jednak podążali w innej kolejności. Fletcher jechał za Brigiem, na miejscu zajmowanym poprzednio przez Jordannę, potem był Kit, Jordanna i Max, który zamykał pochód. Brig odczuwał brak towarzystwa dziewczyny, podążającej zawsze dotychczas u jego boku. Żałował, że nie jedzie tuż przy nim, gdy pozwalała na to szerokość drogi, którą się posuwali. Irytowało go to bardziej, niż mógłby się spodziewać po czymś tak, zdawałoby się, mało istotnym.

Gdy dojechali do urwistego zbocza wiodącego ku przełęczy, Brig odwrócił się w siodle i krzyknął:

— Przy takim deszczu kopyta mogą się ślizgać. Popuście wodze koniom. One same wiedzą, gdzie mają stawiać nogi.

Wszyscy skinęli głową na znak zgody, z wyjątkiem Jordanny, która uparcie patrzyła w inną stronę. Brig zacisnął wargi i popuściwszy luźno wodze, zaczął się wspinać po zboczu.

Skrzypienie skór siodeł i pobrząkiwanie wędzideł ledwie można było usłyszeć poprzez suchy łoskot kopyt obijających się o kamienie i zgrzytających na mokrym gruncie. Kilkakrotnie Brig posłyszał za sobą gniewne parskanie i głośne rzenie konia, najwyraźniej sprzeciwiającego się jeźdźcowi. Z niechęcią pomyślał o tym, że będzie musiał odwrócić wzrok od wspinającego się ku górze szlaku i, co gorsza, zatrzymać konia, który i tak miał szalone trudności z posuwaniem się naprzód po stromym, śliskim gruncie.

Pomimo to rzucił szybko okiem przez ramię. Gniady koń Maxa, stając dęba i wierzgając, nie chciał iść dalej w górę. Max okładał piętami jego boki i z całych sił ściągał cugle.

— No dalej, rusz się, durne bydle, ty głupi Mule!
— lżył gniadosza rozżłoszczony Max.

Klnąc przez zęby, Brig zatrzymał konia i zjechał na bok.

— Stań na przedzie, Fletcher — powiedział do stojącego za nim Smitha.

Po to, by pomóc Maxowi, musiał zjechać wąską ścieżką, omijając wszystkich pozostałych jeźdźców, którzy przesuwali się w górę. Gdy mijał Kita, gniady koń Maxa posunął się o kilka kroków, a potem znów zaczął stawać dęba i rzeć gniewnie. Ugiąwszy kolana, opuścił łeb ku ziemi i zaczął wierzgać z wściekłością. Jordanna wstrzymała konia.

— Zjedź z drogi — polecił Brig zniecierpliwionym głosem. Jego izabelowaty wierzchowiec tańczył w miejscu.

Jordanna rzuciła mu lodowate spojrzenie i spiąwszy konia, ruszyła przed siebie.

Gniady zszedł ze ścieżki. Max zaprzestał wysiłków opanowania go i chwyciwszy się oburącz łęku siodła, starał się tylko utrzymać na koniu. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego i zrozpaczonego. Próbując zrzucić jeźdźca na ziemię, koń stracił grunt pod nogami na śliskim zboczu. Runął na kolana, potem podniósł się i, ogarnięty paniką, zaczął dygotać.

Teraz już znalazł się całkiem poza dość bezpieczną ścieżką i stał na bardzo niepewnym i zdradliwym terenie, usłanym usuwającymi się spod nóg kamieniami. Brig nie mógł bardziej popędzać konia, ponieważ łatwo mógłby się potknąć i upaść, tak jak przed chwilą koń Maxa.

Kamienie usuwały się spod kopyt gniadosza. Nagle zarżał w panice, stanął dęba i zwałił się na grzbiet. Max wrzasnął przeraźliwie, padając na ziemię, i zaczął zsuwać się po zboczu. Jedyne centymetry dzieliły go od groźących śmiertelnym niebezpieczeństwem końskich kopyt. Staczające się kamienie pociągały w dół zbocza zarówno konia, jak i jeźdźca. Nieco niżej otwierała się przepaść.

Teraz już Brig w żaden sposób nie mógł dotrzeć do Maxa. Koń Briga, dysząc ciężko, posuwał się dół tak szybko, jak to tylko było możliwe w tych warunkach. Tylne kopyta ślizgały się na mokrych kamieniach, koń z trudem znajdował pewny grunt pod nogami. Brig miał przy siodle łąso, ale Max zsuwał się w dół dwa razy szybciej, niż Brig nadjeżdżał w jego stronę, co oznaczało, że lada moment znajdzie się poza zasięgiem sznura, który Brig mógłby mu rzucić.

W odległości dwudziestu kroków od krawędzi przepaści, gniady zdołał podźwignąć się na nogi i znaleźć oparcie dla kopyt na nieco pewniejszym gruncie. Lecz to sprawiło, że spod końskich kopyt posypał się grad kamieni, który porwał za sobą Maxa. Widząc to, Brig ściągnął wodze swojego konia. Nic już nie można było zrobić. Mrożąca krew w żyłach trwoga ścisnęła go za gardło.

Jordanna wstrzymała konia, stając tuż za ojcem i bratem. Przejęta grozą, nie mogła oderwać oczu od rozgrywającej się sceny. Wszystko wydawało się dziwnie nierealne. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, i wydawało się jej niemożliwe, żeby Brig, w ten czy w inny sposób, nie zdołał dotrzeć do Maxa na czas.

— O, Boże! — szepnęła zrozumiawszy, że nie ma już żadnej nadziei.

Gdy Max, sunąc nieuchronnie ku przepaści, był tuż nad krawędzią, Jordanna odwróciła wzrok i zamknęła oczy. Max wydał z siebie przeraźliwy krzyk. Powtarzany echem przez granitowe ściany kanionów, zdawał się trwać wiecznie. Rozległ się głuchy łomot, a potem zaległa cisza tak nierealna, że Jordanna doznała gwałtownego szoku. Nie docierał do niej gwar głosów dobiegających zewsząd, aż do chwili, gdy jeden spośród nich usłyszała wyraźnie tuż obok siebie.

— Zawróć konia, Jordanno. Musimy zjechać na dół. Rzeczowe polecenie ojca uświadomiło jej, że blokuje drogę. Zatoczyła więc koniem i ruszyła z powrotem w dół. Nie mogła oderwać szeroko otwartych, nieprzytomnych oczu od urwistego zbocza. Brig zsiadł z konia i po pokrytym piargami stromym zboczcu zszedł w dół, w pobliże krawędzi przepaści. Po drugiej stronie usianego kamieniami zbocza stał nieruchomo gniady koń. Nogi miał poranione i zakrwawione.

Zjechali w dół aż do miejsca, gdzie szlak, biegnący zakosami stromym zboczem, przechodził w prostą drogę wiodącą ku obozowisku. Fletcher i Kit zeskoczyli z koni i udali się w pobliże miejsca, gdzie spadł Max. Jordanna zawahała się. Jakaś niezrozumiała siła popchnęła ją jednak w ślad za nimi. Zeskoczywszy z konia, stanęła na ziemi na niepewnych, drżących nogach. Czuła gwałtowne skurcze żołądka.

Brig stał tuż przy krawędzi, kilka kroków od skalnego osuwiska. Gdy pozostali dotarli do niego, spoglądał w dół z nieruchomą, pozbawioną wszelkiego wyrazu twarzą. Ani razu nie rzucił na nich okiem, choć zdawał sobie sprawę z ich obecności.

— Nieszczęsny dureń! Ostrzegałem, że te góry mogą go zabić — mruknął z nieobecnym wyrazem twarzy.

— A zatem nie żyje — stwierdził Fletcher głosem wypranym z wszelkich emocji.

Wzrok Jordanny, nieodparcie przyciągany ku krawędzi urwiska, pobiegł w dół. Trzydzieści metrów niżej spoczywało straszliwie poskręcane ciało, równie pozbawione życia, jak szmaciana lalka. Jordanna odwróciła wzrok i chwiejąc się ukryła twarz na piersi Kita, który otoczył siostrę ramieniem. Miała ochotę płakać, pozwolić, by łzy przyniosły ulgę obolałym powiekom i ukołysły chwytającą za gardło trwożę. Była jednak ciągle jeszcze pod wpływem tak silnego szoku, że tylko dygotała od stóp do głów, wstrząsana gwałtownymi dreszczami.

— Musimy zejść na dół i zabrać stamtąd ciało — zdecydował Brig.

— Pójdę z tobą — zaproponował spokojnie Fletcher.

— Kit, zaprowadź wreszcie Jordannę do obozowiska i powiedz wszystkim, co się stało.

Kit bez słowa ujął Jordannę za ramiona i podtrzymując ją, ostrożnie i łagodnie poprowadził w stronę koni. Do Jordanny powoli dotarła przyprawiająca o dreszcz grozy świadomość tego, co się stało.

— Powinam była coś zrobić! — wyszeptała z poczuciem winy. — Stałam najbliżej. Jak tylko zaczęły się jego kłopoty z koniem, mogłam przecież chwycić za wodze i poprowadzić go aż do przełęczy.

— Nawet o tym nie myśl w taki sposób — strofował ją łagodnie Kit. — Ja... nie sądzę, żeby można było kogokolwiek za to obwiniać.

— O, Boże! — westchnęła z udręką i wybuchnęła urywającym szlochem.

Pójdę po konia — postanowił Fletcher, ruszając w stronę gniadosza.

— Zostań tutaj — powstrzymał go Brig. — Ja po niego pójdę.

Ostrożnie zaczął się wspinać po stromym skalnym osuwisku. Każdy krok postawiony na niepewnym, piętrzącym się piargu powodował lawiny odłamków skalnych. Przerażliwa martwota, która poraziła zmysły Briga, przytłumiła w nim zdolność odbierania wszelkich wrażeń i teraz koncentrował się wyłącznie na wykonywanych przez siebie ruchach.

Zbliżył się do konia, który stał na drżących nogach i był tak przerażony, że nie chciał ani się poruszyć, ani opuścić skrawka pewnego gruntu, letóry sobie znalazł i na którym czuł się bezpiecznie. Gdy Brig chciał pochwycić jego wodze, koń parsknął i potrząsnął głową,

z oczami zbielełymi z trwogi. Brig przemawiał do niego łagodnie, chcąc go uspokoić. Słyszając jego głos, koń poruszał nerwowo uszami, lecz tym razem nie próbował już unikać trzymającej wodze ręki Briga, który gładził pieszczotliwie drżącą szyję zwierzęcia.

Koń stał nieruchomo, jego przerażenie powoli mijało. Wtedy Brig obejrzał uważnie odniesione przez konia rany. Miał zdartą skórę na kłębie i na bokach, w wielu miejscach — otwarte i krwawiące rany na nogach, ale nic nie wskazywało na to, żeby któraś z kończyn była złamana, ponieważ żadna z nich najwyraźniej nie przysparzała mu szczególnych dolegliwości.

Brig ujął wodze tuż przy pysku gniadosza i poprowadził go na ukos przez kamieniste zbocze. Koń opierał się z całych sił, gdy Brig go ciągnął do przodu, lecz łagodne słowa, cierpliwe gesty i stanowczy nacisk na wodze sprawiły, że zwierzę w końcu posłusznie ruszyło za nim, stąpając drżącym, niepewnym krokiem, dysząc z rozdętymi chrapami i parszcząc nerwowo.

— Chcesz go zaraz wziąć do obozowiska? — spytał Fletcher, gdy Brig sprowadził konia ze zbocza.

— Nie. Przywiążę gdzieś tutaj, a zabierzemy go zaraz po wydobyciu ciała Maxa.

Brig podszedł do uwiązanego nie opodal izabelowatego wierzchowca, prowadząc za sobą gniadosza. Fletcher szedł tuż za kulejącym koniem.

Wszystkie konie zaprowadzili do kępy drzew, rosnących nieco dalej na zboczu. Fletcher, zastanawiając się nad czymś, stał niezdecydowany.

— Nie pójdziesz ze mną? — spytał patrząc zimno na Fletchera. Jego słowa zabrzmiały tak, jakby rzucał Fletcherowi rękawicę. — Nigdy dotąd nie widziałeś nieboszczyka? Prawdę powiedziawszy, nie ma wielkiej różnicy pomiędzy martwym muflonem czy łosiem, ale z człowiekiem to zupełnie inna sprawa.

— Idę! — odparł z wściekłością Fletcher. Wskoczył na siodło i pojechał za Brigiem.

W połowie drogi do tego miejsca, gdzie Brig zamierzał przeciąć zbroczę, żeby dotrzeć do skalnego występu, na którym spoczywało ciało Maxa, spotkali Tandy'ego. Nie musieli nic mówić. Z wyrazu jego twarzy odgadli, że Jordanna i Kit powiadomili go o tym, co zaszło.

— Pomyślałem, że będziesz potrzebował pomocy — powiedział po prostu.

Brig kiwnął głową na znak, że przyjmuje jego pomoc, i Tandy pojechał za nimi. Wiózł przytroczoną z tyłu do siodła złożoną plandekę, która miała posłużyć za całun. Brig zauważył to, ale pozostawił bez słowa komentarza.

Jordanna siedziała na ławie patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Naprzeciw niej siedział Kit. Wsparłszy się łokciami o stół, pocierał dłońmi czoło. Jocko postawił przed nimi kubki z aromatyczną kawą.

— To się stało tak szybko, Jocko! A jednocześnie trwało tak długo! — powiedziała Jordanna, pogrążona w głębokiej zadumie.

— Wypij — nakazał łagodnie Jocko. — To ci dobrze zrobi.

Jordanna utkwiała wzrok w kubku z kawą. Nie mogła zapomnieć słów wypowiedzianych przez Briga. Wracały do niej bez przerwy. Spojrzała na Jocko. Jej oczy miały teraz zieloną barwę morza wzburzonego silnym sztormem.

— Brig powiedział, że przestrzegają Maxa, że te góry mogą go zabić. Co mógł mieć na myśli?

— Pewnie nic — odrzekł Jocko po chwili wahania. — Nieraz ludzie na widok śmierci mówią różne rzeczy bez zastanowienia. Wypowiadają te słowa tylko dlatego,

że nie potrafią wyrazić, co czują. — Ruchem głowy wskazał stojący przed Jordanną kubek. — No, napijże się kawy.

Posłusznie sięgnęła po kubek i uniosła go do ust. Słodki, gorący płyn rozgrzał ją, spłynąwszy ciepłą strugą przez gardło. Jordanną spojrzała na brata siedzącego naprzeciw. Był wstrząśnięty podobnie jak ona, gdy jednak zauważył, że siostra na niego patrzy, uśmiechnął się do niej ciepło, by podnieść ją na duchu.

Scandalous

17

Szary kapuśniaczek siąpił nadal, gdy trzej mężczyźni wracali do obozowiska. Brig podązał na czele, prowadząc izabelowatego konia, który wioził przerzucony przez siodło, wydłużony kształt spowity w plandekę i przywiązany sznurem. Powolny, miarowy stukot końskich kopyt przywodził na myśl marsz żałobny. Jordanna, Kit i Jocko wyszli z namiotu.

Tandy i Fletcher zsiadli z koni, a Brig zaczął rozwiązywać sznury przytrzymujące ciało na siodle. Jocko podszedł, żeby im pomóc. Wspólnie zdjęli ciało i złożyli je w dużym namiocie. Nieprzemakalna peleryna Briga ociekała deszczem. Cichym, spokojnym głosem, jak ktoś nawykły do komenderowania, wydał polecenia.

— Zwijamy obóz. Po spakowaniu i załadowaniu rzeczy ruszamy w drogę powrotną. Ponieważ nie mamy żadnych możliwości zawiadomienia władz o wypadku, musimy zabrać ciało ze sobą.

— Część rzeczy już spakowałem — oznajmił Jocko.

Brig kiwnął głową na znak aprobaty i ujął swojego konia za cugle.

— Chodźmy przygotować konie do drogi, Tandy.
— Ujął także wodze konia Fletchera.

— Chyba nie zostawicie tak Maxa... na tym deszczu!
— zaprotestowała Jordanna.

Brig rzucił na nią ciężkie, zimne spojrzenie.

— On już teraz nie wie, że pada deszcz. — Włożył nogę w strzemień i zwinnym, płynnym susem dosiadł konia, po czym odjechał pociągając za sobą wierzchowca Fletchera.

Tandy pojechał za nim, prowadząc za sobą kuśtykającego gniadosza. Przy namiocie pozostały tylko konie Jordanny i Kita, przywiązane do palika i przykryte płachtami chroniącymi je przed deszczem. Tandy i Brig zabezpieczyli w ten sposób także swoje konie, z wyjątkiem okaleczonego gniadosza.

— Trzeba będzie oczyścić mu rany i zdezynfekować — stwierdził Brig. — Idź do Jocko po środek odkażający. ~ Rozpiął popręg i zdjął siodło. Było w wielu miejscach uszkodzone, miało pękniętą ramę. — Zachowam tylko rzemienie. Siodło jest już do niczego. — Gdy zdejmował leżącą pod siodłem derkę, zauważył, że skóra koma jest w tym miejscu zdarta. Zmarszczył brwi. — A to co znowu, popatrz!

— Musiał się skaleczyć podczas upadku — wyjaśnił Tandy. — Pójdę po lekarstwo.

Brig już otwierał usta, by przywołać Tandy'ego, lecz się rozmyślił. Odwrócił się do konia, żeby jeszcze raz dokładnie zbadać ranę. Miejsce skaleczenia — na grzbiecie pod derką — wydawało się raczej dziwne. Musiałby się tam dostać wyjątkowo ostry kamień, żeby spowodować takie przecięcie skóry. Brig zdjął derkę i obejrzał ją od spodu. W miejscu odpowiadającym usytuowaniu rany znalazł wbity w materiał gałązkę ciernistego krzewu, o bardzo ostrych, długich i twardych kolcach.

Z zamyślonym wyrazem twarzy Brig obracał gałązkę w palcach osłoniętej rękawicą ręki. Na tamtym zboczach nie było podobnych krzewów czy zarośli. Odtworzył w pamięci całą trasę, którą tego dnia przebyli. Nie, nigdzie po drodze nie rosły żadne kolczaste krzewy. Skąd, u licha, mogło się to wziąć? Przypominał sobie

tylko jedno miejsce, gdzie widział podobne zarośla — przejeżdżali tamtędy przed dwoma czy trzema dniami. Nie mogło tak długo tkwić ukryte w derce. Tandy nie był do tego stopnia niedbały.

Zacisnął pięści na kolczastej gałązce. Kolce przebiły skórę rękawicy i zagłębiły się w dłoni. Ktoś podłożył to tam umyślnie. Złośliwy żart? Ktoś chciał się zabawić patrząc, jak Max spada z siodła? Było oczywiste, że w chwili, gdy ostre kolce wbijają się w grzbiet zwierzęcia, gniasosz z pewnością zacznie stawać dęba. I niewątpliwie tak to właśnie musiało wyglądać.

Brig jeszcze raz dokładnie zbadał skaleczone miejsce i porównał je z umiejscowieniem ciernia w derce. Z początku kolce na, pewno nie powodowały specjalnych dolegliwości. Brig jednak przypomniał sobie, jaki niespokojny był gniasosz, gdy Max go dosiadał. A ponadto, kolce zaczęły go ranić dopiero wtedy, gdy ciężar jeźdźca przesunął się ku tyłowi siodła, co nastąpiło w chwili, kiedy zaczęli się wspinać po stromym, śliskim zbocz.

Ktoś zatem Maxa zabił — z pełnym rozmysłem albo nieumyślnie. A ponieważ nie widział wśród uczestników wyprawy nikogo, kto miałby poczucie humoru na tyle przewrotne, żeby wpaść na pomysł splątania podobnego figla, pozostawała tylko pierwsza z tych możliwości: umyślny zamach na życie Maxa. Ale kto i dlaczego? Brig potrząsnął głową. Z trudem zbierając myśli, usiłował odtworzyć przebieg wydarzeń.

Zanim Max dosiadł gniasosza, ostatnią osobą, która znalazła się w pobliżu konia, był Fletcher. I to on właśnie uwiązał konia po tym, jak Tandy dosiadł go, żeby gniasosz mógł urządzić swój poranny pokaz skoków. Co oznaczało, że Fletcher miał sposobność, by umieścić cierń pod derką siodła. Pytał ponadto, czy będą jechać tą samą drogą, którą odbyli poprzedniego dnia, wiodącą stromym zboczem ku przełęczy. No i poza tym ten wypadek, kiedy to Fletcher nawet palcem nie

kiwnął, żeby wydostać Maxa spoza krawędzi przepaści, a na koniec — przygoda z grzechotnikiem na ranczo.

— Ale dlaczego? — wyszeptał Brig czując, że brakuje mu tchu.

Dlaczego Fletcherowi tak zależało na wyprawieniu Maxa na tamten świat? Przecież nie mógł on w niczym zagrozić człowiekowi formatu Fletchera. Czysty absurd. Na napiętej twarzy Briga odbijał się daremny wysiłek Umysłu usiłującego rozwikłać tę zagadkę.

Była jeszcze Jordanna. Jaka rolę odegrała w tym wszystkim? Fletcher prosił ją, by okazywała względy Brigowi. W jakim celu? Poczuł lekkie ukłucie w sercu. Czy miała jakiś związek ze śmiercią Maxa? Czy jej rola polegała na takim zajęciu jego uwagi, by nic nie wzbudziło jego podejrzeń? Tego ranka, gdy przyniosła mu kubek kawy, zatrzymując go przy namiocie, Fletcher pomagał Tandy'emu przy koniach. Zacisnął szczęki, by powstrzymać jęk grozy. Przypomniawszy sobie słowa, które dziś rano padły z jej ust, doznał takiego wrażenia, jakby ostry sztylet ugodził go w serce. „Dlaczego uratowałeś mu życie? Przecież byłoby ci na rękę, gdyby stąd zniknął”. Chcąc oderwać się od tych obsesyjnie powracających słów, całą uwagę skoncentrował na rozmyślaniach o podkowie, którą zgubił srokacz Maxa. To również wydało mu się podejrzane.

Śmierć Maxa była zbrodnią, ukrytą pod pozorami wypadku. Jak mógłby tego dowieść? Było to niemożliwe. To Tandy miał pieczę nad końmi. Zarówno on, jak i Brig mieli dostęp do gniadosza. Bogiem a prawdą, spośród nich wszystkich to właśnie on miał na pozór najwięcej powodów, by zabić swego kuzyna. Czy plan uwzględnił również i ten aspekt? Brig zastanawiał się, dlaczego Fletcher, mając do wyboru tylu wytrawnych fachowców, wybrał na przewodnika właśnie jego. Jednak pobudki Fletchera, jakkolwiek nieco naciągane, wydały się Brigowi nie pozbawione logiki. Zanadto po-

trzebował pieniędzy by zawracać sobie głowę tego rodzaju wątpliwościami. I pewnie na to liczył Fletcher.

Wszystko od samego początku zostało ukartowane. A on, jak skończony dureń, dał się złapać w pułapkę. Jeżeli wyjdzie na jaw, że ów wypadek był w rzeczywistości morderstwem, to okaże się, że właśnie Brig miał motyw, okazję i środki. Kto złoży stosowne zeznania? Fletcher, jego córka i syn. Wszystko sugerowało, że byli tylko Bogu ducha winnymi obserwatorami. Brig pojął, że gdyby pisał jedno słowo, sam by sobie założył sznur na szyję. Musiał zdobyć dowód obciążający Fletchera — przekonujący motyw.

Brig nigdy specjalnie nie przepadał za Maxem ani go nie szanował. Nie starał się zresztą udawać, że jest przejęty jego śmiercią. Ale miałby ukryć zbrodnię tylko dlatego, że nie lubił Maxa? Co to, to nie! Nie dopuści do tego, by Fletcher tak łatwo się z tego wykreślił.

— Przyniosłem maść od Jocko. — Tandy biegł w strumieniach deszczu. — Mam też szmatki i ciepłą wodę do przemywania ran.

— To zajmij się nim.

Brig odstąpił od konia i wsunął do kieszeni gałązkę ciernistego krzewu.

Tandy ukląkł przy tylnych nogach zwierzęcia i ostrożnie zabrał się do przemywania otwartych ran. Brig podszedł do trzech jucznych koni i wytarłszy przemokniętą wodą grzbiety, założył juczne siodła, przygotowując zwierzęta do drogi.

— Mamy o dwa konie za mało. Co zrobimy? — spytał Tandy.

— Będziemy musieli rozdzielić ładunek pomiędzy jeźdźców. Każdy zabierze swój śpiwór i to, co zostanie po objuczeniu koni. Nie mamy wyboru.

— A co z Mułem? Nie wygląda na to, żeby miał dość sił do takiej długiej drogi.

Koń szarpnął za postronek, którym był przywiązany

do palika, ponieważ woda z mydłem, którą Tandy przemywał mu rany na nogach, wywołała piekący ból.

— Trzeba będzie puścić go luzem. Zdejmę też podkowy srokatemu. Pójdą za nami kawałek, a potem może same trafią na ranczo. — Los koni nie był w tej chwili największą troską Briga. — Czy zauważyłeś gdzieś w okolicy jakieś kolczaste krzewy?

— Kolczaste krzewy? — powtórzył zaskoczony Tandy.

— No właśnie, kolczaste krzewy albo cierniste krzewy, jeśli wolisz — indagował cierpliwie Brig. — Może rzuciło ci się w oczy coś takiego?

— Nie przypominam sobie, ale, prawdę mówiąc, oczu sobie za nimi nie wypatrywałem. A dlaczego pytasz?

— Tak sobie. — Brig wzruszył ramionami. — Odniósł jakieś poważniejsze rany?

— Nie, ale niektóre z nich są diablo bolesne, — Koń wierzgnął, starając się jednocześnie capnąć Tandy'ego zębami. — Spokój! — huknął na niego Tandy, dając mu sójkę w bok. — Toć staram ci się pomóc, ty zakuta pało! Zasłużyłeś sobie na to, żeby cię bolało, bo przez ciebie, szkapo jedna, zginął człowiek! — Koń parsknął i stanął spokojnie, speszony raczej grzmiącym głosem Tandy'ego niż wymierzonym w brzuch kuksańcem. — Jak myślisz, czy władze będą chciały w związku z wypadkiem Maxa obejrzeć sobie Muła?

— Nie wiem. W każdym razie zabrać go nie możemy, bo za bardzo by nas opóźniał. — Brig, założywszy juczne siodło na grzbiet ostatniego konia, mocno dociągnął popręg. — Jeżeli zechcą go obejrzeć, to najpierw będą musieli go sobie znaleźć.

— Co racja, to racja — westchnął Tandy. — Szlag by to trafił, cp za parszywy dzień!

Brig odwiązał swojego konia i zdjął płachtę z jego grzbietu. Zaświtała mu w głowie pewna myśl i postanowił przekonać się, czy jego podejrzenia są słuszne.

Tandy podniósł na niego wzrok i widząc, że Brig wskakuje na siodło, spytał:

— Dokąd jedziesz?

— Muszę coś sprawdzić. Niedługo wrócę.

Izabelowaty koń przemieszczał się niemal bezszmerowo, stąpając po warstwie wilgotnych świerkowych igieł. Brig ominął obozowisko i skierował się ku szlakowi wiodącemu do stromego zbocza. Deszcz padał nadal. Brig zwolnił bieg konia do stępa. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by sprawdzić, czy po jednej lub drugiej stronie drogi nie znajdzie kolczastych krzewów. Wzdłuż ścieżki rosło ich bardzo niewiele, a strome zbocze w pobliżu biegnącego zakosami szlaku było zupełnie pozbawione roślinności. Brig zeskoczył z konia i, uwiązawszy go, podszedł do miejsca, gdzie gniady koń zrył kopytami ziemię stając dęba pod Maxem. Potem, uważnie wpatrując się w ziemię, ruszył po śladach aż do skalnego osuwiska. W połowie drogi dostrzegł jakiś niewielki przedmiot. Był to skórzany portfel, ukryty częściowo pod drobnymi kamykami. Podniósł go z ziemi i włożył do kieszeni. Tu również nie było ani ciernistych krzewów, ani kolczastych krzewinek.

Koń zarżał na widok powracającego Briga, który z roztargnieniem pogłaskał go po wilgotnych chrapach, po czym wskoczył na siodło. Z posępną, napiętą twarzą ruszył w stronę obozowiska, mając zamiar ponownie je ominąć, by nie przejeżdżać przez jego teren. Zanim jednak dotarł do miejsca, gdzie zamierzał odbić nieco w bok od drogi, zauważył, że ktoś nadchodzi w jego stronę. Był to Fletcher. W tej sytuacji Brig pojechał drogą wiodącą prosto do obozowiska. Fletcher, nie tracąc zimnej krwi, zwrócił ku niemu opanowaną twarz, na której malowało się tylko nieznaczące zainteresowanie celem eskapady Briga.

— Skąd jedziesz?

— Wróciłem tam, gdzie byliśmy dziś rano — przyznał Brig, nie mogąc uczynić inaczej.

— A po co?

Brig sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

— Zauważyłem, że Max nie ma przy sobie portfela. Chciałem poszukać. — Jego surowa twarz nie ujawniała żadnych uczuć.

— Tandy mi mówił, że zamierzasz puścić Muła luzem, licząc na to, że sam odnajdzie drogę na ranczo.

— Zgadza się. — Brig wstrzymał konia i nachyliwszy się do przodu, wsparł przedramiona na łęku siodła. Jutro ten koń będzie jeszcze tak obolały, że co najwyżej zdoła kuśtykać. Wróci na ranczo, jak tylko będzie mógł.

— Spojrzał Fletcherowi prosto w oczy. — Nie sądzę, żeby władzom specjalnie zależało na przeprowadzaniu oględzin konia. W końcu był to przecież nieszczęśliwy wypadek.

— No tak, bez wątplenia. Dziś rano proponowałem mu, że ja wezmę tego gniadosza. Obawiałem się, że sobie z nim nie poradzi. Ale nawet nie chciał słuchać. A teraz... — westchnął. — Cóż, teraz już nie żyje.

Brig rzucił Fletcherowi portfel. Siodło zaskrzypiało, kiedy uniósł się w strzemionach.

— Poproś Jocko, żeby włożył ta do rzeczy Maxa — rzekł, po czym cmoknął na konia i okrążywszy Fletchera, pojechał kłusem do obozowiska.

Namioty były już zwinięte, dwa konie objuczone.

Tego wieczora zamienili ze sobą niewiele słów, rozmawiali wyłącznie o tym, co konieczne. Rozbili prowizoryczny obóz, rozpinając na żerdziach dwie plan-deki chroniące ich przed nieustannie siąpiącym deszczem. Od tyłu przytwierdzili je do ziemi, obciążając ciężkimi kamieniami, Stanowili wyjątkowo ponurą kompanię, gdy po kolacji zasiedli skuleni przy ognisku pod plan-deką, próbując się trochę rozgrzać. Jordanna poszła spać pierwsza, wślizgnąwszy się w ubraniu do śpiwora.

Pozostali wkrótce poszli w jej ślady. Przy ognisku został tylko Brig. Jordanna ułożyła się na boku i leżała wpatrzona w płócienną ścianę, na której odbijały się ruchliwe płomienie ogniska. Powieki ciążyły jej coraz bardziej, aż w końcu zamknęła oczy.

Nadejście zbawiennego snu było dla niej prawdziwym dobrodziejstwem. Potem wszakże pojawiły się senne majaki. Znow była na tamtym zboczach i patrzyła, jak gniady koń zaczyna szaleć, chcąc zrzucić jeźdźcę z siodła. Staje dęba i Max pada na ziemię. I wtedy nagle w sennej wizji następuje przedziwna zmiana: teraz to Jordanna spada z konia. Walczy z tym koszmarem, powtarzając sobie, że to tylko sen, i starając się znów przywołać obraz Maxa. Na próżno, wizja powtarza się nieustannie. Najpierw pojawia się Max, potem ona, potem znów Max i znów ona — bez końca. W pewnej chwili przestaje już panować nad sytuacją. Stacza się gwałtownie po zboczach, porwana strumieniem zsuwających się kamieni. Nieuchronnie zbliża się ku śmierci.

Coś dotyka jej ramienia, Jordanna chwyta się tego kurczowo, by nie runąć w przepaść. Ale to coś gwałtownie szarpie ją za ramię, wrywając ze snu. Czuje, że jakiś ostry przedmiot kaleczy jej dłoń. Pod wpływem tego bólu otwiera oczy.

Zobaczyła pochylającego się nad nią Briga. Była mokra od potu i drżała gwałtownie. Intensywność sennego koszmaru ciągle jeszcze uniemożliwiała jej powrót do rzeczywistości. Nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, usiadła i w geście paniki zarzuciła ramiona na szyję wybawcy. Nie zwróciła uwagi, że zawahał się przez chwilę, zanim objął jej drżące ciało i przytulił do siebie. Podniósł ją i zaniósł w pobliże ogniska.

— Ja... miałam sen — wyjąkała próbując mu wyjaśnić.
— Spadałam ze zbocza. Najpierw to Max spadał, ale ciągle okazywało się, że to jestem ja.

— Już po wszystkim. — Oschłe i lakoniczne słowa nie przyniosły jej ukojenia.

Wtuliła twarz w skórzaną kurtkę Briga, pachnącą wilgocią, koźmi i dymem. Wyczuła ledwie uchwytny zapach piżma, charakterystyczną woń mężczyzny. Zdołała opanować spazmatyczny oddech, lecz jej serce nadal łomotało gwałtownie w piersiach. Raptem uświadomiła sobie, że boli ją dłoń. Podniosła ją i zauważyła dwie maleńkie ranki, z których sączyła się krew. Wytarła dłoń o rękaw, zastanawiając się, skąd mogły się Wziąć te skaleczenia.

— Nigdy nie zdołasz zmyć krwi ze swoich rąk, Jordanno. — Głos Briga zabrzmiał posępnie i złowrogo.

Przejęta dreszczem, oderwała twarz od jego piersi i spojrzała mu w oczy. Szerokie rondo kapelusza rzucało cień na jego twarz, nadając jej niepokojąco mroczny wyraz. Ciemna linia wąsów wydawała się ciemniejsza niż zwykłe, co nadawało jego rysom jeszcze większą surowość. Wzgarda, odbijająca się w jego oczach, stawała się dla Jordanny nie do zniesienia. Ogarnęła ją nagła panika.

— D... dlaczego tak mówisz?

Była skonsternowana, wściekła, a zarazem nieco zatrwożona.

— Jaka jest twoja rola w tym wszystkim, Jordanno?
— ciągnął tym samym tonem.

— W czym?

— W śmierci Maxa.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

Odepchnęła go i wstała. Była wstrząśnięta. Zimne górskie powietrze zamieniło jej oddech w obłoczki pary. Jordanna zadrżała. Chłód panujący wokół i chłód, który poczuła w głębi duszy, to stanowczo za dużo. Mocno objęła się ramionami, by choć trochę się rozgrzać. Brig stanął obok niej. Jego oskarżenia przeraziły ją, tym bardziej że sama też nie potrafiła się pozbyć poczucia winy.

— Postradałeś zmysły, Brig! — zaprotestowała niepe-
wnym głosem.

Chwycił ją za ramię i brutalnie przyciągnął do siebie.

— Dlaczego to zrobiłaś, Jordanno? — spytał ogarnięty
ślepą furia. — Dlaczego?

Choć jego zachowanie napawało ją lękiem, śmiało
spojrzała mu w twarz.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.
A teraz puść mnie. Sprawiasz mi ból.

Jedyną jego odpowiedzią był jeszcze mocniejszy
uścisk, który niemalże miażdżył żebra Jordanny. Straciła
oddech. Z zaborczą brutalnością przywarł ustami do jej
warg. Ta gwałtowna napaść ujawniła całą drżącą
w nim nieopanowaną porywczosć. Jordanna doznała
szoku, próbowała zwalczyć ogarniające ją zamroczenie.
Nie mogła oddychać, zaczęła się dusić, czuła się bezsilna
i coraz bardziej zamroczona.

Po chwili Brig odepchnął ją z taką samą brutalnością.
Jordanna zachwiała się, zrobiła krok do tyłu. Spojrzała
na niego piorunującym wzrokiem.

— Idź spać! — warknął przez zęby. — Zejdź mi z oczu!

Ogarnięta grozą popatrzyła na niego i pośpiesznie,
potykając się, wsunęła się do śpiwora. Drżała tak, jak
po niedawnym koszmarnym śnie. Brutalność Briga
sprawiła, że wydał się jej obcy — choć jeszcze niedawno
byli sobie tak bliscy. Jordanna nie mogła się rozgrzać,
miała gęsią skórkę. Zwinęła się w kłębek jak mała
dziewczynka.

18

Brig przystanął, żeby rzucić okiem na swoje odbicie w szybie baru. Niewiele spał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby się ogolić przed wyjazdem. Wzrok miał błędny, wyglądał na wyczerpanego i tak też się czuł — był ledwie żywy.

Po zgłoszeniu śmierci Maxa musiał załatwić wszystkie niezbędne formalności, żeby można było przewieźć ciało do Nowego Jorku. Wszystko wskazywało na to, że władze zaakceptowały wersję wypadku i nawet jeśli dostrzegano potrzebę wyjaśnienia paru kwestii, to było raczej oczywiste, że Fletcher, Jordanna i Kit, którzy mieli w tej sprawie złożyć zeznania, potwierdzą ustalony wstępnie przebieg wydarzeń. Ciernista gałązka nadal tkwiła w kieszeni Briga, niemal przy każdym kroku kłując go w udo.

Stojąc ze wzrokiem utkwionym w plakat zachwalający zalety popularnej marki piwa, Brig zaczął się zastanawiać, co go, u licha, podkusiło, żeby w tym właśnie barze wyznaczyć spotkanie trojgu „świadkom”. Bóg jeden wiedział! Marzył o szklance piwa, dzięki której mógłby pozbyć się z ust smaku goryczy, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko nasilił tępy ból żołądka.

Podszedł do drzwi baru i otworzył je zdecydowanym

mchem. Długim leniwym krokiem podszedł do kontuaru, głośno szurając butami na twardej posadzce. Sala tonęła w półmroku, nikogo prócz barmanki jeszcze nie było. Brig usiadł w najciemniejszym kącie.

Gdy tylko wszedł, Trudie natychmiast odłożyła papierosa i szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Brig! Tak dawno cię już nie widziałam.

Na wspomnienie ich ostatniego spotkania Brig poczuł dreszcz rozkoszy.

— Witaj, Trudie! — starał się mówić miłym tonem, pełnym ciepła i uczucia, lecz tylko częściowo mu się to udało.

Brig usiadł przy barze, wspiąwszy się na ostatni w rzędzie taboret. Wsparł nogę o mosiężną podpórkę, zdjął kapelusz, położył go na podejrzanym czystości ladzie i znużonym gestem przesunął dłonią po włosach.

— Robisz wrażenie, jakbyś wracał z bardzo daleka. — Trudie podeszła bliżej. — Wyglądasz nieszczególnie. Co się stało? Zgubiłeś maszynkę do golenia? — zażartowała.

— Dziś rano co innego miałem na głowie — odrzekł Brig, pocierając szorstki podbródek.

— A gdzie się podziewałeś?

— Przez ostatnie dwa tygodnie byłem w górach.

Brig nie chciał się nad tym rozwodzić. Nie zamierzał opowiadać ani o polowaniu, ani o śmierci Maxa. Po to, by przetransportować ciało Maxa do Nowego Jorku, musiał ujawnić łączące go z nim związki rodzinne. W takiej niewielkiej społeczności wszelkie nowinki rozchodzą się lotem błyskawicy. Bogu dzięki, żona i dzieci Maxa zostali zawiadomieni o jego śmierci drogą oficjalną. Brig nie był więc zmuszony zająć się tym osobiście.

— Dwa tygodnie! — kpiarski uśmiech wykrzywił umalowane wargi Trudie. — To istny cud, że w tym czasie w ogóle zwracałeś sobie głowę golemem,

Brig mógłby jej powiedzieć, że podczas tych dwóch

tygodni miał bardzo istotne powody, by starannie się golić. Musiał myśleć o tym, by swoim ostrym, twardym zarostem nie podrażnić miękkiej, delikatnej skóry Jordanny. Zadraśnięcie jej pięknego ciała wydawało mu się niewybaczalną zbrodnią, zwłaszcza że znał tyle innych, bezbolesnych sposobów przyprawiania Jordanny o dreszcze. I trzeba przyznać, że każdy z nich gruntownie zbadali w praktyce.

— Piwo? — spytała Trudie.

— Nie, szkocką.

Ze zdziwieniem uniosła brew.

— Pierwszy raz zamawiasz coś mocniejszego. Jaki możesz mieć powód? Chcesz zalać robaka? — rzuciła lekkim, żartobliwym tonem, lecz nie zdając sobie z tego sprawy, trafiła w sedno.

— Zmieniłem zdanie — rzekł oschle. — Daj mi piwo.

— Jak sobie życzysz.

Trudie wzruszyła ramionami, spojrzała na niego zaskoczona, po czym postawiła przed nim piwo. Stojąc naprzeciw Briga spytała:

— Długo masz zamiar zostać w mieście?

Ani jej pełen nadziei wzrok, arii zachęta w tonie głosu nie wywarły na Brigu wrażenia. Przez chwilę miał nawet ochotę skorzystać z jej propozycji i pójść z nią do łóżka. Zrobiliby to wyłącznie dla przyjemności, po to, by zaspokoić zmysły. I wcale by nie musiał ukrywać swych emocji. Nie było to jednak to, czego naprawdę pragnął.

— Niedługo. Mam się tu spotkać z pewnymi ludźmi.

Rozpiął ciepłą kurtkę i powiesił tuż przy barze. Wsparłszy łokcie na miętko wyściełanej krawędzi baru, wypił spory łyk piwa, po czym otarł wąsy wierzchem dłoni.

— A czy Tandy i inne chłopaki też przyjechali z tobą do miasta?

— Nie.

Otworzyły się drzwi. Brig okrzyknął się na taborecie. Do baru wszedł Fletcher, za nim podążali Jordanna i Kit. Brig rzucił krótkie spojrzenie na Fletchera i zatrzymał wzrok na Jordannie. Piękno jej wysmukłej sylwetki o kształtnym biuście w godny podziwu sposób uwypuklał strój, który miała na sobie: opięte spodnie w kolorze miodowym, miękka bluzka z kremowego jedwabiu i sięgająca do pasa brązowa futrzana kurtka. W pierwszej chwili nie zauważyli go w pograżonym w półmroku barze. Brig nawet się nie starał ukryć pragnienia, które Jordanna w nim wzbudziła — pożerała ją wzrokiem. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie wolno mu okazać jej zaufania, ponieważ, w ten czy inny sposób, w sprawie dotyczącej wypadku była związana z ojcem. Jeśli zaś chodziło o Kita, jego rola wydawała się trochę niejasna, ale Brig był pewien, że on również jest w tę sprawę zamieszany.

— Chyba przyszliśmy za wcześnie — uznał Fletcher. Brig ani drgnął.

Troje na jednego. Do diaska, nieraz mu się to już przedtem zdarzało i zawsze udawało mu się jakoś wyjść z tego cało. Ale strzegł się, by nie popaść w zbyt ni optymizm. I to nie dlatego, że doświadczenie nauczyło go przeczności, dzięki której bez szwanku wychodził dotychczas z trudnych sytuacji. Jeśli zdawał sobie sprawę, że tym razem musi zachować szczególną ostrożność, to przyczyna tkwiła w tym, że był teraz tak podatny na ciosy. Jego skuteczny dotychczas system obrony został w pewnym punkcie przerwany. Ową luką, stanowiącą dla niego zagrożenie, było uczucie do Jordanny. Wprawdzie od dnia śmierci Maxa trzymali się z dala od siebie — od tamtej chwili, gdy żądza krwi opanowała go z równą siłą, jak namiętne pragnienie jej ciała, Brig nie był w stanie rozstrzygnąć, która z tych namiętności zwycięży. Odepchnął Jordannę, ale wysiłek, by zwalczyć pragnienie porwania jej w ramiona, zaczynał już przeras-

tać jego siły. Zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła nad sobą panować.

— To ona, co? — szepnęła Trudie, wiedząc z góry, jaką otrzymałaby odpowiedź, gdyby Brig był z nią szczerzy.

Wyraz bólu na jej twarzy dowodził, że odczuwała raczej zawiść niż zazdrość. Zdawała sobie sprawę, że nie może rywalizować z Jordanną — nie ma ani jej urody, ani takiej klasy.

Na posępnej twarzy Briga odbiło się rozdrażnienie. Rzucił Trudie ostre spojrzenie, rozżłoszczony, że ona też natychmiast przejrzała to, co wolałby ukryć. Wyprowadziło go to z równowagi. Wziął szklanekę z piwem, zsunął się z taboretu i ruszył ku rodzinnemu tercetowi.

Odgłos obcasów Briga, gdy zaszurał butami wstając z taboretu, zelektryzował Jordannę. Jej wzrok, jakby przyciągany magnetyczną siłą, powędrował ku ciemnemu kąтови, z którego po chwili wynurzył się Brig. Spędziła tę noc w jego pokoju, tym razem jednak sama. Brig opuścił ranczo, gdy jeszcze spała. Wydawał się zmęczony, rozdrażniony i zdecydowany. Zdecydowany? Ale na co zdecydowany? Dlaczego nasunęło się jej takie określenie? Zadrżała pod wpływem twardego spojrzenia, które na nią rzucił. W głowie miała zamęt — kochała go, nienawidziła, pragnęła, a zarazem odpychał ją i stanowił dla niej zagrożenie.

— Witaj, Brig — odezwał się Fletcher. — Nie zauważyliśmy cię w pierwszej chwili.

Brig bez słowa powitania skinął mu głową.

— Usiądźmy przy tym stoliku. — Wybrał miejsce najślabiej oświetlone i usiadł w najciemniejszym kącie.

Fletcher usadowił się naprzeciw niego. Jordanna, najwyraźniej czując się bardzo nieswojo, usiadła po prawej stronie Briga. Kit zaś zajął miejsce obok ojca. Do stolika podeszła Trudie, żeby przyjąć od nich zamówienie. Zmierzyła Jordannę smutnym i zarazem

lekceważącym wzrokiem. Jordanna zerknęła na Briga. Nie wątpiła, że w jego życiu z pewnością były jakieś inne kobiety, ale nie przypuszczała, że w tym barze stanie twarzą w twarz z jedną z nich. Brig, spojrzawszy na nią, zacisnął szczęki. Musnął wzrokiem Trudie, a potem wpatrzył się uporczywie w Jordannę. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Czy chciał w ten sposób pokazać im, zarówno jednej jak i drugiej, że jedna kobieta nie potrafi go przy sobie zatrzymać? A może próbował jej dać do zrozumienia, że już się nią znudził i ich przygoda należy do przeszłości? Istotnie, przez ostatnie dwa dni wyraźnie jej unikał, odsunął się od niej, począwszy od tamtej nocy, gdy ogarnięty furją, rzucił jej w twarz tak obłąkańcze i niedorzeczne oskarżenia.

— Czy życzą sobie państwo, żebym podała coś do picia? — spytała Trudie z szerokim uśmiechem.

— Napiłbym się piwa — odezwał się Fletcher.

— Dla mnie nic, dziękuję — powiedział Kit.

— A można by poprosić o kawę? — spytała Jordanna, podnosząc oczy na Trudie.

— Ależ oczywiście, nic prostszego. Może jeszcze coś dla pani przynieść? Szklaneczkę whisky?

— Nie, dziękuję. Tylko czarną kawę bez cukru.

— A ty, Brig? Wypijesz jeszcze jedno piwo? — spytała ciepłym, poufałym tonem.

— Nie. Dzięki, Trudie.

Uśmiechnął się do niej, bawiąc się szklanką, w której zostało trochę piwa.

Po odejściu barmanki Fletcher oparł się plecami o krzesło i wyjął fajkę i tytoń. Nabił starannie cybuch, po czym zapalił. Brig zdawał się koncentrować całą uwagę na Fletcherze, śledził uważnie każdy jego ruch. Jordanna czuła się coraz bardziej nieswojo. Atmosfera była napięta, a ona nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

— Jak było na przesłuchaniu? — spytał Brig.

— Dobrze — odrzekł Fletcher, trzymając fajkę między

zębami. Wypuścił obłoczek dymu, wyjął fajkę z ust i z wielką uwagą zaczął wpatrywać się w cybuch. — Nie zadano nam zbyt wielu pytań. Chodziło im przede wszystkim o potwierdzenie twoich wyjaśnień. Poczyniłem też pewne kroki, żeby niezwłocznie wysłać ciało do Nowego Jorku. A skoro o tym mowa... — Fletcher zerknął na Kita. — Powinieneś zatelefonować do matki, żeby zawiadomić ją o tym, co się stało, zanim prasa rozgrzebie tę historię. Lepiej, żeby nie dowiadywała się z takiego źródła.

Kit uniół głowę i spojrzał ojcu w oczy.

— Dlaczego ja miałbym zawiadomić matkę?

— Ponieważ przyjmie to lepiej, jeżeli dowie się od ciebie. Możesz jej powiedzieć, że jesteśmy wszyscy cali i zdrowi. Kiedy dowie się o śmierci Maxa, na pewno będzie się bardzo o nas martwiła. — Ostatnie zdanie wypowiedział zgryźliwym, jadowitym tonem. Spojrzał przelotnie na Briga. — Żona uważa, że mam skłonność do bagatelizowania problemów. Słowa mojego syna znacznie skuteczniej podtrzymają ją na duchu niż rozmowa ze mną.

Kit spochmurniał, lecz nie oponował dłużej.

— Wiesz, gdzie tu jest telefon? — spytał.

— Przy toaletach — odrzekł Brig i wskazał mu ciemny korytarz w głębi sali.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Jordanna, szczęśliwa, że choć na chwilę oderwie się od pełnej napięcia atmosfery, która coraz bardziej grała jej na nerwach, i będzie miała okazję ochłonać nieco i pozbierać myśli.

Ojciec szarmancko wstał z krzesła, gdy Jordanna odchodziła od stołu. Brig ani drgnął, nawet nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć za oddalającą się dziewczyną. Poczuli się głęboko dotknięci. Jego obojętność wprawiała ją w konsternację. Owszem, powiedziała mu, żeby trzymał się od niej z daleka, ale mówiła to w gniewie i jej słowa nie miały nic wspólnego z prawdziwymi uczuciami.

Czyżby o tym nie wiedział? Chciała tylko, by przestał się przed nią bronić, pragnęła, by przyznał, że jest dla niego kimś więcej niż tylko partnerką gier seksualnych. Wymagała tego i jej miłość do niego, i poczucie dumy. A tymczasem Brig od tamtego dnia w ogóle przestał ją dostrzegać.

Z roztargnieniem słyszała, jak brat rozmawia najpierw z telefonistką, potem z Tessą. Nie mogła oderwać myśli od mężczyzny, który tam, na sali, siedział z jej ojcem.

Kit najpierw upewnił się, że matka dobrze się czuje, a potem przystąpił do powiadomienia jej o zaistniałej sytuacji.

— Mamo, mam dla ciebie złe wieści. Zdarzył się wypadek... Nie, czuję się bardzo dobrze. Jdrdanna jest tu przy mnie, tata też dobrze się czuje. Chodzi o Maxa Sangera.

Jordanna usłyszała wyraźnie, jak matka zasypuje Kita pytaniami, zadawanymi coraz bardziej histerycznym głosem. Jednak niewiele z tej rozmowy do niej docierało i nie zwróciła nawet uwagi, że Kit rzucił na nią pełne obawy spojrzenie. Nad jej myślami niepodzielnie panował Brig...

— Tak mi przykro, mamo. Max spadł z konia. Zginął na miejscu.

Nie wdając się w szczegóły przedstawił jej okoliczności wypadku. Jordanna nie miała najmniejszej ochoty znów tego słuchać. Spostrzegłszy drzwi do toalety, dała znak Kitowi, że chce tam wejść. Kiwnął głową i uśmiechnął się do niej. Jordanna umknęła.

Odejście Jordanny dało Brigowi chwilę wytchnienia. Nie było już potrzeby, aby całą uwagę koncentrować na gestach rozmówcy. Mógł teraz odzyskać kontrolę nad sobą. Z niezwykłym, spokojem — takim jak owa mar-

twota, która ogarnęła jego zmysły po wypadku — włożył rękę do kieszeni, wyjął ciernistą gałązkę i położył ją na stole.

— Co to takiego? — spytał Fletcher. W tonie jego głosu nie było niczego, co mogłoby obudzić podejrzenia, że dobrze wie, co to jest.

— Właśnie o to chciałem cię spytać — odparł Brig.

— Jestem myśliwym, a nie ogrodnikiem. Gdzie to znalazłeś?

— Te ciernie tkwiły pod siodłem, na którym w dniu wypadku jechał Max.

To stwierdzenie nie wywarło na pozór żadnego wrażenia na Fletcherze.

— Można przypuszczać, że gałązka przyczepiła się do derki w chwili, gdy koń staczał się po zboczu — orzekł takim tonem, jakby zupełnie go nie interesowało, w jaki sposób ciernie znalazły się pod siodłem.

Do stolika podeszła Trudie z kawą i piwem. Brig czekał w milczeniu, aż dziewczyna zostawi ich samych.

-- Ja też tak na początku myślałem — przyznał Brig.

— Również Tandy'emu przyszło to na myśl, kiedy pokazałem mu gałązkę. Ale nie daje mi spokoju fakt, że na tym osuwisku, gdzie wydarzył się wypadek, nie ma żadnych kolczastych krzewów. Sprawdziłem to. I rzeczywiście, w pobliżu naszego obozowiska znalazłem tylko jeden taki krzew.

— Tak, to ciekawe — zgodził się Fletcher i z roztagonionym wyrazem twarzy potrząsnął głową. — A zatem ciernie musiały się wbić w jakimś innym momencie.

— Całkiem logiczna hipoteza — stwierdził Brig. — Ale jest w niej pewna luka. Jeśli przyjmiemy, że ciernie przyczepiły się do derki na kilka dni przed wypadkiem, to przecież gniady nawet dwóch kroków by nie przeszedł spokojnie i natychmiast zaczęłyby stawać dęba.

— Prawda, zapomniałem o tym. — Fletcher pociągnął z fajki i zmarszczył brwi z zadumą na twarzy. — A według ciebie, jak te ciernie się tam znalazły?

— Sądziłem, że może ty znasz odpowiedź na to pytanie — rzekł Brig i w jego oczach pojawiły się wyzywające błyski. — Wszystko wskazuje na to, że ktoś podłożył je tam umyślnie.

— Wolne żarty! — wykrzyknął Fletcher i wybuchnął śmiechem. — Czy zdajesz sobie sprawę, co próbujesz insynuować?

— Że śmierć Maxa nie była przypadkiem? Ja tego nie insynuuję, ja to stwierdzam.

To starcie mogło się okazać dość ryzykownym manewrem. Brig wiedział o tym. Przez dwa dni rozważał wszystkie za i przeciw, i w rezultacie doszedł do wniosku, że nie ma innego sposobu, by zmusić Fletchera do wyznania prawdy. Musiał go przekonać, że zna przyczynę śmierci Maxa.

Półuśmiech, który przedtem gościł na twarzy Fletchera, teraz zniknął bez śladu. Smith wbił wzrok w Briga.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje? Jeśli okazałoby się, że Max został zamordowany?

— Tak. Ktoś umyślnie podłożył to... — Brig, obracając kolczastą gałązkę w palcach, podsuwał ją pod nos Fletchera. — ... pomiędzy siodło a grzbiet konia, wiedząc, że Muł lubi stawać dęba. Teraz tylko wystarczyło czekać, aż zaczniemy się wspinać po stromym zbocz, żeby ciężar jeźdźca przesunął się ku tyłowi siodła i żeby kolce wbiły się w grzbiet zwierzęcia.

— Ale kto mógłby zrobić coś podobnego? I dlaczego? — spytał Fletcher zmarszczywszy brwi. Wyraz niedowierzania, malujący się na jego twarzy, każdego mógłby wprowadzić w błąd.

— Znam winnego — zapewnił Brig. — Muszę jeszcze tylko ustalić, dlaczego to zrobił.

— No więc, kto to jest?

Sardoniczny uśmiech przemknął po wargach Briga.

— Ty to zrobiłeś, Fletcher.

— Ja?! Chyba nie mówisz poważnie! — Jego przystojna twarz zmieniła się, zdradzając niedowierzanie i zaskoczenie.

— Jestem śmiertelnie poważny. Miałeś ku temu świetną sposobność, kiedy uwiązywałeś konia po tym, jak Tandy go poskromił. — Brig zawiesił głos. — Poza tym zastanawiam się, czy dwa wcześniejsze wypadki nie były nieudanymi próbami zabójstwa. Szok wywołany ukąszeniem przez grzechotnika z powodzeniem mógłby zabić Maxa. Również czysty przypadek sprawił, że udało mi się uratować mu życie, kiedy oberwała się pod nim półka nad przepaścią.

Po twarzy Fletchera przemknął wyraz gniewu i oburzenia.

— Na wypadek, gdyby ci naprawdę zależało na wniesieniu tego oskarżenia, to pozwól sobie przypomnieć, że ty wybrałeś tę trasę i tylko ty ją znałeś. Nie zapominaj również i o tym, że, w odróżnieniu ode mnie, ty miałeś motyw, aby zabić Maxa. Teraz, kiedy Max nie żyje, Sanger Corporation znalazła się w twoich rękach. Należy do ciebie. Znane są przypadki, kiedy zabijano z powodów znacznie błahszych niż spółka szacowana na wiele milionów dolarów.

Brig rzucił na Fletchera przeszywające spojrzenie.

-- A kto udzielił ci takiej informacji? Z pewnością nie Max, zważywszy, jak rozpaczliwie starał się sprzedać ci swoje udziały w spółce.

Fletcher siedział przez chwilę bez słowa. Wpatrując się badawczo w twarz Briga, zastanawiał się, jakiej odpowiedzi mu udzielić.

— To chyba zrozumiałe, że kiedy Max zaproponował, bym od niego odkupił jego udziały, kazałem przeprowadzić małe dochodzenie. Najpierw moi ludzie zajęli się spółką, a potem także tobą. Musiałem upewnić się, kim jest człowiek, któremu chcę powierzyć zadanie

zorganizowania wyprawy myśliwskiej. Wystarczy teraz tylko porównać wyniki tych dwóch dochodzeń, żeby mieć pełny obraz sytuacji.

— W takim razie wiedziałeś również, że spółka znalazła się na krawędzi bankructwa. Bardzo kosztowny spadek — raczej kłopotliwy. Naprawdę myślisz, że warto było z tego powodu zabijać?

— Mogła tobą kierować chęć zemsty. Ostatecznie to z powodu chybionych inwestycji Maxa spółka znalazła się na krawędzi bankructwa. Mogłeś, dajmy na to, wpaść we wściekłość, widząc w jak nieudolny sposób Max zarządza firmą. Może pomyślałeś sobie, że lepiej będzie, jeżeli Max umrze, zanim nastąpi ostateczny krach, ponieważ uznałeś, że ty sam zdołasz jeszcze uratować sytuację.

Nie uszło uwagi Briga, że wszystkie argumenty, przytoczone przez jego przeciwnika, mają jeden oczywisty cel: sfabrykować oskarżenie przeciwko niemu.

— Mógłbyś jeszcze uratować spółkę, przy pewnym wsparciu finansowym. Brałem pod uwagę możliwość zaferowania mojej pomocy Maxowi. Teraz proponuję ją tobie.

— W zamian za co? Za moje milczenie? — spytał ironicznie Brig. — Chciałbyś, żebym wyrzucił te ciernie do śmieci i zapomniał o ich istnieniu.

— A cóż ja mogę wiedzieć na temat tych cierni! — Fletcher chwycił gałązkę i rzucił ją na drugą stronę stołu, do Briga. — Twierdzisz, że znalazłeś ją pod siodłem Maxa. Skąd mogę wiedzieć, czy mówisz prawdę? O ile mi wiadomo, mogłeś ją znaleźć gdziekolwiek. — Uniósł lekko głowę i spojrzał w oczy Brigowi. — Moja propozycja dotyczy wyłącznie interesów.

Nie ulegało wątpliwości, że Fletcher to twarda sztuka. Brig zdawał sobie sprawę, że niełatwo będzie go złamać. Zaprzeczył wszystkim jego stwierdzeniom, a nawet wykorzystał je jako kontrargumenty przeciwko niemu,

wykazując, jak można z nich uczynić poszlaki obciążające Briga. W misternej intrydze, którą uknuł Fletcher, wszystko działało bez zarzutu.

— Pomiñałeś rzecz najważniejszą: Sanger Corporation mnie nie interesuje. Nie zgodziłem się stanąć na jej czele czternaście lat temu i nie zmienię zdania także i dziś. Twoja kusząca propozycja nie robi na mnie wrażenia, Fletcher. Wiem, że ty zabiłeś Maxa, i nawet złoto całego świata nie wystarczyłoby, żeby kupić moje milczenie.

Fletcher, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy, potrząsał siwą głową.

— Dlaczego upierasz się przy swoich niedorzecznych oskarżeniach? Zapomniałeś już, jak proponowałem, że sam pojedę na tym gniadoszu zamiast Maxa? Czy zrobiłbym to wiedząc, że pod siodłem ukryty jest cierń?

— Nie, nie zapomniałem. Trzeba przyznać, że to był bardzo chytry fortel. Doskonale wiedziałeś, że mój kuzyn nie zgodzi się na to, nie chcąc wyjść na tchórza. Nie ryzykowałeś zbyttnio, rzucając taką propozycję.

— W tej twojej historyjce jest wszakże coś, czego w żaden sposób nie mogę pojąć. Skoro twierdzisz, że jakoby nie masz żadnych wątpliwości, że to ja uknułem zamach na życie Maxa, to dlaczego nie zawiadomiłeś o tym władz? — spytał wyzywająco Fletcher.

Brig uśmiechnął się sarkastycznie pod wąsem.

- Ponieważ na razie nie mam przeciwko tobie dostatecznych dowodów. Ale to kwestia czasu.

— Co cię skłoniło do podjęcia tej szlachetnej krucjaty w imię prawdy i sprawiedliwości? Przecież Max Sanger nigdy nic dla ciebie nie znaczył. Gardziłeś zarówno nim, jak i tym wszystkim, co uosabiał. Cóż może cię obchodzić, w jaki sposób zginął?

— Spodziewałeś się, że z zadowoleniem przyjmę fakt jego śmierci i nie będę sobie zawracać głowy okolicznościami, w jakich do tego doszło? — spytał cicho Brig,

z jadowitym sarkazmem w głosie. — Może i nie przepadałem zbytnio za moim kuzynem, ale, moim zdaniem, nie może to stanowić dostatecznego powodu, żeby pozwolić zabójcy ujść bezkarnie. A twój drugi błąd, Fletcher, polega na tym, że bierzesz mnie za frajera, na którego będziesz mógł zrzucić winę i zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

— Doprawdy, w osłupienie wprawia mnie niedorzeczny upór, z jakim snujesz te swoje dziwaczne uroje-
nia! — rzekł ze śmiechem Fletcher. — Wierzyć mi się nie chce, że mówisz serio. Max spadł z konia. Zwierzę stanęło dęba, Max spadł i zabił się na miejscu. Jak sam przed chwilą wyraźnie zauważyłeś, koń, o którym mowa, miał opinię narowistego i wiadomo było, że lubi sobie pobrykać. A może to cię właśnie dręczy? Obawiasz się, żeby cię nie oskarżono o nieumyślne zabójstwo, ponieważ lekkomyślnie dopuściłeś do tego, żeby niedoświadczony jeździec dosiadł narowistego konia?

— Czyżbyś podsunął zręcznie władzom taki właśnie trop? — Brig łypnęła z wściekłością na swego rozmówcę, lecz Fletcherowi nawet nie drgnęła powieka.

— Nie miałem dotychczas żadnego powodu podejrzewać, że w ten czy inny sposób przyłożyłeś ręki do śmierci Maxa. A zresztą, nawet gdybym miał jakieś podstawy do podejrzeń, to raczej bym się nie śpieszył z wysuwaniem oskarżeń, nie mając w rękach przekonującego dowodu. — Fletcher wzruszył ramionami i z całkowitą obojętnością dorzucił: — Zdaje się, że Jordannie bardzo na tobie zależy. Nie chciałbym wyrządzić jej krzywdy, wnosząc przeciwko tobie, być może bezpodstawne, oskarżenia.

— Ano właśnie, Jordanna! — podchwycił Brig oschłym tonem. — Pomówmy o Jordannie! Odegrała swoją komedię nie gorzej od ciebie. Jaka szkoda, że jej się nie udało skutecznie odwrócić mojej uwagi! Może nigdy bym nie znalazł tego ciernia.

— Nie wiem doprawdy, o czym ty mówisz. Mam przez to rozumieć, że nie zamierzasz poślubić mojej córki?

— Założę się, że tylko na to czekasz. Pewnie masz nadzieję, że jak już będę twoim zięciem, to z miejsca przejdzie mi ochota, żeby ujawnić całą prawdę o śmierci Maxa. O to chodzi, tak? — wycedził z zimną pogardą. Nie mógł odnosić się choćby z pozorami respektu do człowieka, gotowego sprzedać własną córkę po to, by kupić jego milczenie.

— Kiedy Jordanna będzie wychodzić za mąż, jestem gotów ofiarować jej bardzo hojny posag. Nawet jeśli nie interesuje cię Sanger Corporation, to nie możesz zaprzeczyć, że twoje rancho wymaga licznych, bardzo kosztownych inwestycji.

— Z pewnością trudno ci będzie dać temu wiarę, ale wyobraź sobie, że mnie to rancho podoba się dokładnie takie, jakie jest. Ponadto nie mam najmniejszej ochoty zostawać współnikiem mordercy i z pewnością nie mógłbym zaufać jego córce. Kto mi zaręczy, że gdybym się z nią ożenił, to sam pewnego dnia nie stałbym się ofiarą poślubienia godnego wypadku na polowaniu? W końcu nawet najbardziej doświadczonemu myśliwemu może nieraz drgnąć ręka przy celowaniu.

— No tak, teraz już wszystko jasne. Ani chyba postradałeś zmysły! — orzekł Fletcher.

— Czyżby? A to dlaczego? Czy dlatego, że odrzucam zarówno twoją propozycję finansową, jak i możliwość poślubienia twojej, jakże pociągającej, córki? Może i masz rację. Z pewnością trochę mi się pomieszało w głowie. Ale jedno mogę ci obiecać: udowodnię, że zabiłeś Maxa, i znajdę przyczynę tej zbrodni.

— Ale jak już znajdziesz ów motyw, to nie zapomnij, na Boga, poinformować mnie o swoim odkryciu — rzekł z tupetem Fletcher, a ton jego głosu zdradzał szczerą rozbawienie. - Doskonale wiesz, że Max był słabeuszem,

z którym mogłem zrobić, co mi się żywnie podobało. Gdyby jednak próbował wejść mi w paradę, to bez trudu znalazłbym niejedyn sposób, żeby go unieszkodliwić, bez konieczności uciekania się do morderstwa.

I to właśnie nie dawało Brigowi spokoju — nie mógł zaprzeczyć, że ten argument brzmiał przekonująco. Tym bardziej nie mógł zrozumieć, dlaczego Max stanowił dla Fletchera takie zagrożenie, że posunął się aż do morderstwa. Mógł go na przykład zrujnować. Nagle przyszło na myśl Brigowi, że kto wie, czy właśnie tego nie zrobił. Czy można było wykluczyć możliwość, że pominawszy inne względy, Fletcher przyczynił się do finansowych kłopotów Maxa i całej spółki? Jednak ta hipoteza tylko gmatwała obraz sytuacji. Po cóż, u licha, miałyby wobec tego usuwać Maxa w chwili, gdy firma chyliła się nieuchronnie ku upadkowi? Nie ulegało wątpliwości, że w tej układance nadal brak jakiegoś niezmiernie ważnego elementu, który Brig musiał za wszelką cenę odnaleźć.

— Jak tylko znajdę twój motyw, Fletcher, to z pewnością się o tym dowiesz — odparł ostro Brig, starając się ukryć wzburzenie i konsternację. — Ale nie mogę ci, niestety, obiecać, że dowiesz się o tym pierwszy.

— Gdybym był na twoim miejscu, McCord, to dałbym sobie z tym spokój. — Przez chwilę oczy Fletchera zapłonęły uczuciem nienawiści, tak starannie dotychczas skrywanym. — Porwałś się na coś, co przerasta twoje skromne możliwości.

— Czy to groźba, Fletcher? — spytał Brig z szydersstwem w głosie. — Czy też raczej czcze pogroźki starego, bezsilnego człowieka? Prawda jest taka, że tym razem posunąłeś się za daleko. I nie licz na to, że uda ci się z tego wykręcić tanim kosztem.

I w tej właśnie chwili, gdy Brig zamierzał przyprzeć Fletchera do muru i zmusić go do wyznania prawdy, zauważył, że wyraz jego twarzy nagle złagodniał. Przez ramię Briga dostrzegł Jordanę i Kita powracających do

stolika. Jego twarz rozpogodziła się w szerokim, ojcowskim uśmiechu.

— Udało ci się dodzwonić do matki, Kit? — spytał, powściągnawszy ostatnie porywy gniewu, którego jeszcze przed chwilą nie potrafił ukryć.

— Tak... — Kit zawahał się na ułamek sekundy, zanim usiadł na swoim miejscu. — ... I zapewniłem, że nie ma żadnych powodów, aby się o nas niepokoiła.

— To żadna przyjemność dowiadywać się o czyjejś śmierci, zwłaszcza o śmierci kogoś, kogo się dobrze znało. Jest to zawsze silnym wstrząsem — zauważył Fletcher. — Mam nadzieję, że przypomniałeś matce, aby wysłała kwiaty i kondolencje do rodziny Maxa.

— No... nie, nie przypomniałem, ale jestem pewien, że o tym nie zapomni.

— Co to jest? — zdziwiła się Jordanna, sięgając po leżącą na stole ciernistą gałązkę.

Przez kilka chwil Brig nie mógł oderwać wzroku od długich palców Jordanny, delikatnych, a zarazem tak silnych. Nagłym ruchem popchnął gałązkę w stronę dziewczyny, ani na moment nie spuszczać badawczego wzroku z jej twarzy. Wydawało się, że nie ma najmniejszego pojęcia, co oznacza obecność tych kolców na stole. Ale jak tu nie powątpiewać w jej szczerłość?

— To mój talizman.

Wyciągnął rękę i zabrał ciernie z jej dłoni.

— Kolczasta gałązka?

Zerknęła na niego zdziwionym, nieufnym wzrokiem.

— Tak.

Brig schował gałązkę do kieszeni.

— To z pewnością bardziej oryginalne niż czterolistne koniczynki czy królicze łapki!

Roześmiała się, nieco zakłopotana.

Brig obserwował ukradkiem Kita, przyglądającego się tej scenie ze zmarszczonymi brwiami. Gdy zdał sobie

sprawę, że Brig mu się przypatruje, zmienił wyraz twarzy i zwróciwszy się do ojca, spytał:

— Czy chcesz, żebym poszedł załatwić rezerwację miejsc w samolocie?

Fletcher westchnął ciężko i rzucił szybkie spojrzenie na Briga.

— Tak, ja...

— Czyżbyś naprawdę chciał już wyjeżdżać? — przerwał mu Brig łagodnym, miłym głosem. Zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem, lecz za wszelką cenę chciał uniemożliwić Fletcherowi wyjazd na drugi kraniec kontynentu, przynajmniej nie teraz, nie w sytuacji, gdy istniała jeszcze szansa znalezienia dowodu jego winy. — Wydawało mi się, że przyjechałeś tu po to, żeby upolować muflona. Gdzieś tam wysoko, wśród górskich turni, on nadal na ciebie czeka. Chcesz z niego zrezygnować? Sezon myśliwski jeszcze sienie skończył, a ja nie dostałem jeszcze swojej zapłaty.

Przez chwilę Fletcher rozważał propozycję Briga.

— Masz słuszność — zgodził się.

— Załatwiliśmy wszystkie sprawy związane ze śmiercią Maxa. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy jutro rano wrócili w góry. Co ty na to, Fletcher?

— No a pogrzeb? — zaprotestowała Jordanna. — To przecież twój kuzyn. Nie masz zamiaru tam pojechać?

Brig odwrócił się do niej spokojnie i patrząc jej natarczywie w oczy, odparł:

— Nie jestem hipokrytą. Przypadek sprawił, że Max był moim kuzynem, ale nigdy go nie lubiłem. W tym czasie, kiedy jeszcze żył, nie przeszedłbym nawet na drugą stronę ulicy, żeby się z nim przywitać. I naprawdę nie rozumiem, dlaczego miałbym jechać przez cały kontynent na jego pogrzeb. — Po raz ostatni spojrzął na Fletchera prowokacyjnie. — A zatem, co postanowiłeś? Twierdziłeś, że ci niezwykle zależy na tym muflonie.

Zależy mi, jakżeby inaczej — przyznał Fletcher.

— Ale podobnie jak Jordanna myślałem, że masz zamiar pojechać na pogrzeb Maxa. Jeżeli jednak jesteś gotów nadal tropić ze mną muflona, wobec tego jedźmy, skoro tego chcesz.

— A więc sprawa załatwiona. — Brig odepchnął krzesło i wstał od stolika. — Wracam na ranczo. Każę Jocko przygotować wszystko tak, żebyśmy mogli jutro wyruszać w drogę.

— Doskonale — zgodził się Fletcher, kiwnąwszy głową.

Jordanna i Kit nie wydawali się zbyt uszczęśliwieni tą perspektywą. Brig nie wykluczał możliwości, że kto wie, czy nie mieli ochoty ulotnić się, zanim zostaną zdemaskowani. Fletcher nie omieszka ich natychmiast poinformować, że już za późno. Brig podszedł powoli do baru, by uregulować rachunek.

Trudie wzięła od niego banknot i wydała resztę.

— Wracasz już? — spytała.

— Muszę jechać na ranczo — odrzekł, wkładając monety do tylnej kieszeni spodni.

— Słuchaj, Brig, Jake Phelps chce się ze mną ożenić. — Patrzyła mu prosto w oczy.

Zanim pojawiła się Jordanna, spędzili ze sobą wiele szczęśliwych chwil. No a poza tym, czyż nie postanowił pewnego dnia, że raz na zawsze zostawi Trudie w spokoju? Jake Phelps był diabło zazdrosny.

Brig westchnął głęboko, na znak rezygnacji i przyzwolenia.

— To porządny człowiek, Trudie.

Do niej należało podjęcie decyzji i Brig raczej nie czuł się powołany do udzielania jej dobrych rad.

— No tak, pewnie masz rację. — Najwyraźniej była rozczarowana i Brig doskonale wiedział dlaczego.

Nie było potrzeby dodawać nic więcej. Skierował się w stronę drzwi, czując na sobie spojrzenia trojga innych ludzi. Nie odwróciwszy się za siebie, popchnął drzwi

i wyszedł. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, przystanął zastanawiając się, czy przypadkiem nie spiskują przeciwko niemu. Kiedy znajdą się w górach, będzie musiał zachować najwyższą ostrożność. Przebiegł wzrokiem wzdłuż rysującej się na horyzoncie poszarpanej linii górskich szczytów. Prorocze słowa, które wypowiedział pod adresem Maxa, równie dobrze mogły i w odniesieniu do niego okazać się prawdziwe.

— Patrzcie no, toż to Brig! — Przysadzisty Tandy nadchodził dziarskim krokiem w jego stronę. — Smithowie siedzą w barze?

— Tak.

— Dokąd idziesz?

— Wracam. Jutro o świcie wybieramy się w góry. Trzeba, żeby Jocko wszystko przygotował.

— Wybieramy się? - zdumiał się Tandy.

— Ty nie. Tylko Jocko i ja. Franck będzie potrzebował kogoś do pomocy na ranczo. Tym razem sam zajmę się końmi. Osobiście dopilnuję, żeby żaden cierń nie zaplątał się pod siodło. Fletcher zapłacił i dostanie to, czego chciał.

— Coś mi się widzi, że spłynęło po nim jak woda po gęsi, że ciało jego przyjaciela znieśliśmy z gór nogami do przodu — prychnął Tandy kręcąc nosem.

— Max nie był, prawdę powiedziawszy, przyjacielem Fletchera — sprostował Brig, po czym, idąc już w stronę ciężarówki, dodał: — Tylko wracaj mi czym prędzej na ranczo.

19

Dlaczego wracamy w góry, tato? — spytał z niepokojem Kit, gdy drzwi zamknęły się za Brigiem.

— Przyjechałem tu po to, żeby zdobyć trofeum muflona. I z tego też powodu postanowiłem wrócić w góry — odparł Fletcher tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Sam bym to zaproponował, ale ponieważ Max był kuzynem Briga, sądziłem, że zamierza pojechać na pogrzeb do Nowego Jorku. Uważałem, że nie mam prawa mu w tym przeszkodzić i żądać, by wywiązał się ze zobowiązań wobec mnie. Ale skoro sam to zaproponował, to z pewnością nie będę się sprzeciwiał.

— To znaczy, że śmierć Maxa nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? — dopytywał Kit.

Wyraz twarzy Jordanny zdradzał, że jej odczucia nie różnią się od opinii brata. Ona również była zdania, że ojciec postępuje w sposób skrajnie egoistyczny.

— A czego się po mnie spodziewasz? — podjął wzruszywszy ramionami. — To był pożałowania godny wypadek. Ale, szczerze mówiąc, Max nie był moim przyjacielem. Na dobrą sprawę, ledwie go znałem. Życie toczy się dalej. I nie kończy się wraz ze śmiercią jednego człowieka. Każdy z nas jest tylko kroplą wody w oceanie. Nawet jeżeli uważacie, że moje słowa brzmią brutalnie, to wyraziłem jedynie brutalną prawdę. Zresztą Brig też

ją dobrze zna. A ja zgadzam się z nim co do tego, że byłoby hipokryzją twierdzenie, jakobym odczuwał żal z powodu śmierci człowieka, którego znałem tak powierzchownie.

— Wydaje mi się, że... — zaczął Kit.

— Naturalnie — przerwał ojciec — nie wymagam od ciebie, żebyś z nami jechał. Twoje miejsce jest przy matce. Po tym wypadku z pewnością będzie się o ciebie niepokoić. Jesteś jej jedynym synem. — W jego głosie pojawiły się nuty lekceważenia. Zupełnie innym tonem zwrócił się do Jordanny. — Jeżeli i ty widzisz w tym coś niestosownego, to także ciebie nie będę namawiał, żebyś ze mną pojechała.

Jordanna, czy jej się to podobało, czy nie, musiała tam pojechać. Miał tam być Brig i nawet jeśli zakrawało to na szaleństwo, za wszelką cenę musiała jechać z nimi.

— Nie, wybieram się z wami.

— Ja również — rzekł Kit.

— Nie widzę powodu, abyś tym razem miał nam towarzyszyć — oznajmił Fletcher lodowatym tonem. — I nie próbuj mnie znów przekonywać, że powoduje tobą szczerą chęć bycia ze mną.

Zdumiona Jordanna przenosiła wzrok z ojca na brata. O czymże oni mówią? A niby z! jakiej innej przyczyny Kit miałby tam jechać? Wszyscy wokół mówili zagadkami i wyglądało najjoo, że tylko ona nic z tego nie rozumie.

— Pojadę. I nie możesz mi w tym przeszkodzić — odparował zimno Kit, głosem spokojnym i stanowczym.

Fletcher wbił w niego piorunujące, pełne wzdargy spojrzenie.

— Minęło już sporo czasu, odkąd jesteś poza domem. Nie boisz się, że przyjaciel, z którym dzielisz mieszkanie, może sobie znaleźć kogoś innego na twoje miejsce? — spytał nieprzyjemnym, uszczypliwym tonem, z jadowitą troską w głosie.

Kit zbladł z gniewu, lecz w tej właśnie chwili do baru wkroczył Tandy. Na widok kowboja Kit opamiętał się i powściągnął słowa odpowiedzi.

— To jak, możemy już wracać na rancho? — spytał Tandy, przystanąwszy przy ich stoliku.

Przez długą chwilę, która zdawała się trwać bez końca, ojciec i syn mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Fletcher kiwnął głową.

— Tak, sądzę, że wszyscy jesteśmy gotowi do drogi — postanowił, nie protestując dłużej przeciwko decyzji Kita.

Wymiana zdań, do której doszło pomiędzy ojcem a Kitem, zrobiła na Jordannie wstrząsające wrażenie. Po powrocie na rancho dopiero wieczorem miała sposobność spotkać się sam na sam z bratem i poprosić go o wyjaśnienia. Kit przyszedł do pokoju Briga, który Jordanna nadal zajmowała. Gdy brat zapukał, porządkowała właśnie swoje rzeczy.

— Dobrze, że jesteś, bo muszę z tobą porozmawiać — powiedziała, otworzywszy drzwi.

Kit natychmiast wpadł jej w słowo.

— Czy potrafiłabyś przekonać ojca, żeby zrezygnował z tego polowania?

— Żeby zrezygnował z polowania? — powtórzyła z niedowierzaniem. — Szalenie mu zależy na tym trofeum. Nigdy nie uda mi się nakłonić go, żeby zmienił zdanie. — Po czym natychmiast wtrąciła pytanie, które nie dawało jej spokoju: — Dlaczego nie chciał, żebyś ty pojechał?

Na twarzy Kita pojawił się szelmowski i zarazem cyniczny uśmiech.

— Pewnie obawia się, że będę krępować jego ruchy. Żartobliwy ton zabrzmiał dość cierpko i ponuro.

— Bądźże poważny! — zniecierpliwiła się Jordanna.

— Ależ ja jestem śmiertelnie poważny — odparł z uśmiechem.

— No więc, jak to się dzieje, że w tym, co mówisz, nie ma ani krzty sensu? — Jordanna bezradnym gestem rozłożyła ręce. — Obaj zresztą zaczęliście mówić całkiem od rzeczy. Odnoszę nieraz wrażenie, że porozumiewacie się jakimś tajemnym szyfrem, który dla mnie jest zupełnie niezrozumiały. O, weźmy na przykład tę ironiczną uwagę taty na temat twojego przyjaciela, Mike'a. Co to, u licha, ma znaczyć? W końcu to przecież bardzo dobrze, że jesteś głównym najemcą. Podczas twojej nieobecności nikt dzięki temu nie może się wprowadzić na twoje miejsce. Dlaczego tata insynuuje takie rzeczy? I dlaczego ciebie doprowadziło to do takiej furii?

Kit odwrócił wzrok.

— Nie potrafisz tego zrozumieć, Jordanno.

— Ach, nie potrafię zrozumieć! — wykrzyknęła z oburzeniem. — No pewnie, że niczego nie rozumiem, skoro nigdy nikt nie raczy mi niczego wyjaśnić. Dlaczego, u licha, wy wszyscy traktujecie mnie jak trzyletnią smarkulę, za małą, żeby przyznać jej prawo zadawania pytań dorosłym. Mam dwadzieścia cztery lata. Ile lat muszę skończyć, żeby wreszcie uznano mnie za osobę zdolną cokolwiek zrozumieć? A może jesteście zdania, że do końca moich dni zostanę skończoną idiotką?

— Naprawdę nie domyśliłaś się jeszcze? — spytał smutno Kit.

— A czegoż to miałam się domyślić? Przestań odpowiadać mi pytaniami! — rozsierdziła się Jordanna.

— Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie czuliśmy się bardzo ze sobą związani. Ale czy nigdy nie zastanawiało cię, dlaczego nie przyprowadzam dziewcząt do domu?

Nie, zdecydowanie nic jej to nie mówiło. Nigdy nie zaprzętała sobie tym głowy.

— Gdyby takie pytanie kiedykolwiek przyszło mi do głowy, to zapewne pomyślałabym, że nie chcesz ich narażać na wysłuchiwanie słownych utarczek naszych rodziców.

— Jordanno, nigdy w moim życiu nie pojawiła się żadna dziewczyna — powiedział cichym, łagodnym głosem.

Spojrzała na niego z konsternacją.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mike jest dla mnie kimś więcej niż tylko współlokatorem.

Jordanna doznała szoku, gdy nagle prawda dotarła do jej świadomości. Kilkakrotnie otwierała usta, nie mogąc wyrzucić słowa.

— Nie — odezwała się wreszcie zdławionym głosem.

— Nie mogę w to uwierzyć. To nieprawda!

— To prawda, Jordanno — zapewnił łagodnie Kit.

— Wiem, jaki to dla ciebie bolesny szok. Możesz sobie wyobrazić reakcję taty, kiedy wyznałem mu to kilka lat temu. Byłem przekonany, że chce mnie zabić. Wymógł na mnie obietnicę, że nigdy ci o tym nie powiem. To nie było znów takie trudne: Nigdy nie byliśmy ze sobą zbyt blisko związani, chociaż przecież jesteśmy siostrą i bratem. Byłoby dla mnie nie do zniesienia, gdybym zobaczył w twoich oczach wyraz takiej pogardy i wstrętu, jakie budzę w tacie. Chociaż wiadomo było, że pewnego dnia i tak się o wszystkim dowiesz, próbowałem sobie wmawiać, że na pewno nigdy nie domyślisz się prawdy. Wolałem jednak, żebyś nie dowiadywała się o tym ode mnie — dorzucił na koniec ze smutnym uśmiechem.

— Ale, jesteś przecież moim bratem — szepnęła z udręką. — Jakże mogłabym cię odtrącić?

Oczy Kita napełniły się łzami.

— Dokładnie tak, jak inni odwrócili się ode mnie.

— Jesteś moim bratem — powtórzyła. Gardło miała ściśnięte i ledwie widziała przez łzy.

Z płaczem rzucili się sobie w ramiona. A choć zachowanie Kita w tej chwili mogłoby nasunąć myśl o jego słabości, Jordanna przypominała sobie, z jaką siłą potrafił dziś stawić czoło ojcu. Nic nie stało na

przeszkodzie, żeby przed nim zrejterował, podobnie jak nic nie zmuszało go do wyznania prawdy. Miał jednak odwagę to uczynić. Jej brat był silnym człowiekiem. Przede wszystkim jednak był jej bratem i wiedziała, że nie ma prawa go osądzać.

Otarła zalane łzami policzki.

— Wielkie nieba, co za melodramat! — powiedziała ze śmiechem, pociągnawszy nosem.

- Chętnie pożyczylbym ci chusteczkę, ale jest mi potrzebna — zażartował Kit.

— Piękne dzięki, mam własną — odparła, sięgając do kosmetyczki po jednorazową chusteczkę.

Wytarła nos i starła z twarzy wszelkie ślady nieoczekiwane go wybuchu emocji. Potem odwróciła się do brata w chwili, gdy on odwracał się do niej.

— Lepiej już pozwolę ci wrócić do twoich zajęć — rzekł z uśmiechem. — Dziękuję losowi, że jesteś moją siostrą, Jordanno.

Nie musiała już nic mówić. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, po czym zajęła się pakowaniem walizki. Teraz, gdy poznała już prawdę o Kicie, jej myśli nieuchronnie zwróciły się ku Brigowi. Spojrzała na łóżko, które kiedyś z nim dzieliła, a w którym teraz spała sama. Gzy wszystko między nimi jest już skończone? Czy jedynie czysty upór sprawia, że nie potrafi się do tego przyznać? Kochała go. Nie chciała uwierzyć, że ich miłość skończyła się bezpowrotnie.

Stojąc w łazience przed lustrem, Brig uważnie wpatrywał się w odbicie swojej twarzy. Ostrze brzytwy przesunęło się po namydlonym policzku. Było trochę za późno, żeby się golić, zwłaszcza że nazajutrz rano należało tę czynność powtórzyć. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi łazienki, Brig odwrócił głowę,

Na widok Briga stojącego przy umywalce Jordanna zatrzymała się raptownie.

— Przepraszam, nie wiedziałam, że tu jesteś — wytłumaczyła się.

Ujrzawszy Jordannę, ubraną w długi, dobrze mu znany szlafrok, Brig poczuł, jak ogarnia go dreszcz podniecenia. W jego pamięci odżył obraz tamtej nocy, gdy długa suknia opadła na podłogę, a on położył dłonie na nagiej, delikatnej skórze Jordanny. Przypomniawszy sobie pieszczoty, którymi obsypywał piękne ciało dziewczyny, odwrócił się gwałtownie i, nachylony nad umywalką, zaczął płukać ostrze brzytwy pod strumieniem wody płynącej z kranu.

— Widocznie zapomniałem zamknąć drzwi na klucz.

Jego dłoń drżała, gdy ponownie przystawił ostrze do policzka.

Wiedziała, że powinna odejść, lecz zatrzymała się na chwilę i przyglądała mu się z uwagą.

— Dlaczego mężczyźni podczas golenia zawsze robią miny do lustra? — spytała głośno i wyraźnie.

Uśmiechnął się mimo woli.

— Żeby rozśmieszyć publiczność. — Jakimś cudem uniknął skaleczenia ostrzem brzytwy sunącym po policzku. — Już prawie skończyłem. Zaraz będziesz mogła skorzystać z łazienki.

Jordanna nie potrafiła stamtąd odejść. Zrobiła krok do przodu i uniósłszy ramię, opuszkami palców dotknęła delikatnie muskularnego ramienia. Potem przesunęła dłoń po plecach. Brig znieruchomiał z brzytwą przystawioną do policzka.

— Mogłeś zdjąć opatrunek. Lepiej już z twoim ramieniem? — spytała, starając się napotkać wzrok Briga w lustrze.

— O wiele lepiej. — Rzuciwszy na Jordannę ukradkowe spojrzenie, Brig znów, tym razem bez jakiegokolwiek potrzeby, zaczął gorliwie płukać brzytwę pod kranem.

Mówił głuchym, lekko ochrypłym głosem. — Czy mogłabyś wyjść na chwilę? Chciałbym zostać sam.

— Oczywiście. — odrzekła potulnie.

Spuściła głowę i odwróciła się na pięcie. Światło, rzucane przez nie osłoniętą żarówkę nad umywalką, zalśniło w jej wspaniałych włosach migotliwymi czerwonymi błyskami. Gdy drzwi się za nią zamknęły, Brig kurczowo zacisnął dłonie na brzegu umywalki i opuścił głowę na piersi. Ta dziewczyna doprowadzała go do obłądu. Wszystko przemawiało za tym, że z własnej, nieprzymuszonej woli zgodziła się być współniczką ojca, a pomimo to Brig doznawał niepohamowanego pragnienia, by kochać ją i chronić. Ona zaś potrzebowała owej ochrony jak, nie przymierzając, dzika tygrysyca!

Leżąc w łóżku Jordanna starała się zasnąć, lecz nie potrafiła się zmusić nawet do tego, by zamknąć oczy. Przez jedyne okno w sypialni wpatrywała się w sierp księżycy, oświetlający pokój bladą poświatą, nadającą całemu otoczeniu przygnębiającą, szarą barwę. Zbliżała się północ, a sen ciągle nie nadchodził. Jordanna przewróciła się na drugi bok, poprawiła poduszkę i spróbowała ułożyć się wygodniej.

Po piętnastu minutach owych bezskutecznych usiłowań, zmęczona bezsennością, odrzuciła z rezygnacją kołdrę i postawiła stopy na podłodze. Potem zarzuciła szlafrok na ramiona. Kiedy była małą dziewczynką, Tessa przynosiła jej zawsze do łóżka szklanekę ciepłego mleka. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze okazywało się to skuteczne.

Starając się poruszać jak najciszej, wymknęła się z pokoju i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi sypialni. Usłyszała, że ktoś chrapie w pokoju na dole. Z pewnością nie był to Brig - nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek; słyszała jego chrapanie. Ale był w tamtym pokoju.

Czując jego obecność, przystanęła na moment pod drzwiami, jakby jakaś magnetyczna siła przyciągała ją ku niemu. Przełamała się jednak i powędrowała w stronę kuchni. Starannie zamknęła za sobą drzwi, a potem zapaliła światło. Przymknęła powieki, gdy nagła jasność poraziła jej oczy.

Mleko znalazła w lodówce. Z szafki nad kuchnią wyjęła rondel i czekając, aż mleko się podgrzeje, odszukała szklanę, starając się, by możliwie jak najmniej hałasować. Szklanki stały na półce przy zlewie.

W tej chwili rozległ się w ciszy niski głos Briga.

— Co robisz?

Zaskoczona Jordanna błyskawicznie odwróciła się na pięcie. Szklanka wymknęła się z jej dłoni i spadła na podłogę, rozpryskując się w drobny mak.

— Nie ruszaj się! — krzyknął ostro Brig.

Było już jednak za późno. Zawiódł ją refleks. Próbując odruchowo złapać szklanę, postawiła stopę na odłamku szkła. Poczowała ból tak intensywny, że straciła oddech. Uniosła natychmiast nogę, by sprawdzić, czy szkło nie wbiło się w stopę.

— Przecież mówiłem wyraźnie, żebyś się nie ruszała.

Szkło zgrzytało pod butami Briga, gdy szedł ku niej zirytowany.

Uznała, że komentowanie tego, co się stało i czemu nie można już było zaradzić, byłoby pozbawione sensu. Z trudem utrzymując równowagę, starała się nie poruszyć. Oparła się o kuchenny stół. Sparaliżowana przejmującym bólem, stała zwrócona twarzą ku nadchodzącemu Brigowi. W pełni zdała sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, gdy otoczył ją ramieniem. Oszołomiona nagłą bliskością jego ciała, odruchowo zarzuciła mu ręce na szyję. Wtedy uświadomiła sobie, że Brig ubrany jest tylko w spodnie i buty.

Mięśnie na jego wypukłej, owłosionej piersi i płaskim, muskularnym brzuchu napięły się w chwili, gdy brał ją

na ręce. Łatwość, z jaką unióś ją w górę, dowodziła jego niezwykłej siły. Czując zapach jego ciała i ciepło skóry, straciła dech w piersiach, gdy niósł ją w ramionach. Uniosła głowę i wpatrzyła się w jego twarz. Powieki miał lekko przymknięte. Ciemne, gęste włosy, brwi i wąsy doskonale harmonizowały ze smagłą skórą. Ich głowy niemal się stykały. Gdy przyglądała się z bliska drobnym zmarszczkom okalającym ciemne oczy, napotkała jego wzrok.

Uświadomiwszy sobie, że całą swą uwagę Brig koncentruje na jej ustach, poczuła gwałtowne bicie serca. W chwilę potem delikatnie położył ją na stole i odwrócił wzrok, Odsunął krzesło, usiadł i zajął się dokładnymi oględzinami zranionej stopy. Pragnąc powściągnąć ochotę zatopienia palców w gęstej czuprynie Briga, Jordanna zacisnęła dłonie na krawędzi stołu.

- Są jeszcze odłamki szkła w nodze? — spytała niepewnym głosem, lekko ochrypłym z emocji.

Badając nieznacznie krwawiącą ranę, mocno trzymał dłonią piętę Jordanny.

— Tak.

Zadrżała, gdy chwilę potem wyjmował odłamki szkła. Krew zaczęła obficie płynąć z rany. Brig wyjął chusteczkę z kieszeni spodni i przyłożył ją do stopy. Potem podniósł wzrok na Jordannę.

— Co ty, na miłość boską, wyrabiasz?

Zbita z tropu jego surowym wzrokiem, odgarnęła opadający na twarz kosmyk włosów i odwróciła głowę.

— Nie mogłam zasnąć i pomyślałam, że szklanka ciepłego mleka dobrze mi zrobi. — Nagle poczuła zapach przypalonego mleka. — Mleko! Zostawiłam ronderek na kuchni.

— Tylko się nie ruszaj! — nakazał jej surowo.

Obwiązał skaleczoną stopę chusteczką, po czym podszedł do kuchni. Odsunął ronderek, wyłączył gaz i wylał mleko do zlewu. Jordanna zauważyła, że przywar-

ło do dna. Brig napełnił ronderek wodą i odstawił do zlewu, żeby się namoczył. Potem poszedł po miotłę.

— Nigdy bym cię nie podejrzewała o taki talent do prac domowych — powiedziała cicho, patrząc, jak Brig zbiera odłamki szkła z podłogi.

Pomimo tych talentów trudno go podejrzewać o domatorskie skłonności — pomyślała Jordanna, Brig potulny i oswojony? To raczej wykluczone. Był zbyt niezależny, by kiedykolwiek znaleźć się pod czyimś wpływem.

— Tylko w razie konieczności — odparował zimno.

Gdy uporał się ze sprząaniem odłamków szkła, Jordanna chciała zejść ze stołu, lecz ostre spojrzenie Briga powstrzymało ją od tego zamiaru.

— Mówiłem, żebyś się nie ruszała!

Nie tylko stanowcze polecenie zmusiło ją do posłuszeństwa, ile raczej wściekłość, którą wyczuła w jego głosie. Odstawił miotłę i wyszedł z kuchni w stronę łazienki, nie zwracając najmniejszej uwagi na Jordannę. Usłyszała, że szuka czegoś w apteczce. W chwilę potem wrócił, niosąc środek odkażający i bandaż.

Tak jak poprzednio chwycił mocno jej stopę i przyłożył do rany watę nasączoną dezynfekującym płynem. Jordanna krzyknęła cicho z bólu. Następnie założył opatrunek. Stwardniałymi dłońmi przesunął po jej delikatnej stopie i przez kilka chwil przytrzymał ją, choć opatrunek już był założony. Uniósł głowę.

— No i jak, dobrze?

— Doskonale, dziękuję — odrzekła drżącym głosem.

Było coś niezwykle intymnego w sposobie, w jaki Brig trzymał stopę Jordanny. Jedną ręką ujął wygięcie stopy, a drugą — nogę w kostce. Pięta wspierała się na muskularnym udzie.

— Rana nie wygląda zbyt groźnie. Nie powinnaś z tym mieć specjalnych kłopotów.

Nadal, z całkowitą na pozór obojętnością, patrzył się w oczy Jordannie, lecz ona czuła, jak jego palce

z roztargnieniem pieśczośliwie gładzą jej stopę. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Brig musiał zdać sobie z tego sprawę, ponieważ oczy mu lekko pociemniały. Gdy jego dłoń, przesunawszy się wzdłuż łydki, wślizgnęła się pod szlafrok pomiędzy jej uda, Jordanna straciła dech w pierśsiach. Nagle cofnął rękę gwałtownym ruchem, odwrócił twarz i wstał.

— No cóż, to chyba wszystko — powiedziała.

Zanim Jordanna zdołała odzyskać panowanie nad sobą, ujął dłońmi jej talię, uniósł lekko do góry i delikatnie postawił na podłodze. Nie spodziewając się, że nastąpi to tak szybko, Jordanna zachwiała się i po to, by nie stracić równowagi, mocno zacisnęła dłoń na ramieniu Briga. Zraniona stopa, zbyt jeszcze obolała, by można ją było pewnie oprzeć o podłogę, stanowiła dodatkowe utrudnienie.

— Przepraszam, ja... — Słowa usprawiedliwienia zamarły na jej wargach, gdy odchyliwszy głowę do tyłu, napotkała wzrok Briga, przepełniony niepohamowanym pożądaniem.

Ogarnęło ją wzruszenie tak silne, że zadrzała. Brig, niemal niezależnie od swojej woli, otoczył ją mocno ramionami. Zarzuciła mu ręce na szyję. Z namiętą, gorączkową zaborczością przycisnął wargi do jej ust. Przyciągając ją mocno do siebie, pieścił dłońmi jej plecy i biodra. W upojeniu wsłuchiwała się w przyśpieszony, gwałtowny rytm ich serc. Wargi Briga przesunęły się po łuku jej szyi.

— Brig, okłamałam cię — szepnęła z bezgraniczną miłością.

Znieruchomiał na chwilę, potem uniósł głowę i rozluźniwszy nieco uścisk, spojrzał Jordannie w oczy. W jego wzroku dostrzegła błysk czujności. Czułym gestem musnęła opuszkami palców jego policzek.

— Kiedy? — spytał ostro.

— Wtedy, kiedy ci powiedziałam, że udawałam tylko,

że lubię, jak mnie dotykasz — odpowiedziała łagodnym, drżącym głosem. — Nie mówiłam prawdy. Nigdy przedtem nie odczuwałam tego, co czuję, kiedy ty bierzesz mnie w ramiona i kiedy się ze mną kochasz.

— Tego akurat domyśliłem się sam!

W jego oczach pojawił się wyraz natarczywej prośby o wyjawienie czegoś innego, o czym nie wiedział.

— Brig, tak bym chciała, żebyś był nie tylko moim kochankiem. Pragnę, żebyś czuł do mnie coś więcej niż tylko pożądanie. — W tonie jej głosu pojawiły się nuty głębokiego wzruszenia, zdradzające namiętne pragnienie, by uwierzył w jej miłość. — Chcę, żebyś przy mnie był i żebyś troszczył się o mnie. Pozwól mi być twoim przyjacielem i powiernikiem, może nawet twoją żoną i matką twoich dzieci.

Skrzywił się z niechęcią. Jej słowa zrobiły na nim takie wrażenie, jakby ostrze noża utkwіło mu w sercu. Jordanna, zraniona dotkliwie jego reakcją, wyswobodziła się z jego ramion i ruszyła w stronę drzwi. Ogarnęło ją uczucie dojmującego, obezwładniającego bólu. Wierzyła gorąco, że kiedy wyzna mu miłość, Brig uczyni to samo, przyznając, że ona budzi w nim podobne uczucia.

— Jordanno... — Próbował chwycić ją za ramię. Brutalnie odtrąciła jego rękę.

— Nie! — zawołała w przypływie gniewu i bólu. — Tak się składa, że mi nie wystarcza to, że dzielę z tobą łóżko. Jestem znacznie bardziej wymagająca. Chcę z tobą dzielić nudę i monotonię zwyczajnego życia, codzienną rutynę i szarżyznę. Chcę, żebyśmy wspólnie przeżywali zarówno dobre, jak i złe chwile. Razem z tobą chcę pracować na tym ranczo. Chcę się z tobą kłócić i kochać. — Odwróciła się energicznie na pięcie, by spojrzeć mu w oczy. Uniosła ku niemu drżącą brodę. — Brigu McCord, kocham pana. A to z pewnością nie jest kłamstwo.

— Nieraz naprawdę jesteś bardzo przekonująca — od-

parł tonem na tyle sceptycznym, by dowieść jej, że nie wierzy w ani jedno wypowiedziane przez nią słowo. — Tak czy owak, nie wierzę, żebyś długo wytrzymała na tym odludziu, w tak prymitywnych warunkach.

— Jestem przekonana, że tego właśnie mi potrzeba. I to nie tylko dlatego, że ty tutaj jesteś — zaprotestowała. — Tu nareszcie czuję, że jestem u siebie. Nie znoszę miasta. Tutaj jest tyle otwartej przestrzeni, gdzie można swobodnie oddychać, i nic prócz górskich szczytów nie przesłania słońca, a ziemia jest dzika i nieujarzmiona. Życie tutaj, podobnie jak polowanie, wymaga ogromnego wysiłku, zarówno fizycznego, jak i psychicznego, jest ciągłym wyzwaniem, a ja... — Poczwała nagły skurcz w gardle. Odwróciwszy wzrok, przełknęła z trudem, żeby móc dokończyć zdanie. — Pragnę żyć tutaj z tobą. Kocham cię. I ty mnie kochasz, wiem o tym. Widziałam to w twoich oczach, czuję to, kiedy trzymasz mnie w ramionach. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać? — Oczy, pełne bólu i niemego błagania, podniosła znów na Briga.

Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Surowe rysy jego twarzy miały w sobie coś posepnego i bezlitosnego. Czując lekki nacisk jego palców na szyi i obojczykach, Jordanna nie potrafiła mu się oprzeć.

— Mógłbym cię kochać, Jordanno — szepnął — gdybym nie był taki spostrzegawczy.

Zanim zdążyła spytać, co mają znaczyć jego dziwne słowa, objął ją i nie bacząc na jej słaby opór, namiętnie pocałował. Czowała się bezsilna w jego mocnym i zaborczym, niemal okrutnym uścisku. Może nawet starałaby się wyswobodzić z jego ramion, gdyby nie czuła, jak jego ciało drży z rozkoszy. Nie mogła zdobyć się na to, by go tych doznań pozbawić, a i sama nie potrafiła się ich wyrzec.

Bez słowa Brig wziął ją na ręce i wyniósł z kuchni.

A choć w całym domu panowały nieprzeniknione ciemności, pewnym, nieomylnym krokiem zaniósł ją do sypialni. Aksamitna czerń mroku spowijającego łóżko stała się tłem ich płomiennych uniesień, wiodących aż do momentu najwyższej ekstazy.

Czując, że mocniej przytulił ją do siebie, Jordanna doznała głębokiej, kojącej satysfakcji. Zawładnęło nią uczucie niemal doskonałego szczęścia. Uniosła ku Brigowi oczy i uśmiechnęła się. W odróżnieniu od niego, ona nie mogła go dojrzeć w mroku, ale to wcale nie było konieczne.

— To, co między nami istnieje, Brig, jest wyjątkowe i niepowtarzalne — szepnęła. — Nie możesz temu zaprzeczyć.

Nic na to nie odrzekł, tylko wysunął spod jej ramion rękę, którą jeszcze przed chwilą ją do siebie tulił, po czym odwrócił się od niej i usiadł na krawędzi łóżka. W ciemności widziała zarys jego szerokich ramion. Sprężyny łóżka zaskrzypiały, gdy Brig wstawał. Zaniepokoiła się słysząc, że zaczął się ubierać.

— Nie będziesz tutaj spał?

Zadała mu to pytanie odruchowo, niemal bezwiednie.

— Nie — odrzekł zwięźle, bez cienia żalu w głosie.

Zdusiła w sobie szloch.

— Dlaczego?

Brig nic nie odpowiedział. Stał jeszcze przez chwilę, a potem skierował się ku drzwiom.

— Możesz sobie zatrzymać to łóżko, Jordanno... razem ze swoimi kłamstwami. Nie potrzebuję ich.

Kłamstwa? Ogarnęła ją trwoga. Chciała krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Usłyszała, jak drzwi zamknęły się za Brigiemu Jakże mógł pomyśleć, że wszystko to, co mu mówiła, było tylko kłamstwem? Wyjawiła mu swoje najgłębsze uczucia, omal nie padła na kolana, by go błagać, żeby ją kochał. Upokorzyła się przed nim, a on ją odtrącił, zranił jej serce i zostawił samą w tym pokoju.

Opuszkami palców musnęła poduszkę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywała jego głowa. Potem wtuliła tam twarz, by stłumić szloch. Wolałaby, żeby ją zabił. Nawet jeśli czas ukoi dojmujący ból, którego doznawała, to udręka spowodowana brutalnym odtrąceniem jej najgłębszych uczuć nieprędko przestanie ją prześladować — o ile w ogóle kiedykolwiek minie. Poduszka mokra była od łez, a nawet wtedy, gdy ich strumień wysechł, ciałem Jordanny nadal wstrząsał suchy, spazmatyczny szloch. Nie uspokoiła się, dopóki nie spłynął na nią sen, który pogrzył jej świadomość w nieprzeniknionej ciemności.

Scandalous

20

Wiał zimny, porywisty wiatr, gdy nazajutrz rankiem wyruszyli w drogę. Jechali pochyleni w siodłach, z kołnierzami uniesionymi dla osłony przed lodowatymi podmuchami. Niebo było jasne i intensywnie błękitne, a powietrze krystalicznie czyste.

Gdy drugiego dnia podróży dotarli do kępy drzew, mogących choć częściowo ochronić ich przed wiatrem, postanowili zatrzymać się na popas. Wszyscy zeskoczyli z siodła, żeby konie mogły odpocząć. Zwierzęta zbiły się w ciasną gromadkę i instynktownie odwróciły tyłem do wiatru szarpiącego ich ogonami, które smagały je po nogach.

Jordanna dreptała w miejscu, przytupując odretwiącymi nogami, by rozgrzać je choć trochę. Zobaczyła, że Jocko wyjmuje z torby termos z gorącą kawą. Pomimo licznych warstw odzieży, które miała na sobie, dygotała z zimna. Podobnie zresztą jak wszyscy; Kit energicznie poklepywał się rękami i mocno rozcierał dłonie, podobnie jak jego ojciec. Tylko Brig i Jocko, zaabsorbowani swoimi zajęciami, sprawiali takie wrażenie, jakby nie przeszkadzał im przenikliwy chłód.

Czując, że bołą ją wysuszone, spierzchnięte wargi, Jordanna sięgnęła do kieszeni kurtki po pomadkę. Gdy przesuwała łagodzącym sztyftem po wargach, zauważyła,

że jej dłoń, choć osłonięta ciepłą rękawicą, wyraźnie drży. Tak jak i pozostali, nosiła okulary przeciwsłoneczne, chroniące oczy przed oślepiającym blaskiem, który stawał się coraz bardziej intensywny w miarę jak pięli się wyżej.

Jocko przyniósł jej kubek kawy, który z wdzięcznością przyjęła.

— Zimno dzisiaj — powiedziała to, co jej drżące dłonie już wcześniej mu zdradziły.

— Tylko patrzeć, jak zacznie padać śnieg — mruknął, przesunawszy wzrokiem po niebie i ośnieżonych turniach, rysujących się na horyzoncie.

— Ale przecież na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Bask wzruszył ramionami, ponieważ doskonale wiedział, że jest to fakt bez znaczenia.

— To wiatr mówi o tym, kiedy spadnie śnieg.

Odszedł w stronę Fletchera, żeby napełnić jego kubek.

Brig, który zmierzał w ich stronę, skończywszy przed chwilą zajęcia przy koniach, słyszał prognozę Jocko.

— Gdyby tak się stało, całkiem możliwe, że zwierzyna zejdzie niżej.

Swoją broń w futerale ułożył na ziemi, obok sztucerów Jordanny i Fletchera, a następnie zdjął rękawice i zaczął rozgrzewać dłonie o kubek z gorącą kawą.

Jordanna starała się omijać go wzrokiem. O ile to tylko było możliwe, nie odzywała się do niego. Odgrodzenie się od Briga murem milczenia, zamknięcie w wieży z kości słoniowej, było jedynym sposobem, jakim dysponowała, by bronić się przed nim samym i przed nowymi ciosami, które mógłby jej zadać. Postępowała w ten sposób powodowana nie tyle dumą, ile raczej instynktem samozachowawczym.

Jej milczenie nie zwracało niczyjej uwagi, ponieważ podczas tej podróży nikt nie przejawiał zbytnej gadatliwości. Wszyscy byli pogrążeni we własnych myślach

i odzywali się rzadko. W odpowiedzi na uwagę Briga, Fletcher mruknął tylko coś niewyraźnie pod nosem. Popas trwał nie dłużej, niż zajęło im wypicie gorącej kawy. Natychmiast zaczęli się zbierać do dalszej drogi.

Stojąc z nogą w strzemieniu, miała już dosiąść konia, gdy poczuła, że ktoś dotknął jej biodra, chcąc pomóc przy wspięciu się na siodło. Sądząc, że to Brig, Jordanna szarpnęła się gwałtownie i rzuciła przez ramię rozwścieżone spojrzenie. Wtedy zobaczyła, że to Kit do niej podszedł.

— Coś nie w porządku?

Jego chmurna, ogorzała twarz wydłużyła się; zmarszczył brwi, zaniepokojony reakcją siostry.

— Nic. To nie przez ciebie — dorzuciła, by nie pomyślał, że wzgardziła jego pomocą.

Gdy dosiadła konia, podszedł bliżej i wsparł dłoń na łęku siodła.

— Co zaszło pomiędzy tobą i Brigem?

Wolałaby wprawdzie nie odpowiadać na jego pytanie, ale pomyślała, że Kit zasługuje na to, by choć w paru słowach wyjaśnić mu, w czym rzecz.

— Myliłam się sądząc, że mu na mnie zależy, ot i wszystko. Nie pozostaje mi nic innego, jak zacząć poszukiwania od początku.

I spróbować znaleźć coś, co zdoła uzasadnić dalsze życie bez niego — pomyślała. Nie mogła wyjawic nic więcej, nawet bratu. Było to jeszcze zbyt świeże, zbyt bolesne... zbyt przytłaczające.

Tuż za nią rozległo się parskanie konia. Odwróciwszy głowę, zobaczyła izabelowatego wierzchowca, potrząsającego czarną grzywą przy jej nodze. Rzuciła na siedzącego w siodle Briga gniewne, oStre spojrzenie. Nie mogła zobaczyć jego oczu ukrytych za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych, lecz pomimo to zdała sobie sprawę, że usłyszał to, co powiedziała do Kita. Poczowała się jak obnażona, wystawiona na pośmiewisko.

Odwróciła głowę, wbiła wzrok w horyzont i wyprostowała ramiona.

Po kilku chwilach spięta konia. Zrobił niechętnie kilka kroków, a potem, przyspieszając, wyszedł poza kępę drzew. Brig szybko wysunął się naprzód, by pojechać na czele grupy. Jordanna poczuła ucisk w gardle na widok jego mocnej sylwetki o szerokich ramionach. Wspaniale trzymał się w siodle. Wstrzymała konia, by znaleźć się na końcu pochodu, razem z Jocko prowadzącym juczne konie.

Na godzinę przed zachodem słońca dotarli do miejsca, gdzie rozbili obozowisko podczas poprzedniej wyprawy. Konstrukcje z drewnianych żerdzi stały tam nadal, przywołując na myśl porzucone szkielety. Kamienisty krąg otaczał szerniałe popioły dawnego ogniska, a drewniane szczapy; piętrzące się w rogu, w każdej chwili mogły posłużyć do rozpalenia ognia. Brig i Jocko zajęli się końmi, a następnie rozstawili duży namiot. Kit pomagał Jordannie przy ustawianiu jej małego namiotu, a Fletcher rozpałał ognisko. Żółte promienie zachodzącego słońca zabarwiły się na pomarańczowo, oświetlając rozpościerającą się wokół dziką okolicę ognistą łuną.

Nazajutrz niebo nadal miało barwę zimnego błękitu, który Jordannie przywołał na myśl lodowe pustkowia Północy. Przenikliwy północny wiatr obniżył temperaturę powietrza poniżej zera. Wkrótce na horyzoncie pojawiły się pierwsze pasma chmur, zapowiadające zmianę pogody. Gdy wyjechali z obozowiska, Jordanna zauważyła z przerażeniem, że Brig kieruje się ku stromej ścieżce, biegnącej zakosami po urwistym zboczu.

— Chyba nie masz zamiaru nas tamtędy prowadzić? — zaprotestowała.

Brig nieznacznie odwrócił się w siodle i spojrzał na nią spoza ciemnych szkieł okularów przeciwsłonecznych.

— A dlaczego nie? W końcu musimy jakoś przeprawić się na drugą stronę tego zbrocza.

Nieodparta siła przyciągała jej wzrok ku miejscu, gdzie zginął Max. Przeszył ją dreszcz, lecz nie odezwała się ani słowem. Koń, wyczuwając zdenerwowanie Jordanny, poruszył się niespokojnie. Uspokajającym gestem pogładziła go po szyi, starając się ze wszystkich sił odzyskać panowanie nad nerwami. Posuwali się gęsiego. Całą tę trasę Jordanna przebyła z zapartym tchem i dopiero gdy znaleźli się na przełęczy, odetchnęła z ulgą.

Jeszcze tego ranka dostrzegli stadko młodych mufionów, a po południu natknęli się znieca na grupę siedmiu owiec wraz z wiosennym przychówkiem. Już w dwie godziny po narodzinach jagnięta były zdolne wspinać się po skałach równie zręcznie jak ich matki. Lecz ich ojca, potężnego samca o imponujących rogach, nigdzie nie było widać — pozostawał nieuchwytny.

Następny dzień był równie pechowy jak poprzedni, a różnił się tylko tym, że niebo zasnuła gruba warstwa chmur. Wiatr wiał nadal i wydawał się jeszcze zimniejszy. Górski strumień, który napotkali na swej drodze, pokrywała cienka warstwa lodu.

Gdy Jordanna obudziła się trzeciego dnia rankiem, mżył drobny, lodowaty kapuśniaczek. Z pewnością mżawka zaczęła się już w nocy, ponieważ ziemia była oblodzona. Kit pośliznął się wychodząc z namiotu i skręcił nogę w kostce. Fletcher aż zsiniał z wściekłości, ale pozostawił to bez słowa komentarza. Jocko i Brig zbadali nogę Kita i obaj orzekli, że to nic poważnego.

— Nie ma żadnego złamania — zapewnił Brig, który oglądał nogę Kita, przykucnąwszy na piętach. — Jestem pewien, że to tylko skręcenie. Jeżeli chcesz, możemy sprowadzić cię z powrotem i pójść na prześwietlenie do szpitala, żeby nie było żadnych wątpliwości.

— Nie, nie warto. Tak bardzo znów mnie nie boli. Za kilka dni wszystko będzie w porządku.

Gdy Brig pomagał mu się podnieść, Kit skrzywił się z bólu, stanąwszy na nogach. Jordanna spoglądała na brata z niepokojem.

— Jesteś pewien, Kit?

Patrząc na niego znacząco, próbowała mu dać do zrozumienia, że nie powinien przejmować się nietrudnym do przewidzenia wybuchem gniewu ojca, gdy ten dowie się o czekającej go kolejnej przerwie w polowaniu.

— To moja kostka — zażartował Kit słabym głosem. — I tylko ja mogę bezstronnie ocenić intensywność mojego bólu. Zostanę po prostu przez kilka dni w obozowisku i będę dotrzymywał towarzystwa Jocko.

— Nauczysz mnie grać w karty i nareszcie tej zimy zakasuję Tandy'ego — podsunął Jocko z promiennym uśmiechem.

Kiedy Jordanna podeszła do brata, żeby mu pomóc, Brig cofnął się o krok. Zauważyła to, lecz starała się nie tracić kontenansu. Pomogła skaczącemu na jednej nodze Kitowi, dojść do namiotu.

— Jeżeli chcesz, mogę z tobą zostać — powiedziała.

— Nie. Wolę, żebyś była z tatą. — Z wyraźnym niepokojem zmarszczyła brwi, Kit dorzucił więc z uśmiechem: — A co ty byś tutaj właściwie miała robić? Trzymać mnie za rękę?

— O.K., pojedę z nimi.

Tylko troje jeźdźców wypuściło się zatem na kolejny myśliwski wypad. Było mokro i nieprzyjemnie. Co chwila ostre podmuchy wiatru rzucały im w twarz garściami kłujących lodowych igiełek. Tuż przed południem zsiadli z koni, przywiązali je do pnia wiecznie zielonego karłowatego dębu i wspięli się po skalistym zboczu, żeby rozejrzeć się po pobliskich górskich grzbietach, zarysowujących się wokół poszarpaną linią.

Skalisty grunt był odpychająco zimny i oblodzony.

Nieprzemakalne ubranie chroniło Jordannę przed wiatrem i wilgocią, ale znalezienie wygodnej pozycji w takich warunkach było raczej niemożliwe. Wreszcie zdecydowała się położyć płasko na ziemi. Wsparła się na łokciach, by móc swobodnie obserwować przez lornetkę teren rozciągający się wokół.

— Trochę w prawo, w połowie zбочa! — wykrzyknął Fletcher i natychmiast wszyscy skierowali tam swoje lornetki. — Czyżby to on?

Jordanna wyregulowała ostrość, by dokładniej obejrzeć zwierzę, które leżąc na stoku spokojnie przeżuwało pokarm. Brig też wyregulował swoją lornetkę.

— Za daleko — powiedział. — Nie jestem pewien, czy to on.

— Nie mam zamiaru tłuc się tam tylko po to, aby przekonać się w końcu, że to nie jest ten baran z ułamanym rogiem — sarknął Fletcher. — Jordanno, podaj mi lunetę.

— Zostawiłam ją w torbie przy siodle. Zapomniałam zabrać — wyznała i podniosła się z ziemi. — Zaraz przyniosę.

— Nie, nie, zostań. Sam pójde — odparł zirytowany Fletcher.

— Nie! To przecież ja zapomniałam ją zabrać.

Ale Fletcher, nie zwracając uwagi na perswazje córki, ruszył już w dół skalistego zбочa w stronę miejsca, gdzie zostawili konie. Z powrotem ułożyła się więc na ziemi. Nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od kilku dni znalazła się sam na sam z Brigiem. Koncentrując całą swą uwagę na muflonie, starała się uspokoić oszalałe bicie serca.

— Sądysz, że to ten, którego szukamy?

Nie była to zbyt zręczna próba nawiązania rozmowy.

— Mówiłem już, że nie wiem.

— Tak, rozumiem — odrzekła rumieniąc się. — Chciałam tylko, żebyś mi powiedział, jak ci się wydaje;

Opuścił lornetkę i spojrzął jej w oczy.

— Nie mam zwyczaju snuć domysłów.

— O, doprawdy? - Jej twarz pokryta była drobnymi kropelkami deszczu. — A jednak na mój temat bez przerwy snujesz jakieś niczym nie uzasadnione domysły.

— Nieraz już próbowałaś mnie przekonywać, żebym w to uwierzył — odparł Brig uśmiechając się krzywo.

Jordanna odwróciła wzrok. Nie mogła już dłużej patrzeć w przepełnione nienawiścią oczy Briga. Zacisnęła dłonie na lornetce aż do bólu i wpatrzyła się w szarą skałę leżącą poniżej. Poczuła, jak jej oczy wzbierają palącymi łzami. Przymknęła powieki.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego traciłam czas w ten sposób — powiedziała stłumionym, ochrypłym głosem.

Palcami dłoni w rękawiczce chwycił jej brodę i odwrócił twarz ku sobie.

— Co ja widzę? Łzy? — Drwiący grymas wykrzywił kąciki jego ust. — I co ja niby teraz powinienem zrobić? Osuszyć je pocałunkami?

Jego oczy miały twarde i zarazem namiętny wyraz. Poczuła zawrót głowy, lecz, nie wiedząc nawet, jak zdołała się na to zdobyć, odzyskała zimną krew i oswo-bodziła brodę z jego uchwytu.

— Masz serce z kamienia, Brigu McCord. Jesteś jak głąz — stwierdziła. — Zamiast krwi, w twoich żyłach krąży roztopiona lawa! Cała ta rzekoma namiętność to nic innego jak tylko seksualne żądze. Dlaczego ja nie uświadomiłam sobie tego wcześniej!

— A co krąży w twoich żyłach? — spytał ironicznie.

— W tej chwili lodowata woda.

— Ciekawe, ile czasu zajęłoby doprowadzenie jej do wrzenia? — zakpił rozmarzonym głosem.

Niedużo. Wystarczyło, że ją dotknął, a już nie potrafiła mu się oprzeć. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę i nie miała najmniejszej ochoty pozwalać mu, by to wykorzystywał. Podniosła się z ziemi i odszukała

wzrokiem ojca, który wspinając się po zboczu niósł lunetę.

Dzięki precyzji tego instrumentu, pozwalającego oglądać nawet bardzo odległe obiekty, Fletcher mógł stwierdzić, że nie jest to ów baran z odłamanym rogiem, tylko inny muflon, równie piękny, o ile nie piękniejszy nawet od tamtego. Fletcher i Brig długo dyskutowali, żeby ustalić, czy lepiej okrażyć górę i zejść zwierzę od tyłu, czy też przejść doliną i spróbować ustrzelić barana z podchodu. W końcu zdecydowali się na pierwszy z tych sposobów, choć był o wiele bardziej czasochłonny.

Jordanna przez cały czas trzymała się na uboczu. Była to długa i ciężka przeprawa. Dwukrotnie musieli zawracać, ponieważ okazywało się, że droga jest nie do przebycia konno. Wreszcie dotarli do podnóża góry po przeciwnej stronie zbocza, na którym znajdował się muflon. Zostawili konie przy kępie drzew na łagodnym stoku i pieszo wspięli się na szczyt góry.

Muflon wprawdzie podniósł się i skubał trawę, ale nadal był niemal w tym samym miejscu, gdzie widzieli go ostatnio. Teraz dostrzegli wyraźnie, że ma ułamany koniec rogu. Jordanna została na grzbiecie wzniesienia, a obaj mężczyźni ostrożnie podchodzili do zwierzęcia na odległość strzału. Jordanna obserwowała tę scenę niemal obojętnie. To dziwne, ale nie odczuwała już żadnego podziwu dla zręczności i umiejętności myśliwskich ojca. Nagle sobie uświadomiła, że polowanie, budzące w niej dotychczas tyle entuzjazmu, teraz wcale jej już nie interesuje. To, co widziała, nie budziło w niej niechęci. Nie wydawało się odpychające, było jej raczej obojętne — patrzyła bez żadnego zainteresowania. Nie miała ojcu za złe tego, co robił. Nadal rozumiała dreszcz emocji, którego doznawał podkradając się do zwierzęcia. Nie potępiła go. Ale jej to już nie dotyczyło. Nie doświadczała już emocji.

Przez lornetkę śledziła każdy ruch ojca. Widziała,

jak składa się do strzału, celuje i pociąga za spust. Huk wystrzału odbił się echem w górach. Muflon podskoczył w miejscu i próbował rzucić się do ucieczki, ale tylne nogi ugięły się pod nim. Pomimo to czołgał się jeszcze kilka metrów, zdobywając się na straszliwy wysiłek, by schronić się wśród skał i umknąć przed swym prześladowcą. Po chwili już nie żył.

Fletcher wyprostował się. Jego twarz promieniała dumą i radością. Jordannę ogarnął głęboki smutek. Góry żegnały swego władcę. Wiatr zawodził posepnie w gałęziach drzew. Jordanna, stojąc na grani, przyglądała się, jak dwaj mężczyźni schodzą po skałach, by zabrać nieżywego muflona i jak potem ciągną go z wielką ostrożnością, by nie uszkodzić drogocennych rogów.

Odwrociła się i powoli ruszyła w dół, w stronę koni. Brig i ojciec z pewnością potrzebowali soli i narzędzi, które zostały w torbie przy siodle. Postanowiła je przynieść. Idąc przed siebie, zwróciła nagle uwagę na niezwykle piękno krajobrazu. Potężna lawina, która zeszła niegdyś w dół zbocza, wykosiła szeroki pas drzew, otwierając widok na rozległą panoramę gór. Jordanna stanęła w miejscu, zafascynowana zapierającą dech w piersiach wspaniałością pejzażu. Stojąc nieruchomo pod zwieszającym się nad jej głową konarem jodły, wpatrywała się w zachwycie w szarobrunatną krainę majestatycznych turni i płynących nad nimi chmur. Potężne granitowe skały odcinały się od rozległych płaszczyn porośniętych rudą trawą hal, na których, z rzadka rozsiane, strzelały w górę wyniosłe, wiecznie zielone drzewa iglaste. Ostre skalne iglice przebijały się na wskroś przez ciemne chmury, które, spływając w dół, otaczały je szarymi pierścieniami. Jordanna uniosła twarz. Poczowała chłodną wilgoć lekkiej mgiełki przesączającego się przez jodłowe igły deszczu.

Dotarłszy do krawędzi wzniesienia, Brig zobaczył stojącą poniżej na zboczu Jordannę, w niewielkiej odległości od koni. Zatrzymał się na kilka chwil, spojrział w niebo, a potem zaczął schodzić w dół. Spod jego nóg potoczył się kamień, który uprzedził Jordannę o jego nadejściu.

— Myśleliśmy, że poszłaś do koni — powiedział, zrównawszy się z nią.

Konie, stojące wśród drzew, spokojnie skubały trawę.

— Właśnie szłam do nich, ale zatrzymał mnie ten widok. — Jordanna odwróciła twarz, by znów zapatrzeć się w fascynujący krajobraz. Brig uważnie przyjrzał się jej profilowi. Wyraz głębokiej zadumy malował się na twarzy dziewczyny.

— Teraz, kiedy tata ma już swoją zdobycz, która tak długo zatrzymywała go tutaj, możemy wyjechać. Nie chcę opuszczać tego miejsca. Te góry są takie dzikie, takie dziewicze: Czuję się dzięki nim jakby... wewnętrznie oczyszczona. — Jordanna z trudem znajdowała słowa.

Brig rozumiał, co chciała powiedzieć. Gdy tak przed nim stała, wydawała się równie czysta i niewinna jak szarotka wyłaniająca się z wiosennego śniegu.

Odwróciła się do niego z wysoko uniesioną głową, dumna i gotowa stawić mu czoło. Jej zielonoorzechowe oczy lśniły.

— Z pewnością myślisz, że mówię to ze względu na ciebie, że jest to kolejne kłamstwo, którym próbuję cię przekonać, że ja... — przerwała i zapatrzwszy się w dal; dorzuciła: — Cokolwiek powiem, i tak mi nie uwierzysz. No więc, nie ma sensu wysilać się niepotrzebnie.

— Góry mogą głęboko wzruszyć tylko tych, którzy się na nie otworzą.

Brig błędził wzrokiem po ośnieżonych szczytach. Tak, te góry i jemu przyniosły oczyszczenie, a zarazem nauczyły go, jak wśród nich żyć.

— Wobec tego i ja do takich ludzi należę — powiedziała spokojnie.

Łagodna słodycz jej głosu wyrwała go z zadumy. Niczym górski kwiat, zachwycała w pierwszej chwili tylko swoją pięknnością. Z początku nie dostrzega się jego siły; nie myśli się zwykle o odporności, nieodzownej dla przetrwania w tak trudnych warunkach. A przecież rozwija się tutaj i kwitnie. Gdzie indziej pewnie by zmarniał i wkrótce byłby już tylko cieniem samego siebie. Jocko próbował mu to wszystko wyjaśnić, ale on nie chciał słuchać. Teraz też nie chciał tego dostrzec.

— Gdybym tak mogła tu zostać! — westchnęła cicho, drżącym głosem.

Przełożywszy broń do lewej ręki, skierował wylot lufy ku ziemi.

— Nie mam zamiaru prosić cię, żebyś tu została.

Przyznawał zatem otwarcie, że jej nie chce. Rzuciła na niego ostre, niechętnie spojrzenie.

-? Och, nie bój się! Nie zrobiłabym tego, nawet gdybyś mnie o to prosił. Nawet gdybyś błagał na kolanach!

Wtedy Brig poczuł dziwne mrowienie między łopatkami. Pochylił plecy, chcąc się pozbyć tego nieprzyjemnego wrażenia. Niesamowicie, nie przytrafiło mu się to od czasów jego kolejnych *guerrillas*, podczas których snajperzy... Rzucił się na ziemię. W tym momencie coś uderzyło z trzaskiem w łożę sztucera, a ostry ból przeszył udo Briga. Po ułamku sekundy huk wystrzału wstrząsnął powietrzem.

Padając na ziemię, Brig przeturlał się błyskawicznie i znieruchomiał ułożony na brzuchu z bronią gotową do strzału. Wtedy zdał sobie sprawę, że kula, przeznaczona dla niego, trafiła w jego broń, uszkadzając mechanizm spustowy. Nie potrafił określić dokładnie, skąd do niego strzelano, wiedział tylko, że strzał padł z miejsca położonego powyżej. Nie mógł zatem pozostać tam, gdzie był w tej chwili, ale do koni także nie mógł dotrzeć, ponieważ musiałyby przeciąć rozległą otwartą przestrzeń,

odsłaniając się i wystawiając na strzał. Wszystko to uświadomił sobie w mgnieniu oka.

Wiedząc, że jest tuż przy kępie drzew, szybko rzucił okiem w tamtą stronę, żeby ocenić odległość, którą musiałby przebyć. Zobaczył wtedy Jordannę, przyciśniętą do pnia drzewa. Oszalałym wzrokiem przeszukiwała grzbiecie-góry. Brig czując, jak ogarnia go niepokonana furia, zdał sobie nagle sprawę, że od samego początku była to ukartowana intryga. Jordanna nie podchodziła do stojących wśród drzew koni, ponieważ obawiała się, że mógłby jej wtedy nie zauważyć i sam by tam poszedł. A potem, kiedy już do niej dotarł, odwracała rozmową jego uwagę, zatrzymując go na otwartej przestrzeni dostatecznie długo, by ojciec bez trudu mógł go dostać na pewny strzał.

Pomimo to Fletcher spudłował. Brig poznał go już na tyle dobrze, by doskonale zdawać sobie sprawę, że nie pogodzi się z porażką. Nie zaprzestanie kolejnych prób, skoro raz już postanowił, że Briga zabije. Pałący ból uda dowodził, że Fletcher nie całkiem chybił. Brig nie mógł jednak na razie zbadać rany, by stwierdzić, czy jest poważna. Odruchowo napinając mięśnie zdążył się tylko przekonać, że może poruszać postrzeloną nogą — kula nie utkwiała zbyt głęboko. Teraz Fletcher, jako szanujący Się myśliwy, będzie tak długo tropił rannego zwierza, aż w końcu go dopadnie. A Brig, pozbawiony sztucera, nie miał już czym się bronić.

W tej chwili Fletcher z pewnością starał się znaleźć pozycję, z której mógłby ponownie wycelować. A zatem Brig nie mógł zostać tam, gdzie był. Musiał się wycofać, a więc musiał wyjść z ukrycia. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł: nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Fletcher nie zaryzykuje postrzelenia córki.

Brig zebrał się w sobie i zgięty we dwoje, by stanowić jak najmniejszy cel, utykając i starając się przenosić ciężar ciała na prawą nogę, pobiegł w stronę kępy

drzew, za którą schroniła się Jordanna. Posłyszał świst przelatującej tuż obok kuli, w chwilę potem — odgłos strzału odbijającego się echem od skał. Dopadł kępy drzew, wśród których był już bezpieczny, i znalazłszy się przy Jordannie, chwycił ją za nadgarstek.

— Co się dzieje? Kto do nas strzela? — dopytywała głosem, w którym tylko nieznacznie pobrzmiwały nuty strachu.

Tak jakby nie wiedziała! - pomyślał, nie zadając sobie trudu, by odpowiadać na jej cyniczne pytania. Rana nie przysparzała mu jeszcze zbyt dużych dolegliwości, ale czuł, jak lepka, ciepła krew spływa mu po udzie. Na razie jeszcze ból przytłumiony był doznany szokiem. Brig zatrzymał się na moment, by zebrać myśli i ustalić drogę odwrotu, po czym natychmiast, nie tracąc ani sekundy, puścił się pędem poprzez zagajnik, pociągając za sobą Jordannę, która miała być jego tarczą.

Biegając co sił w nogach, starał się jak najdłużej pozostawać pod osłoną drzew. Mógł tylko zgadywać, w jakim kierunku udał się Fletcher, ruszając w pościg za nim, Gdy wyjdą spoza osłony drzew i znajdą się na otwartym terenie, będzie się starał mieć Jordannę za sobą, by znajdowała się zawsze pomiędzy nim a Fletcherem, na linii strzału. Trasa ucieczki zaprowadziła ich w miejsce, gdzie teren u podnóża zbocza stawał się nieco mniej stromy, lecz podążając w tym kierunku oddalali się od obozowiska. Wśród kropli deszczu pojawiało się coraz więcej dużych płatków śniegu. Brig wiedział, że śnieg jest znacznie gęstszy na większych wysokościach. Dopadłszy do skał, zatrzymał się pod ich osłoną, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja za jego plecami. Dyszał ciężko, wyczerpany długim biegiem.

— Dlaczego tak biegniemy? — spytała Jordanna, nie mogąc złapać tchu. — Nikt nas nie ściga.

Istotnie, nic nie wskazywało na to, żeby Fletcher znajdował się w pobliżu. I to właśnie niepokoiło Briga

bardziej, niż gdyby znienacka gdzieś go jednak zauważył. Fletcher prawdopodobnie zrozumiał, że Brig będzie się starał trzymać płaskiego terenu, sprzyjającego szybkiej ucieczce, sam zaś postanowił pozostać na większych wysokościach, gdzie wprawdzie znacznie trudniej posuwać się naprzód, ale skąd bez porównania łatwiej mógł śledzić trasę ich ucieczki. Brig w duchu złorzeczył sobie za to, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Brutalnie szarpnął Jordannę za ramię i zaczął wspinać się w górę. Miał tylko jedną szansę: wejść na tyle wysoko, by znaleźć się wyżej niż Fletcher, a następnie ominąć go i wrócić do obozowiska. Było ślisko, ponieważ padający ciągle śnieg pokrył skały cienką, białą warstwą. W miarę możliwości Brig starał się trzymać Jordannę tuż przy sobie, na zmianę to ciągnąc ją, to popychając. Prócz jednej, najwyżej dwóch prób uwolnienia się, nie stawiała oporu.

Mordercze tempo wspinaczki zaczęło mu się dawać we znaki. Zastanawiało go to, że Jordannie udaje się za nim nadążyć, i nie bardzo rozumiał, dlaczego nie próbuje uciec. Rana przysparzała mu coraz większych dolegliwości i mięśnie lewej nogi zaczynały słabnąć. Musiał się mieć na baczności. Czy na to właśnie czekała? Na ten moment, gdy nie będzie miał już dość sił, by ją powstrzymać od ucieczki? Nie w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że zauważyła jego ranę. Przez cały czas trzymała się po jego prawej stronie i może dlatego nie widziała krwi spływającej po lewej nodze. Jakkolwiek było, z pewnością nie zamierzał jej o to pytać.

W miarę jak się wspinali, powietrze stawało się coraz rzadsze. Płuca omal nie pękły im z wysiłku, zarówno z powodu rozrzedzonej atmosfery, w której się poruszali, jak i z powodu wyczerpującego tempa wspinaczki. Brig czując, że jego ciało pokryło się potem, zdał sobie sprawę, czym to grozi w tych surowych górskich warunkach podczas takiej pogody. Wilgotne ubrania nie

stanowiły już dostatecznego zabezpieczenia przed przenikliwym chłodem; Pot na jego skórze mógł się łatwo zamienić w lód. Ani na chwilę nie zatrzymywał się w miejscu, tylko nieco zwolnił kroku.

Pokrywająca ziemię warstwa śniegu stawała się coraz grubsza. Brig modlił się, by śnieg, coraz gęstszy i teraz już nie zmieszany z deszczem, padał nadal, zacierając za nimi ślady. Jordanna upadła na kolana. Brig, objąwszy ją wpół, podtrzymywał tak długo, aż udało się jej odzyskać poprzednie tempo marszu. Cały czas miał przy sobie sztucer, pomimo że uszkodzona broń stanowiła teraz jedynie bezużyteczne obciążenie. Dopóki jednak miał go przy sobie, dopóty Fletcher nie mógł się zorientować, że Brig jest bezbronny. Myśląc, że jego ranna ofiara może nadal stawić mu czoło i skutecznie go zaatakować, musiał zachowywać daleko posuniętą ostrożność. Dawało to Brigowi pewną nieznaczną przewagę, której nie mógł utracić.

Znajdowali się tuż przy krawędzi lasu, dzięki czemu przez pewien czas mogli pozostać w ukryciu, chronieni od tyłu rozległą połącią zadrzewionego terenu. Brig uznał, że mogą się tu na kilka chwil zatrzymać, by zaczerpnąć tchu. Popchnął Jordannę w kierunku lasu. Zdał sobie jednak sprawę, że bardzo szybko będą musieli ruszyć w dalszą drogę, ponieważ jego noga łąda moment mogła zacząć sztywnieć. Dopóki byli w ruchu, nie odczuwali zimna.

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy Jordanna czyta w jego myślach, czy też brakuje jej już sił, by posunąć się choćby o jeden krok. W każdym razie, gdy tylko znaleźli się wśród drzew, natychmiast się zatrzymała, pochwywszy kurczowo pień drzewa. Brig bacznie rozejrzał się wokół, a potem spojrzął na Jordannę. Zatrwożona i skonsternowana patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Nie musiał się obawiać, że mu umknie, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Z wielkim trudem przeszła

ostatnie kilka metrów; potrzebowała tego odpoczynku tak samo jak Brig. Podziwiał jej odwagę i siłę, których dowiodła dotrzymując mu kroku podczas tego forsownego marszu, ale starał się zwalczyć w sobie to uczucie, nie mogąc uwierzyć, że zrobiła to wszystko dlatego, by przy nim pozostać.

Padający śnieg niemal zatarł już ich ślady. Ponieważ nie natknęli się dotychczas na ślady Fletchera, oznaczało to, że znajdują się cały czas przed nim, a teraz także z pewnością wyżej niż on. Brig spoglądał w tę stronę, skąd w każdej chwili mógł nadejść Fletcher, ale spoza zasłony drzew i śniegu niewiele widział. Zerknąwszy szybko w dół, przycisnął rękę do uda, chcąc choć na chwilę uśmierzyć przeszywający ból. Każde uderzenie pulsu powodowało upływ krwi przez otwartą ranę i powolną, lecz nieuchronną utratę sił. Ucisk dłoni wywołał jednak tak gwałtowny ból, że Brig oderwał rękę i rzucił okiem na plamę krwi na rękawicy.

Dokładnie w chwili, gdy do jego uszu dotarł tętent galopującego konia, Jordanna szepnęła:

— Spójrz! To ojciec!

Zadrżał na widok Fletchera, znajdującego się w bardzo niewielkiej odległości od miejsca, gdzie się ukryli. Jadąc galopem, prowadził za sobą dwa osiodłane konie. Brig dostrzegł kątem oka, że Jordanna zamierza wybiec ojcu na spotkanie. Wiedziony instynktem, rzucił sztucer na ziemię i sięgnął po nóż sprężynowy, przymocowany do skórzanego pasa. Brutalnie popchnął Jordannę do tyłu i przycisnął ją do drzewa. Ostrze wysunęło się z chrzęstem. Uniósł nóż, jednocześnie kładąc drugą dłoń na ustach Jordanny, by nie mogła krzyknąć. Na szyi poczuła dotyk zimnego metalu.

— Piśnij jedno słowo, a pożegnasz się z życiem — warknął.

Brig nie zastanawiał się, czy mógłby tę groźbę wprowadzić w czyn. Jego błyskawiczna reakcja była

jedynie odruchem instynktu samozachowawczego. Fletcher był tuż obok, z gotową do strzału bronią i palcem na spuście. Brig nie wątpił, że już parę minut po ujawnieniu ich kryjówki Fletcher bez trudu by go dopadł. A kiedy zorientowałby się, że Brig nie ma już czym się bronić, to nawet obecność Jordanny nie mogłaby go powstrzymać zbyt długo.

Na razie jednak Fletcher najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. Jordanna nie stawiała oporu. Stała nieruchomo z wyrazem grozy i niedowierzania w szeroko otwartych oczach. Dłonie zacisnęła mocno na nadgarstku Briga, ale nawet nie próbowała wyswobodzić ust spod jego ręki. Brig uświadomił sobie nagle, z jaką siłą miażdży jej ciało o pień drzewa. Obawiając się, że lada moment może zapomnieć o grożącym mu niebezpieczeństwie, natychmiast oderwał wzrok od twarzy Jordanny. Było w jej zachowaniu coś, co nie dawało mu spokoju. Każdym, najmniejszym nawet dźwiękiem, ot, chociażby uderzając nogą o pień drzewa, Jordanna bez trudu mogła zaalarmować ojca. Nie podjęła jednak ani jednej próby, żeby to uczynić. Dlaczego? Z pewnością nie dlatego, że paraliżował ją strach. Tego akurat Brig był pewien.

Tymczasem Fletcher zbliżył się do miejsca, gdzie trasa jego przejazdu krzyżowała się z pozostawionymi przez nich śladami. Brig wstrzymał oddech. Nie był pewien, czy padający śnieg zdążył je już zatrzeć. Ale myśliwy całą uwagę koncentrował na obserwacji terenów rozciągających się poniżej, gdzie rzeczywiście by nadal byli, gdyby Brig nie zmienił przezornie taktyki. Fletcher z zaabsorbowanym wyrazem twarzy przejechał obok nich, nawet w tę stronę nie spojrzawszy. Wkrótce z pewnością zorientuje się, że Brig zdołał mu się wywinąć, zawróci więc w stronę obozowiska, żeby odciąć mu odwrót.

Ciemne, ciężkie od śniegu chmury zasnuwały niebo.

Już tylko parę godzin dzieliło ich od zmroku i nawet gdyby Brig nie musiał unikać za wszelką cenę spotkania z Fletcherem, to i tak nie zdołaliby dotrzeć do obozowiska przed nadejściem nocy. Śnieg sypał coraz obfitszy, toteż Brig nie miał na to najmniejszych szans, zważywszy że musiałby z raną w nodze brnąć w coraz głębszym śniegu. Musieli więc liczyć się z koniecznością spędzenia nocy w górach, bez żadnego schronienia... chyba że...

Brig zastanawiał się, błędząc wzrokiem po okolicy. Gdzieś w pobliżu powinna stać chata, służąca niegdyś górnikom, opuszczona już bardzo dawno temu. Tego lata Brig natrafił na nią przypadkiem, gdy wędrował po okolicach wypatrując stad muflonów. Ściany i dach chaty pozostały nietknięte, lecz wewnątrz było tak brudno, że Brig wolał spędzić noc pod gołym niebem. Teraz jednak mogła zapewnić im schronienie — gdyby tylko zdołał sobie przypomnieć, jak do niej dojść.

Jeśli go pamięć nie myliła, chata znajdowała się za następnym górskim grzbieciem. Aby się tam dostać, musieli obejść wierzchołek góry i zejść po zboczu znajdującym się po drugiej stronie. Brig miał tylko nadzieję, że uda mu się odnaleźć ów głęboki kanion, dzięki któremu będzie mógł trafić do chaty. Ile kilometrów go od niej dzieliło? Cztery? Pięć? Może więcej? Czy zdoła dojść tak daleko? Nie miał innego wyboru. Była to jedyna szansa.

Wstrząsnął nim pierwszy dreszcz, co dowodziło, że nie ma chwili do stracenia. — natychmiast muszą ruszać w drogę. Złożył nóż opierając ostrze o udo i schował go do pochwy przy pasie. Potem zdjął dłoń z ust Jordanny. Bez słowa cofnął się nieco, pozwalając Jordannie odebrać się od drzewa, ale natychmiast chwycił ją za nadgarstek i popchnął przed sobą. Pod osłoną drzew ruszyli w kierunku góry, której wierzchołek mieli okrążyć.

— Ale przecież ojciec w inną stronę pojechał z naszymi końmi! — zaprotestowała.

— Wiem. Dlaczego sądzisz, że powinniśmy też iść w tamtą stronę? — odburknął, zirytowany tym, że nadal ma czelność odgrywać przed nim tę komedię.

— Ty kompletnie postradałeś rozum! — wyszeptała.

— Pewnie dlatego, że ciągle nie daję za wygraną — przyznał ponuro. — Mamy przed sobą daleką drogę. Więc najlepiej będzie, jak się zamkniesz, żeby bez sensu nie tracić sił. Bo może ci ich jeszcze zabraknąć.

— Ale dlaczego uciekamy przed ojcem?

Brig nic nie odpowiedział. Konsternacja malująca się na jej twarzy miała wszelkie pozory szczerości... A może rzeczywiście jest niewinna i zupełnie nieświadomie pomagała ojcu... Ale to było zbyt nieprawdopodobne, by Brig mógł zapomnieć, na jakie niebezpieczeństwo naraża się, okazując jej zaufanie.

Scandalous

21

Jordanna nie czuła już nóg. Nie rozumiała, jak to się dzieje, że jeszcze nie odmówiły jej posłuszeństwa. Zerwał się wiatr, unosząc w górę tumany śniegu, znacznie ograniczające widoczność. Grzeźli po kolana w białym puchu. Brig zawzięcie ciągnął Jordanę za sobą, podnosił ją, gdy upadała — co zdarzało się coraz częściej — i zmuszał do dalszej drogi. Jej wyczerpany organizm rozpaczliwie domagał się odpoczynku. Wiedziała jednak, że za wszelką cenę muszą znaleźć jakieś schronienie, by umknąć przed zawieją, zanim siły całkiem ich opuszczą. Była więc posłuszna Brigowi i znajdowała w sobie odwagę, by nadal za nim iść. Zbierała wszystkie siły, owładnięta jedną tylko myślą: utrzymać się na nogach. Nie potrafiłaby nawet określić, jak daleką przebyli drogę. W każdym razie wydawało się jej, że przebyli znacznie więcej kilometrów, niż mogłaby w to wierzyć. Brakło jej energii, by łamać sobie głowę próbami rozszyfrowania dziwnego zachowania Briga wobec jej ojca. Była zbyt zmęczona, żeby o tym myśleć, a nawet — by się tym przejmować.

Brig zatrzymał się na chwilę, chcąc zorientować się, dokąd dotarli. Słaniał się na nogach. Wszystko wokół wydawało się Jordannie obce. Z pewnością nigdy przedtem nie była w tej okolicy.

— Zabłądziliśmy, jak widzę — mruknęła. — Nie wiesz, w którą stronę trzeba iść.

— Myśl lepiej, że wiem — warknął przez zęby i znów pociągnął ją za rękę.

Gdy jednak zrobił krok, lewa noga ugięła się pod nim. Jordanna usłyszała, jak jęknął głucho, upadając ciężko na ziemię. Osunęła się na kolana, zastanawiając się, w jaki sposób pomóc mu się podnieść. W chwili gdy Brig przewrócił się na bok, z twarzą wykrzywioną z bólu, Jordanna zauważyła plamę krwi na śniegu.

— Jesteś ranny! — zawołała z przerażeniem.

Dopiero teraz zauważyła, że lewa nogawka jego spodni przesączona jest krwią. Natychmiast uświadomiła sobie, że Brig z pewnością stracił dużo krwi. Poczowała, jak trwoga chwyta ją za gardło. Jakże on zdołał przejść tyle kilometrów?

— Bądźże cicho i pomóż mi raczej podnieść się na nogi — powiedział przez zęby.

Oparł ręce na ramionach Jordanny, żeby dźwignąć się z ziemi. Przez kilka chwil chwiał się na nogach, czepiając się kurczowo Jordanny i starając się nie stracić równowagi. Pomimo opalenizny twarz miał bardzo bladą. Czuł, że jest z nim źle i w każdej chwili może zabraknąć mu sił. Jordanna nie dała się zwieść, choć dostrzegła twarde i zdecydowany wyraz jego twarzy. Wiedziała, że nie mogą tu zostać. Zarzuciła sobie jego rękę na ramiona, mocno chwyciła za nadgarstek i wyężdżając wszystkie siły starała się podtrzymać go na tyle, na ile tylko mogła. Rzucił na nią gniewne spojrzenie. W jego pociemniałych z bólu oczach wyczytała, że odrzuca jej pomoc.

— Sam sobie poradzę — sarknął z irytacją.

Jordanna zignorowała jego protesty i wzmocnwszy jeszcze uścisk, rzekła:

— Jestem ci potrzebna. Dokąd idziemy?

Zawahał się, a potem powiedział:

— W prawo.

Ruszyli w dalszą drogę. Jeszcze dwa razy zatrzymywali się, żeby Brig mógł się zorientować, czy idą we właściwym kierunku. I za każdym razem okazywało się, że muszą nieco zmienić trasę. Brig szedł z coraz większym trudem i jego ciało coraz-bezwładniej opierało się na ramionach Jordanny. Ona również była u kresu sił.

— W stronę tamtych drzew. — Słabym ruchem uniósł ramię, by wskazać mającą wśród zawiei ciemną ścianę wiecznie zielonych drzew w odległości kilkuset metrów przed nimi. Głos mu się załamywał z bólu i wyczerpania. Jest tam stara górnicza chata. — A potem, jakby głośno myśląc, mruknął: — Jeżeli jeszcze tam stoi.

Nawet najniżej zwieszające się gałęzie drzew przykrywał śnieg, który, niczym miniaturowe lawiny, przysypywał ich za każdym razem, gdy idąc przez las potracali konary. Przejmująco zimny wiatr boleśnie chłostał ich twarze. Z daleka można ich było wziąć za dwa śniegowe bałwany, gramolące się niezdarnie przez las. Pobielone śniegiem brwi i wąsy Briga nadawały mu wygląd starca. Kilka płatków utrzymywało się nawet na jego długich, czarnych rzęsach.

Nagle tuż przed nimi wyłonił się brunatnoróżowy, prostokątny kształt, poliniowany białymi poziomymi pasmami, tam gdzie śnieg zatrzymał się wzdłuż bierwion.

— Jest! Brig, widzisz?

Jordanna miała ochotę pobiec tam, ale uświadomiła sobie, że będzie miała i tak mnóstwo szczęścia, jeśli nogi w ogóle zdołają unieść ją tych kilka metrów.

— Tak — powiedział Brig, nie zmieniając tempa marszu.

Jordanna spróbowała otworzyć drzwi, lecz nie ustały — wypaczyły się z powodu wilgoci. Łzy bezsilnej rozpaczycy napływały do oczu dziewczyny. Brig, który słaniał się na nogach, wsparty ciężko o ścianę chaty, widząc, że drzwi się zacięły, odsunął Jordannę i z całych

się popchnął je ramieniem. Jęknęły, ustępując gwałtownie pod jego ciężarem. Brig z impetem wpadł do środka, znikając z oczu Jordannie. Rzuciła się za nim, lecz w ciemnej, pozbawionej okien izbie nie mogła go dojrzeć. Słyszała tylko, że potknął się o coś, zanim zdołał odzyskać równowagę.

Niewielki drewniany stół, o który zaczępił nogą, powstrzymał go od upadku na podłogę. W izbie unosił się odór wilgoci i stęchlizny. Jordanna poczuła na twarzy lepkie pajęczyny. Usłyszała, że po podłodze coś czmychnęło truchcikiem w stronę kryjówki w ciemnym kącie. Pomyślała, że to pewnie mysz albo szczur, ale nie zaprzętała sobie głowy koniecznością podzielenia się przypadkowym przytuliskiem z zadowolonymi tu gryzoniami.

— Palenisko — wymamrotał Brig.

Zatoczywszy się, uchwycił się Jordanny, by nie runąć na ziemię. Ugięły się pod nią kolana. Zmobilizowała resztki sił, jakie w niej jeszcze kołatały, by pomóc Brigowi przejść parę kroków, dzielących ich od kamiennego paleniska. Zaczynał tracić świadomość. Potrząsnął głową, próbując rozproszyć ogarniające go odrętwienie.

— Trzeba... ogień.

Nie zdołał już wymówić wyraźnie całego zdania i osunął się ciężko. Jego bezwładne ciało oparło się nagle całym ciężarem na ramionach Jordanny. Osunęła się razem z nim na podłogę, by zamortyzować upadek. Zaczął bełkotać tak niewyraźnie, że Jordanna rozumiała tylko pojedyncze słowa.

— ...ubrania... mokre... wysuszyć... ogień...

Wyswobodziwszy się spod przygniatającego ją ciężaru, ułożyła bezwładne ciało Briga przy palenisku. Zdjęła z szyi wełniany szalik. Palce miała zeszywniałe i niezdarne. Przewiązała postrzelone udo Briga, starając się nie zaciskać szalika zbyt mocno, by nie tamować krążenia, a jedynie powstrzymać krwawienie. Potem usiadła przy Brigu na kilka chwil. Opanowała ją gwałtowna

pokusa, by położyć się na podłodze obok niego i też zapaść w nieświadomość. Ale wspomnienie kilku oderwanych słów, które wypowiedział, zanim stracił przytomność, zmusiło ją do działania.

Przy palenisku znalazła stertę drobnych drewnianych szczap, które ułożyła na szerniałej płycie. Było ich dość, by rozpalić ogień, nie na tyle jednak, żeby wystarczyło na całą noc. Starannie zebrała wszystkie wióry i kawałki kory, a następnie dołożyła do tego stosu znalezione w rogu izby polana.

Przetrzęsła kieszenie, szukając zapalek. Drżała z niepokoju, czy nie zamokły podczas śnieży. Na szczęście okazało się, że nieprzemakalna kurtka zabezpieczyła je przed wilgocią. Dygocząc z zimna potarła pierwszą zapalkę. Płomień zamigotał niepewnie, lecz po chwili uspokoił się i powiększył. Opanowując z wielkim trudem drżenie dłoni, Jordanna przystawiła zapalkę do drewnianej szczapy. Z początku płomień lizał obojętnie powierzchnię drewna, lecz już po kilku sekundach zaczął pochłaniać kolejny patyk. Jordanna podsyciła wątki płomienia kilkoma szczapami, by stos rozpalili się na dobre.

Gdy ogień objął także grubsze polana, Jordanna się podniosła. Choć ciepłe płomienie rozgrzewały jej zeszywniałe z zimna ciało, susząc lodowatą skorupę mokrego ubrania, oderwała się od życiodajnego ognia, by poszukać jeszcze kawałków drewna do podtrzymania płomienia. Musiała jak najszybciej zająć się raną na nodze Briga.

Ogień był jednak najważniejszy. Z tym musiała uporać się najpierw. Starannie pozbierała wszystkie kawałki drewna, ułożyła je w stertę przy palenisku, a potem omiotła spojrzeniem całą izbę, zastanawiając się, co jeszcze mogłaby dorzucić do ognia. Prócz koślawego stołu, w chacie znajdowało się jeszcze prymitywne sklecone krzesło. Przedarłszy się przez zasnuwającą izbę pajęczyny, Jordanna pozbierała kawałki połamanej

nogi stołu. Obejrzała następnie krzesło, na którym pozostały zbutwiałe resztki skórzanego obicia. Za pomocą scyzoryka odcięła kawałki skóry i dorzuciła do piętrzącego się stosu krzesło.

Ponieważ zaczynała już dzwonić zębami, postanowiła odsapnąć chwilę, by nie zabrakło jej sił do dalszej pracy. Nie zdawała sobie nawet sprawy ze spazmatycznego szlochu, który nią wstrząsał, gdy wyczerpana wsparła się na chwilę o półkę prostej szafki, przytwierdzonej do ściany.

Jedną z nóg krzesła wykorzystała w charakterze dźwigni, by wyważyć drewniane słupki wspierające poszczególne półki, z których składała się szafka. Spod jednej z półek czmychnęła z piskiem mysz, przerażona nagłym kataklizmem. Jordanna, uderzając w deski i szarpiając za nie z całych sił, oderwała je w końcu od ściany. Z głuchym jękiem spadł na podłogę żeliwny garnek. Nie mogąc zaczerpnąć tchu, przerwała na chwilę pracę. Coś załaskotało ją w policzek. Domyśliła się, że to pająk, strzepnęła go więc z twarzy, uniósłszy rękę z grymasem zmęczenia.

Spojrawszy na piętrzącą się stertę drewna, uznała, że to powinno wystarczyć do rana. Gdyby jednak okazało się to konieczne, mogła jeszcze przeznaczyć na podpałkę drewnianą ramę łóżka. Brig poruszył się. Wstała z wielkim wysiłkiem i podeszła do niego. Nie miała nic, czym mogłaby zdezynfekować ranę. Wiedziała jednak, że duży upływ krwi zmniejszył ryzyko zakażenia. Gdyby tylko postarała się teraz o kawałek płótna, w miarę czysty, mogłaby przemyć ranę ciepłą wodą. Najpierw musiała więc podgrzać wodę.

Niepewnym, chwiejnym krokiem ruszyła w stronę kąta, do którego potoczył się żeliwny garnek. Wyszła z chaty, pamiętając o tym, by zostawić uchylone drzwi, których potem mogłaby nie otworzyć wracając. Zapadała już noc. Jordanna wyczyściła naczynie drobnym żwirem,

który znalazła odgarnawszy warstwę śniegu. Drżała z zimna od stóp do głów. Płatki śniegu wirowały wokół niej, a lodowaty wiatr poruszał gwałtownie konarami drzew. Długo szorowała garnek śniegiem, potem napełniła go po brzegi i wróciła do chaty. Ustawiła na ogniu, by zagotować wodę.

Płynące od paleniska ciepło wywoływało dokuczliwy ból przemrożonej skóry. Miała takie wrażenie, jakby tysiące igiełek kłuło ją w twarz i dłonie. Nie mając już sił, by jeszcze raz się podnieść, doczołgała się po podłodze do Briga. Miał bladą, zeszywniałą twarz o wyostzonych rysach. Na nieprzemakalnej pelerynie lśniły kropelki wody, kapelusz spadł mu z głowy. Ciepło ognia rozpuściło śnieg, który przyłgął do jego ubrania i spływająca woda utworzyła na brudnej podłodze brunatną kałużę. Z pewnością całe jego ubranie było równie przemoczone, jak ubranie Jordanny, i nie tylko pozbawiało go ciepła, ale powodowało wyziębienie ciała. Dopóki miał je na sobie, ciepło płynące od paleniska nie mogło przynieść mu żadnego pożytku.

Jordanna zdjęła rękawice i ułożyła je tuż przy ogniu, żeby przeschły. Potem rozgrzała zsiniałe z zimna dłonie. Gdy tylko zeszywniałe palce odzyskały sprawność, zaczęła zdejmować z Briga przemoczone ubranie. Najpierw zdjęła nieprzemakalną pelerynę, potem podbitą owczą skórą kurtkę, następnie flanelową koszulę i podkoszulek. Był to nie lada wysiłek, ponieważ potężne ciało Briga było zupełnie bezwładne.

Mocno natarła dłońmi jego pierś i ramiona, żeby pobudzić krążenie krwi. Potem zdjęła z rany na nodze wełniany szalik. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odciąć nogawki spodni scyzorykiem, ale prędzej czy później czekała ich droga powrotna do obozowiska. Przy takiej mroźnej pogodzie nie można było pozbawiać Briga długich spodni i kazać mu brnąć przez kopny śnieg w bermudach.

Rozpięła pas, rozsunęła zamek i tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe, zaczęła zdejmować spodnie, starając się, by materiał nie dotykał rany. W pewnej chwili Briga jęknął z bólu. Jordanna zagryzła wargi i odczekała chwilę, nim znów zaczęła zsuwać spodnie. Musiała zatrzymać się jeszcze na chwilę, by zdjąć buty, o których przedtem zapomniała. Ustawiła je w bezpiecznej odległości od ognia, żeby skóra zanadto nie zeszywniała. Potem z wielką ostrożnością zdjęła skarpetki i kalessony. Zerknęła z niepokojem na jego twarz, zdając sobie sprawę, jakiego bólu by mu przysporzyła, gdyby był w tej chwili przytomny. Zakrzepła krew miejscami przykleiła materiał do ciała. Rana już nie krwawiła. Jordanna odnalazła miejsce, gdzie kula weszła w ciało, stwierdzając z ulgą, że nie tkwi w ranie.

Woda zaczynała wrzeć, gdy Jordanna skończyła zdejmować z Briga ubranie. Przystąpiła do masażu nóg, zaczynając od prawej stopy i posuwając się stopniowo ku górze, natarła dokładnie muskularne uda i skończyła masaż w okolicach podbrzusza. Lewą nogę wymasowała ostrożnie do kolana.

Doznała uczucia przelotnego niepokoju, gdy nagle uświadomiła sobie, że tak bezceremonialnie obchodzi się z nagim ciałem Briga. Odkryła blizny po dawnych ranach, poza tą na ramieniu, o której już wiedziała. Z pewnością nie życzyłby sobie, żeby tak wielu rzeczy się o nim dowiedziało tylko dlatego, że był nieprzytomny. Zawsze dotychczas kładł ją na plecach i to on się nad nią nachylał. A ona nie robiła nic, by mu w tym przeszkodzić.

Nie był to jednak odpowiedni moment, żeby oddawać się marzeniom. Oderwała wzrok od pięknego, muskularnego ciała, którego widok przyprawiała ją o zawrót głowy, i odcięła scyzorykiem kawałek koszuli Briga. Grube ubrania, które miała na sobie, krępowały jej ruchy. Zdjęła sweter i koszulę. Zawahała się przez chwilę, zanim zrzuciła także ciepłą bieliznę. Jedną

z nogawek długiego trykotu obcięła na wysokości kolana i wrzuciła do wrzącej wody. Całym jej ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki.

Umoczyła odcięty kawałek koszuli Briga we wrzącej wodzie, parząc sobie opuszki palców podczas wyciskania ze szmatki nadmiaru wody. Nachyliła się nad zranioną nogą i zaczęła ostrożnie zmywać zakrzepłą krew. Rana była głęboka i sprawiała wrażenie bolesnej. Potem zajrzała do garnka, w którym wygotowała kawałek trykotu. Uznała, że jeszcze za wcześnie, aby był dostatecznie odkażony.

Dorzuciła drew do ognia i zerknęła na stertę przemoczonych ubrań. Należało je wysuszyć. Stąpając boso po zimnej, chropowatej podłodze, podeszła do stojącego na środku izby stołu. Przyciągnęła go w pobliże paleniska i położyła na boku, żeby utworzyć parawan, chroniący Briga przed panującym w izbie zimnem, a zwłaszcza lodowatym powietrzem, wiejącym przez szparę pod drzwiami. Część ubrań rozwiesiła na nogach stołu, tworząc w ten sposób zasłony skupiające wokół Briga ciepło płynące od ognia. Potem odcięła nożem jeden ze sznurów podtrzymujących wiszący w izbie hamak, przywiązała jeden koniec sznura do haka tkwiącego w okapie nad paleniskiem, a drugim końcem owiązała nogę stołu. Rozwiesiła tam pozostałe ubrania, dorzucając do nich na koniec swój biustonosz.

Za pomocą patyka wyjęła z garnka wygotowany kawałek materiału i odczekała, aż spłynie z niego nadmiar wody i szmatka nieco ostygnie. Parująca woda utworzyła szary obłoczek. Po chwili Jordanna dotknęła mokrego materiału, żeby sprawdzić, czy już dostatecznie wystygł. Być może popełniała błąd, kładąc mokry opatrunek na ranie, ale nie chciała, by zraniona noga była zbyt długo narażona na kontakt z panującym wokół brudem, co groziło zakażeniem. Mięśnie Briga napięły się odruchowo, w chwili gdy ciepły, wilgotny kompres

dotknął rany. Teraz Jordanna musiała znaleźć coś, czym mogłaby przymocować opatrunek do nogi. Odcięła dwa cienkie paski materiału od swojej bluzki i owiązała nimi udo.

Zmęczenie zaczynało mącić jej wzrok. Mogła nareszcie odpocząć. Nie, otrząsnęła się i z wielkim trudem wyprostowała. Trzeba podtrzymywać ogień. Była tak wyczerpana, że kilkakrotnie zapadała w drzemkę. Skrajnie zmęczona dorzucała drwa do ognia, wykonując automatyczne ruchy niczym robot. Powtarzała tę czynność co najmniej sześciokrotnie. Brig rozpaczliwie potrzebował ciepła.

Na zewnątrz zapadła ciemna, bezgwiezdna noc. Nadal sypał puszysty śnieg, a wiatr wył za ścianami chaty. W izbie trzaskał ogień na palenisku. W jej ciemnym kącie słychać było szelest przemykających ukradkiem gryzoni, lecz Jordanna nawet nie zwracała na nie uwagi.

Brig poruszył się, próbując wygodnie ułożyć się na twardym legowisku. Ostry ból przeszył jego lewe udo. Ocknął się nagle i powoli otworzył oczy. W półmroku dostrzegł niewyraźne zarysy rozwieszonych ubrań, przypominające fantastyczne zjawy majaczące wokoło. Pod sobą czuł twardą, lodowatą podłogę. Sięgnął dłonią do uda, chcąc przerwać gwałtowny ból. Palce dotknęły owłosionej skóry i wtedy zdał sobie sprawę, że jest nagi. Odwrócił głowę, by spojrzeć w tę stronę, skąd płynęło światło i ciepło.

Na widok nagiej sylwetki wspierającej się o kamienny okap paleniska, stracił oddech. Płonący ogień otaczał nieruchomą postać jasnożółtym blaskiem. Były to kształty doskonałe w każdej linii, od strzelistych nóg o smukłych udach, poprzez wspaniałe, łagodnie zaokrąglone biodra, szczupłą talię, aż do delikatnych,

jasnych ramion wyłaniających się z ciemnomiedzianych włosów, lśniących tysiącem migotliwych refleksów w blasku ruchliwych płomieni ognia. Wzrok Briga powędrował znów leniwie w dół, ku łagodnym zarysom kragłych pośladków.

Sylwetka nagle poruszyła się odzyskując życie i powoli odwróciła ku niemu. Ujrzał wysoko osadzone, drobne piersi, zabarwione różowo, oraz łagodne łuki smukłych bioder. Żaden rzeźbiarz nie oddałby zmysłowości emanującej z tego pięknego ciała.

— Wenus, z ramionami... — wyszeptał zafascynowany Brig.

Postać zbliżyła się do niego i uklękła tuż obok. Blask ognia oświetlił jej twarz o głębokich cieniach, wyraźnie zaznaczających się pod zielonoorzechowymi oczyma. Brig uśmiechnął się nieznacznie, gdy ją rozpoznał.

— Jordanna.

— Tak — odezwała się łagodnym, cichym głosem. Lekko dotknęła palcami jego czoła. — Jak się czujesz?

— Jestem wykończony.

A zatem nie opuścił jeszcze tego świata. Jordanna była tuż obok, tak blisko, że mógł jej dotknąć. Położył dłoń na jej ramieniu, a potem przesunął na jej pierś. Delikatnym, pieścizotliwym gestem przesunął kciuk po różowym wierzchołku, który uniósł się i stwardniał natychmiast pod jego dotykiem.

— Dlaczego tu jesteś?

— Co za dziwaczne pytanie! A gdzie miałabym być? Jej głos drżał z pożądania.

— Mogłaś mnie zostawić i pozwolić mi umrzeć. Nie miałem żadnych szans wyjść cało z tej zawiei.

Przyciągnął ją do siebie. Nie musiał w to wkładać zbyt wielkiego wysiłku.

— Ja również nie miałabym żadnych szans, gdybyś sobie nie przypomniał o tej chacie. — Czuła, że miękkie pagórki jej piersi uniosły się ku górze.

Brig przesunął dłoń ku nasadzie pleców, by pogładzić pieszczotliwie krągły, miękki kształt, który przed chwilą wprawił go w taki zachwyt.

- Czy ty aby nie masz gorączki? Bo tak pleciesz od rzeczy.

— Jeżeli nawet mam gorączkę, to tylko ty jesteś winna, że tak mi rośnie temperatura.

Brig nie miał ochoty zaprztać sobie głowy rozmyślaniami o tym, dlaczego Jordanna z nim została albo dlaczego opatrzyła jego nogę. Mogła przecież go porzucić i pozwolić, by natura dokończyła dzieła rozpoczętego przez Fletchera. Drugą ręką otoczył szyję dziewczyny, by przyciągnąć jej głowę ku swoim ustom.

— Przestań, Brig! — zaprotestowała słabo. — Jesteś ranny.

— No właśnie! Nie pozwolisz chyba, żebym się męczył?

Usłyszał jej cichy jęk. Zrozumiał, że dziewczyna nie będzie mu się opierać.

— Proszę cię! Jestem kompletnie wykończona i muszę pilnować ognia — szepnęła między jednym pocałunkiem a drugim.

Nie uczyniła jednak nic, by mu się wymknąć. Brig, czując bezwładny ciężar jej ciała, zrozumiał, że mówi prawdę — była w stanie skrajnego wyczerpania. On zaś, choć ranny i nie mniej znużony, poczuł nagle przejawy narastającego pożądania. A więc nie całe jego ciało pogrążone było w letargu.

Musiał jednak niechętnie przyznać, że miała rację, przypominając o konieczności podtrzymywania ognia.

— Dorzuć kilka polan. To powinno wystarczyć do rana.

Poruszała się z wdziękiem, nawet sobie nie uświadamiając, jak prowokacyjny jest każdy jej zgrabny, miękki ruch. Brig uniósł się nieco na łokciu, chcąc sprawdzić, czy nie zawiodą go siły i czy rana w nodze nie będzie go

zanadto krępować. Gdyby tak Jordatina wykazała chęć do współdziałania, nie powinno być żadnych problemów.

Dorzuciwszy do ognia kilka sporych polan, Jordanna odwróciła się z wahaniem i odgarnęła za ucho kosmyk włosów, który łaskotał ją w nos. Na widok jej olśniewająco pięknego ciała, oczy Briga pociemniały.

— Połóż się przy mnie, Jordanno,

Wyciągnął do niej rękę, ich palce splotły się ze sobą. Powoli, niepewnie i ostrożnie ułożyła się przy jego prawym boku. Brig poruszył się, chcąc przewrócić się na bok, ale ona zdecydowanym ruchem położyła ręce na jego ramionach, zmuszając, by nadal leżał na plecach.

— Nie, mógłbyś znów zacząć krwawić — powiedziała z niepokojem.

— Wobec tego... — Pociągnął ją ku sobie, by znalazła się nad nim. — ...zrobimy to tak.

— Jesteś szalony!

Zadrżała jednak, gdy poczuła nacisk jego dłoni na swych piersiach.

— Tak, to na pewno szaleństwo — zgodził się.

Było to jedyne wytłumaczenie niedorzecznego zachowania Jordanny, która — nie mógł w to wątpić — brała udział w spisku na jego życie. A wobec tego, dlaczego ciągle jeszcze przy nim była? A zresztą, po co o tym teraz myśleć? Umierał z pragnienia, by się z nią kochać. Jeszcze raz zdołała zasiać w nim ziarno szalonej, piekielnej żądzy. Teraz więc nadszedł czas, by i on to uczynił.

Gdy dłonie Briga przesuwwały się powoli ku biodrom Jordanny, przeniosła ciężar ciała na jego pierś i dotknęła wilgotnymi wargami kącika ocienionych wąsami ust. Poczuł jej ciepły oddech.

— Uważaj! — szepnęła. — Nie możemy dopuścić, żeby stan twojej nogi się pogorszył.

- No więc mi pomóż! — ofuknął ją, a w chwilę potem jęknął z rozkoszy, gdy posłusznie uczyniła to, czego od niej żądał.

Obudził ją chłód. Ze skostniałymi z zimna palcami leżała na Brigu. Nawet gdy była pogrążona we śnie, ani razu nie dotknęła zranionej nogi. Pomimo ciepła płynącego od ciała Briga, Jordanna dygotała. Nagle uświadomiła sobie, że z pewnością wygasł ogień na palenisku. Odwróciwszy głowę, zobaczyła tylko słabą czerwoną poświatę przebijającą spod popiołów.

Uwolniła się ostrożnie z otaczających ją ramion śpiącego Briga i podeszła do paleniska, żeby rozpalić ogień. Dorzuciwszy do tłących się popiołów garść wiórów, zdołała rozniecić maleńki płomień. Trzęsąc się z zimna położyła na nim pierwsze polano. Dotknęła bielizny, którą rozwiesiła poprzedniego dnia, i stwierdziwszy, że już wyschła, pośpiesznie ją na siebie założyła. Potem naciągnęła pozostałe ubrania.

Zostały tylko dwa polana. Rama łóżka powinna dostarczyć przynajmniej sześciu tej wielkości kawałków drewna, ale potrzebowali znacznie więcej. Chciało jej się pić, a ssanie w żołądku przypominało, że nic nie jadła od śniadania poprzedniego dnia. Zdjęła ze sznura kurtkę Briga i go okryła. Potem założyła kapelusz i rękawice, a następnie sięgnęła po żeliwny garnek i scyzoryk.

Śnieg już nie padał, ale ziemię przykrywała co najmniej piętnastocentymetrowa, a miejscami nawet grubsza, biała warstwa. Odbijające się od niej promienie słońca osłepiły Jordannę. Musiała osłonić oczy, dopóki nie przywykły do nagłej jasności, zaskakującej po panującym w chacie mroku. Teraz, za dnia, odkryła, że w drewnianych balach wycięto okna i zabito deskami.

Napełniwszy garnek śniegiem, ustawiła go pod drzwiami, a potem poszła rozejrzeć się pp okolicy. Za chatą odkryła stertę drewnianych szczap. Nieco dalej leżało na ziemi sporo uschłych gałęzi, które również mogły się przydać. A zatem ten problem został rozwiązany.

Teraz całą swą uwagę Jordanna skoncentrowała na

żołądka, który coraz gwałtowniej domagał się zaspokojenia głodu. Przed wieloma laty ojciec nauczył ją, że wewnętrzne warstwy kory drzew iglastych, a także niektórych innych drzew, są jadalne, zarówno surowe, jak i gotowane. Uratowałyby to ich od śmierci głodowej. Mogłaby pewnie znaleźć pod śniegiem coś innego do zjedzenia, ale kora była w tej chwili najłatwiejsza do zdobycia. Jordanna mogła ją ugotować w wodzie z roztopionego śniegu, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju zupy, w miarę pożywnej. Za pomocą scyzoryka odcięła pasy kory, a następnie oddzieliła jej zewnętrzną warstwę, twardą i gorzką, zostawiając wewnętrzne włókna, miękkie i delikatne.

Napełniwszy nimi kieszenie, wróciła do chaty, zabierając po drodze żeliwny garnek. Po panującej na zewnątrz jasności, jej oczy z wielkim trudem przystosowały się do mroku izby. Na tle płonącego paleniska ujrzała wysoką sylwetkę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to Brig.

— Dzień dobry — odezwała się z szerokim, promiennym uśmiechem.

Brig był już częściowo ubrany. Stał na jednej nodze. Zamiast jednak się uśmiechnąć, rzucił jej przeciągłe, wrogie spojrzenie. W jednej chwili dobry humor Jordannej ulotnił się bez śladu. Nie mogła pojąć, co się stało. W nocy był namiętym, nienasyconym kochankiem, który doprowadził ją do ekstazy, a rankiem ujrzała w jego oczach jedynie nienawiść i wzdargę. Cóż takiego uczyniła prócz tego, że ofiarowała mu miłość?

— Gdzie byłaś? — warknął szorstkim, oskarżycielskim tonem.

— Chciałam rozejrzeć się po okolicy i zorientować, gdzie jesteśmy. — Postawiła garnek ze śniegiem na palenisku. — Za chatą jest sporo drewna na opał, a poza tym... — Wydobyła z kieszeni kawałki kory. — ... zebrałam trochę tego, żeby zrobić dla nas jakąś zupę.

Starła się ani przez chwilę nie tracić Spokoju i pewności siebie, żeby nie zauważył, jak jego zachowanie rani ją i wyprowadza z równowagi.

— Cóż za pomysłowość! — zadrwił.

— Też jestem tego zdania — odparła z pozorną obojętnością.

— Dawałaś przy okazji znaki swojemu ojcu?

— Akurat nie przyszło mi to do głowy. A szkoda, bo z pewnością bym to zrobiła — odparowała zimno.

Nie mogła pojąć, dlaczego Brig tak się zachowuje. Nie miała zamiaru się na to godzić.

— Nic nie stało na przeszkodzie, żebyś zrobiła to, co ci się żywnie podobało. I co, zabrakło ci odwagi? Dlaczego? — Stał z odrzuconą do tyłu głową i patrzył jej w oczy wzrokiem aroganckim, wyzywającym i nieufnym. — W końcu co to za różnica, czy się zginie od kuli, czy zamarnie na śmierć?

Zmarszczywszy brwi, patrzyła na niego skonsterowana. Wreszcie potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

W izbie zaczynało robić się ciepło. Jordanna zdjęła kapelusz i rozpięła kurtkę.

— Przestań udawać idiotkę. Mam już serdecznie dość tej zabawy! — wybuchnął ze złością.

— Wczoraj wieczorem też plotłeś od rzeczy. Widocznie znów masz gorączkę. — Podeszła do niego, żeby położyć mu rękę na czole i sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma podwyższonej temperatury.

Chwycił ją za rękę z taką siłą, jakby chciał ją zmiażdżyć. Skręciła się z bólu. Twarz Briga wykrzywiła się w grymasie nienawiści.

— Dość kłamstw, Jordanno!

— Ja nie kłamię! — krzyknęła z oburzeniem. — Czy postradałeś rozum?

— Tak, straciłem głowę już wtedy, kiedy cię spotkałem — odparł z zimnym szyderstwem. — Teraz wiem,

jaka z ciebie załgana dziwka. Wiedząc, że knujesz ze swoim ojcem, aby mnie zabić, dałem się podejść jak dziecko i sam jeszcze pchałem się pod lufę. To w końcu czysty przypadek, że wykręciłem się z tego tylko z dziurą w nodze.

— Co? — Jordanna miała w głowie kompletny zamęt.
— Jak ty możesz wygadywać takie potworne brednie? Jesteś naprawdę obłąkany — szepnęła z przerażeniem.
— Nie wiem wprawdzie, kto do nas strzelał, ale...

— Kłamiesz, dziwko! — warknął z furią i odepchnął ją tak gwałtownie, że omal nie upadła. — Oboje świetnie wiemy, że to twój ojciec!

— Nie!

— A niby kto? Kto poza nim ma sztucer? I kto miałby powód, żeby mnie zabić?

— Tego nie wiem, ale jednego jestem pewna: to nie był mój ojciec. — Osłupienie i rozpacz wywołały w niej niepokonowaną furię. — Jak mogłeś sobie ubzdurać, że mój ojciec chce cię zabić? Czy ty masz po kolei w głowie, Brig?

— Z moją głową jest wszystko w porządku. Fletcher chciał mnie sprzątnąć, ponieważ mu powiedziałem, że Max został zamordowany, że to nie był wypadek. I twój ojciec musiał cię w to wtajemniczyć.

Brig nie mógł pojąć, dlaczego Jordanna z takim absurdalnym uporem udaje, że o niczym nie wie.

— Zamordowany? Przecież to był wypadek! — sprzeciwiła się.

— Wypadek! — Schylił się, sięgnął po kurtkę i wyjął z kieszeni kolczastą gałązkę. — Jaki koń nie zrzuciłby z siodła niedoświadczonego jeźdźca z czymś takim pod siodłem? Nie mów mi, że nigdy tego nie widziałaś.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciernie.

— Owszem, widziałam. Powiedziałaś mi, że to twój talizman. — Podniosła wzrok na Briga. — Mam uwierzyć, że to właśnie stanowiło przyczynę wypadku Maxa?

— To nie był wypadek, tylko zbrodnia. I jestem pewien, że jako współniczka ojca, nigdy tego nie potwierdzisz.

— Nie, to nieprawda! Nie wiem, jak ten cieriń znalazł się pod siodłem Maxa i nie mam nic wspólnego z całą tą historią. Zresztą, mój ojciec także nie.

— Przestań udawać, Jordanno! — przerwał jej pogardliwym tonem. — Tego ranka, kiedy tak uprzejmię przyniosłaś mi kawę, twój ojciec bez żadnych przeszkód mógł przygotować zamach i wsunąć to pod siodło, a ty, zatrzymując mnie, miałaś pewność, że nie zdążę na czas dojść do koni.

- Nie.

— Powinienem był się domyślić, że coś się w tym kryje, kiedy twój ojciec rozmyślnie nie ostrzegł Maxa przed wężem. Nie zrobiłem nic nawet wtedy, gdy nakłonił Maxa, żeby przeszedł po występie skalnym, nie uprzedzając go, że po drugiej stronie załomu grunt jest podmyty. Ale ja myślałem tylko o tobie, widziałem tylko ciebie. To, oczywiście, też zostało zaplanowane: tak mnie omotać i ogłupić, żebym nie wiedział, co się dokoła mnie dzieje. Prawie ci się udało. Byłaś świetna w roli czarującej uwodzicielki. Grałaś tak wspaniale, kiedy byliśmy w łóżku, że nawet nie chciałem dopuścić do siebie myśli o tym wszystkim. A kiedy usłyszałem, jak Fletcher każe ci, żebyś była dla mnie „miła”, nawet nie zadałem sobie trudu, by się zastanowić, o co też może mu chodzić. Byłem też skończonym durniem wierząc w jego historijkę o trofeum myśliwskim. I dopóki mogłem cię mieć, kiedy tylko zechciałem, było mi wszystko jedno, dlaczego to robisz.

— Nie! Nic nie zrozumiałaś. Nie kochałam się z tobą dlatego, że ojciec mi kazał. — Miała w oczach łzy, była zdruzgotana. — Robiłam to, ponieważ tego pragnęłam najbardziej, ponieważ cię kocham. Tata nie ma z tym nic wspólnego. Nie ma też nic wspólnego ze śmiercią Maxa i nigdy nie uda ci się udowodnić, że jest inaczej.

— Ano właśnie! Dokładnie to mi powiedział — odparł Brig z niewzruszoną pewnością siebie.

— Co... co powiedział? — spytała wstrząśnięta.
— Co to ma znaczyć? On wie, że podejrzewasz go o zabicie Maxa?

— A jak myślisz, dlaczego chciał mnie zastrzelić? Boi się, że mógłbym zacząć mówić o tym, co wiem. Próbował mnie uciszyć raz na zawsze. Jeszcze parę sekund, a wszystko poszłoby jak z płatka. Nie udało ci się dostatecznie długo odwracać mojej uwagi, Jordanno. No, i spudłował.

— Kłamca! Wszystko to łgarstwo. Wymyśliłeś to sobie. Dlaczego? — zawołała dygocząc jak w febrze, wstrząsana gwałtownym szlochem.

— Ty wiesz, że to prawda. Fletcher krąży tu gdzieś w pobliżu i mnie szuka. Musi mnie zabić. Teraz już nie może pozwolić mi się wymknąć, nie po tym, jak mnie zranił.

— Kłamca! — krzyknęła, nie panując już nad sobą. Rzuciła się na niego, okładała go pięściami, kopała i łkając spazmatycznie nie przestawała krzyczeć: — Kłamca! Kłamca! Kłamca!

Nic już nie widziała poprzez gorące łzy, które paliły ją w policzki. Zazwyczaj Brig bez trudu radził sobie z jej wybuchami nieopanowanych emocji, lecz tym razem minęło kilka minut, zanim pochwycił jej ręce i unieruchomił za plecami. Uświadomiwszy sobie po chwili, że nie jest dość silna, aby z nim walczyć, poddała się z rezygnacją.

22

Brig trzymał ją mocno w ramionach; całym jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch. Żadna aktorka, choćby i najbardziej utalentowana, nie potrafiłaby odegrać takiej sceny. Zmarszczył brwi, rozluźnił uścisk i łagodnym gestem odgarnął przylepione do twarzy pasma ciemnych włosów. Coraz rozpaczliwiej płakała. Pierś Briga mokra była od łez Jordanny.

— To nieprawda — mruknął głosem łamiącym się z emocji.

Drżącą dłonią ujął jej brodę i uniósł ku górze drobną twarz Jordanny, zalaną łzami i przerażoną. W jej orzechowych, nakrapianych zielonymi cętkami oczach malowała się udręka. Nagle Brig zrozumiał, że jej niewinność, która od pewnego czasu wydawała mu się prawdopodobna, ale w którą nie odważył się uwierzyć, nie budzi żadnych wątpliwości. Doznał głębokiego wstrząsu, ale uwolniony nagle od strasznego, przytłaczającego ciężaru, poczuł ogromną ulgę, ogarniającą go falą łagodnego ciepła.

— Nie wiedziałaś, prawda?

Zasłoniła uszy dłońmi, by nie słyszeć głosu Briga, i mocno zacisnęła powieki, z których spłynęły ostatnie łzy.

— Nie chcę słyszeć już ani jednego kłamstwa o moim ojcu.

Brig objął Jordannę i wsparł brodę na jej włosach. Widząc jej ból i rozumiejąc, jakiego doznała wstrząsu, zdał sobie sprawę ze swojej bezwzględnej brutalności wobec tej dziewczyny, która była ofiarą równie niewinną, jak on. Ale skąd miał to wiedzieć?

— To prawda, Jordanno. Bardzo mi przykro — rzekł ochrypłym głosem, przepełnionym żalem i goryczą. — To nie przypadek, że twój ojciec wybrał mnie na przewodnika tej wyprawy myśliwskiej. Kazał przeprowadzić szczegółowe śledztwo, żeby zebrać o mnie wszelkie informacje. Wiedział wszystko o moich związkach z Maxem i z Singer Corporation, o naszej wzajemnej niechęci. Usunął Maxa i liczył na to, że uda mu się tak wszystko urządzić, aby uznano mnie za podejrzanego numer jeden, gdyby podczas śledztwa wyszło na jaw, że to nie był wypadek. Miałem być kozłem ofiarnym. Tak się pechowo dla niego złożyło, że zdobyłem dowód obciążający go winą za śmierć Maxa i nagle wszystko stało się dla mnie jasne.

— Ale dlaczego? — Uniosła ku niemu zdesperowaną twarz, niecierpliwym gestem dłoni ocierając łzy spływające po jej policzkach. — Dlaczego chciał zabić Maxa?

— Nie bardzo to rozumiem. Jest to właśnie ta ostatnia rzecz, której nie potrafię rozwikłać. — Nerwowo zacisnął szczękę. — Nic nie przychodzi ci do głowy? Kim dla niego był Max?

— Łączyły ich wyłącznie sprawy dotyczące interesów — odrzekła wzruszywszy bezradnie ramionami. — Zadręczał tatę namawiając go, żeby odkupił jakieś akcje. Tata mówił, że kazał przeprowadzić śledztwo na temat spółki... — Przerwała i spojrzała na Briga szeroko otwartymi oczyma, w których pojawił się nagły błysk zrozumienia. — I o tobie też zbierał informacje. To tata mi właśnie powiedział, że byłeś najemnikiem, a nie Max. Rzeczywiście, dużo o tobie wiedział.

— Czy miał zamiar kupić akcje Maxa?

Dostrzegł w oczach Jordanny wyraz trwogi i czujności. Widział, że rozpaczliwie próbuje sobie przypomnieć.

— Mówił mi, że bierze to pod uwagę. Spółka znalazła się na krawędzi bankructwa, ale uważał, że przy pewnym wsparciu finansowym będzie można jeszcze wyciągnąć ją z kłopotów, jeżeli na jej czele stanie ktoś zdolny i odpowiedzialny. Czy jesteś jedynym spadkobiercą, Brig?

— Tak. O tym ci również powiedział?

— Tak. — Jordanna spuściła oczy i spojrzała w bok.

— Tata nie mógłby zabić Maxa. Nie miał żadnego powodu.

— Więc dlaczego namówił Maxa, żeby się do nas przyłączył?

— Przecież to nie on go zaprosił, tylko ty. — Zawałała się przez chwilę, ogarnięta nagle przerażającą wątpliwością. — To ty, prawda? Mówił nam, że to ty.

— Nie zapraszałem Maxa.

— Jakże to! Tata nam tłumaczył, że ty zaprosiłeś Maxa, a on, chociaż wcale nie miał ochoty tu przyjeżdżać, musiał na to przystać. Byliście kuzynami i nie widzieliście się już od bardzo dawna. A poza tym postanowił skorzystać z tego wyjazdu i nakłonić ojca do kupna tych akcji.

— Posłuchaj, byłem przy tym, jak twój ojciec podsunął Maxowi myśl, żeby któregoś dnia wybrał się z nim na polowanie. Potem mówił już o tym konkretnym polowaniu. Max rzucił się natychmiast na tę okazję, ale z całą pewnością nie ze względu na mnie — powiedział stanowczym, oschłym tonem. — Szczerze mówiąc, jestem pewien, że Max byłby zadowolony, gdybym znajdował się na drugim końcu świata.

— Ale to jest całkiem pozbawione sensu - zaoponowała i zesztyniała w jego ramionach. — Dlaczego tata miałby kłamać w sprawie zaproszenia Maxa? Dlaczego by mówił, że to ty go zaprosiłeś, skoro nie było to zgodne z prawdą?

— Sama powinnaś zadać mu to pytanie. Ja mogę tylko snuć przypuszczenia. Nie chciał wyjawić, że to jemu zależało na wyjeździe Maxa na polowanie. W sytuacji, kiedy wszyscy myśleli, że ja zaprosiłem Maxa, a twój ojciec tylko tolerował jego obecność, o wiele mniej prawdopodobne było to, że ktokolwiek uznałby go za podejrzanego, przy założeniu, że zbrodnia została by wykryta.

— Nie! Tata nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego!
— Gwałtownym, gniewnym ruchem wyrwała się nagle z jego ramion; nie wierzyła mu. — Wymyśliłeś to wszystko! Pleciesz byle co! A ja mam wierzyć twoim słowom, nie mając żadnego innego dowodu, że ojciec miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Maxa!

— To także część planu. Moje słowo przeciwko jego słowu. Były najemnik przeciwko człowiekowi zamożnemu i powszechnie szanowanemu. Właśnie dlatego nie pisałem ani słowa władzom, wiedząc, że najpierw muszę zdobyć niezbitą dowód. Jaka szkoda, że kula nie została w mojej nodze. Przynajmniej to bym miał. — Brig wpatrywał się w nią natarczywie. Z aroganckim wyrazem twarzy trzymała głowę wysoko, ale ramiona miała przygarbione. — Nie możesz do końca życia stawiać go na piedestale, Jordanno. On krąży teraz po okolicy i mnie szuka.

— A jakże by inaczej? — Odwróciła się raptownie na pięcie, jej ogniste włosy zawirowały wokół ramion. — Myśli pewnie, że zabłądziliśmy podczas zawiei albo że mnie porwał. Na pewno są z nim Kit i Jocko.

— Uwierz mi, Fletcher nie wrócił bez nas do obozowiska. Nie może dopuścić, aby inni zaczęli nas szukać, dopóki nie przekona się, że ja nie żyję. Jocko dopiero dziś wieczorem zacznie się niepokoić, że nie wracamy. Na razie jeszcze myśli, że pewnie wczoraj za późno wyruszyliśmy w drogę powrotną do obozowiska i znaleźliśmy jakieś schronienie, kiedy zaczął padać śnieg.

Fletcher nie może nikogo poprosić, żeby pomógł mu nas szukać. Nie może pozwolić sobie na niewygodnych świadków, kiedy ja ulegnę „wypadkowi na polowaniu”.

— No a ja? A może ja jestem jednym z twoich świadków? — rzuciła wyzywająco.

— Ty nie możesz nawet uwierzyć, że on jest winien — powiedział, kładąc dłoń na rannym udzie. — W twoich oczach ojciec jest człowiekiem nieskazitelnym. On ma nad tobą wielką władzę. Bardzo łatwo może cię przekonać, że to był tylko tragiczny wypadek. Tylko zabłąkana kula albo... wziął mnie za dzikie zwierzę. Kto to może wiedzieć? W każdym razie jestem przekonany, że znalazłby jakieś wiarygodne wytłumaczenie, a ty tak bardzo chciałabyś mu wierzyć, że nawet nie stawiałabyś żadnych pytań.

— Nie! — zaprotestowała, ale w jej wzroku pojawił się wyraz niepewności, gdy spojrzała w oczy Briga, w których odbijała się nieugięta wiara w to, o czym mówił.

— Nie może zabrać ze sobą Jocko. To oczywiste. Doskonale wie, że nie mógłby kupić jego milczenia, tak jak nie. udało mu się to w moim przypadku.

— Chciał kupić twoje milczenie? O czym ty mówisz?

— Złożył mi bardzo kuszącą propozycję tego dnia, kiedy byliśmy w mieście i poinformowałem go o tym, co wiem na temat śmierci Maxa.

— Co to była za propozycja?

Sprawiła wrażenie zaniepokojonej, ale widać było jednocześnie, że mu nie wierzy.

— Najpierw zaproponował mi wsparcie Sanger Corporation funduszami niezbędnymi dla jej uratowania, wiedząc doskonale, że jestem jedynym spadkobiercą. Nie bardzo mu się spodobało, kiedy mu powiedziałem, co może zrobić z tymi pieniędzmi i z Sanger Corporation...

— Nie możesz potępić go za to, że złożył ci taką

propozycję. To nie musi od razu oznaczać, że próbował cię kupić — odparła z przekonaniem. — Tata już przedtem mówił, że byłby skłonny zainwestować w tę spółkę, gdyby na jej czele stanął ktoś odpowiedzialny, z głową do interesów. Z pewnością sądził, że ty właśnie jesteś takim człowiekiem.

— Możliwe. Ale kiedy odrzuciłem jego propozycję, złożył mi następną, jeszcze bardziej kuszącą — ciebie.

— Kłamiesz! — krzyknęła i chciała uderzyć Briga, ale w porę powstrzymał jej dłoń. Nie próbował jej tym razem poniżyć. Trzymał jej dłoń mocno, ale bez brutalności.

— Dał mi oględnie do zrozumienia, że wyjdiesz za mnie, jeżeli cię o to poproszę.

Twarz Jordanny zmieniła się, gdy usłyszała tę zniewagę.

— Kiedy zorientował się, że nie reaguję na to ze spodziewanym entuzjazmem; dodał, że ślubny podarunek, który zamierza nam ofiarować, wystarczyłby na gruntowne odnowienie rancza.

— A ty, oczywiście, odpowiedziałeś, że i te pieniądze może sobie zatrzymać — szepnęła drżącym głosem.

— Tak właśnie zrobiłem. Kiedy zrozumiał, że może nie zdołać utrzymać w sekrecie przyczyny śmierci Maxa, uciekł się do tego ostatniego sposobu.

— Ale dlaczego? Nie podałeś żadnej przyczyny. W twoim rozumowaniu z pewnością gdzieś tkwi błąd. — Rozpaczliwie chwyciła się ostatniej szansy, jaka jej jeszcze pozostała.

— Nie wiem, co go do tego skłoniło, ale się dowiem — oświadczył Brig spokojnym, zdecydowanym głosem. — Niezależnie od tego, co popchnęło go do tego czynu, z pewnością od dawna nienawidził Maxa i stale narastała w nim żądza zemsty. Sądzę, że najpierw chciał go tylko zrujnować. Ale ponieważ Max nadal stanowił dla niego zagrożenie, postanowił go zniszczyć, a wreszcie zabić.

— Mylisz się. Na pewno się mylisz!

— Jestem pewien, że mam rację — odparł z niezachwianą pewnością siebie. — Mam tylko nadzieję, że zrozumiesz to, zanim zostanę zamordowany na twoich oczach.

Krzyknęła cicho. Była tak zatrwożona, że Brig postanowił przerwać tę rozmowę. Zresztą powiedział jej już wszystko. Teraz musiała to przemyśleć i zdecydować, czy chce mu wierzyć, czy nie.

— Woda się gotuje. Mówiłaś o jakiejś zupie. — Sięgnął po koszulę wiszącą na sznurze. — Pójdę po drewno.

— Twoja noga...

— Nie jest tak źle.

Chodzenie sprawiało mu piekielny ból, ale Brig nie chciał dopuścić do zeszywnienia. Było raczej mało prawdopodobne, że Fletcher odnajdzie chatę. Śnieg całkiem zatarł za nimi ślady. Dopóki tu zostaną, nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Ale jak długo mogą wytrzymać, odżywiając się korą? Nie mając broni, mógł liczyć tylko na to, że jakieś zwierzę wpadnie w sidła, które mógłby zastawić. A na to wolał nie liczyć. Tak czy owak, będą musieli w końcu stąd odejść. Najlepiej, gdyby mogli odejść jak najszybciej, dopóki jeszcze będą mieli trochę sił i brak pożywienia nie pozbawi ich energii. Istniało oczywiście ryzyko, że Fletcher zauważy dym ulatujący z komina. Wówczas chata okazałaby się nie tyle schronieniem, ile raczej śmiertelną pułapką.

Dziś wieczorem Jocko zacznie się zastanawiać, co się z nimi dzieje. Jutro rano wyruszy, na poszukiwania. Gdyby tylko mógł spotkać Jocko albo dotrzeć do obozowiska... Jakże by chciał wiedzieć, gdzie jest teraz Fletcher! Domyślając się, że w końcu będą próbowali wrócić do obozowiska, zaczął się w miejscu, skąd będzie mógł obserwować wszystkie drogi, które tam prowadzą. Tylko gdzie? Brig zaczął odtwarzać w pamięci obraz tego terenu, eliminując jedno miejsce po drugim. Wreszcie pozostało tylko kilka możliwości.

Wzruszył ramionami, co oznaczało, że zakończył rozważania, po czym zerknął na Jordannę. Wrzucała właśnie kilka pasków kory do garnka z wrzącą wodą. Jego sposób na odwrócenie jej uwagi okazał się skutecznym. Przestała rozpaczliwie opierać się jego argumentom i zaczęła porządkować wszystko, co usłyszała. Potrzebowała czasu, by to przemyśleć. Brig zresztą także.

W ciągu jednej zaledwie godziny sprawy przybrały nagle zupełnie inny obrót. Już przedtem był na siebie dostatecznie wściekły za to, że posłużył się nią jak tarczą. Myśląc, że jest współniczką ojca, uświadamiał sobie, że sprawy się skomplikują, i on, pomimo wszystko, nadal będzie pozwalał wodzić się za nos, bo na przekór wszelkim okolicznościom nie przestał jej pragnąć. Teraz zaś wiedział, że się mylił, i nagle okazało się, że Jordanna go nie okłamywała. Podobnie jak on, była tylko narzędziem w rękach ojca i przez cały czas, bez swojej woli i wiedzy, odgrywała rolę, którą Fletcher jej wyznaczył.

Zrobił krok w stronę drzwi. Gwałtowny ból w lewym udzie pozbawił go tchu i raptownie zatrzymał w miejscu. Czoło natychmiast pokryło się kropelkami potu. Odczekał kilka chwil, by ból się uspokoił. Potem zrobił jeszcze jedną próbę, starając się jak najmniej obciążać lewą nogę. Otarł czoło wierzchem dłoni i odetchnął głęboko. Świeże, ostre powietrze nieco go orzeźwiło. Był ranny, kiedy szedł do tej chaty, i w tym stanie będzie musiał sobie radzić, kiedy wybierze się w drogę powrotną.

Najbardziej niepokoił go teraz los Jordanny. Co się może wydarzyć, jeśli jej ojciec ich znajdzie? Czy może wykluczyć, że zostanie trafiona jakąś zabłąkaną kulą albo rykoszetem — że może zostać ciężko zraniona? Brig nie wierzył, aby Fletcher podjął ryzyko postrzelenia jej, ale mógłby to zrobić nieumyślnie. Zabierając Jordannę ze sobą, naraził ją na niebezpieczeństwo. Oboje muszą wyjść cało z tej matni, a odpowiedzialność za to spoczy-

wała na Brigu. Gdyby Jordannie cokolwiek się stało, byłaby to jego wina. Czy mógłby wtedy nadal żyć? Czy chciałby jeszcze żyć bez niej?

Przeszukał wzrokiem las otaczający chatę. Potem podniósł oczy na słup dymu unoszący się z komina. Dym był nieznaczny, ponieważ palili suchym drewnem. Ale z jak daleka był widoczny? I w jakiej odległości od chaty znajdował się Fletcher? Może gdzieś blisko?

Czy miał na to ochotę, czy nie, musiał rozejrzeć się po okolicy. Pod osłoną drzew przesuwiał się wzdłuż skał, skacząc na jednej nodze ku wylotowi głębokiego kanionu. Ostrożność nakazywała mu nie pozostawać nigdy zbyt długo na otwartym terenie, by uniknąć ryzyka, że zostanie wypatrzony przez lornetkę. Starał się też nie poruszać zbyt szybko i nie spowodować krwawienia rany.

W pobliżu kanionu wspiał się po stromej skale, żeby dotrzeć do miejsca, skąd miałyby lepszy widok. Żałował, że nie ma lornetki, gdy nateżając wzrok wodził oczyma po górskich grzbietach i płaskowyżach. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Pejzaż rozciągający się wokół — łańcuchy ośnieżonych turni i intensywnie zielone świerki w śniegowych ezapach — przypominał widoczek z karty świątecznej wysyłanej na Boże Narodzenie. Na białym tle cienkie pasma dymu ulatującego z komina były prawie niewidoczne. Brig patrzył przez chwilę w stronę chaty, a potem jeszcze przez kwadrans lustrował okolicę. Gdy poczuł odrętwienie wywołane przejmującym chłodem, postanowił wracać.

Odłamał gałąź świerku, by zacierać za sobą ślady na śniegu. Wrócił do chaty tą samą drogą, dokładnie zamiatając wszystkie pozostawione przez siebie tropy. Był pewien, że z daleka Fletcher nic nie zauważy, nawet przez lornetkę. Nie miał jednak cienia wątpliwości, że gdyby podszedł na tyle blisko, by zobaczyć ślady gołym okiem, bez trudu zorientowałby się, kto je pozostawił.

Przed chatą Brig zatrzymał się na chwilę odpoczynku, a potem poszedł po drewno: Wyczerpał go długi marsz. Odczuwał gwałtowną potrzebę wytchnienia. Nadal nie mijał silny ból, ale po długim marszu noga była trochę mniej zeszywniała.

Gdy wszedł do izby, Jordanna stała naprzeciw paleniska, wsparta jedną ręką o okap. Pochylone ramiona, zwieszona głowa i półprzymknięte powieki zdradzały jej głębokie przygnębienie. Nie odwróciła się, gdy wszedł do izby. Nie zrobiła nic, co by świadczyło, że dostrzegła jego obecność. Brig położył naręczę drewnianych szczap w kącie i kulejąc podszedł do Jordanny.

— Zupa już gotowa? — spytał, zdejmując rękawice, by rozgrzać dłonie przy ogniu. Zerknawszy spod oka na Jordannę, zauważył, że jej broda dry.

— Gotowa, tylko nie bardzo wiem, na co nam się może przydać — odrzekła słabym głosem. — Nie mamy ani łyżek, ani kubków. Nie będziemy jej chyba pić prosto z garnka.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny musiały być dla niej istnym piekłem. Zaczynały ją zawodzić nerwy. Ciągłe napięcie, w którym żyli, okazało się zbyt silnym wstrząsem. Brig otoczył ramieniem szyję Jordanny i łagodnie uniósł ku górze jej twarz. Uśmiechnął się do niej lekko, chcąc podnieść ją na duchu.

— Najgorsze mamy już za sobą, Jordanno — rzekł. — Wczoraj uratowałaś mi życie. Pomogłaś mi dojść do tej chaty. Kiedy straciłem przytomność, rozпалиłaś ogień, zdjęłaś ze mnie mokre ubrania i opatrzyłaś mi ranę. Znalazłaś drewno, zagotowałaś wodę i czuwałaś przez całą noc, pilnując ognia. A dziś rano, kiedy jeszcze spałem, wyszłaś z chaty, żeby znaleźć coś do jedzenia. Jesteś niezwykłą kobietą, Jordanno. Nie załamuj się teraz, kiedy jesteś mi tak potrzebna.

Zatrzymał wzrok na jej drżących wargach. Pochylił głowę, by je pocałować. Najpierw poddawały się biernie,

potem uległy łagodnym, czułym pieszczotom. Czuł, jak narasta w nim niepokohamowane pragnienie, by się nią opiekować i chronić przed każdym złem. Było to niezwyczajne uczucie — intensywne i zarazem łagodne. Uniósł głowę. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

— Pobuszujmy tu trochę, może coś znajdziemy — odezwał się ochrypłym, zdławionym głosem. — Ktoś, kto zbudował tę chatę, na pewno zostawił jakieś kubki czy otłuczone naczynia.

Jordanna pokiwała głową, ale nie zdołała wymówić ani jednego słowa. Łzy lśniły w jej oczach. Wspólnie przeszukali każdy zakamarek chaty. Znaleźli kilka blaszanych kubków, dziurawych i pordzewiałych. Brig zaczął już tracić nadzieję, gdy Jordanna odkryła wyszczerbioną szklanę z grubego szkła.

Kiedy wyszła z chaty, żeby oczyścić ją śniegiem, Brig zbliżył się do ognia i przykucnąwszy Ostrożnie, usiadł na podłodze z plecami wspartymi o stół. W nodze czuł silny, pulsujący ból, miał wrażenie, że powiększyła się co najmniej trzykrotnie. W rzeczywistości opuchlizna była nieznaczna, a choć Brig czuł wyraźnie, że noga jest rozpalona, nie niepokoił się tym zbytnio, pamiętał bowiem wszystkie doznania wiążące się z jego dawnymi ranami.

Jordanna nalegała, żeby jadł pierwszy. Brig był tak zmęczony, że nie miał siły oponować. Wypił dwie szklanki zupy, żując ugotowane kawałki kory. Nie było to znów takie złe, a przynajmniej wypełniało pusty żołądek. Oddał szklanę Jordannie, po czym zdjął kurtkę, zwinął ją i podłożywszy pod głowę, ułożył się na plecach.

— Drewno, które przyniosłem, będziesz musiała wysuszyć, zanim wrzucisz do ognia. Przez komin musi ulatywać jak najmniej dymu — powiedział, nim zamknął oczy.

Jordanna siedziała przy palenisku, otoczywszy zgięte kolana ramionami. Spojrzała na zegarek. Było już późno, a Brig spał nadal. Zagryzła wargę, ponieważ znów przypomniła sobie wszystkie oskarżenia, jakie Brig rzucił na jej ojca. Niektóre z nich były aż nazbyt wiarygodne. Przesunęła dłonią po włosach. Nie mogła jednak uwierzyć, że ojciec mógłby zabić Maxa. Ale kto, u licha, strzelał do Briga? Spojrzała na niego pociemniałymi, pełnymi udreki oczyma.

Nagle zdała sobie sprawę, że już nie śpi. Jak długo obserwował ją spod lekko uchylonych powiek? Nerwowo przesunęła dłońmi po nogach i odwróciwszy głowę, zapatrzyła się w ogień.

— Nadal nie możesz uwierzyć w to, co ci powiedziałem? — spytał cichym głosem, którego ton świadczył, że ani jej nie oskarża, ani nie potępia.

— Nic nie poradzę na to, ale chcę wierzyć, że się pomyliłeś. — Choć nie odwróciła się do niego, usłyszała, że uniósł się i usiadł. — Przecież musi istnieć jakieś racjonalne i logiczne wyjaśnienie tego, co się wydarzyło.

— Naturalnie, wyjaśnienie, które zdejmuje z twojego ojca wszelką odpowiedzialność — mruknął.

— Tak. — Zwilżyła wysuszone wargi.

Chwycił jej dłoń. Drgnęła zaskoczona i odwróciwszy się gwałtownie, zobaczyła, że siedzi tuż obok i patrzy na nią. Potem zaczął wpatrywać się w jej dłoń, pieścizotliwym gestem wodząc po niej opuszką palca.

— Pewnego dnia powiedziałaś, że nigdy nie zechcę ci uwierzyć — mówił nie patrząc na nią. — Nie miałaś racji. Wierzę teraz, że zawsze mówiłaś mi prawdę. Nie okłamywałaś mnie, Jordanno. I ja cię również teraz nie okłamuję.

Podniósł na nią błyszczące, ciemne oczy. Przyglądał się jej z taką intensywnością, że zabrakło jej tchu. Napiecie, które ustawicznie w nim narastało, udzieliło się teraz Jordannie. Pod wpływem jego uporczywego spojżenia, zacisnęła kurczowo zęby.

— Odczuwałem wobec ciebie bezradność, Jordanno — podjął. — Nawet wtedy, gdy byłem szczerze przekonany, że ty i twój ojciec wykorzystujecie mnie, nie mogłem ci się oprzeć. Byłem ci oddany całym sercem, ciałem i umysłem. Zacząłem cię namiętnie pragnąć już wtedy, na przyjęciu w Nowym Jorku. Potem ani na chwilę nie mogłem o tobie zapomnieć. Myślałem, że takie uczucia na zawsze już we mnie umarły, że nigdy nie potrafię tak kochać. A ty sprawiłaś, że to wszystko nagle we mnie odżyło. Nie mogłem tylko znieść myśli, że jestem dla ciebie wyłącznie kimś w rodzaju... ogiera. I dlatego próbowałem cię znienawidzić.

— Ogiera?! — To określenie zaszokowało ją i zraniło. Próbowwała cofnąć dłoń, lecz Brig nie wypuścił jej z mocnego uścisku.

— Byłem wtedy święcie przekonany, że mnie wykorzystujecie, a ty - bogata, znudzona panienka — korzystasz po prostu z okazji, żeby przeżyć emocjonującą przygodę z przewodnikiem waszej kolejnej wyprawy myśliwskiej, byłym najemnikiem^ Ale nawet gdybyś miała być jedną z zaproponowanych przez Fletchera premii za moje milczenie, to pragnąłem cię tak bardzo, że kto wie, czy bym na to nie przystał — i to bez względu na konsekwencje. Pewne rzeczy mówiłem tylko po to, żeby cię zranić. Ja... — Potrząsnął głową i patrząc w bok dorzucił miękkiem, cichym głosem: — A niech to diabli porwą! Kiepski ze mnie mówca. Jestem w tobie zakochany, Jordanno.

Wyraz niedowierzania pojawił się w jej oczach. Tak rozpaczliwie pragnęła w to uwierzyć, że ogarnął ją strach. Nie mogła wymówić słowa. Z zaciśniętymi wargami i ściągniętą twarzą Brig czekał na jej odpowiedź. Szalone napięcie, które odbijało się w jego rysach, nadało im wyraz bezwzględności.

— Powiedziałaś mi kiedyś, że mnie kochasz. Klnę się na Boga, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś nie zmieniła

zdania. — Mocniej ścisnął jej rękę, jego oczy płonęły.
— Ponieważ nie pozwolę, żebyś odeszła.

Jordanna nawet nie dostrzegła, że Brig swym uściskiem miażdży jej dłoń.

— Nie chcę odchodzić — rzekła drżącym głosem.

Uklękała, żeby być bliżej niego, i pieszczotliwym gestem przesuwała dłonią po jego wargach i zaciśniętych kurczowo szczękach. Pragnęła zetrzeć wyraz napięcia i niepokoju z jego twarzy. Zadrżał i porwał ją w ramiona, przyciskając do siebie z całych sił. Poczwała, jak ogarnia ją fala bolesnego i zarazem rozkosznego uczucia miłości. Z gwałtowną, niemal okrutną poządlivością przywarł do jej ust. Nie potrafił już dłużej kontrolować swych uczuć. Owym zaborczym pocałunkiem dawał wyraz, że Jordanna należy do niego. Potem złagodził nieco nacisk swych warg, by i ona mogła odpowiedzieć na jego namiętne pocałunki. Szalone łomotanie jego serca wywołało po chwili równie mocne i gwałtowne bicie serca Jordanny. Niepohamowany zapał Briga przepełnił ją uczuciem głębokiej satysfakcji. Zdawała sobie sprawę, że gdy wyznał jej miłość, a ona w pierwszej chwili na to nie zareagowała, poczuł się dotknięty w swej męskiej dumie. Ujawniając bezradność wobec miłości, która nim zawładnęła, dawał Jordannie ogromną władzę nad sobą. Mogła go upokorzyć, odtrącając jego uczucia, albo zmusić, by na kolanach błagał, żeby go nie porzucała. Ona jednak nie chciała tego wykorzystywać, wystarczała jej świadomość, że zdobył się wobec niej na taki gest. Poczwała się tym głęboko wzruszona. Delikatnie, z czułością, całowała jego powieki, policzki i usta.

— Żyłam kiedyś z uczuciem przeraźliwej pustki w sercu — szepnęła, muskając wargami jego szorstki policzek. — Nieraz bywało to tak straszne i przytłaczające, że chciałam zagubić się w tej pustce i umrzeć. Fizyczne doznania nigdy nie zaspokajały moich pragnień. A potem spotkałam ciebie podczas tamtego przyjęcia.

Pustka zaczęła się wypełniać tyłoma wrażeniami, niezwykłymi doznaniem i uczuciami, aż wreszcie zniknęła pod ich nadmiarem. Byłeś dla mnie całkiem obcym człowiekiem. Nie znałam nawet twojego nazwiska. Wszędzie cię potem szukałam, ale wyjechałeś.

— Byłem przekonany, że uwiodłem kochankę człowieka, który zaprosił mnie do swojego domu. — Brig, uniósłszy głowę, błądził wzrokiem po twarzy Jordanny. Jego dłoń przesunęła się wzdłuż łagodnej linii jej szyi; wyczuł pod palcami szalone bicie jej serca; — Zresztą nawet gdybym wiedział, że jesteś jego córką, niczego by to nie zmieniło. Przyjmowanie pieniędzy od kogoś, komu uwodzi się córkę, jest raczej sprzeczne z dobrymi obyczajami. Miałem zamiar tylko cię pocałować, ale straciłem kontrolę nad sobą. Potem, kiedy już ochłonałem, nie byłem zbyt dumny z tego, co zrobiłem. Bóg mi świadkiem, że próbowałem o tobie zapomnieć.

Jordanna musnęła pieszczotliwie najpierw jego górną wargę, wąską i okrutną, a potem dolną — wydatną i zmysłową. Nagle doznała bolesnego ukłucia w sercu.

— Ta dziewczyna... w barze... pomagała ci zapomnieć, tak? Trudie...

Jego milczenie trwało tak długo, że Jordanna podniosła oczy i wpatrzyła się w niego badawczo.

— Tak — wyznał.

Jego odpowiedź sprawiła jej ból, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ta szczerość jest kolejnym dowodem jego miłości.

— Udało się jej to z podobnym skutkiem, jakby ktoś szklanką wody chciał ugasić pożar lasu. A czy ty znalazłaś jakieś pocieszenie?

Potrząsnęła tylko głową.

— Chciałam dostać wszystko albo nic. Żadnych namiastek — odrzekła. — A byłam prawie pewna, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Nigdy nie próbowałaś dowiedzieć się, kim jestem?
— Ze zdziwieniem uniósł brew.

— Spytałam Olivie, ale...

Zadrzała, przypomniawszy sobie nieuzasadnione podejrzenia, które sprawiły jej tyle bólu. To nie był odpowiedni moment, by wyciągać na światło dzienne rozdźwięki panujące w jej rodzinie.

— Ciekawe, co też ty jej powiedziałaś... „Jakiś obcy facet kochał się ze mną wczoraj na przyjęciu. Nie wiesz przypadkiem, kto to, u licha, mógł być?”

Przez kilka chwil uśmiechał się przekornie, lecz zaraz wyraz jego twarzy się zmienił, gdy palce zaczęły zręcznie rozpinąć bluzkę Jordanny. Poczowała na twarzy jego ciepły oddech.

— Przypominam sobie, że tamten nieznajomy nie musiał sobie radzić z taką ilością ubrań. — Zsunął rękawy z jej ramion, a kiedy uwalniała ręce, wyplątując się z ciepłej koszuli, włożył dłoń pod gruby podkoszulek. Zadrzała z rozkoszy, gdy poczuła na delikatnej skórze brzucha dotyk nieco szorstkiej dłoni Briga. — Gzy zakochany mężczyzna może liczyć na twoją współpracę, czy sam ma się borykać z tymi wszystkimi fatałaszkami?

Delikatnie ugryzł płatek jej ucha, co mogło oznaczać karę za jej opieszałość, a wywołało cichy jęk rozkoszy.

— Tak bym chciała, żebyś sam mnie rozebrał — westchnęła nieco ochrypłym głosem. — Ale biorąc pod uwagę okoliczności...

Stanęli obok siebie naprzeciw paleniska, żeby rozebrać się przy ogniu. Nie spuszczała z siebie wzroku. Jordanna patrzyła na twarz Briga, po której przesuwały się ruchliwe refleksy płomieni, które jasnym, ciepłym światłem łagodziły twarde rysy. A może to miłość lśniąca w oczach uwolniła jego twarz od wyrazu surowości?

Oboje zdejmowali ubrania powoli, by zbyt ni pośpiech nie pozbawił ich radości oczekiwania. Zsuwając z nóg długi, ciepły trykot, Jordanna poczuła palące spojrzenie

Briga, wędrujące po łukach jej bioder, a potem wzdłuż ud. Nagle przez jego twarz przebiegł skurcz. Zaciśnął zęby, czując przeszywający ból w nodze, wywołany próbą przesunięcia spodni poniżej rany na udzie.

— Pozwól, że ci pomogę. — Jordanna uklękła, lecz nawet nie poczuła szorstkiego dotyku lodowatej podłogi. — Nabrałam wprawy wczoraj wieczorem — zażartowała.

Brig nie protestował. Ułożył się wygodnie na plecach i założył ręce pod głowę. Poufałość tego gestu sprawiła, że wargi Jordanny zadrgały radosnym uśmiechem. Z nadzwyczajną ostrożnością przesunęła spodnie poniżej opatrunku na udzie. Koncentrowała się z niejakim trudem, ponieważ Brig przez cały czas bacznym okiem konesera śledził każdy pełen wdzięku ruch jej nagiego ciała.

Gdy on również był już nagi, Jordanna przysiadła na piętach tuż przy jego kolanach. Popatrzyła mu w oczy z wyrazem niepewnego oczekiwania, którego źródłem może być tylko miłość. Brig wyciągnął do niej rękę, a w jego płonących oczach pojawił się wyraz zaborczej niecierpliwości. Z wahaniem ujęła jego dłoń i poczuła, jak silne palce zaciskają się na jej dłoni. Z łatwością właściwą silnym, muskularnym mężczyznom przyciągnął ją i ułożył obok siebie.

Wprawna dłoń zaczęła z wolna pieścić jej ciało, doprowadzając do paroksyzmów rozkoszy każdy centymetr jej skóry, choć wcale nie potrzebowała aż tak intensywnych podnieć, wrażliwa na każdy jego dotyk. Jak przez mgłę uświadamiała sobie, że leży na futrzanej kurtce Briga, przede wszystkim jednak czuła ciepło i oszałamiającą bliskość jego muskularnego ciała. Nie przestając jej całować, Brig ułożył się na boku. Poczuła, że jego owłosiona pierś łaskocze twarde wierzchołki jej piersi. Pod wpływem tego oszałamiającego wrażenia jej ciało wygięło się w łuk, a doznanie nasilało się w miarę, jak szorstki nacisk muskularnego torsu przesuwiał się w dół, aż do jej bioder.

Zgodny rytm ich oddechów stawał się coraz szybszy i bardziej gorączkowy. Jego dłonie i usta, przesuwane się po całym jej ciele, wzbudzały w niej niepokonowaną chęć, by krzyknąć z rozkoszy, a jej namiętne reakcje nasilały jego pragnienie. Gwałtowne, wymykające się spod kontroli pożądanie Briga wywoływało w niej natychmiast odzew, doprowadzając ją do stanu niemal bolesnego uniesienia. Było to niezwykle, wspaniałe odkrycie — nie tylko kochać aż do ekstazy, ale także być kochaną równie żarliwie.

Jak kotka wbiła paznokcie w ramiona Briga, gdy jego wargi, przesuwając się pomiędzy jej piersiami, powędrowały w dół. Język Briga zatoczył płomienny krąg wokół jej pępka. Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć z rozkoszy.

— Nie powstrzymuj się — powiedział zdławionym głosem. — Krzycz, jeżeli masz na to ochotę.

Musnął wargami jej piersi i kilkakrotnie otoczył językiem ich wrażliwe wierzchołki. Pod wpływem tej pieścioty palce jej stóp zwinęły się kurczowo; nie starała się powstrzymać krzyku ekstazy. Położyła dłonie na jego biodrach i pieściąc je, przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Poczwała, jak zadrżał, gdy dotknęła jego bioder. Ogarnął ją nagły dreszcz, gdy usłyszała, jak wymawia jej imię. Szeptał jej słowa miłości. Ulegając gwałtownej fali pożądania, wziął ją w ramiona i namiętnie pocałował. Otoczyła nogami jego biodra i uległa zmysłowemu rytmowi aktu miłosnego.

23

Leżała na boku, przytulona do Briga, z głową wspartą na jego ramieniu. Jej zaspokojone ciało spoczywało leniwie, lecz duch nadal szybował na skrzydłach namiętności. Długa, nieco szorstka noga przytrzymywała jej kolana, jakby w obawie, że Jordanna mogłaby odejść. Bezwiednym gestem Brig gładził jej talię i biodra, błędząc nieustannie wzrokiem po twarzy dziewczyny.

-- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego kobiety zawsze odczuwają potrzebę mówienia po zaspokojeniu potrzeb erotycznych.

— A jaką ty wtedy odczuwasz potrzebę? — zainteresowała się Jordanna. Bardzo lubiła patrzeć na jego usta, kiedy mówił.

— Na ogół wysłuchuję ich uwag i pytań, myśląc cały czas o tym, pod jakim by tu pretekstem jak najszybciej czmychnąć z łóżka — przyznał bez skrpułów. - Ale przede wszystkim mam ochotę odwrócić się na drugi bok i zasnąć, albo jeszcze raz się kochać.

— No, a teraz na co miałbyś ochotę? — Wprawdzie zadała to pytanie figlarnym tonem, ale z niepokojem czekała na odpowiedź.

Rzucił na nią okiem, po czym z poważnym, uroczystym wyrazem twarzy odrzekł:

— Chcę tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo lubię się

z tobą kochać i jakie to dla mnie cudowne uczucie. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, co to znaczy czuć twoje piersi na swojej skórze, albo myśleć, że ty pragniesz mnie tak, jak ja ciebie pragnę; że czujesz się równie szczęśliwa jak ja. -

— Jestem absolutnie pewna, że wiele spośród tych wrażeń, które ja przeżywam, kiedy się kochamy, niczym nie różni się od twoich.

— Ale ja czuję znacznie więcej — wyznał Brig. — Przeżywam chwile cichego szczęścia, kiedy razem jedziemy konno po górskich ścieżkach, odczuwam radość, kiedy razem podziwiamy wspaniałe krajobrazy, i nieopisaną przyjemność, kiedy siedzę obok ciebie przy ognisku. Uszczęśliwia mnie sama twoja obecność, Jordanno. Satysfakcja, jaką daje mi twoje ciało, to tylko dodatek.

Oczy Jordanny, lśniące miłością, stały się szmaragdowe.

— I ty mówisz, że nie potrafisz pięknie się wystawiać!

— Nie umiem. — Zmarszczył brwi. — Gdybym umiał, to na pewno znalazłbym jakieś proste słowa, aby cię poprosić, żebyś została moją żoną, i nie plątałbym się w zawiłych zdaniach, tak napuszonych i oklepanych, że zatraciły cały swój sens.

— To dla mnie wielki zaszczyt móc zostać pana żoną, panie McCord. Nie musisz mnie nawet o to prosić. — Głos załamał się jej ze wzruszenia.

Brig pocałował ją namiętnie, by przypieczętować obietnicę, którą sobie złożyli. Z pewnym trudem utrzymywał w ryzach falę narastającego znów pożądania i z szelmowskim uśmiechem dorzucił:

-~ Coś mi się zdaje, że trzeba będzie postawić dodatkowy dom dla Jocko, Francka i Tandy'ego, żeby zwolnili pokoje na górze dla dzieci.

Dzieci — pomyślała Jordanna. — Dzieci o brązowych oczach i ciemnych włosach... Jakże pragnęłaby tulić

w ramionach te małe stworzonka, które oczyma wyobraźni widziała tak wyraźnie, jakby już istniały. Marzyła o maleńkim Brigu, drepczącym za ojcem, krzającą się wokół rancza. Widziała też siebie, stojącą w progu drewnianego domostwa i spoglądającą na nich z miłością.

Jej wzrok utonął w oczach Briga. Nie zdawała sobie sprawy z łagodnego, spokojnego piękna, które opromieniało jej twarz.

— Być może będziemy mieć potomka znacznie wcześniej, niż sądzisz. Zostawiłam pigułki w obozowisku — wyznała radośnie.

Brig odetchnął głęboko, jego nozdrza zadrgały. Opiekuńczym gestem położył dłoń na brzuchu Jordanny. Westchnął ze wzruszeniem i ukrył twarz w jej włosach. Potem z niezmierną czułością otoczył ją ramionami, by mieć ją jeszcze bliżej siebie. Z jakichś niejasnych powodów Jordanna pomyślała o wilku, który wraz z wilczycą ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo i wychowanie małych. Przez wiele minut trwali w czułym uścisku. Brig, przejęty głębokim wzruszeniem, drżał lekko. Po długiej chwili wypuścił Jordannę z objęć i drżącą dłonią odgarnął kosmyk włosów z jej policzka.

Spojrzał na nią z poważnym, niemal surowym wyrazem twarzy. Zadrżała, ogarnięta niejasnym niepokojem.

— Posłuchaj, Jprdanno — odezwał się. — Jutro Jocko wyruszy w drogę, żeby nas szukać. Jeżeli dziś wieczorem nie wrócimy, domyśli się, że coś musiało się wydarzyć. Może dopisze mi szczęście i odnajdę Jocko, zanim znajdzie mnie twój ojciec.

Brutalna rzeczywistość nagle znów wtargnęła w ich życie, mącąc nastrój szczęścia i niewysłowionego zachwyty. Chwile oczarowania miłością i głębokich wzruszeń, które wspólnie przeżyli, pozwoliły Jordannie zapomnieć na moment o podejrzaniach, jakie Brig rzucił na jej ojca, i o jej własnych wątpliwościach i niepokojach.

Nie chciała o tym mówić, jeszcze nie teraz. Pragnęła

choćby na chwilę zatrzymać nastrój spokojnego szczęścia, które ich jednoczyło.

— Nie — powiedziała. — Nie chcę, żebyśmy o tym mówili. — Odwróciła oczy, wbiła wzrok w jasną wełnę owczej skóry, na której siedzieli.

— Musimy o tym porozmawiać — nalegał Brig, — Kiedy jutro rano stąd odejdę, chcę, żebyś została tutaj, ponieważ dopóki jesteś w tej chacie, nic ci nie grozi.

— Nie.

Brig nie zareagował na jej protesty.

— Na pudełku po papierosach narysuję mapkę, dzięki której będzie można trafić do tej chaty, na wypadek... gdyby coś mi się przytrafiło. W ten sposób będą mogli cię odnaleźć.

— Nic złego ci się nie stanie!

Stanowczo odrzucała taką ewentualność, ponieważ nie mogła zdobyć się na to, by przyznać, że może Brig słusznie podejrzewa jej ojca i że już wkrótce mogłaby stracić Briga na zawsze. To byłoby zbyt okrutne.

Spojrzał na nią z głębokim współczuciem, wstrząśnięty uporem, z jakim pragnęła wierzyć; że ojciec jest niewinny.

— Jeżeli tylko mógłbym zrobić cokolwiek, by mu w tym przeszkodzić, to zapewniam cię, że nic złego mi się nie stanie. — Łagodnym, pieszczotliwym gestem przesunął palcem po jej policzku. — Nigdy dotychczas nie miałem ważniejszych powodów, żeby starać się za wszelką cenę przeżyć.

— Przestań! — krzyknęła, zaszokowana jego słowami. — Mylisz się co do mojego ojca. Z pewnością coś ważnego musiałeś przeoczyć.

— Tak bym chciał, dla twojego własnego dobra, żebyś miała rację — powiedział znużonym głosem.

— Jutro się z nim spotkamy i wszystko nam wyjaśni.

— Zostaniesz tutaj, w tej chacie, i nie ruszysz się z niej ani na krok, dopóki po ciebie nie przyjdę — po-

wtórzył. — Nie chcę, żebyś narażała się na ryzyko postrzelenia.

— Tata nigdy by mi nie zrobił nic złego. Przecież to absurd!

— Z pewnością umyślnie by cię nie skrzywdził. Ale wystarczy jakaś zabłąkana kula, źle wymierzony, niecelny strzał albo choćby rykoszet. Nie, ryzyko jest zbyt duże, Dopóki będę wiedział, że jesteś tutaj, gdzie nic ci nie grozi, będę mógł zająć się wyłącznie ratowaniem własnej skóry. — Próbowwała zaprotestować, lecz nie dopuścił jej do słowa. — Sprawdzę, czy masz dość drewna na zapas, i rozstawię wnyki, zanim odejdę jutro rano. Jeżeli pojutrze jeszcze nikt po ciebie nie przyjdzie, podłożę ogień pod chatę. Pędzej czy później ktoś zauważy dym i przyjdzie, żeby sprawdzić, co się stało.

— Nie! — Patrzyła na niego błyszczącymi od łez oczyma, gniewnie odrzucając jego decyzję. — Nie zostanę tu bez ciebie. Jeżeli jutro odejdiesz, ja pójdę z tobą.

— Na miłość boską, posłuchaj mnie, Jordanno! — Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. — Próbuję zrobić to, co w tej sytuacji jest najlepsze.

Jprdana stała nieruchomo, gotowa z determinacją bronić swojego postanowienia.

— Nie zgadzam się zostać tutaj sama, Brig. Nie uda ci się mnie do tego zmusić — oświadczyła. — Albo odejdziemy stąd razem, albo ja pójdę za tobą.

Uniósł pytająco brew i zmrużywszy oczy, przyjrzał się jej badawczo.

— A po co? — spytał.

— Ponieważ... — Dla niej również nie było to zupełnie jasne.

— ...ponieważ nie jesteś całkiem pewna, że się myłę co do twojego ojca. O to chodzi, tak?

Na jego twarzy pojawił się wyraz gorzkiej satysfakcji. Jordanna zawahała się, tracąc pewność siebie.

— Ja... ja nie wiem, co o tym myśleć. — Przyznanie

się do tej wątpliwości było przerażające. Ojciec był przy niej zawsze i dobrze go znała. Kochała go. A teraz kochała tego oto mężczyznę. Musiała stawić czoło sytuacji, która rozdzierała jej serce i wystawiała na ciężką próbę jej poczucie lojalności. Znalazła się w potrzasku: obaj ci mężczyźni budzili w niej równie silne i głębokie uczucia. — Nie zostanę tutaj — oznajmiła z uporem. — Nawet mnie o to nie proś.

— Czy nie rozumiesz, Jordanno? — Uśmiechnął się do niej smutno. — Nie chcę dopuścić, żebyś znalazła się w sytuacji, kiedy będziesz musiała wybierać pomiędzy twoim ojcem a mną.

Nie zdołała powstrzymać okrzyku grozy. Natychmiast objął ją ramionami i mocno do siebie przycisnął. Przytuliła się do niego kurczowo. Potrzebowała jego siły, szukała w nim pocieszenia i wsparcia. Zapłakała cicho; Brig całował jej mokre od łez policzki. Jakby z oddali docierały do niej jego słowa. Wyznawał miłość i zapewniał, że pragnie jedynie zaoszczędzić jej tego, co najgorsze. Gdy swymi pocałunkami zdołał powstrzymać płynące łzy, z kolei ona zaczęła całować jego twarz. Jej reakcja, niczym niezawodny katalizator, wywołała w Bri-gu istny huragan namiętności, którego gwałtowna moc sprawiła, że mógł mu się tylko poddać.

Nazajutrz wstał pierwszy. Jordanna wiedziała, że jeśli nie obudzi się przed nim, Brig odejdzie bez słowa. Zaledwie jednak wstał, otworzyła oczy. Jeszcze raz próbował ją przekonać, żeby została w tym bezpiecznym schronieniu.

Stanęła przed nim, uparcie i wyzywająco patrząc mu w oczy.

— Idę z tobą. Cokolwiek się stanie... o ile ogóle miałyby się stać coś złego, chcę przy tym być.

Brig był wściekły, ale nie mógł zmusić jej siłą, żeby

została. Nie zamieniwszy już ani słowa więcej, opuścili razem chatę. Szli przed siebie pogrążeni w ponurym milczeniu. Brig kulał, rana w nodze sprawiała mu dotkliwy ból. Jordanna nalegała, by na zmianę torowali sobie drogę w śniegu, dla ułatwienia marszu. W końcu Brig niechętnie na to przystał. Musiał uznać słuszność jej propozycji, choć poczucie dumy nakazywało mu iść przodem.

Niebo było bezchmurne i świeciło słońce, ale panował przenikliwy chłód. Śnieg, głęboki miejscami niemal na pół metra, nie roztopiał się w ostrych słonecznych promieniach. Oddech tworzył obłoczki pary. Powoli i z trudem brnęli w białym puchu.

Trasa wybrana przez Briga nie należała do łatwych. Musieli często przystawać dla zaczerpnięcia tchu, jednak szybko ruszali w dalszą drogę, by warstwa potu na ich skórze nie zamrzła. Po przebyciu kilku kilometrów Jordanna zdała sobie sprawę, że Brig nie zmierza prosto w kierunku obozowiska. Myślała przez chwilę, że stracił orientację, że być może gorączka ogranicza sprawność jego umysłu. Ale bardzo szybko zrozumiała, czym się kieruje, wybierając okrężną drogę, wiodącą przez trudno dostępne stromizny. Starał się unikać spotkania z Fletcherem. Na postoje wybierał miejsca umożliwiające dokładną obserwację rozciągających się wokół terenów i zapewniające rozległy widok. Podczas marszu wybierał takie rejony, żeby przez Gały czas posuwali się pod osłoną drzew, skał albo głębokich rozpadlin. Jordanna miała ochotę podać w wątpliwość potrzebę zachowywania aż tak daleko posuniętej ostrożności, ale teraz nie była już pewna, czy ta przezorność nie jest uzasadniona.

Od czasu do czasu dostrzegali tropy zwierząt, lecz ani razu nie wypatrzyli śladów pozostawionych przez człowieka. Byli zagubieni wśród górskich szczytów, za jedyne towarzystwo mając wiatr hulający po śniegu

i cienie chmur przesuujące się po zboczach gór. Jordannie jednak nie dokuczało poczucie osamotnienia, była raczej zaniepokojona nadzwyczajną ostrożnością Briga i jego czujnością, która rosła, w miarę jak okolice stawały się coraz bardziej znajome i malała odległość od obozowiska. Jego napięcie było niemal namacalne. Niestrudzenie omiatał czujnym wzrokiem cały teren. Wydawało jej się to przerażające. Zadrżała. Zachowanie Briga budziło w niej strach. Czuła, że nerwy ma napięte do ostatnich granic wytrzymałości. Brig sprawiał na niej wrażenie tropionego zwierzęcia, wystawionego na niebezpieczeństwo, którego nie potrafi umiejscowić.

Wsparała się plecami o skałę, czując jej lodowaty chłód, i osłoniła oczy przed rażącym światłem słońca. Każdy oddech napełniał jej płuca zimnym, ostrym powietrzem. Spojrzała na Briga. Szli już co najmniej kilometr, nie zamieniwszy ze sobą ani jednego słowa. Byli najwyżej kilometr czy dwa od obozowiska. Brig uważnie badał teren dzielący ich od celu, starając się w miarę możliwości pozostawać w ukryciu. Jordanna posłyszała, że zaklął.

— Coś nie w porządku? — spytała wstrzymując oddech.

Rzucił jej z ukosa niecierpliwe, ostre spojrzenie.

- Myślałem, że może Jocko jest gdzieś w pobliżu. Wygląda na to, że się przeliczyłem.

Gdy kulejąc podchodził w jej stronę, dostrzegła ciemną, wilgotną plamę na jego lewisach.

— Rana znów się otworzyła, krwawisz! — zawołała.

— Co ty powiesz? Naprawdę nie masz dla mnie jakiejś aktualniejszej nowiny, chociażby gdzie jest twój ojciec albo Jocko? — spytał kaśliwie.

— Gdybym miała taką nowinę, na pewno bym powiedziała — odparła odwracając się do niego plecami.

Dłoni w rękawicach chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Gestem nieco szorstkim i niespodzie-

wanym zrzucił jej z głowy kapelusz, który potoczył się po ziemi. Wiatr rozwiął natychmiast jej włosy. Przez chwilę opierała się uściskom Briga. Potem poczuła jak wtulił głowę w jej włosy.

— Znów słońce błyszczy w twoich włosach — szepnął. — Chciałbym, żeby to wszystko się już skończyło i żebyśmy wreszcie znaleźli się w naszym łóżku na ranczo. — Prośba o wybaczenie, choć nie sformułowana wyraźnie, zawierała się w miłosnym wyznaniu i była dostatecznie czytelna.

— Ja również — odrzekła z zapałem. — I będziemy się śmiać z tego niesłychanego nieporozumienia co do taty.

Brig westchnął głęboko i uniósł głowę.

— No, chodźmy już. — Delikatnie popchnął ją do przodu. — Czas w drogę.

— Ale to nie jest przecież droga do obozowiska! — zdziwiła się uświadomiwszy sobie, dokąd idą.

— Nie możemy iść prosto w tamtą stronę, ponieważ szlubyśmy po odsłoniętym terenie. Byłoby to zbyt wielkie ryzyko...

Nie przerwał zdania dostatecznie szybko, by Jordanna nie mogła się zorientować, co miał na myśli. Byliby narażeni na to, że ktoś będzie do nich strzelać. Ani przez chwilę nie wierzył, że nadejdzie taki dzień, kiedy będą śmiać się z tego razem z Fletcherem. Determinacja Briga budziła w Jordannie trwogę.

— Pójdziemy tamtędy — powiedział wskazując drogę.

Jordanna podniosła z ziemi kapelusz i ruszyła we wskazanym kierunku. Teren był wyjątkowo trudny i niebezpieczny — niemal pionowa ściana, oblodzona i smagana silnym wiatrem, stanowiła początek owej drogi, a musieli wspiać się jeszcze wyżej.

— Nigdy ci się to nie uda, Brig. Z taką raną w nodze.

— Będę musiał to zrobić, i tyle. — Wzruszył ramionami i postawił pierwszy krok, ciągnąc za sobą lewą nogę.

— Już zacząłeś krwawić — przekonywała uparcie.

— Jak myślisz, ile czasu potrzeba, żebyś stracił świadomość?

— Żeby się o tym przekonać, trzeba spróbować, innego sposobu nie ma, prawda? — odparł uśmiechając się zgryźliwie.

— Nie. Sama mogę dotrzeć do obozu, zwłaszcza że, nie narażając się na niebezpieczeństwo, mogę swobodnie poruszać się po odsłoniętym terenie — perswadowała. — W obozowisku są konie. Zostań tutaj, a ja niedługo do ciebie przyjdę.

Spodziewała się, że Brig zaprotestuje. Przez dłuższą chwilę badawczo patrzył jej w oczy, potem kiwnął głową.

— Zgoda. Będę tu na ciebie czekał.

Zamiast jednak poczuć ulgę, Jordanna całkiem nieoczekiwanie zaniepokoiła się, że tak łatwo zgodził się na jej propozycję. To bowiem nasuwało tylko jedno wytłumaczenie: noga przysparzała mu większych dolegliwości, niż był skłonny to przyznać.

— Będę się śpieszyć — obiecała.

Wpatrzył się w nią natarczywie.

— Uważaj na siebie, Jordanno.

Poczuła zimną skórę jego rękawicy na swojej brodzie. Uniósł jej głowę do góry i pocałował z taką szaloną, zaborczą namiętnością, jakby obawiał się, że widzą się po raz ostatni. Ogarnął ją paniczny strach. Przyłgnęła mocno do Briga i trzymała go w kurczowym uścisku tak długo, dopóki nie popchnął jej łagodnie, lecz stanowczo, w stronę obozowiska.

— Będę na ciebie czekał.

— Wrócę na pewno — szepnęła z oczami pełnymi łez.

Westchnął z ulgą, gdy dotarła do krawędzi urwistej skały. Musiała jeszcze teraz tylko zejść w dół zbocza. Z dala od niego nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Kulejąc podszedł do krawędzi grzbietu i usiadł w miej-

scu, z którego mógł obserwować rozległy teren rozciągający się w dole. Lewą nogę obłożył śniegiem, na którym wkrótce pojawiła się czerwona plama, i powiększała się stopniowo. Po kilku minutach noga zaczęła drętwieć z zimna i Brig miał nadzieję, że to powstrzyma upływ krwi.

Był bardziej osłabiony, niż początkowo sądził. Rozpaczliwie potrzebował kilku minut odpoczynku, by nie utracić resztek sił, jakie mu jeszcze pozostały. Odprowadzał wzrokiem Jordannę przemierzającą rozległe skaliste pustkowie, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny. Odsunął od siebie uczucie dojmującej pustki, w której zaczynał się zatracać, po czym zaczął uważnie przeszukiwać wzrokiem pobliskie urwiste zbocza i poszarpane turnie.

Popychana siłą potężniejszą jeszcze niż niepokój o ranę Briga —jakkolwiek źródła owej przemożnej siły nie potrafiłaby wyjaśnić — pokonała niemal pionową ścianę ani na moment nie zatrzymując się, by zaczerpnąć tchu. Jediną żywą istotą, jaką spotkała po drodze do obozowiska, był zajac, który co sił w nogach przed nią czmychnął.

Gdy dotarła na miejsce, słaniając się ze zmęczenia, nikogo w pierwszej chwili nie spostrzegła. Posłyszała tylko dobiegające spoza drzew rzenie konia. Głęboko wciągnęła w płuca mroźne powietrze i poszła w stronę dużego namiotu, gdzie przechowywano siodła. Uniósłszy brezentową płachtę, natychmiast poczuła ciepło rozgrzanego pieca, które wywołało pieczenie przemarzniętej twarzy. Coś poruszyło się w półmroku.

— Jordanna!

-: Kit!

Roześmiała się, rozpoznając z szaloną ulgą głos brata,

— Wielkie nieba, gdzie ty się podziewałaś? Byliśmy strasznie zaniepokojeni, umieraliśmy ze strachu, nie

mogąc doczekać się waszego powrotu! — zawołał z wyrzutem, skacząc w jej stronę na jednej nodze. — Jocko pojechał was szukać. Znalazł was? Gdzie jest tata? I Brig?

— Zapomniałam, że skręciłeś nogę. Jak się Czujesz?

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, od chwili gdy Kit tak niefortunnie upadł, nie można się było dziwić, że Jordanna już o tym zapomniała. Nagle zdała sobie sprawę z niedorzeczności swojego pytania, które mu zadała, zamiast odpowiedzieć najpierw na pytania brata.

— Taty tutaj nie ma? — Brig zatem nie pomylił się, zapewniając ją, że ojciec nie wróci do obozowiska. Ale gdzie wobec tego jest?

— Nie — odrzekł Kit marszcząc brwi. — Nie ma go razem z wami?

— Nie, my... rozdzieliliśmy się — wytłumaczyła niejasno. — W pewnej chwili padał bardzo gęsty śnieg.

Z niepokojem spojrzał jej w oczy.

— Dobrze się czujesz? Jest gorąca kawa. Napijesz się? Chyba jesteś głodna. Jocko zrobił gulasz. Rozgrzej się przy piecu. Z pewnością skostniałaś z zimna.

— Nie, nie teraz.

Ujął ją za ramię, żeby wprowadzić w głąb namiotu, ale wyswobodziła się łagodnie.

— Muszę wracać. Przyszłam tylko po siodło i uprząż, o ile jakieś zostały. Brig jest ranny. Muszę do niego wrócić.

— Ranny? — Kit, utykając wyraźnie, rzucił się pośpiesznie w stronę swojego płaszcza. — Idę z tobą. Czy to coś poważnego? Jak to się stało?

Jordanna wołała, żeby przestał bombardować ją pytaniami. Skrajnie zmęczona i głodna nie mogła jasno myśleć. Zamęt, który zapanował w jej głowie pod wpływem podejrzeń wobec ojca, jeszcze pogarszał sytuację.

— Jest ranny w nogę — odparła lakonicznie i poszła po uprząż, która leżała starannie ułożona w kącie. Na

ramię zarzuciła siodło, jedyne, jakie znajdowało się w namiocie.

— Złamał nogę? — spytał Kit, wyjmując z jej rąk uprząż, żeby nie musiała dźwigać.

— Nie. — Zawahała się przez chwilę, a potem wyznała prawdę: — Został postrzelony. Z jakiegoś zupełnie dla mnie niejasnego, absurdalnego powodu jest przekonany, że to tata do niego strzelał. — Roześmiała się nerwowo, mając nadzieję, że Kit również uzna to za zabawne nieporozumienie.

— O, mój Boże! — jęknął zduszonym głosem, twarz mu się zmieniała, w oczach pojawił się wyraz bólu.

Jego reakcja przeraziła Jordannę.

— Śmieszne, nie sądzisz? — spytała z rozpaczliwym uporem. — To przecież tak nieprawdopodobne, że...

— Dlaczego? Czy Brig mówił dlaczego?

— Mówił... Podobno dlatego, że on wie, że tata... zabił Maxa. Co, oczywiście, jest niezgodne z prawdą — dorzuciła pośpiesznie. Gdy jednak dostrzegła wyraz twarzy Kita, poczuła nagłą falę mdłości. — Nieprawda! To chyba niemożliwe, żebyś w to wierzył?

— Czy Brig mówił, jak Max został zamordowany? — Jego twarz spochmurniała, pojawił się na niej wyraz głębokiego smutku i goryczy.

— Pokazał mi cierń, który znalazł pod siodłem Maxa.

Poczuła nagle lodowaty chłód paralizującej trwogi. To koszmar! Jordanna miała rozpaczliwą nadzieję, że zaraz się ocknie i senne majaki miną. Wyszła z namiotu, oślepiły ją ostre promienie słońca. Kit powoli szedł za nią, utykając.

— Zastanawiam się... Mam nadzieję... — Kit potrząsnął głową, nie mogąc dokończyć zdania. Pochylił nagle ramiona, zamknął oczy i zacisnął wargi.

— Dlaczego... — Czując ucisk w gardle, przełknęła z trudem. — ... dlaczego tata miałby zabijać Maxa? Jaki mógłby mieć powód? Brig ani jednego nie potrafi wymienić. A ty mógłbyś?

— Tak się bałem, że coś podobnego może się wydarzyć — mruknął z nieobecny wyrazem twarzy. — Sądziłem, że jeśli z wami pojedę, to może uda mi się temu zapobiec. Tak bardzo chciałem wierzyć, że to był wypadek... zbieg okoliczności.

— Ale dlaczego?

Chciała, żeby podał jej jakąś przyczynę. Skoro przyjechał tutaj, ponieważ coś podejrzewał, to z pewnością musiał wiedzieć, dlaczego do tego doszło. Gdy podeszli do skraju lasu, jeden z uwiązanych tam koni odwrócił ku nim głowę.

— Nie domyślasz się, Jordanno? — W jego oczach znów pojawił się tak dobrze jej znany wyraz pochmurnego cynizmu. — Chodziło o mamę.

— Max... był jej kochankiem? — odgadła natychmiast, a Kit skinał twierdząco głową. — No tak, ale przecież to niczego nie wyjaśnia — dorzuciła. — Max z całą pewnością nie był pierwszym kochankiem Liwie, a tamtych poprzednich tata jakoś nie zabijał. To niby dlaczego Max miałby być wyjątkiem wśród tej licznej gromadki?

— Mama była gotowa odejść od niego... dla Maxa, jak tylko tata kupi akcje, które Max chciał mu sprzedać. Ponieważ nie mogła się rozwieść w Nowym Jorku, postanowiła polecieć samolotem do Meksyku, Newady, czy już sam nie wiem gdzie, żeby odzyskać wolność. Miało to się odbyć bez wiedzy taty, ale pewnego dnia matka straciła zimną krew i powiedziała mu, co ma zamiar zrobić. Nie minął tydzień, a wypłynęła ta historia z polowaniem. Mama była kompletnie roztrzęsiona... płakała. Zapewniała mnie, że w rozmowie z tatą nie wymieniła nazwiska Maxa, ale od kilku lat ojciec wynajmował prywatnych detektywów, którzy wszędzie za nią chodzili. Znał więc nazwiska, daty, miejsca spotkań. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wiedział, o kogo chodzi tym razem.

— Próbujesz mnie przekonać, że tata zabił Maxa, bo Liwie była gotowa zażądać rozwodu, by móc się z nim związać? — Oszołomiona Jordanna pokręciła niedowierzająco głową. — Dlaczego tata miałby się tym przejmować? Zdajesz sobie sprawę, jak ona przez całe lata go traktowała? Co mu zrobiła?

— Pomyśl raczej o tym, jak on ją traktował.

— Tata starał się dawać jej wszystko, spełniać każdą jej zachciankę.

Położyła siodło na ziemi obok gniadego konia i zdjęła płachtę z jego grzbietu.

— Wszystko oprócz siebie. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego mają oddzielne sypialnie? — spytał Kit i nie dopuściwszy jej do głosu, wyjaśnił: — Zaczął sypiać oddzielnie zaraz po twoich narodzinach, kiedy dowiedział się od lekarzy, że Liwie nigdy nie będzie mogła już mieć dzieci. Od tamtej pory stała się ozdobnym meblem, służącym wyłącznie do dekoracji jego domu, drogocennym przedmiotem, który wszyscy mogą podziwiać, nawet dotknąć, ale potem muszą zostawić w miejscu dla niego przeznaczonym. Tata gotów był zniszczyć każdego, kto by usiłował mu to odebrać, nie wyłączając Maxa, oczywiście.

Jordanna słuchała wyjaśnień Kita z narastającym przerażeniem.

— Przedstawiasz tatę jako człowieka tak... odpychająco zimnego. On nie jest taki.

Podniosła siodło i umieściła je na grzbiecie konia. Wykonywała automatyczne ruchy, nawet ich sobie w pełni nie uświadamiając.

— Kiedyś już próbowałem ci to wyjaśnić — odezwał się spokojnym, łagodnym tonem. — Dostrzegałaś w tacie tylko to, co on sam chciał, żebyś w nim widziała. No, a choćby ja... Wydawało ci się, że mnie znasz, ale w rzeczywistości nigdy nic o mnie nie wiedziałaś, w przeciwnym razie domyśliłabyś się, że Mike jest dla mnie nie tylko współlokatorem, ale także kochankiem.

— Biedny Max! Tata nigdy nie miał zamiaru kupić tych jego akcji... Nabierał go tylko. — Jordanna nagle sobie to wszystko uświadomiła i, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wypowiedziała na głos własne myśli. Brat dostarczył jej brakującego elementu. Teraz już dowody zgromadzone przeciwko ojcu były zbyt liczne, by nadal mogła wątpić w jego winę. Czuła gorycz w ustach. Utrata wszelkich złudzeń była dla niej wyjątkowo bolesnym, druzgocącym ciosem. — Ale dlaczego? Nie wystarczyło mu doprowadzenie Maxa do ruiny finansowej?

— Chciwość Maxa była nieporównanie większa od jego poczucia godności. Mama powiedziała mu kiedyś o kontrakcie ślubnym, który podpisała przed wieloma laty. W razie separacji lub rozwodu ojciec zobowiązywał się do nadzwyczaj hojnych świadczeń. Krótko mówiąc, Max kochał mamę tak samo, jak jej pieniądze. Tata nie mógł kupić Maxa ani zrujnować go finansowo. Jedynym rozwiązaniem, które mu pozostało, był... wypadek. Nie do końca mogłem uwierzyć, że był to wyłącznie czysty przypadek— nawet jeśli wszelkie okoliczności za tym przemawiały.

Dociągnawszy popręg, Jordanna przymocowała i zwiesiła strzemiona. Gdy zbliżyła się do głowy zwierzęcia, Kit odruchowo podał jej cugle. Założyła uzdę i umieściła wędzidło pomiędzy zębami konia, a następnie przeciągnęła kantar uzdy tuż za uszami wierzchowca.

Rozmawiali o człowieku, który był jej ojcem. Kochała go tak, jak córkę kocha ojca, a teraz stał się nagle obcym, niebezpiecznym człowiekiem, który budził w niej strach.

— Mama dawno już powinna była od niego odejść. — Zamocowała łańcuszek munsztuka. — Dlaczego tego nie zrobiła?

— Bała się, Nie miała odwagi. Zdawała sobie sprawę, jak wielką władzą ojciec dysponuje. Uświadamiał jej to dostatecznie często. — Kit podszedł do jucznego konia

przywiązanego obok. — Gdyby odeszła od taty, zniszczyłaby ją w sensie towarzyskim. Wprawdzie miałyby pieniądze, ale zrobiłby wszystko, żeby odizolować ją od wytwornego towarzystwa, w którym się dotychczas obracała, i doprowadzić do tego, aby odwrócili się od niej znajomi. Obawiała się samotności, wiedząc, że tata użyje wszelkich dostępnych mu sposobów, by nie zaznała szczęścia w ramionach innego mężczyzny. Potem w jej życiu pojawił się Max, który zdołał ją przekonać, że wspólnie mogą stawić czoło wszelkim przeciwnościom. Miłość dodała jej odwagi.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w brata.

— A teraz Max nie żyje.

Poczuła, jak ogarnia ją litość dla matki. Współczuła jej, zrozumiałwszy, jak straszną klęską było jej małżeństwo.

— Zawsze byliście sobie tak bliscy, Kit. Powinieneś teraz być przy niej, żeby podtrzymać ją na duchu w tych strasznych chwilach.

— Zapewne, ale nie dowierzałem tacie. Brałem pod uwagę, że będzie chciał tam wrócić i zatrzeć ślady, które mogłyby stanowić dowód przeciwko niemu. Musiałem się dowiedzieć, czy to on ponosi winę za śmierć Maxa. Nie mógłbym spojrzeć w oczy mamie, póki nie przekonam się, co naprawdę zaszło. Musiałem poznać prawdę, jakakolwiek by była. — Podał Jordannie ostatni rzemień uprząży. — I rzeczywiście wrócił, żeby zatrzeć ślady, czyli... usunąć Briga, który nie ujawnił swoich podejrzeń, jedynie dlatego, że nie znał motywu. Tymczasem my znamy. A tata z pewnością przypuszcza, że ja, znając jego pobudki, wtajemniczyłem w to Briga.

Jordanna poczuła na plecach lodowaty dreszcz trwogi.

— Będzie teraz próbował zabić Briga, prawda? — szepnęła zduszonym, przerażonym głosem.

Kit milczał przez moment, lecz wyraz jego twarzy nie

pozostawił Jordannie żadnych złudzeń. Wreszcie przytaknął głową.

— Inaczej nie można tego wytłumaczyć.

— On nas tropił... — Jordanna z trudem przyjmowała ten fakt do wiadomości. — On tropi Briga. Brig zgubił sztucer podczas zawiei. Jest ranny. Nie ma żadnych szans, jeśli tata go znajdzie.

W jednej chwili zapomniała o wyczerpaniu, głodzie i strachu. Jej ruchy stały się szybkie i zdecydowane. Przymocowała jeden rzemień cugli, a potem wzięła od brata ten rzemień, który Kit nadal trzymał w rękach.

— Zaraz wracam. — Kit ruszył w stronę namiotu, lecz zatrzymał się i dorzucił: — Podprowadź konie do namiotu.

Jordanna nie wiedziała, dlaczego brat tam wrócił, ale była to ostatnia rzecz, która mogłaby teraz zaprzętać jej myśli. Trzy konie zostały osiodłane, Jordanna odwiązała je od palików i wskoczyła na grzbiet jucznego konia. Ujawszy wodze dwóch pozostałych zwierząt, pojechała w stronę namiotu. Gdy Kit wyszedł, zobaczyła, że trzyma w dłoni sztucer.

— Może będzie nam potrzebny.

Podążyła mu wodze bez słowa. Nie czekając, aż Kit wskoczy na siodło, spięła konia i ruszyła. Poczowała, jak jej nogi rozgrzewają się powoli od ciepłej sierści zwierzęcia.

Im dłużej Brig wpatrywał się w ślady pozostawione przez Jordannę na śniegu, tym większy ogarniał go niepokój. Jeśli Fletcher poszedłby tą drogą, trafiłby prosto na niego. Musiał więc poszukać lepszego schronienia, nie tracąc przy tym możliwości obserwowania tego miejsca, w którym się teraz znajdował, żeby nie przeoczyć powrotu Jordanny i móc jej dać jakiś sygnał.

Odwrócił się, chcąc zbadać teren po tamtej stronie,

z której w to miejsce dotarli. Nieco na prawo zauważył gęsty las świerkowy. Pomyślał, że nisko zwieszające się gałęzie zapewnią mu znacznie większe bezpieczeństwo niż wznosząca się za jego plecami skała. Zwłaszcza że kule, odbijające się rykoszetem od gładów, mogły osiągnąć go znacznie łatwiej niż wśród gęstych, splątanych gałęzi.

Odgarnął śnieg, którym obłożył nogę. Rana już nie krwawiła, ale przemarznięte, obolałe mięśnie zaczynały sztywnieć. Wstał ostrożnie. Z wielkim trudem postawił kilka kroków. Zerwał się silny wiatr, który całkowicie zatarł już ich ślady. Brig ostrożnie zbliżał się do miejsca, gdzie ziemia była usłana stertą zwalonych drzew. Starał się stawiać stopy tam, gdzie warstwa śniegu była najcieńsza, żeby pozostawić jak najmniej widoczne ślady.

Przystanął przy pierwszym drzewie, by wsparłszy się o jego pień, odciążyć na kilka chwil lewą nogę. Nagle, tuż przy jego głowie, kora rozprysnęła się, raniąc mu drzazgami policzek. Rzucił się na ziemię w chwili gdy echo wystrzału przetoczyło się nad górami. Serce łomotało mu w piersiach jak oszalałe. Przyłgnąwszy płasko do ziemi, wczołgał się za zwalony pień.

24

Słyszałeś?

Gwałtownym ruchem Jordanna ściągnęła wodze i z niepokojem spojrzała na brata. On także zatrzymał konia na odgłos wystrzału. Nasłuchiwał w napięciu.

— Jocko mówił, że wystrzeli dwa razy, jeżeli was odnajdzie.

Drugiego strzału jednak nie było. Na myśl o tym, co to mogło oznaczać, Jordanna zbladła. Szarpnęła ponownie za wodze, a ponieważ koń nie zareagował, puściła je i kopnąwszy konia, ruszyła galopem. Kit poszedł w jej ślady.

Brig czekał, leżąc na brzuchu za stertą zwalonych pni. Czoło miał pokryte potem i wszystkimi zmysłami czujnie badał otoczenie. Starał się ustalić, w którym miejscu znajduje się jego przeciwnik. Przykrywająca ziemię gruba warstwa puszystego śniegu skutecznie mogła stłumić odgłos kroków Fletchera, jeśli tylko zachowałyby ostrożność podczas marszu. Brig miał zresztą okazję obserwować go podczas akcji, gdy tropili mufiony. Teraz on miał być łupem. Nie był na razie zbyt dobrze ukryty, mimo to wolał leżeć nieruchomo. Gruba warstwa śniegu pokrywała kruche gałęzie zwalonych

drzew, za którymi się ukrył. Gdyby więc próbował znaleźć jakieś lepsze miejsce, śnieg mógłby oderwać się od którejś z gałęzi, zdradzając w ten sposób jego obecność Fletcherowi. W ciszy, która panowała wokół, wystarczyłby najmniejszy trzask.

Zaczynał boleć go policzek; pot spływający po twarzy przenikał do drobnych zadraśnień, spowodowanych odpryskami kory drzewa. Brig ani drgnął, zwilżył tylko wargi. Kątem oka dostrzegł, że w połowie zbrocza coś się poruszyło. Utkwił wzrok w tym punkcie.

Fletcher zbliżał się powoli do kępy drzew. Brig domyślił się, że tropiący go myśliwy nie jest całkiem pewien, czy kula dosięgnęła celu. Kiedy jednak stwierdzi, że przy zwałonych drzewach nie ma ciała, przeczese dokładnie cały las. Brig gorzko żałował, że nie jest uzbrojony. Nóż, który jak zwykle miał przy sobie, byłby użyteczny tylko wtedy, gdyby doszło do walki wręcz. Ale przeciwnik z pewnością nie podejździe do niego dość blisko.

Fletcher zatrzymał się w miejscu, gdzie śnieg został niemal zupełnie wymieciony podmuchami wiatru. Brigowi zaschło w gardle. Szybko rzucił okiem wokół siebie: jeżeli tylko się nie poruszy, trudno go będzie wypatrzeć. Wbił wzrok we Fletchera, który bacznym spojrzeniem omiatał kępę drzew.

— McCord! — zawołał. — Równie dobrze możesz od razu wyjść! Wiem, że jesteś ranny. Znalazłem krew na śniegu. Skończmy z tym bez niepotrzebnych komplikacji. Daleko już nie dojdiesz, w każdym razie nie na tyle, żeby mi się wymknąć. Obiecuję ci, że błyskawicznie się z tym uporam.

Brig ani drgnął. Miejsce, w którym się ukrył, najlepiej nadawało się na schronienie i nie ulegało wątpliwości, że Fletcher tam pójdzie najpierw. Brig rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy nie uda mu się znaleźć jakiejś innej

kryjówki. Tymczasem jednak za wszelką cenę musiał zyskać na czasie. Może Fletcher popełni jakiś błąd.

— Nikt się tu nie pojawi, żeby ci pomóc, McCord, o ile tego właśnie się spodziewasz — podjął Fletcher, powoli schodząc w dół zbocza. — Jocko jest po przeciwnej stronie obozowiska. Widziałem, jak wyjeżdżał dziś rano. Nawet jeżeli usłyszał odgłos wystrzału, to i tak nie uda mu się dotrzeć tu na czas. To spory kawał drogi. Jordanna może i wyjechała już z obozowiska, ale nie będzie w stanie ci pomóc. To sprawa między tobą i mną, McCord. No, wyjdźże wreszcie stamtąd!

Brig postanowił, że spróbuje się ukryć za drzewem, które rosło nie opodal. Powoli, centymetr po centymetrze, zaczął się ku niemu przesuwać, poruszając się tylko wtedy, gdy był absolutnie pewien, że Fletcher nie patrzy w jego stronę. Pień drzewa był dość gruby, by posłużyć mu za tarczę. Brig wyprostował się i przywarł do chropowatej kory. Bezcenna była każda sekunda, którą udawało mu się zyskać.

— Wiem, dlaczego musisz się mnie pozbyć Fletcher! — zawołał. — Ale dlaczego wykończyłeś Maxa?

— Wyjdź stamtąd, żebym cię widział.

— Nie! Jeszcze nie teraz! — uciał stanowczo Brig. Czuł, że tamten, wiedząc już, gdzie znajduje się jego ofiara, szybko będzie mógł do niego dotrzeć. — Jeżeli już muszę umrzeć, to mógłbyś przynajmniej na koniec zaspokoić moją ciekawość i odpowiedzieć na pytania.

— Ten łajdaczyzna myślał, że uda mu się odebrać mi zarówno moją żonę, jak i pieniądze.

Głos Fletchera najwyraźniej docierał z lewej strony. Brig zrobił krok w przeciwnym kierunku, żeby pień drzewa znajdował się cały czas pomiędzy nim a Fletcherem. Od początku domyślał się, że Max i Olivia mają ze sobą romans. Nie był to jednak najodpowiedniejszy moment, by napawać się własną przenikliwością.

— Postradałeś rozum, Fletcher?

— To raczej ty oszalałeś, wyciągając tę sprawę. Wyjź stamtąd!

— Mógłbyś się jeszcze wykręcić z tego, Fletcher. Jeśli weźmiesz sobie dobrego adwokata, na pewno nie dostaniesz więcej niż kilka lat z zawieszeniem za zamordowanie kochanka żony. Ale jeżeli zabijesz mnie, to jesteś skończony. Powieszą cię za to. To jest zbrodnia z premedytacją i dobrze o tym wiesz.

— Ale nikt prócz ciebie o tym nie wie — odparował Fletcher, śmiejąc się drwiąco. — A ty będziesz martwy.

Ostatnie słowa zostały zagłuszone przez galopujące konie, dyszące z wysiłku. Słysząc już było chrzęst uprzęży. Brig odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegały owe odgłosy. W tej właśnie chwili na grzbiecie wzniesienia zarysowały się sylwetki Jordanny i Kita, nadjeżdżających konno i prowadzących trzeciego wierzchowca, który biegł tuż za nimi obracając łeb, by uniknąć smagnięć puszczonej luźno wodzy.

Jordanna zeskoczyła z siodła,

— Brig!

Brig usłyszał panikę w jej głosie.

— Nie zbliżaj się, Jordanno!

— Jordanno, nie mieszaj się do tego! — nakazał ojciec. — Ta sprawa cię nie dotyczy.

— Nie! — zaprotestowała przejmującym głosem. — Nie zabijesz go! Nie rób tego!

— Słyszałaś, co do ciebie powiedziałem. A teraz zrób to, co kazałem!

— Kto będzie następny, Fletcher! — krzyknął Brig wyzywającym tonem. — Jordanna jest świadkiem. Podobnie jak twój syn. Ich też zabijesz? A Jocko? On jest sprytny. Myślisz, że nie będzie wiedział, co się stało? Na tropieniu zna się znacznie lepiej niż ty. Zabijesz mnie, ale na tym się nie skończy, nadal będziesz musiał zabijać. Zabicie mnie to jeszcze nie koniec!

Kula przecięła powietrze kilka centymetrów od jego

głowy. Brig uchylił się przed gradem odprysków drzewa. Ten człowiek kompletnie stracił rozum! Teraz już w jego działaniu nie było krzty logiki.

Gdy rozległ się wystrzał, Jordanna odwróciła się błyskawicznie i wyrwała sztucer z ręki brata. Tym razem drzewo ochroniło Briga, jeśli jednak nie znalazłaby sposobu, by powstrzymać ojca, następnym razem sprawy mogą przyjąć zgoła inny obrót. Załadowała broń. Zanim przebrzmiało echo pierwszego wystrzału, Jordanna wystrzeliła w powietrze, a potem skierowała wylot lufy w stronę ojca.

— Nie pozwolę ci go zabić — ostrzegła.

Fletcher odwrócił się i spojrzał na nią z konsternacją. Kątem oka Jordanna dostrzegła, że Brig przesuwa się w stronę następnego drzewa, zbliżając się w ten sposób do odsłoniętego, smaganego wiatrem zbocza. Nadal jednak wpatrywała się nieruchomo w twarz ojca, oszłomionego i z niedowierzaniem przenoszącego wzrok z twarzy córki na broń w jej rękach.

— Nie zabijesz mnie. — Odpreżył się nieco i przez jego twarz przemknął wyraz zarozumiałej pewności siebie.

— Nie ma takiej potrzeby, tato. Z tego miejsca, gdzie stoję, mogę cię trafić, gdzie tylko zechcę,.. W nogę, w ramię, w kolano. Sam nauczyłeś mnie strzelać. Więc wiesz, co potrafię. Rzuć sztucer, tatusiu.

- Ty nic nie rozumiesz.

Zmarszczył brwi. Sprawiał teraz wrażenie bardzo starego człowieka. Gotów był usprawiedliwić się wobec niej. Potem nagle zacisnął wargi, odwrócił się i ponownie wycelował w stronę drzewa, za którym ukrył się Brig.

Jordanna nacisnęła spust i kula wzbija fontannę śniegu tuż przy stopach Fletchera. Kilka chwil później góry wznoszące się po drugiej stronie stromego zbocza opadającego poniżej, powtórzyły echem odgłos wystrzału.

— Nie zmuszaj mnie, żebym do ciebie strzeliła.

Ponownie wycelowała w ojca. Pomimo pozorów spokoju, w głębi duszy czuła rozpacz. Człowiek, którego trzymała teraz na muszce, był zawsze w jej oczach bohaterem. To był jej ojciec.

— Jordanno, on jest ranny — powiedział spokojnym tonem, z perswazją w głosie. — Muszę go dobić, żeby przerwać jego cierpienia. Czy nie widzisz, że jego oczy mi przebaczą?

— Nie! — krzyknęła przenikliwie.

Nagle rozległ się ogłuszający, złowieszczy łoskot. Jordanna miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

Stojący za nią Kit krzyknął:

— Tato, uważaj!

Jordanna najpierw pomyślała o Brigu i spojrzała w tę stronę, gdzie się ukrył. Ledwie zdążyła go dojrzeć, a Kit odepchnął ją mocno na bok, żeby biec na ratunek ojcu. Jordanna, spojrzawszy za siebie, zobaczyła potężne skalne bloki sunące w ciszy po śniegu. Stopniowo nabierały prędkości, wywołując narastające dudnienie ziemi.

Brig usłyszał krzyk Jordanny. Zdała sobie właśnie sprawę, że ojciec znajduje się dokładnie na drodze, którą za chwilę przetoczy się lawina. Wyszedł zza drzewa i przystawiwszy do ust zwinięte dłonie, krzyknął co sił:

— Tędy, Fletcher!

Siwowłosy mężczyzna wpatrywał się nieruchomo w pędzącą prosto na niego masę potężnych głazów. Nie usłyszał wołania Briga, zobaczył tylko Kita, który rzucił się w jego stronę, zamiast biec w kierunku drzew, gdzie miałby jeszcze szansę uratowania życia, ruszył powoli w stronę syna. Drobne kamyki uderzały go już po nogach. Pierwszy większy odłamek skalny dosięgnął jego ramienia, przewracając go na ziemię. Potem nadciągnęły następne, coraz większe. Pociągnęły go sobą miażdżąc jego bezwodne ciało.

Lawina trwała krótko, lecz była wyjątkowo gwał-

towna. Gdy nastąpił koniec, Brig co sił w nogach, nie zważając na dotkliwy ból uda, rzucił się w kierunku znieruchomiłych skalnych bloków. Kit pędził po zboczu w stronę ciała, na pół zasłoniętego dwoma potężnymi głazami. Jordanna cisnęła sztucer i ukryła twarz w dłoniach. Gdy Brig do niej dotarł, dopiero przed chwilą uświadomiła sobie, że to już koniec. Utkwiła wzrok w nieruchomym ciele, które Kit usiłował uwolnić spod głazów.

— Tato! — zawołała załamującym się głosem i zrobiła krok w stronę Kita stojącego przy ojcu. Brig chwycił ją wpół i nie pozwolił, by tam poszła.

— Nie, lepiej zostań.

Uniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

— On... nie żyje.

— Dla niego to lepiej, że góry go zabrały, Jordanno. Nikt nigdy nie dowie się, co się wydarzyło i dlaczego. Twój ojciec nie żyje. Poza żalem, jaki zawsze budzi śmierć kogoś bliskiego, ani ty, ani twój brat, ani twoja matka nie będziecie cierpieć z innych, znacznie bardziej przerażających przyczyn. Rozumiesz? — spytał łagodnie.

— Tak.

Zaczęła łkać przejmująco i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Powoli jakoś sobie z tym poradzimy. — Poczul ogaraniającą go falę niezmierniej czułości. — Teraz jesteśmy razem.

Przytulił ją mocno do siebie, by uspokoić drżenie jej ciała.

Na wznoszącej się ponad ich głowami grani zarysowała się sylwetka jeźdźca na koniu. Końgryząc w zębach wędzidło, przystanął i potrząsnął grzywą. Jocko jednym spojrzeniem objął rozgrywającą się poniżej scenę i ruszył powoli ku młodemu mężczyźnie, który klęczał przy nieruchomym ciele